



„Weiner potrafi pisać z niezwykłą
delikatnością i humorem
nawet o trudnych sprawach”.

The Miami Herald

Jennifer Weiner

PROSTO
W DÓŁ



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Jennifer Weiner
PROSTO W DÓŁ

Z języka angielskiego przełożyła
Katarzyna Różycka



Tytuł oryginału:

ALL FALL DOWN

Copyright © 2014 by Jennifer Weiner, Inc.

Published by agreement with Atria Books a Division of Simon & Schuster,
Inc.

Copyright © 2016 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2016 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Ilona Gostyńska-Rymkiewicz

Zdjęcie na okładce: © xiquence (fotolia.pl)

Redakcja: Agnieszka Radtke

Korekta: Joanna Rodkiewicz, Marta Chmarzyńska

ISBN: 978-83-7999-627-8

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadruga.pl

www.soniadruga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2016

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Dedykacja

Motto

Część pierwsza. W głąb króliczej nory

1

2

3

4

5

6

Część druga. Na samo dno

7

8

9

10

11

12

13

14

15

Część trzecia. Zameldowanie

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

Część czwarta. Obietnice

28

Podziękowania

Przypisy

*Dla moich czytelników,
którzy zaszli ze mną tak daleko.*

Vera zapytała:

– Dlaczego czujesz, że musisz zmieniać wszystko w opowieść?

Więc jej odpowiedziałam:

Ponieważ kiedy opowiadam historię, kontroluję jej brzmienie.

Ponieważ kiedy opowiadam historię, mogę cię rozśmieszyć, a wolę, żebyś się ze mnie śmiała, niż się nade mną użalała.

Ponieważ kiedy opowiadam historię, ból nie jest aż tak dotkliwy.

Ponieważ kiedy opowiadam historię, mogę sobie z nią poradzić.

Fragment książki *Zgaga* Nory Ephron

tłum. Małgorzata Stafiej

Część pierwsza
W głąb króliczej nory

Czy zazwyczaj pijesz alkohol albo przyjmujesz leki częściej niż raz w tygodniu?

Zawahałam się, zanim przewróciłam stronę. Sięgnęłam po czasopismo, żeby przeczytać artykuł reklamowany na okładce: *Jak ubierać się odpowiednio do figury*, ale otworzyło się na teście zatytułowanym: *Czy twoje picie lub zażywanie leków już jest problemem?*. Coś kazało mi się na nim zatrzymać. Może powodem było czarno-białe zdjęcie profilu kobiety pochylonej smutno nad kieliszkiem wina albo przytoczone obok dane statystyczne. Według nich przedawkowanie środków przeciwbólowych sprzedawanych na receptę stanowi obecnie główną przyczynę przypadkowych zgonów wśród kobiet w Ameryce, przewyższając nawet odsetek śmierci poniesionych w wyniku wypadków samochodowych. Trzymałam w dłoni długopis, którym wypełniałam stertę formularzy przed kontrolną wizytą lekarską dla pięcioletków, na którą przyszłam z Eloizą, i niemal bez zastanowienia postawiłam krzyżyk w okienku obok odpowiedzi „tak”.

Założyłam nogę na nogę i rozejrzałam się po poczekalni przed gabinetem doktora McCarthy’ego. Nagle zaniepokoiłam się trochę, że ktoś mógł zauważyć, co napisałam. Nikt jednak nie zwracał na mnie uwagi i na to co dzieje się na końcu kanapy. Deszcz ze śniegiem stukał w szyby dużych okien, w rogu huczał grzejnik. To jasne pomieszczenie na trzecim piętrze biurowca na skrzyżowaniu ulic Dziewiątej i Chestnut, gdzie wolontariuszka w fartuszkach w paski siedziała za malutkim stolikiem i czytała książkę *Amelia Bedelia* dzieciom usadowionym na miniaturowych krzeselkach, było przytulnym schronieniem przed okropną zimową pogodą. Trzy lata temu mój mąż Dave, moja córka i ja wyprowadziliśmy się z centrum do domu w Haverford, którego nie chciałam nazywać McRezydencją, chociaż to właśnie było dla niego najtrafniejsze określenie. Jednak nawet nie próbowałam znaleźć innego lekarza na przedmieściach, bo tak uwielbiałam tego pediatrę. Dotarliśmy więc na wizytę kontrolną, pół roku za późno, i siedziałyśmy w gabinecie, do którego przychodziłam z córką, odkąd skończyła tydzień. Zostawiłyśmy samochód na parkingu na Dziewiątej i przedarłyśmy się pieszo przez lutową pluchę. Ellie stąpała delikatnie pośród zasp zamarzniętego brudnego śniegu i między pokrytymi lodem, sięgającymi do kostek kałużami, narzekając, że przemakają jej buty, a skarpetki nasiakają wodą. Przekupiłam ją obietnicą wizyty w cukierni po wizycie u lekarza.

Ellie pociągnęła mnie za rękaw:

– Ile jeszcze?

– Naprawdę nie wiem, kochanie. Pan doktor musi najpierw zająć się chorymi dziećmi, a ty, Panno Szczęściaro, nie jesteś chora.

Wysunęła dolną wargę, robiąc minę jak z kreskówki.

– To NIESPRAWIEDLIWE! Byłyśmy umówione!

– To prawda, ale pamiętasz, jak kiedyś bardzo bolało cię gardło, doktor McCarthy przyjął cię od razu, przed dziećmi, które były wcześniej umówione.

Ellie zmrużyła oczy i zaczęła przygryzać wargę, a po chwili ściszyła głos do teatralnego szeptu, który brzmiał nieznacznie ciszej niż przeciętny krzyk.

– Mam pomysł. Może powiemy pani pielęgniarce, że boli mnie gardło!

Potrząsnęłam głową.

– Nie, nie kłamiemy. Tak powstaje zła karma.

Ellie zastanowiła się przez chwilę nad moimi słowami.

– Nienawidzę karmelu. Wygładziła spódniczkę i odeszła w kierunku kosza z zabawkami. Założyłam nogę na nogę i spojrzałam na tłum zgromadzony w poczekalni.

Jak można się było spodziewać, pomieszczenie było pełne. Siedziały w nim mamy nowicjuszek z Queen Village i Society Hill, noszące swe dzieci owinięte w kilometrowe, ręcznie farbowane chusty z ekologicznej bawełny, tkane przez rdzenne peruwiańskie rękodzielniczki otrzymujące pensję wystarczającą na utrzymanie. Mamy z mieszkań komunalnych pchały używane wózki i karmiły maluchy z plastikowych butelek, podczas gdy te pierwsze ostentacyjnie karmiły piersią albo podawały niemowlakom odrobinę organicznej odżywkę z butelek bez bisfenolu A, ze smoczkami bez silikonu, przykryte szalami do karmienia o pięknych wzorach i wdzięcznych nazwach (osobiście wybrałabym Zastłonę Balona).

Czy wtedy kiedy zażywasz leki albo spożywasz alkohol, przyjmujesz zwykle trzy dawki/wypijasz trzy drinki albo więcej?

Zdefiniujcie „dawkę”. Jedna tabletkę percocetu, który dostałam po usunięciu zęba mądrości? Dwie tabletki vicodinu przepisane na dyskopatię po kontuzji podczas aerobiku? Nigdy nie zażyłam więcej niż dwie tabletki leku, z wyjątkiem dnia, kiedy u mojego ojca zdiagnozowano chorobę Alzheimera i na jakiś czas mama zabarykadowała się w naszym pokoju gościnnym. Czy trzy tabletki można uznać za jedną dawkę? Postanowiłam nie odpowiadać na to pytanie.

Czy używasz leków lub alkoholu, by się rozluźnić lub zrelaksować?

Zaraz, zaraz. Przecież po to są. Poza tym czy to takie złe? Ileż to razy słyszałam od męża: „Muszę pójść pobiegać”, a od Janet, mojej przyjaciółki: „Muszę się napić wina”. Przecież robiłam to samo. A właściwie nawet coś lepszego. Bieganie zajmuje dużo czasu, źle wpływa na stawy i człowiek się poci, a wino może zostawić plamy.

– Mamusiu?

– Poczekaj, kochanie – powiedziałam, kiedy w torebce zadzwonił mój telefon. – Tylko minutkę.

– ZAWSZE tak mówisz. ZAWSZE mówisz tylko minutkę i ZAWSZE rozmawiasz godzinami!

– Ciii – szepnęłam i podbiegłam do drzwi, skąd mogłam obserwować Ellie i jednocześnie rozmawiać. – Cześć, Sarah.

– Allison – zaczęła szorstkim, formalnym tonem, który zaskakiwał, gdyż zupełnie nie pasował do jej drobnej postury, eleganckiej krótkiej fryzury i piegowatego, małego, okrągłego nosa. – Dzwoniła weryfikatorka?

– Dzisiaj nie. – „The Wall Street Journal” odkrył właśnie, jak co pół roku, że kobiety działają w internecie. Przygotowywali artykuł na temat blogerek i mieli w nim wymienić KobiocySalon.com, stronę, którą Sarah prowadzi i gdzie publikuje moje teksty. Na przemian kręciło mi się w głowie na myśl o tym, jak medialny rozgłos zwiększy popularność Kobięcego Salonu, i mdliło mnie, gdy uświadomiłam sobie, że moje zdjęcie znajdzie się w gazecie.

– Właśnie przeczytała mi moje wypowiedzi – oznajmiła Sarah. – Brzmiały wspaniale! Mam bardzo dobre przeczucia dotyczące tego artykułu!

– Ja też – skłamałam. Optymistycznie podchodziłam do publikacji... Przynajmniej czasami.

– MAAA-MOOO.

Córka stała jakiś piętnaście centymetrów od mojej twarzy. Jej brązowe oczy były pełne łez, a dolna warga drżała.

– Muszę kończyć – powiedziałam do Sarah. – Jesteśmy u lekarza.

– O Boże! Wszystko w porządku?

– Jak zawsze! – odpowiedziałam, starając się nadać głosowi radosny ton, i zaraz potem wsunęłam telefon z powrotem do torebki. Sarah, formalnie moja szefowa, miała dwadzieścia siedem lat i żadnych dzieci. Wiedziała, że jestem mamą, a nawet dlatego mnie zatrudniła. Chciała przedstawiać czytelnikom relację na żywo z linii frontu życia rodziny z dzieckiem. Staralam się jednak być wzorową pracownicą, zawsze gotową omówić uwagi redakcyjne albo pomóc wymyślić nagłówki, nawet jeśli Ellie była ze mną. Jednocześnie robiłam wszystko, żeby pozostać wzorową matką, zapewnić Ellie poczucie, że stanowi centrum mojego wszechświata, a ja poświęcam jej całą swoją uwagę. Nawet wtedy kiedy rozmawiam przez telefon i rozważam, czy lepiej użyć słowa „nachalny” czy „stanowczy” albo które zdjęcie Hillary Clinton lepiej zilustruje artykuł o jej niepewnych planach na przyszłość. Wszystko to wymagało szczególnej ekwilibrystyki, szybkiego przełączania się pomiędzy zadaniami i ciągłego uśmiechu na twarzy.

– Przepraszam, kochanie. Czego byś chciała?

– Chce mi się PIĆ – oznajmiła Ellie tonem, którym staromodna aktorka broadwayowska mogłaby ogłosić swój rychły zgon.

Wskazałam automat z wodą do picia po drugiej stronie poczekalni.

- Spójrz, tam jest woda.
- Ale tam siedzą CHORE dzieci. – Po pulchnym policzku córki spłynęła łza.
- Ellie, nie rób dramatu. Po prostu pójdz tam i się napij. Nic ci nie będzie.
- Mogę zobaczyć, co masz w torebce? – próbowała mnie podejść.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, zanurzyła obie dłonie w mojej torbie i zrećźnie wyjęła butelkę wody o cytrynowym smaku.

– Ellie, to... – Zanim zdołałam wypowiedzieć słowo „mamy”, zdążyła już odkręcić nakrętkę i zaczęła łapczywie pić. Nasze spojrzenia się spotkały. Moje wyrażało ewidentne błaganie, a w jej widać było błysk szelmostwa i satysfakcji. Rozważyłam dostępne możliwości. Mogłabym ją ukarać, zabronić oglądania telewizji i SpongeBoba Kanciastoportego na dobranoc, a następnie przetrwać – i zmusić do tego wszystkie pozostałe osoby w poczekalni – jej nieunikniony napad hysterii. Mogłam zignorować to, co zrobiła, tym samym przekazując komunikat, że zachowując się źle, może dostać to, czego chce. Mogłam też wyprowadzić ją na zewnątrz i tam z nią porozmawiać, ale na pewno recepcjonistka zawołałaby nas do gabinetu w chwili, gdy byłybyśmy na korytarzu, co oznaczałoby nie tylko napad hysterii, ale też kolejne pół godziny oczekiwania na wizytę. – Porozmawiamy o tym w samochodzie. Rozumiesz? – Utrzymawałam stały kontakt wzrokowy zalecany w książce o wychowaniu dzieci, którą ostatnio przeczytałam, i mową ciała oraz tonem głosu zaznaczyłam, że to ja tu rządzę. Jednocześnie miałam nadzieję, że inne matki nie obserwują tej sceny z rozbawieniem. Ellie pociągnęła ostatni łyk cytrynowego napoju niskokalorycznego, a potem pozwoliła, by spłynął z powrotem do butelki, którą następnie mi wręczyła.

– Ellie! Nie wypluwaj!

Zachichotała.

– Proszę, mamusiu, możesz wypić resztę – rzuciła i w podskokach popędziła na drugi koniec korytarza z moim iPhone’em połyskującym w dłoni. Ostatnio uzależniła się od gry Królowa Stylu, która polega na zdobywaniu punktów na zakup akcesoriów i kosmetyków dla długowłosego rysunkowego awatara na wysokich obcasach. Im więcej dodatków się zdobyło – butów, kapeluszy, apaszek i zestawów do makijażu – tym wyższe poziomy gry można było osiągnąć. Na każdym poziomie, co wyjaśniła mi Ellie, wzdychając głęboko i przewracając oczami, można dostać nowego chłopaka.

– A co z pracą? – zapytałam. – Czy Królowa Stylu pracuje, żeby zarobić na te wszystkie kosmetyki i spódniczki?

Ellie zmarszczyła czoło, a potem uniosła kciuk i dwa palce.

– Może być aktorką, modelką albo piosenkarką.

Zanim zdążyłam zadać kolejne pytania albo spróbowałam wykorzystać zaistniałą sytuację jako moment edukacyjny, w którym mogłabym podkreślić wagę wykształcenia i ciężkiej pracy oraz przypomnieć córce, że wygląd wcale, ale to

wcale nie jest najważniejszy, Ellie znów gdzieś pobiegła, a ja zostałam, zastanawiając się, jak w ciągu zaledwie jednego pokolenia przeszliśmy od *Mistyki kobiecości* i *Free to Be... You and Me* do Królowej Stylu.

Czasopismo nadal leżało otwarte na kanapie obok mnie. Chwyciłam je i pochyliłam się, by uniknąć wścibskiego wzroku supermamy siedzącej dwa miejsca dalej. Tuliła swojego słodkiego noworodka w nieskazitelnie czystej, elastycznej chuście, nie miała na sobie ocieplanych legginsów z sieciówki, a jej brwi niedawno doświadczyły przyjemności regulacji.

Czy czasami zażywasz większą dawkę leku niż zalecana przez lekarza?

Tak. Nie zawsze, ale czasami. Brałam jedną tabletkę, a potem, dziesięć, piętnaście lub dwadzieścia minut później, jeśli nie czułam oczekiwanego odprężenia, powolnego rozluźnienia spiętych mięśni karku i ramion, połykałam kolejną.

Czy w ciągu ostatniego roku ponad dwa razy odurzyłaś się alkoholem albo lekami? (Odurzenie to stan, w którym nie jesteś w stanie funkcjonować bezpiecznie lub normalnie albo jeśli inni ludzie uważają, że nie jesteś w stanie funkcjonować bezpiecznie lub normalnie)

To podchwytliwe pytanie. Po zażyciu środków przeciwbólowych człowiek nie bełkocze ani nie traci koordynacji. Dziecko po powrocie do domu nie znajdzie nieprzytomnej mamy w kałuży wymiocin (własnych ani cudzych). Kilka tabletek vicodinu i mogłam normalnie funkcjonować. Najgorsze sytuacje, które mi się przytrafiły, to kilka epizodów, kiedy Dave oskarżył mnie o to, że nie kontaktuję.

– Wszystko w porządku? – pytał i patrzył na mnie, jakby widział mnie po raz pierwszy. Albo przepraszał, że tak nudno opowiada, że nie jestem w stanie przez pięć minut skupić uwagi i wysłuchać, jak minął mu dzień pracy, w której przypadła mu rola reportera gazety „Philadelphia Examiner” relacjonującego wydarzenia z ratusza. Pomijam to, że jego anegdoty zwykle były za długie, zbyt szczegółowe i wymagały głębokiego zainteresowania słuchacza zasadami funkcjonowania samorządu Filadelfii. Czasami wykazywałam owo zainteresowanie. A czasem potrzebowałam jedynie ciszy, spokoju i odcinka serialu o przeprowadzkach i wystroju wnętrz. Momenty znudzenia i braku zainteresowania zdarzały mi się jednak już przed dwoma laty, zanim zwiększyłam częstotliwość zażywania vicodinu i percocetu od okazjonalnej poprzez kilka razy w tygodniu do częściej tak niż nie. Przyczyną nie była jednorazowa katastrofa, która zmieniła mnie w regularną lekomankę, ale skumulowany stres dość owocnego, choć skrajnie pracowitego życia. Urodziła się Ellie, potem rzuciłam pracę, następnie przeprowadziliśmy się na przedmieścia, w wyniku czego zerwał mi się kontakt z sąsiadami i przyjaciółmi, a w końcu tata zapadł na ciężką chorobę. Nie jedna kwestia, ale dziesiątki piętrzących się spraw spowodowały, że tabletki stały się nie tyle towarem luksusowym, co artykułem pierwszej potrzeby, który pozwalał mi

przetrwąć dzień i zasnąć w nocy.

Zaznaczyłam odpowiedź „nie” w momencie, gdy Ellie skocznie przybiegła z powrotem.

– Mamo, czy już za chwilę nasza kolej? Czekamy GODZINAMI!

Sięgnęłam do torebki.

– Możesz pooglądać *Nędzników* – zaproponowałam.

W ułamku sekundy oddała mi telefon i wzięła z moich rąk iPada.

– Jakie to słodkie – zachwyciła się mama, która właśnie usiadła obok mnie na kanapie. – Ogląda musicale? Boże, moja dwójka nawet nie spojrzy na żaden film, jeśli nie jest animowany.

Rozkoszowałam się tą rzadką pochwałą. Zamiłowanie Ellie do musicali było jedną z rzeczy, które w niej uwielbiałam, ponieważ sama je kochałam. Kiedy była mała i prawie nie spała z powodu męczących kolek albo egzemy, jeździłam po okolicy moją małą niebieską hondą z córką przypiętą w foteliku i puszczałam jej *Facetów i laleczki*, *Rent*, *West Side Story* i *Urinetown*.

– UWETA! – krzyczała z tylnego siedzenia w wieku około dwóch lat. – Chcę UWETA!

Rozszyfrowanie, iż próbowała powiedzieć „uwertura”, zajęło mi dziesięć minut i od lat opowiadam tę historię. Ludzie pytali: „Czyż nie jest zabawna?”, „Czyż nie jest nad wiek rozwinięta?”, „Czyż nie jest słodka?” aż do momentu, gdy Ellie skończyła cztery lata, potem pięć i okazało się, że jest nie tylko zabawna, nad wiek rozwinięta i słodka, ale też coraz bardziej wybuchowa i humorzasta, jak diwa z zabójczym zespołem napięcia przedmiesiączkowego.

– Wrażliwa – stwierdził doktor McCarthy.

– Nadzwyczaj wrażliwa – tak określił ją doktor Singh, terapeuta, do którego zabraliśmy córkę, gdy nauczycielka w przedszkolu opowiedziała nam, że Ellie całą przerwę spędziła, siedząc w rogu placu zabaw, z palcami wetkniętymi w uszy, najwyraźniej cierpiąc z powodu krzyków i harmidru kolegów.

„Za głośno!” – protestowała i wzdrygała się, jak tylko zbliżyliśmy się do placu zabaw. „Zbyt brudno!” – jęczała, gdy próbowałam wywabić ją na dwór, żeby pograła w piłkę albo pobawiła się w chowanego, lub wręczałam jej farby do malowania palcami i czyste kartki. Filmy były „zbyt hałaśliwe”, słońce „zbyt jasne”. Odrzucała inne potrawy niż jabłka, ser w postaci sznureczków albo zwykły biały chleb opieczony w tosterze, posmarowany masłem i pozbawiony skórki, gdyż „smakowały groźnie”, po użyciu kleju i brokatu natomiast miała „swędzące palce”. Dla Eloizy Larson Weiss świat był bolesnym, przerażającym, lepkiem miejscem, w którym dźwięk zawsze podkrecony był do maksimum. Przeczytaliśmy z Dave’em wszystkie książki, od *Niezmiernie wrażliwego dziecka* po *Jak wychować energiczne dziecko*. Nauczyliśmy się, jak unikać nadmiernej stymulacji, jak pomóc Ellie na etapach przejściowych, jak rozmawiać z nauczycielami o tym,

by ułatwili jej funkcjonowanie w przedszkolu. Zrobiliśmy co w naszej mocy, by zmienić swój sposób myślenia i zrozumieć to, że Ellie cierpi, a nie umyślnie sprawia kłopoty, ale to było trudne. Zamiast pamiętać, że mózg Ellie pracuje inaczej niż u większości dzieci, że płacze i wpada w szal, ponieważ doświadcza dyskomfortu, niepokoju lub stresu, czasami przyłapywałam się na tym, że postrzegam ją jako rozwydrzoną albo usiłującą za wszelką cenę sprawiać kłopoty.

Kobieta siedząca obok spojrzała na swojego syna w wieku około ośmiu lat i pokiwała głową. Miał na czole plaster i pochylony nad przenośną konsolą do gier wideo wydawał z siebie głośne, dudniące odgłosy.

– Miło by było mieć dziewczynkę. Muszę przekupywać Bradena, by wszedł do wanny.

– Och, nie tylko chłopcy tak mają. Ellie nawet nie podejździe do wanny, jeśli nie ma w niej kulek do kąpieli, a jedna kosztuje osiem dolarów.

Kobieta wydeła wargi, a ja poczułam, że twarz mi płonie. Dla dorosłego kule do kąpieli za osiem dolarów były luksusem, więc dla pięciolatki – nedorzecznym wydatkiem, zwłaszcza że rata naszego kredytu na dom w Haverford była o wiele wyższa niż w Filadelfii, a w zeszłym roku zamiast podwyżki Dave i reszta pracowników gazety dostali przymusowy, bezpłatny dwutygodniowy urlop. Gdy rok wcześniej wypełnialiśmy zeznania podatkowe, oboje zauważyliśmy z zaskoczeniem, a Dave ze wstydem, że pisząc bloga, zarabiam więcej niż on jako dziennikarz. Oczywiście nie planowaliśmy tego. To Dave miał odnosić sukcesy, i do niedawna tak właśnie było.

Trzy lata wcześniej napisał serię tekstów na temat miejskiego ubóstwa: o dzieciach, które jedyny pełny posiłek zjadały w szkole, o rodzicach, którym bardziej opłacało się siedzieć w domu na zasiłku niż szukać zatrudnienia, o zawałonej pracą opiece społecznej oraz bohaterskich nauczycielach i wolontariuszach starających się poprawić los tych dzieciaków. Seria zdobyła parę nagród i zwróciła uwagę kilku agentów literackich, z których jeden załatwił Dave'owi współpracę z wydawnictwem i okazałą zaliczkę. Mój mąż wziął większą część kwoty, którą otrzymał przy podpisaniu umowy, i pojechał do Haverford, miasteczka, w którym zakochał się, kiedy pewnego razu krytyk kulinarny z jego redakcji zabrał go tam na kolację. Haverford było uroczne, pełne drzew i przystrzyżonych trawników. Szkoły prezentowały świetny poziom, połączenie komunikacyjne z Filadelfią było rozsądne i wszystko pasowało do wyobrażeń mojego męża na temat tego, jak kiedyś będzie wyglądało nasze życie.

Niestety, Dave nie omówił tej wizji ze mną do momentu, gdy pewnego szalonego popołudnia zatrudnił agenta nieruchomości, znalazł dom i złożył ofertę kupna. Dopiero wtedy zaprowadził mnie do samochodu i zawiózł drogą obok lotniska, zjazdem z autostrady do centrum miasteczka. Słońce zachodziło, pozłacając drzewa i dachy, a świeże jesienne powietrze wypełniały krzyki dzieci

grających w berka. Kiedy zatrzymał się przed domem w stylu kolonialnym z wetkniętą w trawnik tabliczką „Na sprzedaż”, usłyszałam głosy bawiących się maluchów i poczułam zapach steków smażonych na grillu.

– Spodoba ci się – powiedział Dave i pośpiesznie przeprowadził mnie przez kuchnię (błyszczące utensylia ze stali nierdzewnej, granitowe blaty i kafelki na podłodze), przedsionek i toaletę, a następnie poszliśmy na górę, do głównej sypialni. Tam całowaliśmy się w nieskończoność, aż agent chrząknął dwa razy, zapukał i oznajmił, że musimy podjąć decyzję w ciągu godziny.

– Tak? – zapytał David. Oczy mu błyszczały, a cała twarz promieniała. Nigdy wcześniej nie widziałam, by wyglądał tak młodzieńczo, tak radośnie. Postąpiłabym bezdusznie, gdybym powiedziała mu cokolwiek innego niż to, co pragnął usłyszeć.

– Tak.

Nie przemyślałam odpowiedzi. Nie było na to czasu. Nie zdawałam sobie sprawy, że decyduję się nie tylko na nowy dom i nowe miasto, ale też na całkowicie nowe życie, w którym, zachęcona przez męża, miałam zostać w domu z dzieckiem, zamiast codziennie rano jechać razem z nim pociągiem do pracy w Filadelfii. Dave chciał, żebym zrobiła to co jego matka, która z radością porzuciła karierę prawniczki, kiedy na świat przyszedł pierwszy z trzech synów, i zamieniła przeglądanie akt i spisywanie zeznań na podwożenie dzieci do szkoły i wypełnianie rodzicielskich obowiązków. Chciał, żebym była tradycyjną mamą, która siedzi w domu, robi zakupy, gotuje, pierze i odbiera doręczane do domu paczki, i ogólnie rzecz biorąc, nie tylko umożliwi mu życie, lecz także je ułatwia. Problem polegał na tym, że nigdy nie powiedział mi, czego pragnie, dlatego nie miałam szansy zastanowić się, czy chcę tego samego.

Być może ten plan by wypalił, gdyby świat nie uznał, że gazety nie przynoszą mu zbyt wielu korzyści, albo gdyby hobbystyczne pisanie bloga nie stało się moją pracą, co wywróciło nasze ustalenia do góry nogami. W rezultacie zostałam główną żywicielką rodziny, a pensja Dave’a szła na dodatkowe wydatki, jak chesne za prywatną szkołę, wakacje i obozy letnie. Może życie płynęłoby nam bardziej gładko, gdyby dom nie okazał się zbyt wielki, zniechęcający i gdyby nie niósł ze sobą, przynajmniej w moim odczuciu, zapowiedzi nieszczęścia.

– Sprzedający są bardzo zmotywowani – powiedział nam agent. Szybko przekonaliśmy się dlaczego: mąż, doradca polityczny, został aresztowany za zdefraudowanie funduszy przeznaczonych na finansowanie kampanii wyborczej, które przepuścił na hazard i, jak dowiedzieli się czytelnicy „Examinera”, na kochankę.

Oboje z Dave’em dorastaliśmy w dość dużych domach na przedmieściach, ale rezydencja w Haverford miała niezliczoną ilość pomieszczeń, niektóre bez wyraźnego przeznaczenia. Znajdowała się tam kuchnia, a obok niej kolejna,

mniejsza, ze zlewem i granitową wyspą, którą pośrednik nieruchomości określił mianem pokoju kredensowego kamerdynera.

– Nie mamy kamerdynera – przypomniałam Dave’owi. – A nawet gdybyśmy mieli, nie dałabym mu własnej kuchni! – Główna kuchnia była wystarczająco przestronna, by móc jeść w niej posiłki. Przylegała do niej jadalnia, były również salon, gabinet i biblioteka z półkami na książki sięgającymi od podłogi do sufitu. Na górze było pięć pokoi i pięć w pełni wyposażonych łazienek. Znajdowały się tam główna sypialnia oraz pomieszczenie zwane „apartamentem księżniczki”, z własną garderobą. W częściowo wykończonej piwnicy było miejsce na domową siłownię, a z osłoniętego ganku z tyłu domu rozpościerał się widok na łagodnie opadające zbocze pokryte trawnikiem. – Stać nas na to? – zapytałam.

Okazało się, że tak, biorąc pod uwagę zaliczkę Dave’a i desperację małwersanta. Byliśmy w stanie kupić dom, ale nie zapełnić go. Wszystkie nasze meble, w tym składany stolik do gier karcianych, którego używałam jako biurka, i futon Dave’a pamiętający jeszcze czasy mieszkania w akademiku, z trudem zapełniły jedną czwartą powierzchni i kiepsko się prezentowały. Stół, który pasował idealnie do naszego domu szeregowego w Filadelfii, wyglądał jak miniaturka w przestronnej, wysokiej jadalni rezydencji w Haverford. Mała kanapa, na której tuliliśmy się, mieszkając w centrum, na przedmieściach przypominała sofę z domku dla lalek. Nasze małżeńskie łóżko postawione w głównej sypialni wyglądało jak grzanka pływająca w gigantycznej misce zupy, a wszystkie ubrania zebrane razem zapełniły zaledwie jedną trzecią powierzchni na półkach i wieszakach w obszernej garderobie.

Przytłoczona, bez pracy, z dzieckiem wymagającym nieustannej opieki przemierzałam pokoje i spisywałam rzeczy, których potrzebowaliśmy. Kupowałam stopy czasopism, wycinałam zdjęcia albo przeglądałam strony internetowe i zapełniałam tablice korkowe obrazami sof, które mi się podobały, stołów do jadalni, które moim zdaniem mogły pasować, pięknych tapet i cudownych dywanów. Chodziłam do sklepów z farbami i wracałam z próbkami kolorów, ściągałam programy komputerowe, dzięki którym mogłam dowolnie ustawiać meble w wirtualnych pokojach. Kiedy jednak nadszedł czas zakupów – stół do jadalni był niezbędny, podobnie jak łóżka do pustych pokoi gościnnych i ręczniki, którymi można byłoby zapełnić półki w łazienkach – kompletnie się blokowałam. Nigdy nie uważałam się za osobę niezdecydowaną ani nie obawiałam się zobowiązań, ale myśl o tym, że w łóżku, które kupię, będę spała do końca życia, sprawiała, że odkładałam telefon albo zamykałam laptop, zanim zdołałam wstukać pierwsze cyfry numeru karty kredytowej.

Cztery miesiące po otrzymaniu przez Dave’a zaliczki ukazała się inna książka oparta na serii artykułów, które zostały opublikowane w jednej z nowojorskich gazet, o bezdomnej dziewczynce i konstelacji dorosłych –

rodziców, nauczycieli, pracowników socjalnych, polityków – którzy wpłynęli na jej życie. Teksty zebrały w internecie ponad milion kliknięć, jednak przez pierwszy miesiąc sprzedaży książką zainteresowało się zaledwie tysiąc czytelników. Wydawca Dave'a zaczął się denerwować. Skoro książka o biednych ludziach w Nowym Jorku się nie sprzedała, jakie szanse miała pozycja o biednych dzieciach w Filadelfii? Za obopólną zgodą zerwali kontrakt. Dave nie musiał zwracać pieniędzy, które otrzymał przy podpisaniu umowy, ale jednocześnie musiał pożegnać się z dalszymi przychodami w roli pisarza. Jego agent próbował znaleźć innego wydawcę, który przejąłby projekt, ale bezskutecznie. Ubóstwo zwyczajnie nie było seksowne, zwłaszcza wtedy, gdy tak wielu czytelników zmagало się z własnymi problemami finansowymi i z trudem utrzymywało posady.

Agent zachęcał Dave'a, by wykorzystał siłę rozpędu i wymyślił inny temat.

– Wszyscy kochają twój głos! – powiedział.

Do tej pory jednak mój mąż trzymał się przekonania, że uda mu się zarobić na tekstach, które już napisał, zamiast zaczynać od nowa. Został więc w redakcji gazety i kiedy Sarah zaproponowała opublikowanie mojego bloga na jej stronie internetowej, zgoda wydawała się oczywistą decyzją. Gdy zaczęłam pracę, nie miałam już czasu na zabawę z meblami. Wystarczającym wyzwaniem było znalezienie rano czystych ubrań i wymyślenie wieczorem czegoś na kolację dla nas wszystkich. Dom stał więc nieumeblowany, niewykończony, ze ścian wystawały kable, ponieważ nie wybrałam oświetlenia, a trzy pokoje pomalowane na skromny beż świeciły pustkami. Ze względu na brak komód i szaf trzymaliśmy ubrania w koszach na bieliznę i plastikowych pojemnikach, a w salonie, oprócz kanapy i małej sofy, stały składane krzesła turystyczne – tymczasowe rozwiązanie, które przetrwało już ponad dwa lata, mniej więcej tak długo, jak zły humor Dave'a.

Pamiętam, jak dąsał się, gdy redakcja „Examinera” zarządziła, by przy nagłówku każdego artykułu pojawiającego się w sieci zamieszczać przycisk, dzięki któremu czytelnicy będą mogli polubić dziennikarza na Facebooku.

– To nie jest prośba, by polubili zamieszczane historie – narzekał. – To prośba, by polubili mnie. – Nawet się nie uśmiechnął, kiedy powiedziałam: „Ja cię lubię”, objęłam go i zsunęłam dłoń z ramienia w dół jego pleców, potem chwyciłam go za pośladek i pocałowałam w policzek. Ellie była pochłonięta oglądaniem kreskówki, a kurczak potrzebował jeszcze trzydziestu minut w piekarniku.

– Chcesz wziąć prysznic? – szepnęłam.

Dwa lata wcześniej zdjąłby ze mnie ubranie i puścił wodę w ciągu zaledwie minuty, jednak tego wieczoru westchnął tylko i zapytał:

– Zdasz sobie sprawę, jakie to poniżające być traktowanym jak produkt?

Nie chodziło o to, że nie potrafiłam mu współczuć. Zanim urodziła się Ellie, sama pracowałam w redakcji „Examinera” jako projektantka stron internetowych.

Wierzyłam w misję gazety, jej ważną rolę jako organu nadzorującego i pociągającego do odpowiedzialności trzymających władzę, pocieszającego udręczonych i dręczącego wygodnickich. Ale to nie moja wina, że prasa drukowana generalnie, a „Examiner” w szczególności, kiepsko sobie radzi. To nie ja zmieniłam świat i sprawiłam, że wszystko jest dostępne w sieci natychmiast albo jeszcze szybciej i nawet nasi dziadkowie przestali traktować poranne gazety jako podstawowe źródło informacji. To nie moja sprawa, że hasło „Im bardziej krwawo, tym lepiej” stało się niemal uroczem. Dzisiaj na stronie głównej „Examinera” można oglądać zdjęcia z „imprezki dla gorących singli” organizowanej przez zdesperowanych redaktorów albo z Masy Krytycznej Nagiej Dziewiątki, podczas której uczestnicy przejechali nago na rowerach szesnaście kilometrów (reportaż z tej imprezy, opatrzony artystycznie rozmytymi zdjęciami, stał się najczęściej czytany tekstem roku, z łatwością przebijając zarówno reportaże z wyborów, jak i historię skorumpowanego radnego, aresztowanego za oszustwa podatkowe po sześciogodzinnym impasie, który dobiegł końca, gdy mężczyzna wspiął się na szczyt ratusza i zagroził, że skoczy, jeśli nie dostanie samolotu, miliona dolarów w nieoznakowanych banknotach i dwudziestu sycylijskich rurek z kremem z kawiarni Potito’s).

– Przycisk „Lubię to!” to nie koniec świata – powiedziałam, gdy stało się jasne, że w najbliższej przyszłości nie mam szans na romantyczny prysznic. Potem wróciłam do swojego iPada, a Dave do oglądania meczu, ale gdy zerknęłam na niego, patrzył na mnie wilkiem, jakbym właśnie czymś w niego cisnęła. – Co? – zapytałam zaskoczona.

– Nic – odparł. Potem gwałtownie wstał z kanapy, poruszał ramionami, strzepnął ręce i głośno strzelił kilkoma stawami dłoni, jakby szykował się do wyjścia na ring. – Zupełnie nic.

Próbowałam porozmawiać z nim o tym, co się dzieje. Miałam nadzieję, że zda sobie sprawę, że skoro to on wpakował nas w tę kabałę, a przynajmniej w ten wielki dom, wielkie życie, kontakty z nadętymi rodzicami z prywatnej szkoły oraz szokująco wysokie podatki od nieruchomości, to miał obowiązek pomóc mi wymyślić sposób, by sobie z tym wszystkim poradzić. Tydzień po kłótni pod hasłem „Lubię to!”, przy śniadaniu, gdy Ellie guzdrała się nad zlewem, setny raz myjąc ręce, by usunąć każdy, choćby najmniejszy ślad syropu, po cichu zaproponowałam terapię małżeńską, wspominając, że wielu moich znajomych z niej korzysta (co było kłamstwem, ale znałam przynajmniej jedną parę, która uczęszczała na sesje). Dodałam, że skumulowany stres wynikający z przeprowadzki do nowego miasta, wychowywania wrażliwego dziecka i sytuacji, w której żona niegdyś pracująca dwadzieścia godzin tygodniowo zaczyna pracować w założeniu czterdzieści, a w praktyce sześćdziesiąt godzin, każdą parę doprowadziłby na skraj załamania.

Dave wyduł usta.

– Myślisz, że oszalałem?

– Oczywiście, że nie – szepnęłam w odpowiedzi. – Ostatni okres był szalony dla nas obojga i myślę po prostu...

Odszedł od stołu i stał przez chwilę w tych swoich niebieskich nylonowych spodenkach i koszulce z biegu na dziesięć kilometrów, w którym uczestniczył poprzedniej jesieni. Dave był wysoki, miał szerokie ramiona i wąskie biodra, gęste czarne włosy, głęboko osadzone brązowe oczy i zakola nad czołem, które ukrywał pod bejsbolówką, kiedy tylko mógł. Gdy zaczęliśmy się spotykać, chodziliśmy, trzymając się za ręce, a ja próbowałam uchwycić nasze odbicia w witrynach albo szybach na przystankach, świadoma tego, jak dobrze razem wyglądamy. Dave był cichy, zamyślony. Miał w sobie taki rodzaj spokoju, który sprawiał, że chciałam jedynie usłyszeć, jak się śmieje, i głupkowate poczucie humoru, którego nie zdradzał jego wygląd. Cicha woda brzegi rwie, myślałam. Później jednak dowiedziałam się, że spokój nie zawsze oznacza porywającą głębię. Jeśli przeszkodziło się mojemu mężowi podczas jednego z cichych momentów, zapytało go, o czym myśli, i w końcu uzyskało odpowiedź, czasami okazywało się, że zastanawia się nad niedawnym skandalem w ratuszu lub próbuje wykombinować, jak potwierdzić pogłoski, że jeden z asystentów kongresmena podrobił podpis swojego szefa. Innym razem natomiast typował pięciu najlepszych graczy swojej ulubionej drużyny koszykarskiej.

Nadal jednak chciałam być tylko z Dave'em. Znał mnie lepiej niż ktokolwiek inny. Wiedział, jakie są moje ulubione filmy i dania, że można mi natychmiast poprawić humor brownie z cukierni Le Bus albo powtórką serialu *Bez twarzy*. Namawiał mnie do biegania, wiedząc, jak dobrze będę się czuła po treningu, a czasami w niedzielne poranki zabierał Ellie na pączki, żebym mogła pospać do dziesiątej.

Potrafił być uprzejmy, kochający i słodki. Tego ranka, gdy zaproponowałam terapię, nie okazał ani jednej z owych cech. Bez słowa pożegnania wymaszerował do piwnicy, a minutę później dobiegł mnie dźwięk uruchamianej bieżni. Dave przygotowywał się do swojego pierwszego maratonu, do czego sama go zachęcałam, zanim uświadomiłam sobie, że z powodu długich weekendowych treningów nie będę go widywała przez cztery do pięciu godzin i tym samym będę doświadczała wątpliwej przyjemności samotnej opieki nad Ellie w soboty i niedziele. Bieżnia w piwnicy warczała w najlepsze, a ja wstałam z westchnieniem i poczułam, jak ciężar minionego dnia osiada mi na barkach.

– Ellie – zaczęłam.

Córka stała przy zlewie i z rozmarzeniem wcierała mydło w płynie w dłoń.

– Musisz umyć talerzyk i szklankę.

– Ale są za CIEŻKIE! A talerz jest cały LEPKI! I może SPAŚĆ! – narzekała,

nadal ubrana w koszulkę nocną z syrenką Ariel, szurając bosymi stopami po wyłożonej terakotą podłodze, aż w końcu na nią huknęłam:

– Ellie, daj mi po prostu ten talerz i przestań robić przedstawienie!

Oczywiście się rozpląkała i pobiegła na górę do swojego pokoju, zostawiając ślady piany na poręczy. Załadowałam zmywarkę, wytarłam blaty i zamiotłam podłogę w kuchni. Wstawiłam mleko, sok i masło do lodówki, a mąkę i cukier do spiżarni. Następnie, zanim poszłam przeprosić Ellie i powiedzieć jej, że obie powinnyśmy postarać się używać naszych wewnętrznych, spokojniejszych głosów, wzięłam tabletkę vicodinu, drugą tego poranka.

Perspektywa dnia rozciągała się przede mną w nieskończoność: płaczliwa córka, rozzłoszczony mąż, sterty prania, bałagan w sypialni, tekst na bloga do napisania i prawdopodobnie dziesiątki gniewnych czytelników czekających w kolejce, by w komentarzach poinformować mnie, że jestem pozbawionym talentu pismakiem i grubą, głupią dziwką. Potrzebuję tego, pomyślałam, pozwalając goryczy rozpuścić się na języku. Pamiętam, że wtedy nawet jeszcze nie wybiła dziewiąta rano.

Czy kiedykolwiek czułaś, że powinnaś ograniczyć spożycie alkoholu albo zażywanie leków?

Nagle zrobiło mi się niedobrze. Podniosłam głowę i ponownie rozejrzałam się po poczekalni, by sprawdzić, czy nikt nie zauważył, że rozwiązuję ten test. Czy myślałam o tym, by brać mniej? Jasne. Czasami. Coraz częściej dręczyło mnie poczucie, że sprawy zaczynają wymykać mi się spod kontroli. Potem myślałam: bez przesady. Wszystkie leki, które zażywałam, kupowałam na receptę (a to, że lekarz A nie wiedział, co przepisuje mi lekarz B, chyba nie było wielkim problemem; gdyby tak było, musiałyby istnieć jakiś system kontroli tego, co wydają apteki, prawda?). Tabletki pozwalały mi poradzić sobie ze wszystkim, z czym musiałam sobie radzić.

Czy inne osoby krytkowały twoje picie lub zażywanie leków albo czuły się tym zirytowane?

Szybko i stanowczo zaznaczyłam odpowiedź „nie”, starając się nie myśleć o tym, że brak krytyki ze strony osób trzecich wynikał z ich niewiedzy na temat tego, co robię. Dave wiedział, że otrzymałam receptę na vicodin. Był w domu tego wieczoru, kiedy wróciłam z siłowni, kuśtykając, ale nie miał pojęcia, ile razy ponownie prosiłam o przepisanie leku, zapewniwszy lekarza, że sumiennie wykonuję ćwiczenia zalecone przez fizjoterapeutę (czego oczywiście nie robiłam), ale nadal potrzebuję środka do uśmierzania bólu. Dave nie zdawał sobie sprawy, jak łatwo było tego dokonać kobiecie posiadającej ubezpieczenie zdrowotne i wykształcenie, która mówiła, ubierała się i prezentowała w konkretny sposób. Odrobina dobrych manier i znajomość gramatyki w połączeniu z wynikami rezonansu magnetycznego, który wykazał przepuklinę jądra miazdżystego dysku

lub zaklinowane zęby mądrości, sprawiały, że mogłam dostać receptę praktycznie na dowolny środek, jakiego chciałam. A potem kolejną i kolejną. Bólu nie da się zobaczyć ani zmierzyć, a ja wiedziałam, jakich słów i gestów używać, jak siedzieć i stać, by sprawiać wrażenie, że przy każdym oddechu cierpię katusze. To była moja mała tajemnica i zamierzałam zachować ją dla siebie.

– Eloiza Weiss?

Podniosłam wzrok. Stojąca w drzwiach pielęgniarka trzymała w dłoniach kartę Ellie. Zaskoczona niemal zerwałam się na równe nogi i poczułam ostrzegawcze ukłucie w kręgosłupie, przypominające mi, w jaki sposób doprowadziłam się do tego stanu. Chciałam wziąć tabletkę. Zażyłam tylko jedną rano, sześć godzin wcześniej, i potrzebowałam czegoś, jakiejś tamy przeciwko rosnącej obawie, że moje małżeństwo się wali, że nie jestem dobrym rodzicem i nie znajdę czasu, by do szóstej po południu skończyć wpis na bloga. Chciałam poczuć się dobrze, skupiona, spokojna, szczęśliwa i być w stanie docenić to, co mam – słoneczną kuchnię z orchideami rosnącymi na parapecie, pokój Ellie, do którego wreszcie znalazłam idealny różowy żyrandol. Pragnęłam wśliznąć się do swojej leczniczej bańki, gdzie byłam bezpieczna, szczęśliwa i gdzie nic nie mogło mnie zranić. Jak tylko to się skończy, pomyślałam i wyobraziłam sobie, że po wizycie siedzę za kółkiem i połykam białą owalną tabletkę, podczas gdy Ellie majstruje przy pasie bezpieczeństwa. Z tym obrazem wrytym mocno w głowie wyciągnęłam rękę po dłoń córki.

– Żadnych zastrzyków – powiedziała, a jej dolna warga już zaczynała drżeć.

– Raczej nie.

– Żadnych ZASTRZYKÓW! POWIEDZIAŁAŚ! OBIECAŁAŚ!

Pełne osądów głowy odwróciły się w naszą stronę, a matki zapewne myślały: „Dobrze, że moje dziecko tak się nie zachowuje”. Ellie skrzyżowała ręce na piersi i stała. Dziewiętnaście kilogramów furii odziane w kwiecistą sukienkę od Hanny Andersson, dopasowane do niej skarpetki i sweterek, a do tego zapinane na suwak cętkowane tenisówki za kostkę. Jej gęste brązowe włosy zaplotłam w warkoczyki i związałam fioletowymi gumkami, a na czole miała elastyczną opaskę w kwiatki zawiązaną w stylu hipisowskim.

Pielęgniarka posłała mi uśmiech pełen jednocześnie współczucia i zmęczenia, kiedy na wpół prowadziłam, na wpół wlokłam córkę w stronę wagi i ciśnieniomierza. Podczas ważenia i mierzenia Eloiza jęczała, zapierała się i krzywiła. Później pielęgniarka sprawdziła jej ciśnienie i temperaturę i zostawiła nas obie w gabinecie.

– Załóż to – powiedziała sanitariuszka i podała Ellie bawełnianą koszulkę szpitalną. Córka chwyciła ją między dwa palce.

– Będzie ŚWĘDZIAŁ! – stwierdziła i zaczęła płakać.

– No, dalej – zachęcałam, biorąc do ręki strój o szorstkiej fakturze

i z drapiącymi metkami. – Założę się, że będzie w porządku, jeśli zdejmiesz tylko sukienkę.

Nadal pociągając nosem, Ellie pochyliła się zgrabnie. Odziedziczyła łatwość poruszania się po ojcu, który biegał, jeździł na łyżwach i, w odróżnieniu ode mnie, nie zamieszkiwał świata, w którym meble zdawały się przemieszczać specjalnie po to, bym mogła się o nie potknąć lub na nie wpaść. Patrzyłam, jak rozpiną po kolei suwaki przy tenisówkach, wyciąga stopę z prawego buta, zdejmując różową skarpetkę i kładzie ją ostrożnie na bucie. Potem lewy but. I lewa skarpetka. Usiadłam na plastikowym krześle, kiedy Ellie przeszła do sweterka. Nigdy nie znęcałam się nad nią, gdy byłam pod wpływem leków. Nigdy nie krzyczałam (na pewno nie tak, by ją przestraszyć), nie byłam szorstka ani nie powiedziałam jej, że ma jeszcze w tym stuleciu założyć cholerne ubranie, ponieważ nie możemy znowu spóźnić się do szkoły, gdyż nie dam rady wysłuchać kolejnego wykładu na temat mojej odpowiedzialności wobec Stonefield: Wspólnoty Nauki (podejrzewam, że nazwanie placówki zwyczajnie „szkołą” nie usprawiedliwiłoby szokująco wysokiego czesnego). Było wręcz odwrotnie. Tabletki mnie uspokajały i dawały poczucie równowagi. Gdy je łykałam, czułam, że mogę wszystko, czy chodziło o napisanie tekstu na bloga o rosnących kosztach leczenia niepłodności, czy o zaprowadzenie córki do szkoły na czas.

– Ma-MUUUSIU!

Spojrzałam na Ellie. Chwała Bogu, rozebrała się całkiem, aż do majtek z disnejowską księżniczką. Rozpostarłam przed nią koszulkę. Skrzywiła się.

– Tylko spróbuj – zaproponowałam. Wreszcie, z miną światowej sławy modelki zmuszanej do założenia poliestru, wsunęła ręce w rękawy i pozwoliła mi zawiązać troczki na plecach, podczas gdy ona trzymała tkaninę między palcami i ostentacyjnie odsuwała ją od ciała, by nie dotykała jej skóry. Wyciągnęła mojego iPada i odpaliła *Nędzników*. Wróciłam do testu.

Czy kiedykolwiek zażywałaś więcej leków lub spożywałaś więcej alkoholu niż ilość, na którą było cię stać?

Prawie nigdy. Lekarze wystawiali mi recepty. Musiałam pokryć część kosztów, co wynosiło piętnaście dolarów za buteleczkę. Co prawda nie wystarczyły one na tak długo jak powinny i spędzałam coraz więcej czasu na zastanawianiu się, ile tabletek mi zostało, do którego lekarza nie dzwoniłam od dłuższego czasu i czy aptekarz nie patrzy na mnie dziwnie, kiedy trzy razy w tygodniu kupuję vicodin.

Czy kiedykolwiek planowałaś nie zażyć danego dnia leku lub nie wypić alkoholu, a zrobiłaś to mimo wszystko?

Tak, myślałam o tym, by przestać. Kilka razy próbowałam i udawało mi się przez parę dni, ale przez kilka ostatnich pod hasłem „nie dzisiaj” czułam się tak, jakby mój mózg odłączył się od ciała na jakimś kluczowym złączu. Zdarzało mi się stać w garderobie w koszulce lub stroju sportowym, który włożyłam z nadzieją, że

zachęci mnie do ćwiczeń, myśleć: nie i patrzeć z zewnątrz na własne ciało, na dłonie otwierające pojemniczki i palce wyjmujące tabletkę.

Czy kiedykolwiek planowałaś przestać, ale nie byłaś w stanie?

– Mamusiu? – Ellie siedziała na kozetce ze skrzyżowanymi nogami i koszulką rozłożoną gładko na kolanach. – Czy jesteś zła? – zapytała, a jej dolna warga znów zaczęła drżeć. Wyglądała na bliską płaczu. Często jednak wyglądała tak, jakby miała się rozplakać. Kiedy była malutka, trzask zamykanych drzwi do samochodu albo dzwonek telefonu potrafiły wyrwać ją z drzemki i spowodować prawdziwy atak hysterii. Kiedy woziłam ją w wózku, wzdrygała się na dźwięk odgłosów ulicy, dźwięku telefonu lub klaksonu. Nawet nieoczekiwany szelest gałęzi nad głową mógł ją zaniepokoić.

– Nie, kochanie. Dlaczego tak myślisz?

– Masz pogniecioną twarz.

Zmusiłam się do uśmiechu. Wyciągnęłam ręce i po chwili wahania Ellie zeskoczyła z kozetki i usiadła mi na kolanach, przylegając tułowiem do mojego ciała. Wdychałam jej zapach, zapach małej dziewczynki, mieszankę woni waty cukrowej, razowych krakersów i książek z biblioteki. Przytuliłam policzek do jej miękkich włosów i pomyślałam, że pomimo tego, iż miała delikatną psychikę i wrażliwe ciało, Ellie była też bystra, zabawna i niezaprzeczalnie urocza, i że zrobię wszystko co w mojej mocy, by zwiększyć jej szanse na szczęście. Nie będę taka jak moja matka, rozrywkowa dziewczyna, która około 1978 roku nadal nie zorientowała się, że impreza dobiegła końca; kobieta z natapirowanymi włosami, kocim okiem podkreślonym czarnym eye-linerem i gładkimi usteczkami pociągniętymi błyszczkiem, spryskana perfumami od Giorgio, która w wieku dwudziestu sześciu lat nakładała sobie trzy warstwy szybko schnącego lakieru i była tak zajęta grą w tenisa, koleżankami i kumpelkami od gry w madżonga oraz mężem i jego zdrowiem, że miała niewiele czasu dla swojego jedyne dziecko, które zresztą niezbyt ją ciekawiło. Wiedziałam, że mnie kochała, przynajmniej tak mówiła, ale kiedy siedziałam przy obiedzie albo bawiłam się na podjeździe, uderzając piłką tenisową o ścianę garażu, przerywała na chwilę piłowanie paznokci lub lekturę magazynu „People”, podnosiła wzrok i patrzyła na mnie tak, jakbym była hotelowym gościem, który powinien wymeldować się kilka tygodni wcześniej, ale z niewyjaśnionych powodów nadal przebywał w pokoju.

Zanim skończyłam osiem lat, rodzice zapytali mnie, co chciałabym dostać na urodziny. Myślałam o tym od dawna i wiedziałam dokładnie, co odpowiedzieć. Chciałam, by moja matka, która zwykle spała, gdy wychodziłam do szkoły, zabrała mnie na śniadanie do Peterman's, miejscowego bistro usytuowanego pośrodku ronda, na skrzyżowaniu dwóch ruchliwych ulic w Cherry Hill. Wszyscy tam chodzili. To właśnie tam dzieciaki po szkole kupowały lody w rożkach, tam rodziny przychodziły na obiad i zamawiały burgera z grilla dla taty, suszonego

tuńczyka na liściach sałaty lodowej dla mamy i porcję udek z kurczaka, krążków cebulowych i frytek z dwoma sosami dla dzieci. Jedna z moich koleżanek z klasy, Kelly Goldring, co środę jadła tam z mamą śniadanie.

– Mama nazywa te spotkania „babskim dniem” – opowiadała Kelly na zbiórce harcerskiej i wymownie przewracała oczami, by pokazać, jak głupie wydawały się jej te cotygodniowe wyjścia, ale ton jej głosu i wyraz twarzy, gdy mówiła o zjedaniu na spółkę zestawu „Głodna Dama”, tak obfitego, że zostawały z niego frytki, które Kelly zabierała na lunch, zdradzały, iż owe poranki były właśnie takie, jak zaplanowała pani Goldring – szczególnie. Wyobrażałam sobie Kelly z mamą siedzące przy jednym ze stolików dla dwóch osób. Pani Goldring miała na sobie sukienkę i buty na obcasie, a pod szyją zawiązaną jedwabną apaszkę, a Kelly, która zwykle nosiła dżinsy i koszulki z krótkim rękawem, założyła spódnicę odsłaniającą jej pokryte strupami kolana. Miałam przed oczami kelnerkę, która staje obok nich z wypiętym biodrem i notatnikiem w dłoni i pyta:

– Co wam podać, dziewczyny?

Podczas mojej wyprawy do bistro mama zamówiłaby sałatkę owocową, a ja jajka na bekonie. Jajecznicą byłaby puszysta, bekon chrupiący, a mama nad owocami i mocną kawą pytałaby mnie o nauczycielki, lekcje, zastęp harcerski i rzeczywiście słuchałaby moich odpowiedzi.

Tego właśnie pragnęłam. Nie roweru ani komputera Atari, nie nowych kaset Stinga lub Genesis ani książek o Trixie Belden. Chciałam pójść na śniadanie z mamą. Tylko my dwie przy stoliku, sam na sam przez czterdzieści pięć minut – tyle zajęłoby nam zjedzenie specjalnego zestawu.

Powinnam podejrzewać, że sprawy nie potoczą się tak, jak planowałam, kiedy rano w dniu moich urodzin mama zeszła do kuchni z mizernym wyrazem twarzy, jednym okiem umalowanym i wytuszowanym, a drugim nietkniętym.

– Chodź – oznajmiła szorstkim głosem ze swoim filadelfijskim akcentem, tego dnia bardziej wyraźnym niż zazwyczaj. Dłoń jej drżała, gdy sięgała po klucze i skrzywiła się, kiedy otworzyłam drzwi, by sprawdzić, czy przed domem czeka na nas taksówka. Rzadko zdarzało się, by mama wstawała z łóżka przed dziewiątą i nigdy nie widziałam jej bez makijażu. Tego ranka była blada i wydawała się lekko roztrzęsiona, jakby promienie słońca, padając na skórę, zadawały jej ból, a podłoga falowała pod jej stopami.

Tłumaczyłam sobie, że ów stan był spowodowany Wypadkiem, któremu uległa, gdy miałam cztery lata. Nie znałam wielu szczegółów, wiedziałam jedynie, że prowadziła samochód, że padał deszcz, najechała na płamę benzyny na drodze i samochód przekoziółkował. Sześć tygodni spędziła poza domem, najpierw w szpitalu, gdzie składali jej ramię za pomocą metalowych śrub, a później w placówce odwykowej. Nadal miała blizny, delikatny zarys rozcięcia na lewym policzku i ślady chirurgicznych nacięć na ramieniu. Były też „blizny, których nie

widać”, jak złowieszczo określał je ojciec. Od tamtej nocy mama nigdy więcej nie prowadziła samochodu. Podskakiwała na dźwięk głośno zamykanych drzwi od auta lub strzelającego gaźnika, nie była w stanie oglądać pościgów ani wypadków samochodowych w filmach ani w telewizji. Kilka razy w miesiącu opuszczała swoje mecze tenisowe, a ja po powrocie ze szkoły znajdowałam ją w zaciemnionej sypialni złożoną migreną.

Rankiem w dniu moich urodzin mama wśliznęła się obok mnie na tylne siedzenie samochodu. Czułam aromat perfum Giorgio, pasty do zębów, a pod spodem stęchły zapach snu. Taksówka zatrzymała się przed restauracją. Mama sięgnęła do kieszeni żakietu i podała mi banknot dziesięciodolarowy.

– To wystarczy, prawda? – Wpatrywałam się w pieniądze z otwartymi ustami. Mama zmarszczyła pociągnięte kredką brwi. Wyglądała na zdezorientowaną. – Och! – Zanim odwróciła głowę w stronę szyby, dostrzegłam przelotnie na jej twarzy wyraz zaskoczenia i, jak mi się wydawało, wstydu. – Och, kochanie, przepraszam. Kiedy powiedziałaś: „Chcę, żebyś zabrała mnie do Peterman’s”, pomyślałam... – Machnęła ręką, jakby odpędzała myśl, że córka chciałaby zjeść urodzinowe śniadanie z matką. – Ponieważ wiedziałam, że wstanę wcześniej, umówiłam się na debla. – Zerknęła na zegarek. – Muszę lecieć i się przebrać... Mitzie i Ellen pewnie już czekają.

– W porządku – powiedziałam. Czułam, jak łyzy szczypią mnie w powieki i palą w gardle, ale wiedziałam, że lepiej nie płakać. „Nie denerwuj matki”, mawiał ojciec.

– Czy dziesięć dolarów ci wystarczy? – Skąd miałam wiedzieć? Nie miałam pojęcia, ale przytaknęłam. – W takim razie miłego dnia. Wszystkiego najlepszego! – Dała mi buziaka i pomachała radośnie, zanim wysiadłam z taksówki i delikatnie zamknęłam za sobą drzwi.

Nie odważyłam się pójść do restauracji. To nie była środa, ale i tak wyobrażałam sobie, że usiądę przy barze i zobaczę przy stoliku Kelly i jej mamę. Nie wiedziałam nawet, czy ośmiolatka może sama przebywać w restauracji i zamówić posiłek. Oczywiście potrafiłam przeczytać kartę dań, ale byłam zbyt nieśmiała, by porozmawiać z kelnerką, i za bardzo niepewna, żeby poprosić o rachunek i zostawić napiwek. Zamiast tego poszłam do cukierni, gdzie wybrałam ciastka, wskazując je w gablocie: dwa pączki z lukrem, dwa z czekoladą, jeden z dżemem i jeden z budyniem. Z centrum miasta do mojej szkoły prowadziła ścieżka przez las, a w tamtych czasach dziecko, nawet dziewczynka, mogło samo chodzić przez las. Rodzice nie martwili się, że ktoś je porwie albo będzie napastował. Szłam w cieniu drzew, kopiąc sosnowe igły i pożerając słodycze. Bez tchu pochłaniałam pączki wielkimi kęsami, tłumiąc smutek i starając się pamiętać o tym, co mówiła mama – że mnie kocha – zamiast o tym, jak się przez nią czułam. Przy budynku wydziału językoznawstwa zwymiotowałam i mama musiała wziąć

taksówkę, żeby po mnie przyjechać. Stała w gabinecie pielęgniarki, nadal w białym stroju do tenisa, niecierpliwiła się i przewracała oczami, kiedy grzebałam w plecaku w poszukiwaniu książek, jednak gdy usiadłyśmy na tylnym siedzeniu taksówki, zacięty dzióbek zniknął i przyjęła niemal życzliwy wyraz twarzy.

Była ubrana w spódniczkę tenisową i niebieską nylonową bluzę z białymi paskami na rękawach. Opalone nogi trzymała złączone, podczas gdy moje, obleczone w czarne rajstopy i schowane pod najlepszą spódniczką w czerwono-zieloną kratę, prawdopodobnie zajmowały całe siedzenie.

– Śniadanie chyba ci zaszkodziło – powiedziała. Sięgnęła do torby i wyjęła z niej bidon i ręcznik. Dała mi się napić, a potem delikatnie otarła mi czoło i usta.

Siedziałam teraz w gabinecie lekarza Ellie i westchnęłam, przypomniawszy sobie, jak wyróżniona się czułam, kiedy mama pozwoliła mi napić się ze swojego specjalnego, niebieskiego bidonu. Nigdy nie marzyłam nawet o tym, by wyjąć go z jej torby, nie mówiąc już o wypluciu płynu z powrotem do środka. W tym momencie lekarz wszedł do pomieszczenia.

– Witam, panno Eloizo! – Doktor McCarthy miał na sobie błękitną lnianą koszulę, która pasowała odcieniem do jego oczu, białe spodnie i wyprasowany biały kitel z nazwiskiem wyszytym niebieską nitką. Ellie wyrwała się z moich objęć i drżąc, stanęła w drzwiach, gotowa do ucieczki. Wzięłam ją na ręce i ignorując protesty swoich pleców, posadziłam na pomarszczonym białym ręczniku papierowym rozłożonym na kozetce. Lekarz ze starannie przystrzyżoną bródką i stetoskopem nonszalancko zawieszonym na szyi podszedł do leżanki i z powagą wyciągnął do Ellie dłoń. – Eloizo – zaczął. – Co słychać w hotelu Plaza?

Zachichotała, zasłaniając dłonią usta, by ochronić ruszający się ząb. Teraz, kiedy zwrócił na nią uwagę przystojny mężczyzna, stała się uosobieniem uroku i radości. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami na krawędzi kozetki z taką gracją, że mogłaby śmiało udzielić wywiadu telewizyjnego.

– Poszłyśmy na podwieczorek w moje urodziny.

– Co ty powiesz? – Kiedy gawędzili o jej urodzinowym wyjściu, białych rękawiczkach, o żółwiu nazwanym, oczywiście, Skipperdee¹ i o grze komputerowej, która była bardzo „zawanasowana”, lekarz zręcznie przeprowadził badanie, zajrzał Ellie w oczy i do uszu, osłuchiwał serce i płuca i sprawdził odruchy.

– Panno Ellie, czy coś pani dolega?

Postukała się palcem wskazującym w usta.

– Hmm.

– Jakież kłopoty ze snem albo w toalecie?

Potrząsnęła głową.

– A jak z jedzeniem? Dostajesz dużo dobrego, zdrowego jedzonka?

Ellie rozpromieniała.

– Lubię kanapki z ogórkiem!

– Kto nie lubi dobrej kanapki z ogórkiem? – Lekarz z szerokim uśmiechem odwrócił się do mnie. – Jest idealna, Allison. Uważam, że powinnaś ją zatrzymać.

– Potem ściszył głos i ujął mnie za rękę. – Porozmawiajmy chwilę na zewnątrz.

Serce stanęło mi na moment. Czyżby zobaczył quiz, który rozwiązywałam? Czy zrobiłam lub powiedziałam coś, co mogłoby mnie zdradzić? Wręczyłam Ellie iPada i wyszłam na korytarz, a młoda kobieta z grupy studentów medycyny, którzy asystowali przy badaniu, weszła do gabinetu, by przypilnować Ellie. „Czy lubisz broadwayowskie musicale?”, usłyszałam pytanie córki, gdy doktor McCarthy prowadził mnie w stronę okna na końcu korytarza.

– Chciałem się tylko dowiedzieć, jak sobie pani radzi. Ma pani jakieś pytania? Obawy?

Staralam się, by mój długo wstrzymywany oddech zabrzmiał jak najciszej. Może wybrałam doktora McCarthy’ego z błahych powodów – był pierwszym pediatrą, który nie zwracał się do mnie per „mamo” – ale okazało się, że dokonałam doskonałego wyboru. Słuchał, gdy mówiłam, nigdy nie wyganiał mnie z gabinetu ani nie zbywał żadnych pytań, które zadawałam jako świeżo upieczony rodzic, i wprowadzał niezbędną równowagę pomiędzy mną, skłonną do paniki, i Dave’em, facetem, który owinąłby złamaną nogę taśmą klejącą i uznał, że nic się nie stało.

Doktor McCarthy położył kartę Ellie na kaloryferze.

– Jak egzema?

– Nadal stosujemy maść i w przyszłym miesiącu idziemy na wizytę do doktora Howarda. – Jak się dowiedziałam, problemy skórne, podobnie jak alergie pokarmowe, były jednym z dobrodziejstw, które niosło ze sobą posiadanie wrażliwego dziecka.

– A jak ze szkołą? – Lekarz przejrzał kartę Ellie. – Jak poradziła sobie z przejściem z przedszkola do szkoły?

Skrzywiłam się na wspomnienie pierwszego dnia w szkole, kiedy Ellie trzymała mnie kurczowo za nogę i łkała, jakbym posyłała ją na zesłanie, a nie na sześć godzin do renomowanej (i bardzo drogiej) Stonefield: Wspólnoty Nauki. W głowie pozwalałam sobie na cichy bunt i nazywałam placówkę zwyczajnie szkołą Stonefield.

– Trudno znosiła pierwszych kilka tygodni, ale teraz jest już w porządku – „W porządku” było co prawda stwierdzeniem na wyrost, ale przynajmniej Ellie nie łkała przy każdym rozstaniu i nie przylegała do mnie jak rzep. – Cieszę się, bo zaczęła czytać.

Lekarz ponownie zajrzał do karty.

– A co z koszmarami nocnymi?

– Jest lepiej. Jednak nadal nie lubi głośnych dźwięków. – Ani filmów

w kinie i innych miejsc, takich jak pracownie, gdzie można pomalować własne wyroby ceramiczne, czy biblioteki, gdzie czytane są bajki dla dzieci; wszystkich, w których mówią naraz więcej niż dwie lub trzy osoby. Westchnęłam. – Mam wrażenie, że Ellie wszystko odczuwa intensywniej niż inne dzieci.

– Może tak właśnie jest – odpowiedział. – Jak jednak wspominałem, większość dzieci z tego wyrasta. W wieku dziesięciu lat będzie panią błagała o lekcje gry na perkusji.

– To takie trudne – powiedziałam i zaraz potem zamknęłam usta. Nienawidziłam słuchać własnych narzekań na Ellie, mając świadomość, że są na świecie kobiety, które chcą zająć się ciążą, a nie mogą, podobnie jak istnieją przecież dzieci z prawdziwymi, poważnymi problemami, zacznie wykraczającymi poza nietolerancję głośnych dźwięków i sporadyczne wysypki. Były samotne matki posiadające znacznie mniej środków do życia niż ja. Kimże byłam, że swoim wielkim domem i pracą, by narzekać na cokolwiek?

Doktor McCarthy położył dłoń na moim przedramieniu i spojrzał na mnie z taką życzliwością, że niemal się rozplakałam, co byłoby absurdalne.

– Proszę mi powiedzieć, co pani robi, by zadbać o siebie samą?

Przez ułamek sekundy miałam ochotę skłamać i sprzedać mu historyjkę o tym, że chodzę na zajęcia z jogi, a nie tylko za nie płacę, i ćwiczę pilates, chociaż w rzeczywistości miałam jedynie karnet urodzinowy sprzed dwóch lat, który poniewierał się gdzieś w szufladzie.

– Właściwie nic. Po prostu nie mam na to czasu.

Lekarz poprawił stetoskop.

– Musi pani znaleźć na to czas. To ważne. Słyszała pani, jak w samolotach mówią, że w razie awarii rodzice powinni najpierw sami założyć maski tlenowe? Nikomu na nic się pani nie przyda, jeśli nie zadba o siebie. – Niebieskie oczy doktora schowane za okularami patrzyły na mnie łagodnie, a z jego postawy bił taki spokój, jakby nigdzie nie musiał iść i nie miał do zrobienia nic pilniejszego niż stać całe popołudnie i słuchać opowieści o moich głupich, wydumanych problemach. – Chciałaby pani z kimś porozmawiać?

Nie odpowiedziałam. Nie chciałam rozmawiać z kimś. Chciałam rozmawiać z nim. Chciałam wrócić do jego gabinetu, niewielkiego, ale przytulnego, z półkami pełnymi książek, biurkiem, na którym piętrzyły się karty pacjentów, i ustawioną przy ścianie, wygodnie powycieraną kanapą. Doktor wskazałby mi miejsce, zaproponował filiżankę herbaty i zapytał, co się dzieje, a ja opowiedziałabym mu o Davie, Ellie, o mamie i tacie. O tabletkach. Otuliłabym się kocem i ucięła sobie drzemkę, podczas gdy wolontariusze zabawialiby Ellie w poczekalni, a doktor McCarthy obmyślałby plan, jak mnie naprawić. Zamiast tego głośno przełknęłam ślinę.

– Mam się dobrze – odpowiedziałam lekko zachrypniętym głosem i posłałam

mu uśmiech, ten sam, którym obdarzyłam mamę, gdy wysiadałam z taksówki w dniu moich ósmych urodzin.

– Na pewno? Wiem, jak czasem trudno to zrobić. Jeśli uda się pani znaleźć choćby dwadzieścia minut, by pójść na spacer albo po prostu posiedzieć w ciszy...

Dwadzieścia minut. To wydało mi się niewiele do momentu, gdy zaczęłam myśleć o pracy, o tym, jak czasochłonne okazało się pisanie pięciu postów na bloga tygodniowo, i o tym, że oprócz płatnego zajęcia dodatkowo na ochotnika zgodziłam się przeprojektować stronę internetową corocznej cichej aukcji w Stonefield. Nadal wisiały nad nami comiesięczne raty kredytu hipotecznego, których wysokość wciąż nas zdumiewała, i krążące w „Examinerze” plotki o kolejnych rychłych zwolnieniach. Były też niezłożone pranie, niewykonane ćwiczenia, warzywa z naturalnych upraw gnijące i rozpływające się w lodówce, ponieważ po ośmiu godzinach przy biurku i kolejnych dwóch spędzonych na wysłuchiwanie krzyków córki, która nie mogła znaleźć konkretnego misia pośród wielu maskotek, nie byłam w stanie szukać przepisu, przygotowywać posiłku i zmywać po jego skończeniu. Żywiliśmy się gotowymi daniami, chińskim jedzeniem na wynos i mrożonymi pizzami. Jeśli w sobotnie popołudnie czułam się szczególnie winna, robiłam zapiekankę z podwójnej ilości składników, by część zamrozić.

Doktor McCarthy wsunął kartę Ellie pod pachę i spojrzał w dół na czasopismo w mojej dłoni.

– Czyta pani jeden z tych artykułów w stylu *Jak być lepszą w łóżku?* – zapytał.

Uśmiechnęłam się lekko i zamknęłam magazyn, by nie zobaczył, co naprawdę czytałam. To było szaleństwo. Nie miałam żadnego problemu z lekami. Nie mogłam go mieć.

Doktor zerknął ponad moją głowę na zegar na ścianie. Słyszałam, jak za drzwiami gabinetu Ellie ze studentką śpiewa piosenkę *Zamek na chmurce*. „Nikt nie mówi za głośno i nie krzyczy do siebie, w moim zamku na chmurce, na błękitnym niebie”.

Posłałam mu kolejny uśmiech, a on ostatni raz uścisnął moje ramię.

– Proszę dbać o siebie – powiedział i już go nie było.

Wcisnęłam czasopismo na dno torebki. Z powrotem założyłam Ellie ubranie, wygładziłam szwy w skarpetkach, zapięłam sukienkę na guziki i zaplotłam jej warkocze. Wzięłam córkę za rękę, gdy przechodziłyśmy przez ulicę, i zapłaciłam za parking, a potem, zanim ruszyłam na południowy zachód, do cukierni Federal Donuts na gorącą czekoladę, którą jej obiecałam, sięgnęłam do torebki po puszkę po miętówkach. Nie, pomyślałam, i przypomniałam sobie pytanie z testu: *Czy kiedykolwiek planowałaś nie zażyć danego dnia leku lub nie wypić alkoholu, a zrobiłaś to mimo wszystko?* Jaką miałam wymówkę, żeby zażywać leki?

Może moja matka była chłodna i niezbyt mną zainteresowana, ale to miało miejsce w latach siedemdziesiątych, zanim słowo „rodzić” stało się czymś więcej niż automatycznie otrzymywanym tytułem, kiedy matki rutynowo wkładały małe dzieci do kojca, a same przygotowywały sobie martini albo zapalały cienkie papierosy Virginia Slim. Miałam wielki dom na przedmieściach. Czyż nie tego powinna chcieć każda kobieta? Miałam pracę, w której się sprawdzałam i którą lubiłam, nawet jeśli czasami stres z nią związany wydawał mi się nie do zniesienia. Miałam uroczą córkę, a czy lekka nadwrażliwość była rzeczywiście tak wielkim problemem? Mam się dobrze, pomyślałam. Wszystko jest w porządku. Jednak już w trakcie tej myśli, moje palce otwierały pudełeczko, odnajdywały kredowy, biały owal i umieszczały go, jak komunię, w pełnej wyczekiwania przestrzeni pod językiem. Słyszałam, jak miążdżona między zębami tabletką pęka, skrzywiłam się, gdy znajoma gorycz wypełniła mi usta, i zapalając silnik, wyobraziłam sobie, że czuję, jak chemiczna słodycz rozluźnia moje spięte mięśnie, spowalnia tętno, ucisza nieustającą paplaninę myśli w głowie i pozwala płucom rozprężyć się na tyle, by wziąć głęboki oddech.

Na rogu Szóstej i Chestnut zobaczyłam na chodniku kobietę. Miała czerwoną twarz, jej spuchnięte stopy wylewały się z pozbawionych sznurówek trampek, a w dłoniach trzymała papierowy kubek. Pomarszczone usta poruszały się nad bezzębnymi dziąsłami. Miała brudne opuchnięte ręce, ciało owinięte warstwami ubrań, a na tym wszystkim puchową kurtkę. Za nią stał wózek sklepowy pełen wypchanych worków na śmieci. Na szczycie tej konstrukcji siedział mały skulony piesek w znoszonym niebieskim swetrze.

Ellie powoli odczytała na głos każde słowo na jej tabliczce. „Bezdomna. Potrzebuję pomocy. Niech was Bóg błogosławi”.

– Mamusiu, co znaczy „bezdomna”?

– To znaczy, że nie ma gdzie mieszkać. – Cieszyłam się, że w samochodzie nie ma Dave’a. Wyobrażałam sobie jego odpowiedź: „To znaczy, że nie chce pracować, by zatroszczyć się o siebie, i uważa, że ktoś inny powinien zapłacić za to, czego potrzebuje”. Kiedy wychodziłam za niego, wiedziałam, że jest bardziej konserwatywny niż ja, ale w ciągu dziesięciu lat, które upłynęły od tego czasu, zaczął twierdzić, że wszystkim problemom w życiu jego i innych ludzi winni są liberałowie.

Ellie się zastanowiła.

– Może mogłaby zamieszkać w naszym pokoju gościnnym?

Przygryzłam wargę, zanim zdążyłam automatycznie odpowiedzieć: „Nie, kochanie, tam mieszka twój tata”. Tak rzeczywiście było od ostatnich przynajmniej sześciu tygodni. Może dłużej. Nie chciałam o tym myśleć. Zamiast tego powiedziałam:

– Prawdopodobnie ta pani potrzebuje specjalnej pomocy, nie tylko

mieszkania.

– Jakiej pomocy?

Na szczęście światło zmieniło się na zielone. Włączyłam się do ruchu i podjechałam pod cukiernię, czując, jak narkotyczna błogość otula mnie i trzyma mocno w swych objęciach. Wychodząc ze sklepu, uchwyciłam swoje odbicie w witrynie i porównałam ów widok – biała kobieta średniego wzrostu, w jasnobrązowym płaszczu z wielbłądziej wełny, orzechowych skórzanych kozakach z najnowszej kolekcji, z wyprostowanymi włosami opadającymi gładko na ramiona – z obrazem kobiety na rogu. Delikatny makijaż, pomyślałam z typową otwartością i akceptacją, które towarzyszyły mi po połknięciu jednej lub dwóch tabletek, i mogłabym nawet uchodzić za ładną. A nawet jeśli nie, to daleko mi było do tamtej kobiety, stwierdziłam w drodze do domu. Ellie śpiewała razem z Carly Rae Jepsen, a miasto, w którym byłam kiedyś bardzo szczęśliwa, umykało w lusterku wstecznym. To ona była uosobieniem nałogu. Nie ja. Nie ja.

Budzik zadzwonił o szóstej piętnaście. Nie otwierając oczu, sięgnęłam po omacku w kierunku szafki nocnej, odnalazłam brzęczący telefon i wyciszyłam go, przesuwając palcem po ekranie. Potem leżałam bez ruchu na plecach, słuchałam pochrapywania śpiącej obok Ellie i jak co rano toczyłam w myślach tę samą walkę: poćwiczyć czy spać dalej?

Powinnam poćwiczyć, powiedziałam sobie. Następnego dnia po wizycie lekarskiej Ellie zadzwoniła do mnie weryfikatorka i poinformowała, że artykuł o Kobiecym Salonie ukaże się dzisiaj na stronie internetowej „Wall Street Journal”, a dzień później w wydaniu papierowym. Powiedziałam o tym Dave’owi, ale niewiele na ten temat rozmawialiśmy. Nie chciałam, by pomyślał, że się przechwalam albo w jakiś sposób próbuję podkreślić różnicę między nami: on pisał artykuły, ale to ja jakimś cudem stałam się bohaterką takiego tekstu. Dave nie zauważył mojego zdenerwowania, tego, że niewiele jadłam przy obiedzie i nie spałam przez większość nocy. Zamartwiałam się, że zdjęcie okaże się okropne, a cały świat i wszyscy znajomi zaraz po przebudzeniu dowiedzą się, ile dokładnie mam podbródków.

Leżąc pod puchową kołdrą, dotknęłam swoich bioder i poczułam ich rozmiar, a następnie przesunęłam dłoń w stronę falującej skóry na brzuchu. Tylko dzięki talii jeszcze nie przypominałam z profilu imbryka, ale niestety w ciągu kolejnych miesięcy, a potem lat po urodzeniu córki moje wcięcie powyżej bioder nigdy nie powróciło do dawnego wyglądu. Stale sobie powtarzałam, że zrzucę zbędne kilogramy po ciąży, kiedy sprawy się uspokoją, ale to nigdy nie nastąpiło, a córka miała już prawie sześć lat.

Patrzyłam, jak oczy Ellie poruszają się pod lawendowymi powiekami, a potem jak Dave z poduszką w rękach, ubrany w piżamę, którą zapinał pod szyję, skrada się do pokoju. Szybko zamknęłam oczy, by myślał, że śpię i żebyśmy nie musieli rozmawiać. To już trwało dłużej, niż chciałam sobie uświadomić. Każdej nocy Dave spał w pokoju gościnnym i każdego ranka na palcach wracał do łóżka małżeńskiego, odwrotnie niż nastolatek wymykający się przez okno ukochanej. Chodziło o to, by Ellie, gdy się obudzi i przyjdzie nas przywitać, zobaczyła szczęśliwą parę, a nie dwoje ludzi, którzy porozumiewali się głównie za pomocą esemesów na temat kupna mleka i wynoszenia śmieci. Na szczęście Ellie zwykle pojawiała się w środku nocy, na wpół śpiąca, i na nic nie zwracała uwagi.

Dave usadowił się na odległym krańcu łóżka i ułożył tam swoje poduszki. Ja odwróciłam się po swojej stronie i przypomniałam sobie, jak było zaraz po przeprowadzce. Pierwszą czynnością Dave’a po przebudzeniu było objęcie mnie, przytulenie klatki piersiowej do moich pleców i zaplecenie nóg wokół moich.

Drapał mnie po szyi swoim cudownie szorstkim zarostem i szeptał, że to niemożliwe, by już był ranek, że nadal jest wcześniej i jeszcze nie musimy wstawać. Ostatnio natomiast po otwarciu oczu rzucał się na dywan twarzą do dołu, zastygał w pozycji deski i wykonywał serię pompek przed biegiem.

Otworzyłam oczy i przyjrzałam się ubraniom, które zostawiłam złożone na komodzie: spodniom do jogi szpanerskiej marki, koszulce w twarzowym odcieniu różu i leżącym obok butom sportowym, sportowemu stanikowi i parze nieskazitelnie białych, krótkich skarpetek. Wszystko świetnie, tyle że przygotowałam ów piękny strój w niedzielę wieczorem, a teraz był czwartkowy poranek i podziwianie go z bezpiecznej przystani mojego łóżka to jedyny użytek, jaki z niego z robiłam.

Jeszcze tylko pięć minut, postanowiłam i sięgnęłam po telefon, by przejrzeć mejle. Jak zwykle Sarah była na nogach od dłuższego czasu. Godzinę temu wysłała mi wiadomość wraz z linkiem do posta na Twitterze znanego autora komiksów i zapytała: „pot. fel?”, co w jej żargonie oznaczało „potencjalny felieton”. Zapytany, jak stworzyć silne kobiece postaci, mężczyzna oznajmił: „Na pewno nie doprawiajcie im kutasów”. „Czy to znaczy, że transseksualne kobiety odpadają?” – odpisała w odpowiedzi jedna ze śledzących go osób, rozpoczynając tym samym niekończącą się dyskusję na temat biologii, genitaliów i tego, kogo można uznać za kobietę. Wśród materiałów na „pot. fel.” Sarah umieściła również najnowsze doniesienia na temat procesu znanej szefowej kuchni pozwanej przez asystenta za molestowanie seksualne i portret producenta opery mydlanej, która zdobyła nagrodę Emmy.

Rozważałam zajrzenie na stronę „Wall Street Journal”, ale postanowiłam poczekać. Artykuł prawdopodobnie jeszcze się nie pojawił. Poćwiczę – może trzydzieści minut na bieżni zamiast planowanych czterdziestu pięciu, ale to nadal będzie lepsze niż nic – a potem, z ciałem pulsującym od endorfin, które zapewnią mi cudowne powysiłkowe uniesienie, przeczytam tekst. I spojrzę na zdjęcie. Jeśli będzie okropne, wykorzystam je jako motywację. Wydrukuję je i przykleję na lodówce i bieżni. To będzie moje zdjęcie „przed”. Wszystkie mamy odwożące dzieci do szkoły będą mi mówiły, jak fantastycznie wyglądam i jak się pozbierałam w ciągu trzech miesięcy albo sześciu, albo w ciągu takiego czasu, jakiego potrzebowałam na zrzucenie dziesięciu kilogramów i zafundowanie sobie odrobiny botoksu.

Eloiza zamruczała przez sen, potem odwróciła się na plecy i otworzyła oczy.

– Dzień dobry, ślicznotko – przywitałam ją.

Ziewnęła, zatrzepotała rzęsami i przeciągnęła się, wyciągając ręce za głowę.

– Mamusiu, muszę ci coś powiedzieć.

– Co takiego? – Może nie jestem obiektywna, ale Ellie była cudownym dzieckiem. Miała jasnobrązowe włosy poskręcane w błyszczące loczki, duże,

brązowe oczy, których kąciaki unosiły się lekko, dodając jej twarzy zabawnego, tajemniczego wyrazu, i porcelanową skórę jak u niemowlęcia. Jej nos ozdabiały piegi, naturalnie różowe usta układały się w kształt łuku Amora, a drobna figura już wskazywała, że po ojcu odziedziczyła szczupłą sylwetkę i długie kończyny. Rankiem moja córka jest przesłodka, pomyślałam, kiedy wtuliła się we mnie, a ja ucałowałam ją w policzek. – O co chodzi, kochanie? – szepnęłam.

– Zsiusiałam się w łóżko – szepnęła w odpowiedzi.

– O Chryste! – Dave sturlał się na podłogę, skoczył na równe nogi i zaczął poszukiwać śladów moczu. Na głowie sterczały mu kępki włosów, a przez rozporek w piżamie widać było kiwającą się główkę penisa.

– Dave! – syknęłam i wskazałam głową kłopotliwą okoliczność. Zasłonił się piżamą i wymaszerował w stronę łazienki, ja natomiast podniosłam się z łóżka (dwadzieścia minut na bieżni? Nadal będę miała na to czas, prawda?) i gwałtownym ruchem uniosłam kołdrę. Ellie leżała w powoli powiększającej się plamie. Jej koszulka nocna była przemoczona, podobnie jak prześcieradło i prawdopodobnie przykryte nim łóżko. Miałam zamiar znaleźć wodoodporne pokrycie na materac, ale jak większość moich planowanych ochoczo zadań domowych i to było ciągle odkładane, a w końcu zapomniane. – O Boże! – szepnęłam.

– Przepraszam! – jęknęła Ellie i zaczęła płakać.

– W porządku, kochanie. Nie martw się. To się zdarza. – Mniej więcej co tydzień, pomyślałam. – Fuj – jęknęłam, zanim zdążyłam się powstrzymać. Wiedziałam, że nie należy zawstydzac dzieci, kiedy zdarzy się im wypadek. W ciąży przeczytałam milion książek o opiece nad dziećmi, co było pozytywne, gdyż teraz ledwie znajdowałam dziesięć sekund, by przeczytać horoskop. Miałam świadomość, że zawstydzanie dzieci w kwestii fizjologii było niewłaściwym posunięciem, ale bez przesady.

Wzięłam Ellie na ręce, ignorując lepką wilgoć i nieprzyjemną woń. Żałowałam, że nie zakładałam jej pieluch na noc, ale za każdym razem gdy je proponowałam, Ellie zadzierała nos i oznajmiała:

– Pieluchy są dla bobasów.

– Kochanie, możesz zdjąć pościel? – zawołałam i zaraz potem usłyszałam dźwięk wody odkręcanej pod prysznicem. Oczywiście, pomyślałam. Wykapanie córki w naszej łazience za bardzo ułatwiłoby sprawę, a pomoc w uprzągnięciu bałaganu oznaczałaby zbytnią życzliwość. Zniosłam Ellie na koniec korytarza.

– NIE! Nie prysznic! NIE CHCĘ!

– Ellie – powiedziała, patrząc jej prosto w oczy. – Musimy się umyć.

– Weź chusteczki!

Wilgotne chusteczki na nic się tutaj zdadzą, pomyślałam. Odkleiłam jej koszulę nocną od brzucha i zdjęłam przez głowę, następnie ściągnęłam bieliznę

i zostawiłam wszystko zmięte na podłodze w łazience. Ellie spojrzała na pizamę i zaczęła płakać jeszcze głośniej.

– Księżniczka Jasmina jest CAŁA MOKRA!

– Wszystko w porządku, kochanie. Włożymy ją do pralki i będzie jak nowa.

Ellie była niepocieszona.

– Nasiusiałam na księżniczkę Jasminę! – szlochała. Nieważne, że przy okazji zmoczyła materac, nasz drogi, kupiony mniej niż rok temu materac z pikowanym poszyciem.

Nie dam rady – taka myśl zaświtała mi w głowie, a po niej natychmiast przyszła kolejna: wiem, co może mi pomóc.

– Zostań tu, kochanie – poleciłam i pognałam z powrotem do sypialni. Uniosłam kołdrę, prześcieradło z gumką i matę ochronną na łóżku. Jak można się było spodziewać, materac był przemoczony i... zanim się zorientowałam, fiolka z lekarstwem już była w mojej dłoni. „Weź jedną tabletkę co cztery do sześciu godzin, w zależności od nasilenia bólu”. Otworzyłam wieczko, wysypałam pigułkę na dłoń, zastanowiłam się przez chwilę, dodałam drugą, jednocześnie zdając sobie sprawę, że pojemnik robił się coraz lżejszy. Wzięłam jedną o piątej po południu poprzedniego dnia, gdy Ellie wpadła w furję, ponieważ magnetowid skasował jej ulubiony odcinek *Umizoomi*, i kolejną o północy, kiedy nie mogłam zasnąć.

W łazience nabrałam garść wody z kranu i połknęłam tabletki. Natychmiast, zanim zdążyły przejść przez mój przelyk, poczułam, jak zalewa mnie fala spokoju, pewność, że poradzę sobie z tą krytyczną sytuacją i wszelkimi innymi, które mogą pojawić się przed siódmą rano. „Wszystko będzie dobrze”, śpiewały tabletki, płynąc w dół. „Wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze i cokolwiek się zdarzy, wszystko będzie dobrze”.

– No dobra – powiedziałam do Ellie. Zdjęłam własną wieczorową kreację, koszulkę z krótkim rękawem w rozmiarze XXL z logo college’u Franklina i Marshalla oraz bawełniane szorty od Hanesa, które kupiłam, ponieważ zakrywały więcej niż figi czy zwykłe majtki. Może policzę to sobie jako ćwiczenia fizyczne, pomyślałam, kiedy podniosłam wrzeszczącą córkę i wstawiłam ją pod prysznic.

– Za gorąca! ZA GORĄCA! – Ellie wymachiwała rękami. Jedna pięść trafiła mnie pod okiem. Zawylałam, a potem chwyciłam ją za ramiona.

– Stój spokojnie – poleciłam. Jedną ręką unieruchomiłam córkę, a drugą sięgnęłam po żel do mycia o nazwie Księżniczka, żałując, że nie połknęłam trzeciej tabletki, i zastanawiając się, czy zdążę zerknąć na artykuł, zanim zawiozę Ellie do szkoły.

Dave wsunął głowę do łazienki.

– Odebrałaś pranie? – wrzasnął, przekrzykując szum wody.

Już widziałam jego napiętą skórę wokół ust i wyraz zawodu, który pojawił się na jego twarzy, jeszcze zanim zdążyłam go zawieść.

– O cholera.

Ellie zamruwała do mnie przez strumień wody.

– Mamusiu, to brzydkie słowo.

– Mamusia wie – podniosłam głos. – Kochanie, przepraszam.

Dave nawet nie westchnął ani nie zaczął narzekać, chociaż wiedziałam, że miał ochotę na jedno i drugie.

– W takim razie chyba ja je odbiorę. Przyjechać po ciebie wieczorem? – zapytał tonem pełnym przesadnej cierpliwości i dobrej woli.

– A co jest dzisiaj wieczorem? – Jak tylko wypowiedziałam te słowa, przypomniałam sobie, co było dzisiaj wieczorem: kolacja urodzinowa Dave’a. Zarezerwowałam stół w jego ulubionej restauracji, zaprosiłam dwie inne pary, wybrałam i odebrałam wino, a do tego zamówiłam wysokiej klasy monitor pracy serca, który sobie zażyczył, i własnoręcznie go zapakowałam.

– Urodziny tatusia – oznajmiła szelmowsko Ellie.

– Wiem, skarbie – krzyknęłam, żeby Dave mnie usłyszał. – Przepraszam, skleroza nie boli. – Byłam pół roku starsza od Dave’a. W lepszych, bezdietnych czasach żartowaliśmy z tego. Nazywał mnie swoją staruszką albo instalował w moim telefonie aplikację z latarką, bym mogła czytać menu w słabo oświetlonych restauracjach. Niestety ostatnio nasze żarty przybrały nieco bardziej nieprzyjemny ton. – Spotkajmy się w Cochon.

– Dobrze. – Właściwie nie trzasnął drzwiami od łazienki, ale również nie zamknął ich szczególnie delikatnie. Westchnęłam, otworzyłam butelkę z różowym, lekko musującym żelem do mycia, o mdłym zapachu oscylującym pomiędzy kwiatem jabłoni a odświeżaczem powietrza, i wycisnęłam porcję na dłoń. Umyłam włosy Ellie i jej ciało, starając się ignorować kopniaki i krzyki w stylu „To boli!”, „To łaskocze!” i „Teraz nalalaś mi do oczu!”, a potem sama się opłukałam. Owinęłam córkę ręcznikiem, a drugi zawinęłam sobie w pasie, zebrałam z podłogi jej przemoczone ubrania i mokrą matę łazienkową; po drodze do pokoju dziecinnego cisnęłam tym wszystkim w stronę pralki.

Podaliśmy Ellie świeże majtki i wsypałam proszek do prania. Gdy się odwróciłam, Ellie nadal stała naga, pępek wystawał jej uroczo, a ona patrzyła spod byka na bieliznę.

– Te nie są z księżniczką Jasminą.

– Wiem, kochanie. Te są z... – Zmrużyłam oczy i spojrzałam na majtki. – Meredith? Z *Meredith walecznej*?

– Nie z Mere-DITH, z Meri-DA.

– Tak. Właśnie z nią.

– Meridy są na piątek!

– Cóż, będziesz musiała założyć Meridę dzisiaj. Albo możesz spróbować...

– Grzebnęłam w koszu z bielizną i wyciągnęłam majtki z nadrukowaną z tyłu

szeroko uśmiechniętą małą. – Kto to jest? Paul Frank?

– NIENAWIDZĘ Paula Franka. Tylko chłopaki lubią Paula Franka.

– Ellie, jesteśmy spóźnione. Wybierz któreś.

W zadumie przygryzła paznokieć kciuka, a następnie wyciągnęła palec wskazujący w kierunku pierwszej pary majtek.

– Ene... due... rabe...

– Nie mamy na to czasu.

– Bocian połknął żabę...

– Ellie. – Nachyliłam się tak, by móc spojrzeć jej prosto w oczy. – Nie chciałam ci o tym mówić, żeby cię nie straszyc, ale prawda jest taka, że w twojej szafie mieszka bardzo groźny potwór, który żywi się tylko dziewczynkami bez majtek.

Uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Zmyślasz.

– Może – odparłam i zacisnęłam mocniej swój ręcznik. – A może nie. Ale na twoim miejscu założyłabym bieliznę.

Wróciłam do sypialni i zastałam mokre prześcieradło i kołdrę nadal na podłodze. Westchnęłam, podniosłam je, zniosłam do pralni i spróbowałam przejrzeć „Wall Street Journal” na telefonie. Była siódma, co oznaczało, że miałam trzydzieści minut, by ubrać, nakarmić i wyprawić z domu siebie i Ellie. Nie zostało mi ani chwili na ćwiczenia. Włożyłam majtki, stanik, legginsy i sukienkę, która właściwie była za dużą, szarą koszulką z długim rękawem, i wróciłam do pokoju Ellie.

Stała z wypiętym biodrem i wpatrywała się we mnie świdrującym spojrzeniem – znudzona supermodelka w majtkach z małą na tyłku. Wyjęłam z jej szafy trzy sukienki i trzymając wieszaki, użyczyłam każdej z nich głosu.

– Cześć, Ellie – powiedziałam piskliwym, sukienkowym głosem i pomachałam jedną z kreacji przed córką. – Mam cudowny fioletowy kolor!

– A ja mam spódniczkę baletnicy! – zapiszczałam po chwili, zasłaniając pierwszą sukienkę kolejną.

– Ale to ja jestem ulubiona! – oznajmiłam, uosabiając sukienkę numer trzy, żółto-pomarańczową, fantazyjnie ufarbowaną. Kupiłam ją na targu rękodzieła w Vermont, gdzie pojechaliśmy razem z Dave’em na weekend z okazji Dnia Kolumba, w październiku, dwa lata temu. Razem wzięliśmy udział w biegu – to znaczy, Dave pobiegł na dziesięć kilometrów, a ja zaczęłam bieg na pięć ambitnym truchtem, który powoli przeszedł w spacer, abym mogła bardziej nacieszyć się zielenią i zapachem dymu w powietrzu. Gdy nikt nie patrzył, wsunęłam dziesięć dolarów do stanika i teraz, upewniwszy się, że jestem ostatnią uczestniczką biegu, zatrzymałam się i kupiłam na straganie pączek z jabłkiem. Spędziliśmy noc w cudownym starym zajeździe. Spaliśmy w wielkim łożu z baldachimem,

umieszczonym tak wysoko nad podłogą, że wchodziło się na nie po ustawionych po obu stronach miniaturowych schodkach. Kolację zjedliśmy w restauracji otwartej w dawnym młynie, przy stoliku z widokiem na strumień. Posiłek składał się z pieczonej kaczki w ciemnym, wiśniowym sosie i butelki czerwonego wina o tak bogatym i aksamitnym smaku, że nawet ja, preferująca raczej napoje w stylu piña colady, wiedziałam, że to coś specjalnego. Na deser podano kremowe ptysie z sosem czekoladowym i po kieliszku porto. Właściciele zajazdu rozpalili ogień w kominku w naszej sypialni, zostawili też dla nas pudełko czekoladek i butelkę szampana. Pamiętam, jak wspinałam się na wysokie łoża, a Dave powiedział:

– Zróbmy to jak pielgrzymi.

– Czyli jak?

Wziął mnie w ramiona, pocałował w czoło, następnie w oba policzki, a potem w usta, powoli i przeciągle.

– Leż i nie wydawaj żadnego dźwięku, jakbyś próbowała jedynie przetrwać.

– Czyli jak zwykle.

– Och ty – powiedział, błyskając w uśmiechu białymi zębami i wsuwając dłoń pod białą, wykończoną koronką koszulkę nocną, którą kupiłam na tę okazję. Kochaliśmy się, później spaliśmy czternaście godzin, co było naszym rekordem, odkąd dołączyła do nas Ellie, potem zamówiliśmy do pokoju gofry i kielbaski na śniadanie i kochaliśmy się znowu. Resztę dnia spędziliśmy, spacerując po uroczym miasteczku i trzymając się za ręce. Kupiliśmy toffi z syropu klonowego i drewniany malowany karmnik dla ptaków.

To było przed pierwszą falą zwolnień w „Examinerze”, zanim każdy, kto kwalifikował się do wykupu, został przekonany, albo w niektórych przypadkach usilnie nakłoniony, by wziąć pieniądze i odejść. Teraz zamiast trzech dziennikarzy relacjonujących wydarzenia z ratusza był tylko jeden, Dave. Zamiast o dziewiętej zaczął wychodzić z domu o ósmej, a później o siódmej trzydzieści i rzadko widywałam go z powrotem przed ósmą wieczorem. W weekendy siedział pochylony nad komputerem albo wyrabiał kilometry wzdłuż Kelly Drive. Zaraz po ślubie uprawialiśmy seks trzy, cztery razy w tygodniu. Po urodzeniu dziecka częstotliwość zmalała do trzech lub czterech razy w miesiącu i taki miesiąc uznawałam za dobry. Czasami miałam wrażenie, że pojechałam do szpitala, urodziłam dziecko i pięć lat później ocknęłam się, by zdać sobie sprawę, że z mężem ledwie rozmawiamy, a seks stał się ostatnią pozycją na końcu bardzo długiej listy zadań do wykonania, a nie czymś, czego pragnęłam i za czym tęskniłam.

Właściwie uważałam, że to normalne. Oczywiście czytałam i słyszałam wiele o ochłodzeniu w sypialni po narodzinach dziecka. Wiedziałam, że namiętność z pierwszych lat związku nie płonie przez cały czas jego trwania, ale ostatnio zaczęłam się nad tym zastanawiać. Skoro nie rozmawiamy, to czego Dave

mi nie mówi? I z kim, w takim razie, rozmawia? Tak naprawdę nie byłam pewna, czy chcę poznać odpowiedzi na te pytania i odkryć sekrety męża, podobnie jak tego, czy chciałam, by on poznał moje.

– Mamusiu? MAMUUUSIU? – Ellie przebierała palcami przed moją twarzą, a potem próbowała usilnie i na razie bezskutecznie pstryknąć nimi.

– Przepraszam – powiedziałam.

Wskazała sukienki.

– Niech walczą!

– Wybierz mnie! – pisnęłam i pomachałam sukienką, by wyglądało, jakby miała napaść na drugą. – Nie, mnie! – Używając obydwu rąk i umiejętności, które zachwyciłyby lalkarza, operowałam sukienkami, sprawiając, że siłowały się i okładały nawzajem.

Wreszcie Ellie wskazała fantazyjnie farbowaną kreację.

– Tę założę dziś rano do szkoły, a tamtą – tu władczo skinęła głową w stronę fioletowej – kiedy wrócę do domu na przekąskę.

– Możecie mi teraz podskoczyć! Możecie mi podskoczyć! – podśpiewywałam. W moich rękach wygrywająca sukienka drwiła z pozostałych dwóch, a przegrane zwiesiły wieszakowe głowy. Znalazłam czerwone rajstopy i namierzyłam jedną z ulubionych wiązanych tenisówek w panterkę pod łóżkiem Ellie, a drugą znalazłam w łazience.

– Poczekaj tutaj – rzuciłam i pognałam do sypialni po swoje buty. Była siódma osiemnaście. Odgarnęłam z twarzy mokre włosy i spięłam je plastikową spinką, chwyciłam telefon i kliknęłam link zatytułowany: *Wszystko na pokaz w cyberprzestrzeni: nowe pokolenie pisarek odkrywa (w Internecie) coraz więcej.* Grrr!

Jak zwykle, pomyślałam i potrząsnęłam głową. To stara dziennikarska sztuczka. Dzwonią do kogoś i mówią: „Bardzo mnie interesuje to, czym się zajmujesz!” – oczywiście „interesuje” może znaczyć wszystko, poczynając od „zachwyca”, a kończąc na „budzi wstręt”. Po przeczytaniu nagłówka zdecydowanie podejrzewałam to drugie.

– Śniadanie! – zawołałam.

Ellie w zwolnionym tempie zwlekła się zgarbiona ze schodów, jakby brnęła przez gęsty krem czekoladowy. Wyjęłam ze spiżarni droższą, organiczną wersję płatków śniadaniowych ze sklepu ze zdrową żywnością i nasypałam kawy do filtra. Na mojej piersi zabrzączał telefon.

– Halo?

– Dzwoniłaś przed chwilą? – zapytała Janet.

– Nie. Chyba niechcący wybrałam numer cyckiem.

– Czuję się taka wyróżniona – zażartowała. – Czytałaś artykuł?

– Tylko nagłówek.

– Tekst jest cudowny, a zdjęcie wygląda wspaniale.

– Naprawdę? – W głębi serca mi ulżyło, ale wiedziałam również, że Janet stwierdziłaby, że ślicznie się prezentuję, nawet gdybym na zdjęciu wyglądała jak manat w sukience.

– Tak, jest... Conor, odłóż to! – wrzasnęła.

Skrzywiłam się, nalałam wody do ekspresu i nasypałam płatków do ulubionej miski z disnejowskimi księżniczkami. Ellie wyduła wargi:

– CHCĘ OWOCOWE KÓLECZKA!

Oczywiście. Nigdy w życiu nie nakarmiłam jej owocowymi kóleczkami, a wszystko, co jadła, charakteryzowało się małą zawartością tłuszczu, wysoką zawartością błonnika, brakiem hormonów, było zrobione z pełnych ziaren, bez dodatku syropu glukozowo-fruktozowego i zawierało więcej owoców niż tylko te ukryte w nazwie. Matka Dave'a, Nieugięta Doreen, gościła Ellie u siebie przez weekend, podczas którego zapewne córka odkryła cudowne, wysoko przetworzone, słodkie śniadaniowe pyszności. „Dałam je jej tylko raz!”, oznajmiła Doreen z nutą oburzenia w głosie, chociaż zapytałam ją o to najmniej konfrontacyjnym tonem, na jaki mogłam się zdobyć, i natychmiast zapewniłam, że nic się nie stało. Najwyraźniej ten jeden raz wystarczył.

– Wyślę ci link – zaproponowała Janet. – Wysunęłam dzbanek do kawy spod filtra i zamiast niego wstawiłam aluminiowy kubek termiczny. – Daj mi znać, jeśli będziesz chciała, żebym... Dylan, gdzie twoja kurtka?

– Do zobaczenia wieczorem – pożegnałam ją.

Janet miała troje dzieci: pięcioletnie bliźniaki Dylana i Conora oraz dziewięcioletnią córkę imieniem Maya, która zachowywała się jak dziewiętnastolatka. Na ślicznej twarzy miała niezmiennie zastygły, szydery uśmiech i uważała swoją matkę za beznadziejnie żenującą. Poznałyśmy się z Janet w parku Haverford Reserve, kiedy Ellie miała dwa lata, a ja próbowałam (gdy jeszcze było nas stać na sfinansowanie owych prób) prowadzić życie niepracującej, zajmującej się domem mamy. Chodziłam do parku, by wypełnić pół godziny między dziecięcymi zajęciami muzycznymi a ogólnorozwojowymi. Janet stała przed ławką, zakrywając oczy dłońmi. Była niewysoką kobietą średniej budowy ciała, z jasnobrązowymi włosami związanymi w kucyk, w drewniakach Dansko i przepięknym białym kaszmirowym płaszczu wiązanym w pasie, który trafnie zidentyfikowałam jako pamiątkę po dawnym życiu kobiety sukcesu (żadna matka małego dziecka nie kupiłaby białego ubrania). „Gotowi?”, zawołała. Chłopcy przytaknęli. Byli jednakowo ubrani w niebieskie dżinsy i koszulki w czerwono-niebieskie paski. Przy lampce wina, kiedy pierwszy raz poszliśmy na drinka, Janet powiedziała mi, że mają jedną szafę. Po trzecim kieliszku wyznała, że jest przekonana, że pomyliła ich w drodze powrotnej ze szpitala i że syn, którego wraz z Barrym nazywają Dylaniem, to właściwie Conor i na odwrót. „Raz... dwa...

trzy...”, zaczęła. Chłopcy rozbiegli się i pochowali, a ona liczyła dalej do dwudziestu. Gdy zniknęli, rozejrzała się wkoło, usiadła na ławce i wzięła do ręki kubek latte i egzemplarz „New Yorkera”. Patrzyłam na nią przez minutę, czekając, aż przewróci stronę, a potem odchrząknęłam.

– Nie ma pani zamiaru ich szukać?

– Oczywiście. W końcu. – Zamknęła czasopismo i spojrzała na mnie. Miała oliwkową cerę i twarz w kształcie serca, o przyjaznym wyrazie. Nie była piękna, jej oczy były osadzone trochę zbyt blisko siebie, a nos zbyt duży w stosunku do twarzy, ale miała ciepłe spojrzenie, zachęcające do rozmowy. Uśmiechnęła się, obserwując, jak kończę smarować policzki Ellie kremem przeciwsłonecznym i wycieram ławkę chusteczką odkażającą. – To pani pierwsze? – zapytała.

– Jak się pani domyśliła? – Wózek stał przede mną, na rączkach wisiały plastikowe torby pełne owoców i warzyw, które gotowałam i porcjowałam, żeby Ellie mogła zjeść pożywny lunch, a ona gryzła raz czy dwa, a potem przesuwiała po talerzu. W siatkowej kieszeni schowane były tubki kremu przeciwsłonecznego i żelu odkażającego, podobnie jak wolne od bisfenolu. A pojemniczki z przekąskami i sokiem, a z jedwabnej, różowo-zielonej torby na pieluchy z modnej kolekcji Petunia Pickle Bottom wystawał egzemplarz magazynu „Najszcześniejszy dzieciak w sąsiedztwie”, którym jak już podejrzewałam, moja córka nigdy nie będzie.

– Tyle wysiłku – powiedziała Janet i potrząsnęła głową. – Robiłam to samo przy pierwszym dziecku. Krem przeciwsłoneczny, żel antybakteryjny, wszystko organiczne, grupy zabaw dla dzieci...

Przytaknęłam. Ellie i ja zapisałyśmy się do grupy zabaw, która spotykała się raz w tygodniu po południu w żydowskim centrum kultury. Osiem mam siedziało w kółku i narzekało, podczas gdy dzieci chlapały się w umywalce, bawiły gliną i klockami, wsypywały płatki owsiane, jajka i miód do miski, a potem mieszały wszystko ośmioma plastikowymi łyżeczkami, śpiewając: „Czy znasz pana Muffina?” albo „Czy znasz panią Muffinkę?”, ponieważ pod żadnym pozorem zajęcia nie mogły sugerować, że kobiety nie nadają się idealnie do roli profesjonalnie wynagradzanych twórczyń pysznych wypieków. Za tę zabawę płaciłyśmy sto dolarów. Co robiły mamy, które nie miały pieniędzy? Cierpiały w milczeniu? Oglądały opery mydlane? Piły?

– Zajęcia gimnastyczne? – zapytała Janet.

– Zaliczone. – Uczęszczałyśmy na nie raz w tygodniu.

– Wspólne zajęcia muzyczne? – Uśmiechała się szerokim, lekko asymetrycznym uśmiechem. Lubiłam ją za jej zęby, nieco zbyt duże i krzywe na dole. Większość kobiet, które spotykałam w różnych grupach, na różnych zajęciach i lekcjach dla małych joginek, miała zęby pokryte oślepiająco białą licówką albo wybielone tak intensywnie, że niemal niebieskie. Podejrzałam, że porzuciwszy

wymagające prace, by w wieku trzydziestu kilku lat zostać mamami, dzieliły cały swój czas i energię, które normalnie poświęciłyby na karierę, pomiędzy troskę o dzieci i wygląd. Ja wykonałam pierwszą część zadania, gdy za namową Dave'a porzuciłam pracę w „Examinerze” i pilnowałam, by każda godzina dnia Ellie była wypełniona rozwijającymi zajęciami, by zawsze jadła zdrowe posiłki, a czas przed telewizorem był znacznie ograniczony, a nawet czytałam jej przez pół godziny w ramach rekompensaty za każde dziesięć minut gry na moim iPadzie.

Jeśli chodzi o mój wygląd, to farbowałam włosy głównie dlatego, że zaczęłam siwieć w wieku trzydziestu lat. Moja szafa nie była wypełniona twarzowymi, drogimi, klasycznymi ubraniami, jakie nosiły inne mamy z zajęć „Mama i ja”. Nie miałam również wymaganego sprzęzystego i pozbawionego fałdek ciała, by nosić owe kosztowne stroje. Ciągle planowałam pójść na pilates, crossfit albo na ćwiczenia dla matek z dziećmi, żebym mogła przestać chodzić w spodniach do jogi albo w jednej z wszystko znoszących swetrowych sukienek, znalezionych na wyprzedaży w sklepie Ann Taylor, które pasowały do obowiązkowych chodaków Dansko, niezgrabnego, śmiesznie dużego obuwia ambitnych mam z przedmieścia.

– Skoro już przyznaję się do wszystkiego, chodzimy również na zajęcia plastyczne – wyznałam.

– Co za ślicznotka – powiedziała Janet i pochyliła się, by przyjrzeć się Ellie, która obdarzyła ją promiennym uśmiechem, jakim nigdy nie uraczyła mnie. – Założę się, że nigdy nie zjadła niczego z syropem glukozowo-fruktozowym.

– Właściwie... – Nigdy nikomu o tym nie mówiłam, ani Dave'owi, ani żadnej z matek w centrum kultury, ani członkom grupy dyskusyjnej zrzeszającej filadelfijskich rodziców, ani nawet mojej matce, która nie zrozumiałaby, dlaczego to taka ważna sprawa. Jednak Janet miała w sobie coś, co zachęcało do zwierzeń. Ściszyłam głos, rozejrzałam się dookoła, czując się jak więzień na spacerunku. – Dałam jej kawałek kurczaka McNugget.

Janet posłała mi spojrzenie pełne teatralnego przerażenia, zakrywając usta dłonią bez manicure'u, ozdobioną jedynie pierścionkiem z dużym diamentem.

– Nie!

– Tak! – Kręciło mi się w głowie. Czułam, że wreszcie znalazłam kogoś, kto tak jak ja uważa, że cała ta kultura mamusiek jest szaleństwem. – Przed podróżą samolotem! Na lotnisku nie chciała przestać płakać, więc kupiłam jej Happy Meal. – Zamilkłam na moment, a potem pomyślałam: A, do diabła! – Dostała też frytki.

– Wszystkie chwytaki dozwolone, tak brzmi moje motto – oznajmiła Janet. – Latanie z dziećmi jest najgorsze. Kiedy w zeszłym roku poleciliśmy na Boże Narodzenie do teściów w San Diego, kupiłam najstarszej córce iPada i wzięłam ze sobą sprzęt swój i męża, żeby nie musieć wysłuchiwać kłótni, kto ma co oglądać. Mąż uważał, że zwariowałam. Oczywiście dali mu pierwszą klasę. Powiedziałam,

że albo odda mi swoje miejsce, albo to przeboleje.

– Przebolał?

– Przebolał – potwierdziła. – Nie było mowy, żeby zrezygnował z wygodnego siedzenia i wrócił, by ogarnąć cały ten cyrk. Dzięki Bogu zostało mi pół opakowania vicodinu, który dostałam po usunięciu zęba mądrości.

– Mmm. – Tego zamierzonego ranka nie brałam żadnych leków przeciwbólowych, zresztą nie robiłam tego, od kiedy skończył mi się percocet przepisany po cesarskim cięciu, ale pamiętałam, jak radosna, rozluźniona i zrelaksowana czułam się po ich zażyciu. Pokrewna dusza, pomyślałam, patrząc na Janet, ktoś, kto podziela moje sarkastyczne poczucie humoru i taktykę uspokajania dzieci pod hasłem: „cel uświęca środki”.

To było trzy lata temu i teraz codziennie rozmawialiśmy albo wymienialiśmy esemesy i spotykałyśmy się przynajmniej dwa razy w tygodniu. Pakowałyśmy dzieciaki do jej SUV-a i jechałyśmy do jednej z sal zabaw albo do muzeum. Latem zabierałyśmy dzieci na basen na dachu wieżowca, w którym mieszkali jej rodzice. Zimą chodziłyśmy do żydowskiego centrum kultury w Cherry Hill i czasami spotykałyśmy się z moimi rodzicami na pizzę. Eloiza uwielbiała Mayę, której bardzo się podobało, że ma miniaturową wielbicielek, chodzącą za nią krok w krok i nabożnie powtarzającą każde jej słowo. Ja natomiast cieszyłam się, że córka ma starszą koleżankę, nawet jeśli oznaczało to, że czasami wracała do domu, śpiewając: „Jestem seksowna i wiem o tym”, albo z powagą oznajmiała, że „nikt już nie słucha Justina Biebera”. Ona i chłopaki zazwyczaj ignorowali się nawzajem, co mnie pasowało. Gdyby polubiła jednego bardziej niż drugiego, musiałabym w końcu nauczyć się ich odróżniać.

Teraz, w kuchni, spakowałam telefon, wzięłam do ręki kubek z kawą, a z blatu pudełko na drugie śniadanie. Jak tylko poczułam w dłoni jego ciężar, a właściwie jego lekkość, zorientowałam się, że poprzedniego wieczoru zapomniałam spakować córce jedzenie.

– Cholera! – mruknęłam i spojrzałam na Ellie, która była zajęta zdejmowaniem butów. – Ellie, ani mi się waź! – Szybko otworzyłam lodówkę, chwyciłam jogurt, kartonik soku, paluszek serowy, garść winogron i pojemniczek ryżu, który został z weekendu, kiedy zamówiliśmy chińskie jedzenie na wynos. Prawdopodobnie dostanę życzliwego mejla od nauczycieli z przypomnieniem, że Stonefield propaguje ekologiczny styl życia, a rada rodziców i nauczycieli uzgodniła, że powinniśmy starać się tak pakować drugie śniadania, by produkować jak najmniej śmieci, ale co tam. Przynajmniej nie dostała żadnych produktów z orzeszkami, za co dziecko mogło zostać zawieszona w prawach ucznia. Była siódma czterdzieści jeden. – Kochanie, chodź.

Ellie westchnęła i zaczęła powoli kroczyć w stronę drzwi, w samych skarpetkach. Chwyciłam jej kurtkę i zobaczyłam, że córka wciąż ma mokre włosy,

które już zdążyły skołtunić się na karku. Zagryzłam zęby, odstawiłam kubek i pudełko z drugim śniadaniem, popędziłam sprintem na górę, złapałam spray do rozczesywania włosów, grzebień z dużymi zębami i opaskę Hello Kitty. Ellie, zobaczywszy mnie, zareagowała tak jak skazaniec na widok uzbrojonego strażnika w dniu egzekucji.

– NIEEEE! – krzyknęła i dała nura pod stół.

– Ellie – zaczęłam, utrzymując rozsądny ton głosu. – Nie mogę pozwolić, byś poszła do szkoły z taką fryzurą.

– Ale to BOLI!

– Zrobię to najszybciej jak się da.

– Ale to będzie bolało BARDZIEJ!

– Ellie, proszę, wyjdź stamtąd.

Nic.

– Liczę do trzech i jeśli nie usiądziesz na krześle... – Ściszyłam głos, chociaż Dave już wyszedł. – W poniedziałek nie obejrzysz *Kawalera do więzienia*. – Oczywiście wiedziałam, że kiczowaty program o randkowaniu nie był odpowiedni dla dziewczynki w jej wieku, ale to była moja grzeszna przyjemność, a ponieważ w poniedziałki Dave zwykle pracował do późna, zamiast walczyć z Ellie, by położyła się spać, i patrzeć, jak kilka razy zakrada się do mojej sypialni, prosi o wodę albo dodatkowe psiknięcie sprayem na potwory (w rzeczywistości był to odświeżacz powietrza, z którego zdarłam etykietkę), ryzykując tym samym, że przerwie mi w trakcie najbardziej dramatycznej sceny w historii programu, pozwalałam jej oglądać go ze mną.

Jęcząc jak postrzelony w brzuch jeniec, z ociąganiem wypęzła spod stołu i powoli usiadła na krześle. Rozpyliłam truskawkowy płyn do rozczesywania włosów, wzięłam głęboki oddech i najdelikatniej jak potrafiłam, przeciągnęłam grzebieniem od czubka głowy Ellie do karku.

– AUA! PRZESTAŃ!

– Nie ruszaj się – powiedziałam przez zaciśnięte zęby, podczas gdy Ellie wierciła się, jęczała i oskarżała mnie, że próbuję ją zabić. – Ellie, proszę, siedź spokojnie.

– Ale to BOOOLI! – jęczała. Łzy płynęły jej ciurkiem po twarzy, mocząc kołnierzyk. – PRZESTAŃ! TO BOLI! MORDUJESZ MNIE!

– Ellie, nie będzie tak bolało, jeśli przestaniesz krzyczeć i się wiercić! – Pocałam się i dysząc, przeciągnęłam grzebieniem po jej włosach. Może być, stwierdziłam i użyłam opaski, by odgarnąć loki wpadające jej do oczu. Potem wzięłam Ellie pod pachę, chwyciłam jej kurtkę, na wpół usadziłam, na wpół wrzuciłam córkę do fotelika samochodowego i wreszcie zawiozłam do szkoły.

===LUIgTCVLIA5tAm9Pfkx+RnRHZwByE2kQfh9vAHIXdQZtDEwjU30NYQ=

=

Mój telefon zadzwonił, kiedy wjeżdżałam na podjazd.

– Widziałaś? – zapytała Sarah.

– Tylko nagłówek – odpowiedziałam. Znowu się spóźniłam. Pani Dale, nauczycielka, która ma gdzieś wymówki i tego ranka miała dyżur przy wejściu do szkoły, uśmiechnęła się do mnie przez zaciśnięte usta, kiedy tłumaczyłam jej, dlaczego Ellie nadal ma wilgotne włosy.

– Generalnie świetny, w siedemdziesięciu pięciu procentach pozytywny.

Oblał mnie zimny pot, a serce na chwilę zamarło.

– A co z pozostałymi dwudziestoma pięcioma procentami? – zapytałam, starając się zachować pogodny ton.

– No wiesz – ściszyła głos tak, że brzmiała jak Orzeł Sam z Muppetów. – „Niektórzy dziennikarze kwestionują wzrost liczby kobiecych stron internetowych i zastanawiają się, czy poruszane na nich tematy, takie jak seks, randkowanie i polityka dotycząca małżeństw i macierzyństwa, jak również sposób ich przedstawiania, z charakterystycznym, tanim, śmiałym poczuciem humoru, sprzyjają feminizmowi”.

– Niektórzy dziennikarze – powtórzyłam. – Zacytował kogoś konkretnego?

Sarah parsknęła swoim szyderczym śmiechem.

– Ha, dobre. O ile mi wiadomo, „niektórzy dziennikarze” to jego dziewczyna, mama i wkurzony stażysta, który nie nadawał się do Kobiecego Salonu.

Otworzyłam laptop, zobaczyłam, że bateria padła, ponieważ nie podłączyłam go do prądu poprzedniego wieczoru, i zaczęłam szukać w salonie komputera Dave’a. Wiedziałam, że Sarah prawdopodobnie ma rację. Zajmowałam się dziennikarstwem wystarczająco długo, by wiedzieć, że anonimowe cytaty zwykle pochodzą od zawiedzionych podwładnych, którzy nie mają odwagi podpisać się pod swoimi słowami krytyki. Ale to ja zajmowałam się – jak to określono w czasopiśmie? – „polityką dotyczącą małżeństw i macierzyństwa” i cokolwiek napisano w artykule, na pewno mnie zaboli.

Zaczęłam pisać na temat małżeństwa i macierzyństwa przypadkowo, za sprawą posta na moim prywatnym blogu, skierowanym tylko do przyjaciół, zatytułowanego *Pięćdziesiąt twarzy leee*. Napisałam go po tym, jak kupiłam *Pięćdziesiąt twarzy Greya*, by uatrakcyjnić nasz „czas dla dorosłych”, jak żartobliwie nazywaliśmy go z Dave’em, i przedstawiłam swoje przemyślenia na temat tego, że seks nie jest najseksowniejszą częścią książki. „Kochani wydawcy, powiem wam, dlaczego każda kobieta z obrączką na palcu i fotelikiem dziecięcym w samochodzie typu SUV pochłania tę książkę jak słodczyce, na które sobie nie

pozwała”, napisałam. „Nie chodzi o fantazje na temat niemożliwie przystojnego faceta, który może doprowadzić do orgazmu samym muskaniem jej sutków. Chodzi natomiast o wyobrażenie mężczyzny, który może dać jej wszystko. Nieszczęśliwa, zielona, niemal niezdolna stać prosto o własnych siłach Ana Steel jest najbardziej nieprawdopodobnym stworzeniem. To studentka college’u, która nie ma adresu mejlowego, komputera ani bladego pojęcia o niczym. Okazuje się jednak, że nie potrzebuje żadnej z tych rzeczy. Pojawia się bowiem dominujący Christian Grey i daje jej ten komputer, dodatkowo iPada, beemkę, pracę i tożsamość (seksualną i każdą inną). Koniec z zamartwianiem się o ubrania – Christian jej je kupuje. Koniec ze stresem, jak właściwie zachować się w łóżku – Christian o tym decyduje. Dla kobiet, które robią zbyt wiele – a zaliczają się do nich, drodzy wydawcy, właściwie wszystkie te, które mają na zbyciu wystarczającą ilość pieniędzy, by kupić waszą książkę – to jest fantazja o idealnym świecie: nie mężczyzna, który doprowadzi cię do orgazmu, ale taki, który sprawi, że biuro podróży stanie się zbędne, ponieważ on sam wybierze dla ciebie przygodę”.

Zamieściłam post w południe. Do obiadu został podlinkowany, zacytowany na Twitterze i przeczytany więcej razy niż jakikolwiek tekst, który do tej pory opublikowałam. Następnego ranka otrzymałam mejl od kobiety, która podpisała się Sarah Lai. Uruchamiała nową stronę internetową i chciała mi zaproponować stałą współpracę.

– Piszę o seksie – poinformowała mnie. – Nie przestrasz się tego, co przeczytasz, gdy mnie wygooglujesz.

Po drodze do Nowego Jorku wyszukałam ją w internecie i przeczytałam wpisy na temat zabawy w konika i nowej generacji wibratorów.

Weszłam do greckiej restauracji w centrum, gdzie umówiliśmy się na lunch. Spodziewałam się zobaczyć odzianą w skórę lisicę, kocicę z pejczem, w lateksowym kostiumie, na niebotycznie wysokich obcasach striptizerki. Tymczasem Sarah Lai wyglądała jak uczennica, w białej koszuli z kołnierzykiem wpuszczonej w szarą plisowaną spódnicę. Jej wizerunek dopełniały czarne rajstopy i konserwatywne kozaki na płaskiej podeszwie.

– Wiem, wiem – odparła z uśmiechem, gdy przyznałam, że nie wyglądała tak, jak się spodziewałam. – Cóż mogę powiedzieć. Szare myszki zaskakują najbardziej. – Odłożyła kawałek pity, którą nabierała humus i zapytała: – Skąd wiedziałś, że twój mąż to ten jedyny?

Spojrzałam na nią zaskoczona. Oczekiwałam, że zapyta mnie, jak zaczęłam pisać bloga, skąd czerpię inspirację, których pisarzy podziwiam, jakie inne blogi czytam. Na jej twarzy, pod maską twardej, cynicznej dziewczyny, dostrzegłam szczerą ciekawość i... nadzieję. Miała dwadzieścia sześć lat, być może wystarczająco dużo, by mieć chłopaka na poważnie i zastanawiać się, co ja robiłam w jej wieku, czy jest dobrym materiałem na partnera, czy tylko umili jej wakacje.

– Po naszej pierwszej randce nie byłam nawet pewna, czy chcę się z nim spotkać jeszcze raz – wyznałam, przypominając sobie Dave’a siedzącego przy stoliku w restauracji w Chinatown, gdzie chodziliśmy po pracy. – Był przystojny, ale bardzo poważny. Trochę mnie przerażał. Uważałam, że jest ode mnie o wiele bardziej inteligentny, nadal czasami tak myślę, i był, no wiesz, całkowicie skupiony na pracy. Rozmawialiśmy o tekście, nad którym wówczas pracował, o kandydacie na burmistrza, którego podziwiał, i trzech innych ubiegających się o to stanowisko, jego zdaniem głupich lub skorumpowanych, a potem opowiedział mi o swoim pomysle na centrum handlowe „Ja ta-ka”, którym całkowicie mnie do siebie przekonał.

– Ja ta-ka? – Sarah wyglądała na urzeczoną i wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi oczami. Niemal wyciągnęła notes, by zrobić notatki.

– Pewnie jesteś za młoda, by pamiętać film *Full Metal Jacket*? W jednej ze scen wietnamska prostytutka mówi: „Ja ta-ka napalona”. Tak brzmiał potem tytuł piosenki rapowej. – Byłam przekonana, że Sarah nie ma pojęcia, o czym mówię, ale i tak przytaknęła. – Dave wymarzył sobie sieć sklepów i punktów usługowych. Burdel pod nazwą „Ja ta-ka napalona”, restaurację „Ja ta-ka głodna”, gabinet psychiatryczny „Ja ta-ka smutna”, sklep odzieżowy...

– „Ja ta-ka naga”? – zgadywała Sarah.

– Albo „Ja ta-ka zmarznięta”. Gabinet lekarski „Ja ta-ka chora” i firma sprzątająca „Ja ta-ka brudna”. – Śmiałam się na wspomnienie coraz bardziej głupkowatych nazw, które wymyślaliśmy, i momentu, gdy udało mi się w rozbawieniu dotknąć dłoni i nadgarstka Dave’a. – To wystarczyło. Zaczynał już łyścić i czasami mnie nudził, ale powtarzałam sobie, że zawsze będziemy mieć „Ja ta-ka”. Zawsze będzie mnie rozśmieszał.

Sara przytaknęła. Miałam wrażenie, że pokonałam jakąś niewidzialną przeszkodę, zaliczyłam test, w którym nieświadomie wzięłam udział. Sarah przeprowadziła się do Nowego Jorku z Ohio, zatrudniła się w kawiarni i dała sobie rok na to, by wybić się jako pisarka. Kiedy się poznałyśmy, zaczęła zarabiać całkiem niezłe pieniądze na reklamach na blogu. Marzyła o tym, by uruchomić większą stronę, bardziej wszechstronną, mniej skoncentrowaną na seksie.

– Moda, kuchnia, czasopisma, małżeństwo, dzieci i tego typu tematy – wyrecytowała, zanim podała kelnerowi nasze zamówienia, składające się z musaki, grillowanej jagnięciny, nadziewanych liści winogron i kolejnej porcji ciepłej pity. – Oczywiście sama będę pisać o seksie, ale potrzebuję kogoś, kto zajmie się małżeństwem i macierzyństwem. – Przy lunchu omówiłyśmy projekt graficzny, zakup reklam, pomysły, nagłówki i tytuły. Przy deserze Sarah zaproponowała, żebym spróbowała poprowadzić kolumnę i napisała kilka postów na jej bloga.

– Jesteś pewna, że nie wolisz kogoś bardziej doświadczonego? – zapytałam. Nigdy nie myślałam o sobie jak o pisarce. To Dave był pisarzem, a ja dziewczyną

od grafiki i obrazków, ale z pewnością przydałyby nam się dodatkowe pieniądze. Poza tym prawda była taka, że siedzenie w domu z dzieckiem, teraz zaczynającym chodzić, nie dastarczało mi takiej satysfakcji jak niegdyś praca w gazecie. Praca zawodowa dawała mi poczucie spełnienia. Zaczynałam od rozplanowania strony, tworzyłam grafikę albo dodawałam idealny klip wideo do artykułu o upadających szkołach i w końcu, po redakcji i otrzymaniu informacji zwrotnych, a czasem zaczęciu wszystkiego od nowa, praca była skończona. W macierzyństwie i małżeństwie nie ma linii mety, wyznaczonej godziny, dnia ani roku, kiedy będzie można stwierdzić, że się skończyło. Życie po prostu się toczy, bez końca i formy, bez oceny okresowej, podwyżek, informacji zwrotnych ani dwutygodniowych wakacji. Myślałam, że powrót do pracy pozwoli mi odzyskać to poczucie satysfakcji, które kiedyś czerpałam z dobrze wykonanego zadania, a nawet z po prostu wykonanego.

– Czym ta strona będzie się różniła od innych kobiecych stron w internecie?
– zapytałam.

Sarah, która najwyraźniej czekała na to pytanie, z entuzjazmem zaczęła mi opowiadać o jej tonie, treści i zaangażowaniu czytelników. Skubałam nadziewany liść winogrona i myślałam o tym, jakie mam szczęście. Bez wysiłku z mojej strony rozwiązanie zmartwień znalazło się u moich stóp, jak wrzucony przez okno pięknie opakowany prezent.

KobiecycySalon.com wystartował sześć tygodni po mojej rozmowie rekrutacyjnej. Znalazł swoją niszę w internetowym świecie, podobnie jak reklamodawców, szybciej niż się spodziewaliśmy. Cztery miesiące później stronę wykupiła większa firma, chcąc poszerzyć działalność. Pracowałam ciężiej niż w „Examinerze”, pierwszy raz od czasów college’u zarywałam noce i brnęłam przez kolejne dni na espresso i dwudziestominutowych drzemkach, codziennie korespondując z ludźmi, którzy odpowiadali na moje posty. A teraz „The Wall Street Journal” uznał, że jesteśmy, w pewnym sensie, warte opisanie.

– Zadzwoń do mnie, gdy go przeczytasz – poprosiła Sarah.

Wydałam z siebie potakujący odgłos, włączyłam laptop Dave’a i odnalazłam artykuł. Przewinęłam streszczenie naszej drogi do sukcesu, cytaty z żartobliwych sprzeczek i wypowiedzi krytyków, którzy kwestionowali nasze doświadczenie i pytali, czy celem była promocja samych siebie. Pod tytułem *Głośne życie* odnalazłam swoją fotografię.

– O Boże – jęknęłam. Miałam na sobie różową, dzianinową sukienkę i cieliste szpilki. Obie z Sarah pozowałyśmy na jej biurku, na tle okien od podłogi do sufitu, z widokiem na Bryant Park. Podczas sesji wydawało mi się, że wyglądamy ładnie, jednak na widok zdjęcia, pomyślałam jedynie o „przed” i „po”. Długo, długo po. Co gorsza, podpis brzmiał: „Seksowne mamuśki: mamy blogerki Allison Weiss i Sarah Lai w pracy na Manhattanie”. Pomijam już to, że ja wcale

nie wyglądałam seksownie, a Sarah nawet nie była mamą. Co tam! Przynajmniej wyglądałyśmy względnie profesjonalnie. Fotograf, który najwyraźniej spodziewał się internetowej wersji *Szalonych dziewczyn*, rozczarował się na widok kobiet w biznesowych strojach, z których jedna miała pod czterdziestkę i ani śladu tatuażu (Sarah miała ich kilka, „tylko nie tam, gdzie sędzia mógłby je zobaczyć”, jak to ujęła). Niezbyt delikatnie spychał mnie na peryferia lub na tyły ujęć, jednocześnie prosząc Sarah, by pochyliła się nad biurkiem albo oparła dłonie na kolanach i machała pośladkami nad laptopem.

– No wiesz, coś w stylu *Seks w internecie*.

Kiedy odmówiła i grzecznie odrzuciła propozycję sfotografowania jej z pejczem, poprosił, byśmy odegrały scenę walki z użyciem jadalnej farby do ciała (dziękuję, postoję). W końcu zapytał, czy możemy przynajmniej stanąć obok siebie.

– I czy możecie dotykać się nawzajem?

Odmówiliśmy, ale zgodziłyśmy się porzucić jajkiem – wibratorem zaprojektowanym tak, by wyglądał jak minutnik kuchenny. Sarah napisała jego recenzję w swoim comiesięcznym przeglądzie zabawek erotycznych.

Odwróciłam się od laptopa, wsunęłam palce do torebki, znalazłam puszkę, włożyłam pod język pigułki, które wkrótce miały być mi potrzebne, czyli dwie tabletki percocetu. Otrzymałam je dzięki uprzejmości mojego dentysty, który nadal przepisywał mi lek na ból po wyrwaniu zęba mądrości sześć miesięcy temu. Potem zadzwoniłam do Sarah.

– Jest wspaniały! – zawołałam. Chciałam sprawiać wrażenie radosnej, ale mój ton głosu był raczej histeryczny.

– Mówiłam ci, że to nic wielkiego – odpowiedziała.

Wzięłam głęboki oddech.

– Martwię się tylko tym, co pomyśli Dave.

– Aha. – Młodszy o dziesięć lat chłopak Sarah niezachwianie ją wspierał i, o ile mi wiadomo, wcale nie czuł się zagrożony faktem, że jego dziewczyna zarabia na życie, pisząc o trójkątach i sado-maso.

– Ale będzie dobrze – zapewniłam ją. – Powinnam lecieć i zabrać się za swój post. Zadzwonię później.

Rozłączyłyśmy się, a ja leniwie przewinęłam tekst na koniec, gdzie ukazały się już dwadzieścia trzy komentarze. Kliknęłam i zaczęłam czytać. „Haha! Ta w różowym wygląda jak Jabba the Hutt. Nic dziwnego, że potrzebuje zabawek erotycznych!”

– Ale to nie ja piszę o zabawkach erotycznych – powiedziałam, jakby komputer mógł mnie usłyszeć. Potrząsnęłam głową i czytałam dalej. „Walnąłbym tę...”, napisał drugi komentator. Zostawił następnie trzy puste linijki, które przewinęłam i zakończył – „...cegłą, żeby dostać tę seksowną”. Trzeci pominął

kwesję mojego wyglądu i zajął się kwalifikacjami. „To dlatego terroryści nas nienawidzą”, dodał czwarty.

Zamknęłam oczy. Uspokajałam się myślą, że nie ma znaczenia, co ma do powiedzenia banda nieznajomych, którzy, najwyraźniej, ledwie potrafią czytać i nigdy mnie nie spotkają. Przekonywałam się, że zamartwianie się komentarzami w internecie jest idiotyczne. Przecież ci ludzie nie mogą wyciągnąć ręki przez ekran i faktycznie mnie zranić. Nie traktowali mnie nawet jak żywej osoby. Byłam dla nich nazwiskiem, zdjęciem, hasłem, jak feminizm albo „dzisiejsze kobiety”. Powiedziałam sobie, że wyglądam dobrze i że ludzie, którzy napisali te pełne nienawiści słowa, są zapewne idiotami, którzy grają w gry wideo w piwnicach rodziców i wypuszczają joysticki z rąk tylko po to, by wypluć trochę jadu w sieci, a potem zawzięcie się masturbować.

Komputer Dave’a zadzwieczał cicho, podobnie jak mój laptop, gdy przychodzi mejl. Odruchowo włączyłam skrzynkę pocztową i kliknęłam w link prowadzący do listu. Była to wiadomość do Dave’a od LMcintyre@phila.gov o treści: „Wszystkiego najlepszego!”.

W porządku, pomyślałam, całkiem niewinna korespondencja. Potem jednak nadeszła kolejna wiadomość i ją również otworzyłam, niemal bez zastanowienia. Tę wysłał Dave. „Lunch aktualny?”, zapytał.

„Oczywiście”, odpisał nadawca, L. McIntyre. Przebiegłam w głowie listę męskich imion zaczynających się na „l”. Larry, Luke, Lawton, Lonnie. Przewinęłam tekst do następnej linijki. „Nie mogę się doczekać!”

Hmm. Kolejna teoretycznie nieszkodliwa treść. Odpowiedź Dave’a: „Do zobaczenia wkrótce” również była całkowicie poprawna. Jednak oprócz standardowego podpisu – David Weiss, dziennikarz – dodał emotikonkę: mrugającą, żółtą, uśmiechniętą twarzyczkę, taką, jakie niezbyt obyte czternastolatki wysyłają do chłopaków, w których skrycie się kochają. Na ich widok Dave i ja przewracaliśmy oczami i przysięgliśmy nigdy ich nie używać.

– Jesteśmy ludźmi słowa – mawiał i chociaż osobiście bliższe mi były obrazy, zgadzałam się z nim, że owe głupie symbole były szczytem idiotyzmu, który zmieniał rozmowy dorosłych w teatrzyk kukielkowy i rujnował język. Teraz jednak, jeśli wzrok mnie nie mylił, mój mąż używał emotikonek, korespondując z kimś, kto nazywał się L. McIntyre.

Nie rób tego, błagał głos w mojej głowie. Komputer zadzwieczał ponownie i nadeszła odpowiedź L., kolejna uśmiechnięta twarzyczka, tym razem ze szminką na ustach i długimi rzęsami.

– Nie, chyba sobie żartujesz! – krzyknęłam.

Dobra, po kolei. Związałam włosy w kucyk i dosłownie zakasałam rękawy. Nigdy nie posiadałam umiejętności googlowania na poziomie ninja, którą dziennikarze „Examinera” uważali za oczywistą, ale nie potrzebowałam jej.

Szybkie wyszukiwanie ujawniło, że L. McIntyre to Lindsay McIntyre, federalna prokurator śledcza, absolwentka Uniwersytetu Pensylwanii i akademii prawniczej Temple, wyglądająca – poproszę Janet, by to potwierdziła – jak młodsza, bledsza, bardziej mysia wersja mnie. Obie miałyśmy włosy do ramion i podobne rysy, tyle że moja twarz była pełniejsza, a jej cera jaśniejsza. Widać było jednak między nami zdecydowane podobieństwo, poza tym, że ona była samotna. I młoda.

Dopiero minęła dziesiąta rano, a miałam wrażenie, że mokra pobudka dotyczyła innej osoby i miała miejsce jakieś sto lat temu. Rozważałam wzięcie kolejnej tabletki, ale uznałam, że nie mogę sobie pozwolić na taki luksus. Bez względu na to, co działo się z moim mężem, miałam pracę do wykonania.

Siedziałam przed laptopem. Otworzyłam nowe okno i wpisałam jedno słowo: „zdemaskowany”. Wyraz zdawał się rozszerzać i kurczyć, pulsując na górze strony jak zainfekowany ząb. „Podejrzewam, że mój mąż ma romans”, wystukałam, a potem, jakby napisanie tych słów mogło sprawić, że staną się rzeczywistością, skasowałam je. Objęłam się ramionami i siedziałam tak naprzeciw komputera, bujając się w przód i w tył. Rozważałam telefon do Sarah z prośbą o wolny dzień, ale wiedziałam, że szczególnie dzisiaj, kiedy ruch na stronie będzie prawdopodobnie największy w historii, nie ma szans, bym mogła się schować.

Zacisnęłam powieki, a do moich uszu dobiegł stukot palców uderzających w klawiaturę mocniej niż potrzeba. „Hej, komentatorzy, przepraszam”, napisałam. „Przykro mi, że moje obrzydliwe, kluchowate ciało (które właściwie nie jest większe niż ciało przeciętnej Amerykanki, ale kto by się tym przejmował) was obraża. Przepraszam, że byłam na tyle głupia, by pozować do zdjęcia i pozwolić, by ukazało się światu, zamiast schować się za awatarem aktorki lub nalegać, by podrasowano mój wizerunek do akceptowalnej formy.

Przykro mi, że samo moje istnienie zmusiło was do faktycznego zastanowienia się nad rzeczywistością kobiety, która nie jest ani modelką, ani aktorką i nie czuje się zmuszona, by się głodzić i wymiotować, ani spędzać godzin na rygorystycznych ćwiczeniach po to, by z trudem dostać się na teren oznaczony „do przyjęcia” i tym samym móc pokazywać się publicznie.

Przykro mi, że nie jestem chuda. Przykro mi, że nie odessano mi tłuszczu, nie wygładzono twarzy, nie poprawiono nosa, nie złuszczone skóry i nie wyskubano brwi. Przykro mi, że zmusiłam was, abyście w nieprzyjemny sposób zdali sobie sprawę, że **WIĘKSZOŚĆ KOBIET NIE WYGLĄDA TAK JAK KOBIETY W TELEWIZJI**. Przykro mi, że nawet kobiety, które widzicie w telewizji, nie wyglądają tak, jak kobiety, które widzicie w telewizji, ponieważ zostały umalowane i odpowiednio oświetlone, wciśnięte w bieliznę korygującą sylwetkę i ustawione w odpowiedniej pozie.

Przykro mi, że najwyraźniej mieszkacie z terrorystami, którzy potrafią zmusić was do czytania artykułów, które was nie interesują. To musi być okropne!

Osobiście mogę kliknąć myszką lub przewrócić stronę i natychmiast przestać patrzeć na coś, co nie przyciąga mojej uwagi, nie interesuje mnie albo podłączyć się do światopoglądu, który chcę promować. Podczas gdy ty, biedna, nieszczęsna duszo, zmuszona jesteś czytać każdą odrażającą sylabę napisaną przez jakąś niekompetentną kurę domową. Jakże smutne musi być twoje życie!”

Uznałam, że nigdy tego nie wydrukują. Zapisałam więc plik, wylogowałam się, a potem siedziałam z walącym sercem, pragnąc znaleźć się gdzie indziej lub stać się kimś innym.

Powiedziałam sobie, że nie zajrzę ponownie do skrzynki pocztowej Dave’a, i nie zrobiłam tego. Obiecałam sobie również, że nie przeczytam kolejnych komentarzy na stronie „Wall Street Journal”, ale oczywiście obsesyjnie odświeżałam stronę, patrzyłam, jak lista się wydłuża, i czułam, jak każda obelga i okrutna uwaga pałą mój mózg. „FEMINAZZI”, głosił jeden z komentarzy. Pełen złości człowiek, który nie zna nawet ortografii. Wspaniale. Zastanawiałam się, czy Dave widział artykuł, czy czytał komentarze, jak mógł się czuć, obserwując, jak świat ocenia jego żonę i stwierdza, że jest wybrakowana.

Tuż przed południem zadzwonił mój telefon, a na wyświetlaczu pojawił się numer mamy. Od dnia, gdy zadzwoniła do mnie ze słowami: „Tata zgubił się dziś rano w drodze do Żydowskiego Centrum Kultury”, rozmawialiśmy codziennie, nawet jeśli większość rozmów polegała na tym, że ona cicho szlochała, a ja wiałam się na krześle.

Odebrałam telefon:

– Cześć, mammo.

– Trzymasz się? – zapytała. Przez jedną szaloną chwilę pomyślałam, że jakimś cudem dowiedziała się o L. McIntyre i że dzwoni, by mnie pocieszyć. Było to, oczywiście nedorzeczne z dwóch powodów: moja matka nie miała pojęcia, co się dzieje w moim życiu prywatnym, a nawet gdyby było inaczej, nie wiedziałaby, jak mi pomóc, i nawet by nie próbowała.

– Z jakiego powodu mam się trzymać? Czy coś się stało? – Czy mój ton sugerował, że źle się miewam? Chyba tak, skoro każdy dzwoniący zaczynał rozmowę od pytania, jak się trzymam.

– Och, nie, ale czytałam artykuł.

– Nie czytaj komentarzy – zasugerowałam. Jak tylko słowa wyszły z moich ust, uświadomiłam sobie, że jeśli jeszcze ich nie przeczytała, moja sugestia, by tego nie robiła, z pewnością ją do tego nakłoni.

– Dużo się działo tego ranka – oznajmiła mama. – Sharon Young przyszła po mnie na jogę i pokazała mi artykuł w telefonie. – Zamilkła. Zebrałam się w sobie.

– Sezon ogórkowy – wymamrotałam.

– Powiedziałam jej, że pewnie niewiele osób go przeczyta, i dodałam, że to Dave jest prawdziwym pisarzem, a ty robisz to dla zabawy.

– Dla beki.

– Co takiego?

– Masz rację, robię to tylko dla zabawy – przytaknęłam, podziwiając, co często robiłam, biernoagresywny geniusz mojej matki, to, jak potrafiła umniejszyć i zlekceważyć każde moje osiągnięcie pod pozorem działania dla mojego dobra.

Porzuciwszy temat swojej sprawiającej kłopoty, upartej córki, mama przeszła do kolejnego:

– Tatuś ma jutro wizytę u urologa.

Mówiąc „tatuś”, miała na myśli swojego męża, mojego, a nie swojego ojca. Poza tym myślałam, że wizyta umówiona została na przyszły tydzień. Czyżbym pomyliła datę, może źle ją zapisała po zażyciu zbyt wielu tabletek?

Mama ściszyła głos:

– Miał dziś rano wypadek, więc zadzwoniłam, by sprawdzić, czy go dzisiaj przyjmą.

Wzdrygnęłam się. Czułam się zażenowana na myśl o tacie i szkoda mi było mamy, która musiała teraz oglądać swojego męża, mężczyznę, którego kochała i z którym żyła przez ponad czterdzieści lat, zawstydzonego, z przemoczonymi spodniami od piżamy przyklejonymi do chudych nóg.

– To ostatnio często się zdarza – powiedziałam.

– Co?

– Nic.

Mama zaczęła płakać.

– Przepraszam – powiedziała jak zwykle, gdy przepraszała za swoje łzy. – Po prostu tak trudno mi patrzeć na to, co się z nim dzieje.

– Wiem, mamo. – Ja też czułam się okropnie, gdy widziałam jego obwisłe usta, oczy, które niegdyś niczego nie przegapiły, teraz rozbiegane, zamglone, schowane za okularami dwuogniskowymi.

– Był taki zażenowany – przyznała matka. – To było straszne.

– Wyobrażam sobie – powiedziałam. Wiedziałam, że chociaż Eloiza daje mi popalić, nakłonienie siedemdziesięciolatka z wczesnymi objawami alzheimera do rozebrania się i wejścia pod prysznic było nieporównywalnie trudniejsze, zwłaszcza dla mojej matki mierzącej sto pięćdziesiąt dwa centymetry i ważącej czterdzieści trzy kilogramy.

– Chciałabym, żebyś poszła z nim do lekarza.

– O której jest wizyta?

– O dziewiątej. – Pociągnęła nosem. Jej kalifornijski akcent rozciągnął środkową sylabę. – Nie było wcześniejszych terminów.

– W porządku – odpowiedziałam. – Załatwię to.

Matka się rozłączyła. Choć nie pamiętałam, bym po nią sięgała, znalazłam w dłoni buteleczkę z tabletkami i wyczułam dwie pigułki pod językiem.

Rozgryzłam je, połknęłam i czekałam, aż wypełni mnie znajoma, pocieszająca słodycz, a następnie promienne, uskrzydlające poczucie, że wszystko będzie dobrze. Długo jednak nie nadchodziło. Serce nadal mi waliło, a na dodatek zaczęła mnie boleć głowa. Czułam się tak przytłoczona i nieszczęśliwa, że chciałam cisnąć telefonem o ścianę. Mąż mnie zdradza. A przynajmniej flirtuje. Mój ojciec umiera. Moja matka załamuje się psychicznie. A ja nie wiem, co na to wszystko poradzić.

Zamiast rzucić telefonem, wybrałam jeden z zapisanych numerów. Recepcjonistka w prywatnym gabinecie lekarskim połączyła mnie z doktor Andi.

– Sławna Allison Weiss! – powitała mnie. – Piłam dziś rano smoothie i patrzę, a to pani!

– Tak, to ja – powtórzyłam ponurym, grobowym głosem.

– Och, kiepsko pani brzmi. – To była jedna z wielu cech doktor Hollings, które lubiłam. Wystarczyło jej jedno spojrzenie lub jedno słowo i już wiedziała, że coś się dzieje. – Kręgosłup znów nawalił?

Całe moje życie, pomyślałam. Całe moje życie nawaliło.

– Właśnie. Dziś rano. Wdrapałam się na łóżko i od tamtej pory leżę. Wzięłam vicodin, ale szczerze mówiąc, nie bardzo pomaga, a nie mogę zostać w łóżku przez cały dzień. Mam milion spraw do załatwienia, a na dodatek dzisiaj są urodziny Dave’a.

– Nie może ich pani, broń Boże, przegapić!

– No właśnie.

Zapadła cisza. Może wyciągała moją kartę albo sprawdzała coś w książce.

– Dobrze, zobaczmy. Przepisałam pani kolejne opakowanie jakiegoś... trzy tygodnie temu? Zwykle tego nie polecam ze względu na zawartość paracetamolu, który źle wpływa na wątrobę, ale jeśli bardzo pani cierpi, może pani spróbować zażyć podwójną dawkę vicodinu.

– Próbowałam – wyznałam. – Wiem, że nie powinnam, ale... – Pozwoliłam, by usłyszała drzenie w moim głosie, które nie miało nic wspólnego z moim dyskiem, a wiele z L. McIntyre, tatą i artykułem. – Naprawdę kiepsko ze mną.

Lekarka cmoknęła i zamyśliła się.

– Dobrze, mogę wypisać pani receptę na oxycontin. To o wiele silniejszy lek, więc proszę zażywać go ostrożnie, aż zobaczy pani, jak na niego reaguje. Proszę po nim nie prowadzić...

– Bez obaw, wieczorem wezmę taksówkę.

– Dobrze. Proszę pokazać mi się za kilka dni. Zdrowia!

– Dziękuję.

Za godzinę w aptece czekał na mnie lek. Przemknęłam obok okienka dla samochodów, odebrałam preparat i wsunęłam papierową torbę do torebki, ale już na pierwszych światłach otworzyłam torbę, a potem opakowanie.

Tabletki oxycontin były maleńkie, mniejsze niż miętówki, intensywnie

turkusowe. „W razie bólu zażywać jedną tabletkę co cztery do sześciu godzin”. Ból, pomyślałam i rozgryzłam jedną. Skrzywiłam się, czując jej gorycz, a potem połknęłam drugą.

Gdy dojechałam do domu, zaczęłam w końcu odczuwać ulgę. Popłynęłam po schodach na górę, gdzie nurt zniósł mnie do łazienki na porządny prysznic, bez użycia żelu do mycia Księżniczka. Kiedy nakładałam szampon na włosy, śpiewałam pod nosem „Zmyję z włosów tego faceta”. Dlaczego tak długo zabrało mi znalezienie oxycontinu? Był cudowny. Rozkoszny. Niebiański.

L. McIntyre. Może była tylko koleżanką z pracy, która stała się dla Dave’a kimś w rodzaju służbowej żony? Myślałam o tych słowach i czułam, jak supeł pomiędzy łopatkami rozluźnia się coraz bardziej. Wiem, kim jest służbowa żona. Sama nią byłam, gdy pracowałam jeszcze w „Examinerze”. Rolę mojego służbowego męża pełnił Eric Stengel. Był dyskretnie homoseksualnym fotografem, moim przyjacielem i sojusznikiem, współnikiem w zbrodni i kumplem na lunch. Rozmawialiśmy o wszystkim, o serialach telewizyjnych, zajęciach na rowerach stacjonarnych, które dopiero pojawiały się w Filadelfii, tajemnicach męskich serc i naszej wspólnej obsesji na punkcie filmu *U progu sławy*. Nigdy nie spotykaliśmy się poza godzinami pracy, ale każdego poniedziałkowego poranka kupowałam dla nas po filiżance cappuccino i jedną babeczkę na spólkę i spędzaliśmy pierwszą godzinę tygodnia przy jego biurku, opowiadając sobie nawzajem, co zdarzyło się w miniony weekend. Przynajmniej raz w tygodniu jedliśmy razem lunch w restauracji Viet Nam. Kiedy było ciepło, kupowaliśmy sałatki owocowe z obwoźnego sklepiku na Callowhill i rozmawialiśmy o Lievie Schreiberze i Jake’u Gyllenhaalu oraz tajemniczym pojawieniu się Ryana Goslinga (Ericowi się podobał, mnie nie). To ja wyperswadowałam mu oficjalną zmianę imienia na Edward („To nie ma nic wspólnego ze *Zmierzchem*, po prostu Eric to takie głupawe imię”, powiedział), a on przekonał mnie, że Dave mnie nie zdradza, kiedy znalazłam pod jego łóżkiem tomik poezji Pabla Nerudy z dedykacją datowaną dwa tygodnie po tym, jak zaczęliśmy się spotykać.

– Nie ożeni się z kimś, kto czyta Nerudę – zapewniał mnie Eric. – Cummingsa, może. Audena, Larkina, tego typu gości mogę sobie wyobrazić. Ale Nerudę? Coś ty!

– Jest taki tajemniczy – użalałam się i myślałam wówczas, że mam na co narzekać. – Skąd mam wiedzieć, czy mnie zdradza?

Eric uniósł palec.

– Czy pracuje do późna?

Potrząsnęłam głową. W niektóre dni wracał do domu wcześniej niż ja.

Eric kontynuował zadawanie pytań. Czy Dave znajdował wymówki, by wychodzić samemu w weekendy? Czy zapisał się na siłownię, zaczął używać nowej wody kolońskiej, kupił sobie nowe ubrania albo nowy samochód? Nie, nie

i jeszcze raz nie.

– I wreszcie – oznajmił i zastukał palcami w blat biurka. – Czy nadal robicie zwierzę o dwóch grzbietach?

Zachichotałam i powiedziałam:

– Cały czas.

To była prawda, wtedy... Teraz prawdą było, że przynajmniej jedno z nas chciało prowadzić aktywne życie seksualne. Przynajmniej raz w tygodniu kładłam się do łóżka i czułam, jak dłoń męża muska bok mojej piersi albo udo, co było małżeńskim skrótem oznaczającym: „Chcesz?”. Problem w tym, że nie chciałam. Nigdy. Pod koniec dnia, zwłaszcza po zażyciu jednej lub kilku tabletek, by poradzić sobie z emocjonalnym torem przeszkód, jakim było położenie córki spać, jedyne, czego szczerze pragnęłam, to skulić się na boku, przytulić policzek do miękkiej białej poduszki, zamknąć oczy i pozwolić, by sen zabrał mnie ze sobą. Seks odbierałam jako wtargnięcie. Nie było w tej kwestii tak źle jak przez pierwszych kilka miesięcy po urodzeniu Ellie, kiedy dotyk Dave’a dosłownie napawał mnie obrzydzeniem i kilka razy zadrzałam przerażona, gdy próbował mnie pocałować, ale sytuacja nie poprawiła się szczególnie. Nie martwiłam się o to wcześniej. Jak wywnioskowałam z informacji wyczytanych w magazynach kobiecych i z opowieści zasłyszanych na placu zabaw czy przed szkołą, gdy czekałam, by odebrać Ellie, nasza historia nie była szczególnie oryginalna. Kiedy zaczęliśmy się spotykać, przez pierwsze półtora roku małżeństwa robiliśmy to w łóżku, pod prysznicem, na stole kuchennym i kilka razy późno wieczorem w różnych zakamarkach pokoju redakcyjnego. Kiedy odchodziłam z gazety, na widok jednego z biurków zawsze oblewałam się rumieńcem. Dave miał wspaniałe ciało i na dodatek bujną wyobraźnię i bawiliśmy się w różne szalone zabawy. On udawał, że jest wiodącym samotnicze życie geniuszem internetowym, który w wieku dziewiętnastu lat zarobił dziesięć milionów dolarów, ale nigdy nie spał z kobietą, a ja byłam drogą prostytutką, wynajętą, by nauczyć go czegoś o kobietach. Był rozgrywającym w drużynie Philadelphia Eagles, a ja niedoświadczoną dziennikarką sportową, którą zaprosił do swojego mieszkania na osobisty wywiad. Był sprzedawcą bmw, a ja kobietą, która jest gotowa zrobić wszystko, by dostać zniżkę na nowego sedana. Ostatni raz próbowaliśmy bawić się w odgrywanie ról kilka miesięcy temu. Kiepsko nam poszło.

– Udawajmy, że jesteśmy dziewicą i prawiczkiem. Nasze małżeństwo zostało zaaranżowane i mamy spędzić pierwszą wspólną noc – zaproponował Dave, zarzuciwszy nogę na moje uda tak, że czułam jego rosnącą erekcję. Stłumiłam ziewnięcie. Nie byłam znudzona, tylko zmęczona.

– Czy na naszym ślubie były słonie?

– Rety, chyba wcale nie uważałaś?

Skup się, nakazałam sobie. Może nie angażowałam się na sto procent, ale dla

wyższego dobra mogłam, jak to mówią, poświęcić się dla drużyny.

– Dobra, ty masz na imię Ramesh, a ja Sury. Czym się zajmujesz?

– Jestem inżynierem chemikiem.

– Co? Nie jesteś właścicielem Dunkin' Donuts?

Oparł się na łokciu i posłał mi gniewne spojrzenie.

– Jezu, Allie.

– Żartowałam! – powiedziałam i ze smutkiem pomyślałam, że kiedyś nie musiałabym wyjaśniać, że to był żart.

– W porządku. – Odwrócił się na plecy i zdjął nogi z moich kolan. Jego erekcja wiodła. Delikatnie położyłam dłoń na jego klatce piersiowej.

– Czy mogę cię dotknąć? – wyszeptałam, udając niedoświadczoną pannę młodą.

– Tak – szepnął w odpowiedzi.

Powoli zaczęłam gładzić jego mięśnie na piersi, czując, jak sutki twardnieją pod moją dłońią. Uszczypnęłam jeden delikatnie i usłyszałam, jak Dave gwałtownie wciąga powietrze.

– Takie jak moje! – oznajmiłam urzeczona. – Pocałujesz mnie? – szepnęłam.

Ugryzł mnie lekko w szyję, skubnął płatek mojego ucha i delikatnie dotknął wargami moich. Zamknęłam oczy, zatracając się w odczuciach. Zatopił język w moich ustach i lekko trącając mój, wsunął dłoń w nogawkę mojej piżamy.

– W zasadzie – wyszeptał mi do ucha. – Skłamałem. Byłem już wcześniej z kobietą.

Odsunęłam się, udając szok.

– Kiedy to było?

W ciemności widziałam jego zawstydzony wyraz twarzy.

– No cóż. Mówiłem ci, że jestem inżynierem, ale w sobotnie wieczory gram również na sitarze w restauracji wujka na Lower East Side. Wiesz, jak kobiety kochają muzyków.

– Więc nie zachowałeś siebie dla mnie? – W imieniu wymyślonej Sury poczułam uzasadnioną złość. – Gdzie zabrałeś swoją fankę?

– Zrobiliśmy to... – Stłumił ziewnięcie. – Na tylnym siedzeniu furgonetki wujka.

– Nie mogłeś nawet szarpnąć się na hotel? – Niewiarygodne. Dlaczego Dave nawet w fantazjach musiał być sknerą.

Odwrócił się na plecy.

– Wiesz co? Dajmy sobie spokój.

I na tym zabawa się skończyła. Prawdę mówiąc, na palcach dwóch rąk mogłam policzyć, ile razy kochaliśmy się w minionym roku... i pewnie zostałyby mi kilka palców.

Dzisiaj, obiecałam. Były przecież jego urodziny. Wyrzucę z głowy wszelkie

myśli o L. McIntyre i głupkach piszących komentarze. Założę najcieńszą i najbardziej obcisłą koszulkę i spodenki na troczki, które Dave tak uwielbiał. Zapalę świeczki przy łóżku, zaśpiewam mu *Sto lat* w stylu Marilyn Monroe, zrobię wszystko, co lubi, tak jak lubi i wrócimy do siebie. Znowu będziemy drużyną, partnerami.

Zamroczona tabletkami spędziłam prawie godzinę, układając włosy, robiąc makijaż i wciskając się w sukienkę z wszytym paskiem, dzięki której wyglądałam tak, jakbym nadal miała idealną figurę. Nawet pięć minut, które zajęło mi wbicie się w bieliznę korygującą, nie było takie straszne.

– Och, pięknie wyglądasz! – powiedziała opiekunka Katrina, gdy zesłam po schodach, a Eloiza zmrużyła oczy. Trzymałam w dłoni parę szpilek od Jimmy’ego Choo, jedną z niewielu pozostałości z czasów panieństwa.

– Kiedy wrócisz?

– Niezbyt późno. Jutro idziesz do szkoły.

– Dlaczego nie zabierasz mnie ze sobą? – Dolna warga Ellie zadrżała. – Chcę iść na kolację!

– Nie, nie chcesz. W tej restauracji podają tylko ryby – skłamałam.

Ellie zmarszczyła nos.

– Przyniosę ci deser – obiecałam i zanim jej irytacja przerodziła się w napad hysterii, ucałowałam ją przelotnie w czoło i pognałam do samochodu, czując wyrzuty sumienia, że złamałam obietnicę i zamierzam prowadzić. Dave przywiezie nas z powrotem, powiedziałam sobie i z przykrością muszę stwierdzić, że w tamtym momencie miałam sporą tolerancję i nawet nowy lek nie działał na mnie zbyt silnie. Sprawiał jedynie, że czułam się rozkosznie beztrosko, jakby życie było pyszną zabawą, pełną możliwości, z których wszystkie były pozytywne. Co z tego, że kilku internetowych złośliwców opowiadało głupoty na mój temat? Dzisiaj są urodziny mojego męża. Będziemy świętować z przyjaciółmi, zjemy pyszny posiłek, zaśniemy przytuleni i obudzimy się rano ponownie, na sto procent, jako para.

Cochon była maleńką restauracją w okolicy naszego dawnego mieszkania, do której goście przynosili własny alkohol. Podłogi w biało-czarną kratę, kawiarniane stoliki i oprawione plakaty art déco na pomarańczowych ścianach nadawały jej paryskiego uroku, a przynajmniej tak paryskiego, jak można się tego spodziewać w Filadelfii. Podjechałam swoim priusem do krawężnika i zobaczyłam, że David czeka w środku przy stanowisku hostessy, z telefonem przy uchu. Serce zaczęło mi walić jak młotem. Zastanawiałam się, czy gawędzi z L. McIntyre, i obiecałam sobie, że nie wspomnę o niej, dopóki nie będziemy sami, a najlepiej dopóki nie porozmawiam z Janet. Żadnych bombowych informacji, żadnego picia, powiedziałam sobie stanowczo, z trudem próbując zaparkować równolegle. Niemal całkowicie zatraciłam tę umiejętność, odkąd przeprowadziliśmy się na przedmieścia.

Gdy drugi raz cofałam w kierunku chodnika, spojrzałam na Dave’a.

Odwrócił się, by zakończyć rozmowę, i włożył telefon z powrotem do kieszeni. Wyszedł na zewnątrz, a ja próbowałam wygramolić się z siedzenia kierowcy. Zabrało mi to chwilę, zważywszy na fakt, że bielizna utrudniała mi oddychanie, a przepiękne buty były pół numeru mniejsze niż te, które teraz nosiłam. Przeklęte chodaki, pomyślałam.

– Wszystkiego najlepszego – powiedziałam, gdy podeszłam do Dave’a i wręczyłam hostessie torbę z sześcioma butelkami wina.

Mój mąż trzymał ręce w kieszeniach, z ramienia zwisała mu stylowa płócienna listonoszka, którą zamówiłam dla niego na poprzednie urodziny, a szczeka już przybrała lekko niebieskawy odcień, chociaż golił się rano. W swoim najlepszym, granatowym garniturze wygląda tak przystojnie, pomyślałam i poczułam, jak zalewa mnie fala nostalgii i smutku. Znałam wszystkie jego dziwactwa i wady, jego owłosione dłonie z krótkimi pulchnymi palcami i palce u stóp o dziwnych kształtach i paznokciach tak grubych, że do ich obcinania potrzebował specjalnych cążków. Znałam odgłos zgrzytania zębami, który wydawał w głębokim śnie, wiedziałam, że czasem przebiegał wzrokiem pierwsze akapity artykułu lub rozdziały książki, a potem twierdził, że je przeczytał, znałam imię chłopaka z jego szkoły średniej, który ukradł mu plecak i wrzucił do damskiej szatni, i wiedziałam, że płakał za każdym razem, gdy czytał *Świat według Garpa*. Tak dobrze go znałam i tak bardzo go kochałam. Dlaczego odepchnęłam go ostatnim razem w łóżku i poprzednim, i jeszcze wcześniej? Która kobieta by go nie chciała? Co było ze mną nie tak?

W tym samym czasie Dave przyglądał mi się uważnie.

– Zaczęłaś już świętować? – zapytał. Wyjął jedną dłoń z kieszeni i potarł nią policzek, sprawdzając, czy powinien się ogolić. – Wyglądasz na lekko zakręconą.

– Mam się dobrze – odparłam i z całych sił starałam się nie chwiać na obcasach. Lepiej wyglądać na lekko zakręconą, pomyślałam, niż zdradzić, że serce mi się kraje. Chwyciłam go za ramię, którego sam mi nie podał, i pozwoliłam, by podprowadził mnie kilka kroków do pustego stolika. Starałam się zachowywać swobodnie, gdy zbliżyłam twarz do jego ramienia i wciągnęłam powietrze z nadzieją, że nie poczuję nieznanych perfum. Nowe tabletki sprawiały, że moje ciało było rozgrzane, rozluźnione i sprężyste, ale nie wymyślono jeszcze związku chemicznego, który byłby w stanie stłumić moją niepewność lub przekonać mnie w tamtym momencie, że mąż nadal mnie kocha.

Wzruszająco młody kelner w wyprasowanej białej koszuli, czarnych spodniach i fartuchu zawieszonym na szyi i opadającym do kostek odsunął mi krzesło.

– Coś do picia?

– Otwórzmy białe wino – polecił Dave, zanim zdążyłam cnotliwie oznajmić, że napiję się jedynie wody. Zanim się zorientowałam, trzymałam w dłoni kieliszek.

– Hmm – zamruczałam, upijając łyk i rozkoszując się intensywną goryczą. Pokaż mi, że go kochasz, pomyślałam. Spróbowałam posłać jubilatowi uwodzicielskie spojrzenie, marszcząc brwi i wydymając usta.

Dave popatrzył na mnie spode łba.

– Na pewno dobrze się czujesz?

– Tak. Dlaczego pytasz?

– Ponieważ wyglądasz na wpół śpiącą.

Tyle z uwodzenia. Dave wstał, kiedy do restauracji weszli Janet i Barry, a za nimi Dan i Marie. Uwielbiałam męża Janet, okrągłego brodatego profesora na Wydziale Historii Uniwersytetu Pensylwania, który znał się na popkulturze i dziedzictwie Franklina D. Roosevelta i szaleńczo kochał swoją żonę. On i Dave nie przyjaźnili się. Tolerowali się, ponieważ Ellie i ja spędzałyśmy z Janet i jej dziećmi dużo czasu, ale nie mieli ze sobą wiele wspólnego. Pomimo tego uściskali się po męsku i pokleпали po plecach, a „Wszystkiego najlepszego, kolego” w ustach Barry’ego brzmiało całkowicie szczerze.

– Chłopie – zaczął Dan, klepiąc Dave’a między łopatkami tak mocno, że mógł mu coś przestawić. – Jak to się stało? Jakim cudem tak się cholernie zestarzeliliśmy? – Podobnie jak lubiałam Barry’ego, tak nie znosiłam Dana. Zarządzał siecią piętrowych parkingów, która rozciągała się od centrum Filadelfii aż po północny wschód Stanów, i zajmował się, moim zdaniem, wyłudzeniem pieniędzy. Żądał od klientów (ode mnie na przykład) osiemnastu dolarów za pół godziny spędzone na rogu Dwudziestej i Chestnut, by mogli (oni albo ja) pobiec do baru po cheeseburgera i koktajl. Razem z Dave’em należał do bractwa na Uniwersytecie Rutgersa i był typem faceta, którego wyobrażałam sobie siedzącego na balkonie budynku bractwa, patrzącego na przechadzające się po dziedzińcu dziewczyny i podnoszące tabliczki z punktacją od jednego do dziesięciu. Był kolesiem, który traktował jako osobistą zniewagę sytuację, gdy kobieta postawniejsza od jego niemal anorektycznej żony miała czelność pokazać się publicznie.

Wspomniana żona, Marie, cmoknęła Dave’a w policzek, a mnie posłała słaby, wymuszony uśmiech. Była typem kobiety, z jaką wiązali się faceci pokroju Dana, osiem lat młodsza od męża, wąska w biodrach i obfita w biuście. Jej włosy opadające do połowy pleców zostały zagęszczone i przedłużone, dodatkowe kosmyki doklejono do jej własnych, a potem podwójnie rozjaśniono, by uzyskać efekt blond pasemek.

– Dwa tysiące dolarów – wyjaśniła mi kiedyś, przeczesując pukle kościstymi palcami. – Ale warto było, nie sądzisz?

Marie pracowała jako dekoratorka wnętrz, chociaż w mojej głowie słowo „pracowała” pojawiało się w cudzysłowie. Ukończyła teatrologię i zanim usidliła Dana, tworzyła scenografię do przedstawień studenckich i sztuk wystawianych

przez lokalną społeczność. Teraz zajmowała się dekorowaniem od nowa letnich domów swoich koleżanek. Jechała autostradą z Atlantic City do Ventnor, Margate albo Avalon swoim mercedesem wypakowanym katalogami, materiałami, elementami wykończenia i frędzelkami, kwadratowymi kawałkami tapet i próbkami farb. Kiedy kupiliśmy dom, zaproponowała, że go obejrzy, a ja odkładałam jej wizytę tak kulturalnie, jak potrafiłam. Wiedziałam, że w końcu, dla dobra przyjaźni Dave'a i Dana, Marie wraz ze swymi katalogami stanie się stałym gościem w moim życiu oraz że również w naszym domu pojawią się na półkach dzieła sztuki, przynajmniej jedno dekoracyjne lustro, ściana pomalowana na czerwono i ryciny wybrane dlatego, że pasują do mebli.

– Otworzymy beaujolais? – zapytał Barry, który pomógł mi wybrać wino.

Dan poprosił o kieliszek białego, a Marie wyciągnęła z torebki niskokaloryczną margaritę Skinnygirl i podała kelnerowi.

– Dostałaś wiele informacji zwrotnych na temat artykułu? – zapytała Janet, gdy kelner rozdał karty dań i omówił danie dnia.

Wysunęłam stopy z butów i zastanawiałam się, od czego zacząć, przypomniawszy sobie niektóre z najbardziej efektownych komentarzy: „Potężny ładunek”, „Feminazzi” i „To dlatego samce alfa żenią się z kobietami z innych krajów”.

– Muszę się jeszcze napić – oznajmiłam. Powiedziałam to bez zastanowienia i zdecydowanie nie myśląc o teście, który rozwiązałam w poczekalni u lekarza ani o tabletkach, które łykałam przez cały dzień. Nikt nie wyglądał na zszokowanego, a w zasadzie chyba nikt mnie nie usłyszał.

– Uważam, że artykuł wyszedł świetnie – stwierdził Barry.

Zerknęłam w lewo, gdzie siedział Dave. Zastanawiałam się, czy to usłyszał. Jeśli wiedział o teście, do tej pory o tym nie wspomniał.

– Komentarze to była dopiero uczta. – Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki mój kieliszek znów był pełny. Uniosłam go i pociągnęłam łyk wina.

– O Boże! Nie mów mi, że faktycznie czytałaś komentarze! – zawołała Janet.
– Proszę. Ile razy ci powtarzałam? Za każdym razem gdy czytasz jeden z nich, tracisz komórkę mózgową.

– Wiem – przytaknęłam, skubiąc oliwkę. Oczywiście wiedziałam, jak krytyczne bywają komentarze w Internecie. Przeczytałam ich wystarczająco dużo pod artykułami o gwiazdach i politykach. Ale dlaczego ja? Komu zrobiłam krzywdę? Po co się na mnie wyżywać?

– Najwyraźniej wyszło to na dobre waszej działalności – zasugerował Barry.
– Twój dzisiejszy post ma mnóstwo odsłon.

Zmusiłam się do słabego uśmiechu. Napisałam nową wersję przeprosin: „Przepraszam, że was uraziłam, przepraszam, że pokazałam się niepodrasowana, bez retuszu, wyglądając jak wasza mama, siostra, a może nawet wy sami”.

– Czytałeś go? – zdziwiłam się.

– Czytam wszystko, co Janet każe mi czytać. – Nachylił się przez stół i delikatnie pocałował żonę w policzek.

– Akurat! – odpowiedziała, rumieniąc się uroczo. Zwierzyła mi się kiedyś, że Barry uważa, że Janet jest od niego o niebo lepsza, a wszystko dlatego, że przed nim spotykała się z zawodowym sportowcem. „Nieważne, że odsunięty po trzech meczach grzał ławę w Philadelphia Eagles i że byliśmy tylko na jednej randce”, wyjaśniła. Jedna randka wystarczyła, by przekonać Barry’ego, że wartość Janet przewyższa perły. Traktował ją z czcią, która mogłaby wydać się śmieszna, gdyby nie brał jej na poważnie. Kiedy jechali razem, Janet nigdy nie prowadziła samochodu, nie tankowała benzyny i nie podnosiła niczego cięższego niż dwukilogramowa torba mąki. Barry natomiast nigdy nie kwestionował jej wydatków, czy to na drogie buty, markowe torby czy na sprzątaczkę, która przychodziła pięć razy w tygodniu, co oznaczało, że w kwestii zadań domowych Janet była odpowiedzialna jedynie za pranie ręczne własnych staników, którego to zadania nie powierzyłaby nikomu innemu. „Kocha mnie bardziej niż ja jego”, wyznała mi pewnego ranka, kiedy nasze dzieci pluskały się w basenie jej rodziców, a my jadłyśmy nadal ciepłe bajgle kupione na South Street. „Naprawdę?”, zapytałam. „Myślę, że w każdym związku jedna osoba kocha bardziej. W naszym przypadku jest to Barry”, stwierdziła. Spojrzała na mnie zza swoich modnie ogromnych okularów przeciwsłonecznych. „A jak jest z Allison i Dave’em? Jaka jest wasza historia?”

Nie odpowiedziałam od razu. Poznaliśmy się, gdy oboje mieliśmy pod trzydziestkę. On zatrudnił się dopiero w „Examinerze”, gdzie ja pracowałam od ukończenia college’u Franklina i Marshalla na Wydziale Projektowania Graficznego. Zawsze uwielbiałam rysować i malować. Kiedy byłam nastolatką, każdy nowo odkryty artysta stawał się moim ulubionym na kilka dni, tygodni lub miesięcy. Zakochałam się w marzycielskich, pastelowych ogrodach Moneta, delikatnej kresce Modiglianiego, mięsistych, wirujących gwiazdach van Gogha, sposobie, w jaki Kandinsky czy Klimt potrafili rozbrzmiewać we mnie jak symfonia muzyczna albo smak pysznej potrawy. Uwielbiałam obserwować sztukę, uwielbiałam malować, jednak realistycznie patrzyłam na własne talenty i byłam podatna na wpływy ojca.

„Dobrze jest mieć umiejętność, na której można polegać” – powiedział mi, kiedy zawoził mnie na zajęcia ze studium postaci w college’u Moore’a. Rodzice wspierali moje marzenia, ale tylko do pewnego momentu. Zapłacili za lekcje, farby i płótna, przychodzili na wszystkie szkolne występy i nawet dwa razy wysłali mnie na wakacyjny obóz artystyczny, gdzie miałam okazję dmuchać szkło i spróbować rytownictwa i animacji. Dali mi jednak do zrozumienia, zarówno wprost, jak i bardziej subtelnie, że większość artystów nie daje rady zarabiać na życie

uprawianiem sztuki, a oni nie zamierzają utrzymywać mnie, gdy dorosnę.

Projektowanie graficzne zaspokajało moją miłość do kolorów i proporcji, potrzebę tworzenia rzeczy pięknych, a przynajmniej funkcjonalnych, i nadzorowania projektu od początku do końca, a jednocześnie gwarantowało, w większym lub mniejszym stopniu, regularną pensję.

Tak więc dostałam się do college'u Franklina i Marshalla i studiowałam sztukę i historię sztuki, uzupełniając zajęcia z rysunku i rzeźby letnimi kursami tworzenia filmów wideo, układów graficznych stron internetowych i projektowania graficznego. Pracownicy redakcji „Examinera” pojawili się na uczelni, zostawiłam im CV, potem pojechałam na rozmowę rekrutacyjną i zostałam zatrudniona, otrzymawszy wynagrodzenie wyższe, niż miałam prawo oczekiwać. W wieku dwudziestu dwóch lat byłam śliczną młodą istotką z mieszkaniem na starym mieście, szafą pełną ubrań z H&M, French Connection i kilkoma lepszymi kreacjami od Saksy, kartą na siłownię, zamrażarką pełną dietetycznych mrożonych dań i opiekaczem, w którym rano smażyłam jajka, a wieczorami zapiekałam kanapki.

Po niemal sześciu latach pracy poznałam Dave'a. Ukończył z wyróżnieniem Uniwersytet Rutgersa i zaczął karierę w redakcji niewielkiej gazety na przedmieściach Nowego Jorku, w New Jersey, gdzie opisywał pięć miejscowych okręgów szkolnych. Po drugim roku pracy ujawnił, że dyrektor i przewodniczący rady szkoły spiskowali, jak podnieść pensję dyrektora. Przed końcem trzeciego roku otrzymał stanową nagrodę za artykuły opisujące proceder, w którym Partia Demokratyczna płaciła bezdomnym za korespondencyjne głosowanie w wyborach. Gdy pracował już w „Examinerze”, zostałam wyznaczona do zaprojektowania grafiki do serii jego artykułów o kampanii wyborczej na stanowisko burmistrza, dopasowania zdjęć do tekstu, a w wersji internetowej również filmów.

„Dzięki”, powiedział, pochylając się nad moim ogromnym monitorem, kiedy pokazałam mu pierwszy projekt. „Wygląda świetnie”. W odróżnieniu od innych, bardzo swobodnie ubranych dziennikarzy, miał na sobie świeżą, wyprasowaną koszulę i krawat. Pachniał przyjemnie, gdy byłam wystarczająco blisko niego, by to poczuć. Od razu spodobało mi się jego ciało z wąskimi biodrami i szerokimi ramionami i już sobie wyobrażałam, jak przytulam się do jego masywnej klatki piersiowej. Uśmiechnął się do mnie, ukazując białe zęby kontrastujące z cieniem zarostu na policzkach. „Mogę postawić ci lunch?” Wyszliśmy razem na korytarz, do automatu z przekąskami, gdzie wybrałam torebkę precelków, a on butelkę wody mineralnej. Usiedliśmy na pustych schodach, przedstawiliśmy się sobie i wymieniliśmy doświadczeniami zawodowymi. Rozmowa naturalnie przerodziła się w zaproszenie na spotkanie w barze następnego wieczoru. Po drinkach była kolacja w restauracji Percy Street Barbecue, gdzie jedliśmy żeberka, piliśmy lemoniadę z procentami ze staromodnych słoików i rozmawialiśmy o naszych

rodzicach, szkołach, złamanych kościach (jego nodze i moim nadgarstku) i naszej wspólnej miłości do Dire Straits i Warrena Zevona. Oboje byliśmy zdumieni, gdy kelner podszedł do naszego stolika i oznajmił, że to ostatnie zamówienie przed zamknięciem. Rozmawialiśmy od szóstej po południu do drugiej nad ranem następnego dnia.

Po tygodniu byliśmy parą. Wyobrażałam sobie, że z czasem będzie odnosił jeszcze większe sukcesy. Żadne z nas nie przypuszczało, że prasa zmierza donikąd i że w końcu moje zabawne, skreślone naprędce posty na bloga okażą się bardziej wartościowe niż jego umiejętność wydarcia politykowi lub przestępcy świetnego (lub obciążającego) cytatu, pisanie pod presją czasu, wymyślania dowcipnych nagłówków i zabawnych podpisów pod zdjęciami albo czekania miesiącami na właściwy moment publikacji, kiedy składał wnioski powołujące się na Ustawę o wolności informacji, zbierał dokumenty, ścigał źródła i uprawiał taki rodzaj dziennikarstwa, na które „Examinera” w końcu nie było stać. On miał zarabiać na rodzinę, ja miałam zajmować się domem. Teraz, kiedy patrzyłam na niego, na jego oczy w takim samym odcieniu jak oczy Ellie i cienie, które widniały pod nimi od jej narodzin, dziwiłam się, jak wszystko się zmieniło, i zastanawiałam, czy nasze małżeństwo to przetrwa.

– Proszę pani?

Zamrugałam. Kelnerka z długopisem i notatnikiem w ręce wpatrywała się we mnie. Co dziwne, mój kieliszek był pusty. Zjadłam do tej pory jedynie ostrygę – Dan zamówił ich dwa tuziny – i kromkę chleba, ale nic poza tym.

– Och... hmm... – Sięgnęłam po omacku po kartę dań i wykonałam taniec pomiędzy tym, co chciałam (ziemniakami zapiekаныmi w śmietanie i pieczoną na wolnym ogniu karkówką), a tym, na co powinnam sobie pozwolić (gotowaną na parzę fasolką szparagową i grillowanym łososiem). Zdecydowałam się na nadziewany kotlet schabowy.

– Świetnie – powiedziała kelnerka i zniknęła. Odwróciłam się do Janet, która plotkowała z Dave’em i Barrym o tym, czy śliczna, dwudziestoczteroletnia przedszkolanka z tatuażami, które czasami widzieliśmy pod rękawami jej stylowych bluzek na zebraniu z rodzicami, rzeczywiście miała kolczyki w sutkach.

Podano jedzenie. Używając ciężkiego noża do steków, przekroiłam błyszczące mięso. Z kotleta wylała się kałuża sosu. Zaciśnęłam powieki i zmusiłam się, by skubnąć maleńki kawałeczek.

– Nie jesteś głodna? – zapytała Janet. Zamówiła danie z kotлетem schabowym i dużą ilością czosnku – jak sama nazwa wskazuje, Cochon bazowała na wieprzowinie – i od jego zapachu zaczęło mnie mdlić.

– Chyba już wypięłam dopuszczalną ilość kalorii – odpowiedziałam. Prawda była taka, że ostatnio nie bywałam głodna. To dziwna sytuacja dla dziewczyny, która zawsze lubiła jeść. Żadne potrawy nie wyglądały zachęcająco, a wysiłek,

jakiego wymagało kupienie jedzenia, przygotowanie posiłku, nakrycie do stołu i pozmywanie, wydawał się kolosalny. Odgrzewałam kawałki organicznego kurczaka w panierce dla Eloizy i trzymałam w zamrażarce zapas gotowych do podgrzania potraw, które Dave mógł przygotować wieczorami, kiedy tkwiłam przy komputerze, pisząc, redagując lub komunikując się z czytelnikami Kobiecego Salonu. Sama zjadałam jogurt lub miskę płatków śniadaniowych. Ironia internetowych komentarzy polegała na tym, że dawno nie byłam tak chuda jak teraz, ale nie wyglądałam dobrze i wiedziałam o tym. Moja cera nabrała ziemistego odcienia, a skóra – nawet jeśli nie było jej tak dużo jak zwykle – zwisała i opadała.

Janet dotknęła mojej ręki. Zaskoczona podniosłam wzrok. Przyjaźniłyśmy się, ale żadna z nas nie była typem emocjonalnym.

– Wszystko w porządku? – zapytała cicho.

Nachyliłam się.

– Boję się – odparłam szeptem.

– Czego? – zapytała Janet i wyglądała na zaniepokojoną. – Co się dzieje?

– Kochana, podasz nam Pinot? – zapytał Dan.

Sięgnęłam i zdołałam jedynie strącić butelkę na podłogę. Rozległy się okrzyki przerażenia i zapanowało ogólne poruszenie. Chuda Marie odskoczyła od rozlanego wina, jakby było toksyczne. Keler i kelnerka podbiegli ze ścierkami.

– Przepraszam – wyszeptałam, ale chyba nikt mnie nie usłyszał.

– Och, wino nigdy nie zejdzie z jedwabiu – martwiła się Marie.

– Czy mogą nam państwo przynieść wodę sodową? – poprosiła Janet.

Barry poklepywał Marie po plecach, mówiąc:

– Nic się nie stało.

Z drugiego końca stołu patrzył na mnie Dave, miał zmrużone oczy i zaciśnięte usta.

– To był wypadek – powiedziałam. Mój głos zabrzmiał zbyt głośno, niemal jak krzyk.

– W porządku. – Dave sprawiał wrażenie opanowanego. – Zdarza się. – To właśnie powiedzieliśmy Ellie, kiedy zmoczyła łóżko.

Wreszcie zmieniono obrus i większość plam wytarto mopem. Marie wróciła z łazienki, gdzie uciekła z karafką wody sodowej i obrażonym wyrazem twarzy, a ja przepraszałam kilka razy, z twarzą czerwoną jak piwonia, kuląc się pod karcącym spojrzeniem Dave'a. Próbowałam na nowo zainicjować rozmowę, pytając Janet i Barry'ego o sezon hokejowy bliźniaków, który to temat zawsze zajmował przynajmniej dziesięć minut, kiedy z drugiego końca stołu usłyszałam piskliwy głos Marie.

– Słyszeliście o Everleigh Connor? – zapytała.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam, jak Dave nalewa sobie do kieliszka ostatnie krople z ostatniej butelki czerwonego wina. Everleigh Connor była gwiazdą

telewizyjnych reality show, która zaczęła karierę, występując w jednym z programów o prywatnym życiu bogaczy – była nastoletnią córką jednej ze zliftingowanych czterdziestoparoletnich mamusiek, rzekomych gwiazd programu. Potem pojawiła się na seksfilmie. Wydała oświadczenie, w którym stwierdziła, że nakręciła go razem z chłopakiem na pamiątkę, a kasetę została skradziona z jej domu, ale było oczywiste, że w filmie wystąpiła wynajęta gwiazda porno, a nie jej chłopak, oraz że razem z matką i firmą PR-ową zaplanowała każdy etap wypuszczenia kasety. Potem Everleigh rzuciła swojego chłopaka grającego w Zawodowej Lidze Futbolu Amerykańskiego, dostała niewielką rolę w serialu telewizyjnym, a ostatnio poślubiła w Las Vegas osiemnastoletnią gwiazdę pop.

– Co się stało? – zapytałam. Czyżby mój głos brzmiał leciutko niewyraźnie? Marie się uśmiechnęła.

– Nie słyszałaś? O mój Boże! Wszyscy na Twitterze o tym piszą!

– Co? – Proszę. Nie można bełkotać, wypowiadając jednosylabowe słowa.

By nagrodzić się za składną wypowiedź, pociągnęłam kolejny łyk wina.

– Jest w ciąży – powiedział Dave wprost do mnie.

– Mówi się, że właściwie zmusiła Alexa, by kupił jej pierścionek – dodał

Barry.

Janet wywróciła oczami.

– Mój mąż mówi jak dwunastoletnia dziewczynka. „Kupił jej pierścionek”, Bar? Serio?

Spojrzałam w stronę siedzącego po drugiej stronie stołu męża. Zerknął na mnie i napotkawszy mój wzrok, uniósł jedną brew, jakby sugerował, że mam coś powiedzieć.

Poczułam się tak, jakby mnie tym spojrzeniem spoliczkował. To nie ja wysyłałam dziesiątki beztroskich kokieteryjnych mejli do kogoś, kto nie był moim mężem. Uniosłam brodę nagle wściekła i... trzeźwa. A przynajmniej tak się czułam.

– Kochanie, powinieneś opowiedzieć wszystkim o swoim wspaniałym artykule. Tym o kasynie. – Dave od miesięcy śledził plotki o tym, które konsorcjum ma zamiar otworzyć kasyno w Filadelfii, gdzie i w jakim kształcie je wybuduje oraz która dzielnica powinna szykować się na boom i niedogodności w postaci dziesiątek autokarów pełnych grających na automatach i ciułających ćwierćdolarówki emerytów oraz konkretnie wstawionych studentów przetaczających się codziennie ulicami.

– Dave, koniecznie daj mi cynk – poprosił Dan. – Jeśli w odpowiednim miejscu wybudujemy parking, będziemy bogaci.

– Dave korzysta z samych najlepszych źródeł – poinformowałam. Język nagle mi się rozwiązał i brawurowo kontynuowałam temat. – Jak nazywa się ta kobieta z biura burmistrza, z którą ciągle rozmawiasz? Lindy jakaś tam?

Wydawało mi się, że widziałam, jak po drugiej stronie stołu Dave się wzdrygnął, a w jego przymrużonych oczach dostrzegłam ból.

– Wspaniałe źródło, prawda? – zapytałam. – Jak to się mówi... dostępna? Czy to dobre określenie? To ty jesteś językoznawcą.

Janet wyglądała na zaniepokojoną, podobnie jak Barry. Odeszłam od stołu, wykonując serię niewielkich ruchów: odepchnęłam się dłońmi od krawędzi blatu, odblokowałam kolana, uniosłam ciało do pionu, ostrożnie obeszałam krzesło, ze zmrużonymi oczami przeszłam przez słabo oświetloną restaurację, obok grupek śmiejących się mężczyzn o czerwonych twarzach, przed którymi na stołach stały rzędy pustych butelek, aż znalazłam łazienkę, przestronną kabinę dla jednej, dzięki Bogu, osoby. Zamknęłam drzwi na zamek i nie zapalając światła, usiadłam na toalecie, po czym oparłam policzek o chłodną stal nierdzewną pojemnika na papier. Czułam się zaszokowana, pusta i wściekła. Usłyszałam delikatne pukanie do drzwi.

– Allie? – szepnęła Janet. – Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiedziałam. – Trochę za dużo wina. Zaraz wyjdę.

Serce mi waliło, a skronie pulsowały. Trzymałam torebkę w rękach. Dłonie znalazły się w torebce, a w pojemniczku czekali moi nowi mali niebiescy przyjaciele. Wysypałam jednego na dłoń, pragnąc spokoju, jaki mi da, sennego uczucia, które zabierze piekący ból, wstyd z powodu tego, jak Dave na mnie spojrzał.

Nikt o tym nie wiedział, ani Janet, ani moi rodzice, zupełnie nikt, ale po mniej więcej roku znajomości z Dave'em mój okres, zwykle regularny, nie pojawił się. Brałam pigułki i zawsze o nich pamiętałam, ale gdy poczułam wrażliwość piersi i poranne mdłości spowodowane zapachem kawy, wiedziałam, co się stało. Przestraszyłam się i w panice pobiegłam do Dave'a. Patrzyłam, jak twarz mu blednie, a usta zaciskają się tak mocno, że niemal znikają, gdy przedstawiałam mu możliwe rozwiązania: mogę urodzić dziecko i oddać je do adopcji, urodzić je i wychować sama albo możemy się pobrać.

Od miesięcy byliśmy parą i żadne z nas nie spotykało się z nikim innym. Dziewczyna od Pabla Nerudy zniknęła, a przynajmniej nie widziałam śladów obecności innej kobiety w mieszkaniu Dave'a ani w jego telefonie (który, z poczuciem winy, raz sprawdziłam). Mówiliśmy sobie „kocham cię” i niezobowiązująco rozmawialiśmy o ulubionych dzielnicach, o tym, czy wolelibyśmy mieszkanie w nowych wieżowcach na Washington Square West czy w domu szeregowym w Society Hill albo Bella Vista. Nie padły żadne wyraźne obietnice, spędzaliśmy trzy lub cztery noce tygodniowo w moim mieszkaniu, ale nie mieszkaliśmy razem, nie postanowiliśmy jeszcze się pobrać ani nie planowaliśmy wspólnej przyszłości. Nigdy nie próbowałam zrobić Dave'a i usidlić go, celowo zachodząc w ciążę. Pomimo tego byłam przekonana, że w świetle zaistniałej sytuacji zrobi to, co planował zrobić, chociaż w nieco

wcześniejszym terminie.

Jednak zamiast okazać radość, Dave ujął palcami grzbiet nosa i usłyszawszy moje propozycje, patrzył wszędzie tylko nie na mnie.

– Aborcja nie wchodzi w grę? – zapytał.

Byliśmy w moim mieszkaniu, w budynku bez windy na Arch Street. Dave siedział na dżinsowej kanapie, a ja w fotelu, który odziedziczyłam po mamie i obiłam drogim francuskim płótnem kupionym na Fabric Row. Mój uroczy salon, idealny dla dwojga, był zdecydowanie za mały dla trojga. Już na samą myśl o wnoszeniu wózka po schodach na trzecie piętro czułam się wykończona. Moja kuchnia jadalnia została jedynie kuchnią, gdybym wstawiła do niej dziecięce krzeselko, a w łazience znajdował się luksusowy prysznic z dodatkowymi dyszami wystającymi ze ścian, ale nie było tam wanny. Mieszkanie było całkowicie nieprzystosowane dla dziecka.

– Nie wiem – odpowiedziałam powoli. Zdecydowanie opowiadałam się za prawem do aborcji. Już na początku studiów zrobiłam badania i otrzymałam darmową antykoncepcję w klinice organizacji „Planowane rodzicielstwo” propagującej świadome macierzyństwo, a od kiedy zaczęłam pracować, wspomagałam ją regularnymi, acz drobnymi darowiznami. Czułam jednak, że to jest dziecko, moje i Dave’a, i rozważanie usunięcia go byłoby dla mnie tym samym, co rozważanie skrzywdzenia siebie lub jego.

Zapadła długa cisza, aż wreszcie Dave westchnął.

– W takim razie chajtnijmy się – powiedział.

Rzecz jasna nie były to oświadczenia, o jakich marzyłam, ale Dave był mężczyzną, o jakim śniłam, i na pewno nasze wspólne życie będzie tym, o czym marzyłam, czego zawsze pragnęłam: związkiem z mężczyzną, którego uwielbiałam i podziwiałam. Zarzuciłam mu ręce na szyję, pocałowałam i powiedziałam:

– Tak.

Cztery tygodnie później, z kupionym naprędce pierścieniem z jednokaratowym brylantem o szlifie princessa oraz nadal żywym wspomnieniem sztywnego uśmiechu Nieugiętej Doreen i obraźliwego entuzjazmu mojej matki podczas spotkania rodziców połączonego z przyjęciem zaręczynowym poszłam na kontrolę i podczas badania USG dowiedziałam się, że jest jajo płodowe, ale nie ma bicia serca. Nie ma dziecka. Najwyraźniej moje ciało zakończyło ciążę, zanim się naprawdę zaczęła. Dostałam cztery tabletki, poszłam do domu, zażyłam je, a potem doświadczyłam najgorszych skurczów i krwawienia w moim życiu, podczas gdy Dave przynosił mi butelki z gorącą wodą i kieliszki brandy. Na wpół pijana, z piątą z kolei, największą dostępną podpaską włożoną w wysokie bawełniane majtki powiedziałam:

– Nie musimy tego robić, jeśli nie chcesz. Zwalniam cię z obietnicy. Jesteś wolny.

– Co ty opowiadasz? – odparł. Delikatnie pomógł mi wejść pod prysznic, umył mi włosy, namydlił ciało ulubionym żelem do mycia o zapachu wanilii, posmarował balsamem ręce i nogi, a potem owinął ciepłym ręcznikiem, ubrał w piżamę i położył do łóżka. Ta noc przesądziła o mojej przyszłości. Gdy miałam wątpliwości, gdy Dave wydawał się milczący, markotny lub odległy, przypominałam sobie zapach wanilii i brandy, jego delikatność, życzliwość i to, że nawet przez chwilę nie wziął pod uwagę, iż mógłby się ode mnie uwolnić.

– Allison? – W głosie Janet słychać było niepokój. – Powiedz, że wszystko w porządku albo zawołam kierownika i każę mu otworzyć drzwi.

– Wszystko w porządku, mam się dobrze – odpowiedziałam chrapliwie. Wszystko ze mną w porządku, powiedziałam sobie, chociaż wewnętrzny głos szeptał, łagodnie, acz stanowczo, że wcale nie jest ze mną dobrze i nic nie jest w porządku.

Przemyłam twarz wodą, nałożyłam na usta nową warstwę szminki i z powrotem wcisnęłam stopy w buty. Z pomocą Janet odnalazłam kelnerów, poinstruowałam ich, a po wniesieniu na stół zamówionego w Isgro's tortu z lukrem i morzem płonących świeczek zaintonowałam i odśpiewałam z gośćmi *Sto lat*. Klaskałam, kiedy Dave zdmuchnął wszystkie świece, nie pozwalając sobie na spekulacje, czego mógł sobie życzyć, a potem przy pomocy widelca przesuwałam po talerzu kawałki ciasta i lukru. Śmiałam się z żartów, wznosiłam w toaście kieliszek i dyskretnie zapłaciłam rachunek. Ucałowałam Dana i Marie na do widzenia, pozwoliłam Barry'emu się uściskać i szepnęłam: „Mam się dobrze. Słowo”, gdy Janet objęła mnie i powiedziała: „Wiesz, że jestem, jeśli chciałabyś porozmawiać”.

Podróż powrotna upłynęła w milczeniu, jakbyśmy oboje zgodzili się nie klócić, aż wrócimy do domu. Zapłaciłam Katrinie, Dave odwiózł ją do akademika, a ja przeszłam na palcach obok pokoju Ellie do sypialni, zdjęłam sukienkę i upiorną bieliznę, a potem włożyłam koszulkę, która pamiętała lata dziewięćdziesiąte i była zaprzeczeniem seksowności. Miałam zamiar udawać, że śpię, kiedy Dave wrócił po odwiezieniu opiekunki, ale zapalił światło i czekał przy drzwiach, aż usiądę.

– Wszystkiego najlepszego – powiedziałam i zamrugałam. Wyobrażałam sobie, że siedzę w wannie, Dave klęczy obok, ciepłą myjką pociera moje ramiona i mówi, że mnie kocha.

– Co to było? – zapytał.

Mogłam z fałszywą skromnością zapytać, o co mu chodzi, zamiast tego odbiłam pytanie:

– A może ty mi powiesz?

Patrzył w moim kierunku z zaciśniętą szczęką i rękami wetkniętymi w kieszenie spodni do garnituru.

– No, dalej – westchnęłam. – L. McIntyre? Lindsay? Linds? Ta, z którą mejlujesz całymi dniami.

Parzyłam, jak jedna z jego dłoni wędruje do policzka i zaczyna go pocierać. Kiedy wreszcie się odezwał, miał zdławiony głos.

– To nie tak.

– Och! A jak?

– Rozmawiamy – stwierdził oburzony. To dziwne, ale wiedziałam, że nie kłamie. Wiedziałam, jak wygląda, gdy kłamie, jak kołysze się z pięt na palce i zaczyna mówić wyższym tonem. Nie było bujania ani piszczenia, tylko żałośnie wyglądający Dave. – To koleżanka.

Nie odpowiedziałam i nie dałam po sobie poznać, że mi ulżyło.

– To nie było dla mnie łatwe. – Miał szeroko otwarte oczy i wyraz twarzy chłopca, który prosi o ciasteczko, co zwykle wywoływało u mnie współczucie.

– Co konkretnie?

– Mieszkanie tutaj – odpowiedział.

– Co masz na myśli? – Byłam szczerze skonsternowana. – To ty chciałeś się przeprowadzić. To ty ciągle narzekałeś, że żyjemy w małym domu i że nie chcesz wychowywać Ellie w mieście. – Z chęcią bym została. Uwielbiałam nasz mały dom z kręconymi schodami, kominkiem w kuchni, który budowlańcy odkryli, kiedy instalowali nam nową zmywarkę, przeszklone drzwi wychodzące na wąski ceglany pasaż, idealną na grilla wnękę i wiszący koszyk z niecierpkami, który stawiałam na ziemi, gdy gotowaliśmy.

Bez słowa odwrócił się, wszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi. Słyszałam dźwięk lejącej się wody, wyobrażałam sobie, jak Dave wyciska na szczoteczkę więcej pasty, niż potrzebuje, potem zostawia tubkę otwartą i wypłukuje resztki do umywalki, ponieważ zakup pasty i czyszczenie umywalki należały do moich obowiązków. Taką zawarliśmy umowę, na takie warunki oboje się zgodziliśmy, zanim wszystko się zmieniło.

To nie fair, pomyślałam i nagle poczułam taką wściekłość, że wyskoczyłam z łóżka i zapukałam – a właściwie walnęłam – w drzwi.

– Myślisz, że ja jestem szczęśliwa, musząc to wszystko robić? – zapytałam. – To ja spłacam kredyt hipoteczny, to ja zajmuję się Ellie, to ja pilnuję jej planu zajęć, organizuję nasze życie towarzyskie, utrzymuję porządek w domu i pamiętam o przeglądzie samochodu. Nie przyszło ci do głowy, że jestem zmęczona? Że może chciałabym mieć kogoś, z kim mogłabym porozmawiać? Kto zaprosiłby mnie na lunch?

Zza drzwi dobiegł irytująco spokojny głos Dave'a:

– Świetnie sobie radzisz sama.

Palce zwinęły mi się w pięść.

– I co z tego? Powinnam więcej narzekać, żebyś wiedział, że jestem nieszczęśliwa? Proszę, oto oficjalna aktualizacja: jestem nieszczęśliwa.

– Mów ciszej – syknął Dave, otworzywszy drzwi. W białej koszulce i bokserkach, z włosami zaczesanymi w tył i odsłaniającymi powiększające się zakola miał orle rysy twarzy i wyrazisty wygląd. Wiedziałam, że gdybyśmy się rozeszli, zastąpienie mnie inną zajęłoby mu mniej więcej dziesięć minut. – Mam wrażenie, że nie interesuje cię, co mam do powiedzenia.

– Jestem po prostu... Jestem przytłoczona. To dla mnie zbyt wiele. Potrzebuję twojej pomocy. – Chciałam, by zabrzmiało to szczerze, ale wyszło jedynie ponuro. Wyciągnęłam rękę i musnęłam opuszkami palców jego przedramię. Poczułam miękkie włosy, ciepłą skórę i przypomniałam sobie, że

kiedyś godzinami marzyłam, by znów mnie dotknął i przed oczami stanęły mi radosne weekendy, gdy ledwie wychodziliśmy z łóżka, rozkoszując się nawzajem swoimi ciałami.

– Ja też jestem zajęty. – Podeszedł do łóżka, ściągnął z niego koc i dwie poduszki i stał na wprost mnie, trzymając w rękach zwiniętą pościel.

– W zasadzie pracuję teraz za trzech, do tego bloguję, odpowiadam na mejle i prowadzę te przekłete live chaty.

Znowu potarł dłonią policzek.

– Pomogę ci, ile będę mógł, ale pełny etat to pełny etat.

– Nie mogę nadal robić wszystkiego sama – zaprotestowałam. Po twarzy płynęły mi łzy. Otarłam je. – Nie mogę. Zajmuję się pracą, tatą, mamą, wszystkimi sprawami Ellie, domem, i to dla mnie zbyt wiele, Dave.

Przechylił na bok głowę, świdrując mnie wzrokiem.

– Tak tylko sobie pomyślałem, ale może częścią problemu są tabletki?

Oddech zamarzył mi w gardle, a dłonie zlodowaciały. Nie mogłam się poruszyć. Czyżby domyślił się skali mojego procederu, ile tabletek biorę, jak różne, jacy lekarze przepisują mi leki i że osiągnęłam stan, w którym tylko dzięki pigułkom jestem w stanie przetrwać dzień?

– O czym ty mówisz? – zapytałam.

Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę. Czułam, że się kulę w obawie, co powie, ale zamiast skonfrontować mnie z tym, co wiedział lub czego się domyślał, powiedział:

– Muszę się przespać.

– Davidzie...

Odwrócił się w stronę drzwi. Poszłam za nim do pokoju gościnnego, wysunęłam w jego kierunku rękę, ale nie dotknęłam nawet koszulki.

– Przep... – zaczęłam i przerwałam, gdy zdałam sobie sprawę, że nie wiem, za co przepraszam. Czy było mi przykro, że nie jestem tą, z którą chce rozmawiać i dzielić życie? Czy było mi przykro dlatego, że brałam tyle tabletek, czy tylko dlatego, że dałam się nakryć? – Myślisz, że powinniśmy pójść na terapię? – zapytałam i nie podobało mi się, jak wiele lęku zabrzmiało w tym pytaniu. – Może musimy po prostu usiąść z kimś i znaleźć jakieś rozwiązanie?

Wzruszył ramionami i zdjął narzutę z łóżka w pokoju gościnnym. Do gniazdka wetknięta była ładowarka do telefonu, a na podłodze obok łóżka, tam gdzie planowałam postawić stolik, leżał stos magazynów, „Sports Illustrated” i „ESPN: The Magazine”. Dave praktycznie się tam przeprowadził, a ja mu na to pozwoliłam.

– Przepraszam, jeśli wydaję się trochę nieprzytomna, ale ostatni okres był dla mnie bardzo stresujący – wyjaśniłam. – Widziałeś, co ludzie piszą o mnie w komentarzach pod artykułem? – Staralam się zażartować, jakby w ogóle mnie to

nie dotknęło. – Jezu, kto teraz czyta gazety? Kilku szesnastoletnich prawiczków gromadzących spluwy w piwnicy rodziców? – Chciałam mu powiedzieć, jak bardzo te komentarze mnie zabolowały, jak pragnęłam, żeby mnie potrzebował i chciał, bym była obecna w jego życiu, w przeciwieństwie do moich rodziców. Chciałam mu powiedzieć, dlaczego tabletki są mi potrzebne, a może nawet poprosić o pomoc. Szczerze mówiąc, zaczęła mnie przerażać ich ilość i fakt, że nie wyobrażałam sobie, jak mogłabym przetrwać bez nich choć jeden dzień.

– Cóż za zachęcająca myśl – stwierdził Dave. – Biorąc pod uwagę, że czytelnicy gazet to moi pracodawcy.

Zacisnęłam usta. Chciało mi się płakać. Miałam ochotę krzyknąć. Pragnęłam wziąć tyle tabletek, by wreszcie nic nie czuć. Chciałam go nienawidzić, być na tyle wściekła, by rzucić w niego czymś ciężkim i ostrym, ale nie byłam w stanie. Może dlatego, że go kochałam, ale może nie była to miłość, a raczej znajomość lub czas, coś mizernego i brzydkiego, czego nie da się zabić, karaluch emocji, uczucie, które przetrwałoby nawet wojnę nuklearną. Spędziliśmy razem ostatnich dziesięć lat życia i teraz każde miejsce, które odwiedzałam, każdą piosenkę, którą usłyszałam, wszystkie znajome powiedzenia i żarty, rytuał Ellie na dobranoc (trzy buziaki w czoło i szybkie pryśnięcie sprayem na potwory), wszystko to widziałam, słyszałam, stworzyłam albo doświadczałam tego z moim mężem. Wiedziałam, co zamawia w naszej ulubionej restauracji i na jakie potrawy ja go namawiam, mówiąc, że chcę tylko dwa kęsy, by potem pochłonąć całą porcję. Wiedziałam, do którego dystrybutora podjeżdża na stacji benzynowej, jaką przyprawę do kurczaka wybiera w ulubionym fast foodzie, i o tym, że zawsze zapomina o urodzinach swojej matki i w ostatniej chwili musi wydawać sto dolarów na kwiaty, chyba że przypomnę mu, by kupił jej prezent. Byłam sobą, ale patrząc na jego postać, zdałam sobie sprawę, że byłam również połową małżeństwa. Jak mogłabym prowadzić życie, gdyby osoba, która zbudowała je, stworzyła i doświadczała go wraz ze mną, osoba, która widziała mnie we wszystkich możliwych nastrojach, w najlepszej i najgorszej formie, w trakcie cesarskiego cięcia, z macicą położoną na brzuchu, zniknęła?

Sztywnymi ruchami rąk Dave zdjął dekoracyjne poduszki z łóżka i rzucił je na podłogę.

– Idę spać – oznajmił.

– Poczekaj. – Nie odpowiedział. Położył się tylko na boku, podciągnął kolana do klatki piersiowej i skrzyżował ramiona. Równie dobrze mógłby założyć na siebie tablicę reklamową z napisem ZAMKNIĘTE. – Dave.

Nie reagował. Stałam tak, wyginając dłonie, a potem wyszłam na korytarz i zamknęłam drzwi. Po poronieniu to on wziął na siebie zadanie poinformowania obydwu par rodziców, że będzie ślub, ale nie będzie dziecka. Nigdy go nie pytałam, jak to wówczas zakomunikował. Mnie powiedział tylko: „Nie musisz się

niczym martwić. Skup się na tym, by wrócić do zdrowia”.

Nigdy nie dał mi do zrozumienia, że go usidliłam, a jeśli jego rodzice uważali, że polecałam na jego pieniądze, i sugerowali, że to jest moment, by zrzucił kajdany i dokonał lepszego wyboru, nigdy nie pozwolił, bym się o tym dowiedziała.

Wróciłam do naszej sypialni i przypomniałam sobie moment, gdy Ellie miała sześć tygodni i ledwie przesypiała dwie godziny. Dave sam znalazł mały domek na Bethany Beach.

„Może odgłos wody ją uspokoi”, zasugerował, a ja byłam tak wykończona psychicznie i fizycznie, snując się całymi dniami jak zombie i marząc o prysznicu, że się zgodziłam. Pomyślałam, że wszystko będzie lepsze niż noce wypełnione krzykami, które musieliśmy znosić. Dave spakował całą naszą trójkę, życzliwie wybierając tylko moje najwygodniejsze legginsy i spodnie od dresu, pomijając stroje z gumką w pasie, guzikami lub suwakami, ponieważ blizna nadal mnie bolała, a moja talia była schowana pod fałdami powstałymi od nadmiaru wody w organizmie i pod pociężowym brzuszkiem. Wybrał śpioszki i maleńkie bawełniane spodenki dla Ellie oraz bezzapachowy i pozbawiony barwników środek, w którym praliśmy jej ubranka. Spakował też laktator, butelki, smoczki, grzechotki i tekturowe książeczki, pieluszki, krem na odparzenia i dziesiątki przedmiotów, małych i dużych, których potrzebowało niemowlę. Jakby fachowo układał klocki w tetrisie, zapakował naszą małą hondę, włożywszy do bagażnika łóżeczko turystyczne, walizki, kołyskę i wózek, z którym można biegać.

W domku, składającym się z dwóch skąpanych w słońcu pokoiów i żeglarskiej kuchni, Dave kazał mi zdrzemnąć się na sofie na ganku. Ellie, która zasnęła po setkach kilometrów zawodzenia, spała w foteliku samochodowym obok mnie, a on sam pościelił łóżka i przygotował łóżeczko turystyczne. Trzymał małą, gdy pływałam. Domek znajdował się nad zatoką, była tam też mała wyspa, zaledwie kilka drzew, krzewów i dzikich jeżyn, oddalona od brzegu o jakieś czterysta metrów. Przeplłynęłam kraulem całą tę drogę, a potem wróciłam żabką. Czułam, jak serce mocno mi bije, jak pracują mięśnie klatki piersiowej i ramion. Potem odwróciłam się na plecy i pozwoliłam, by słona woda mnie unosiła, a fale kołysały.

– Nie martw się, zajmę się nią – powiedział, kiedy opłukałam się pod prysznicem na powietrzu i nakarmił małą na ganku. Potem zapiął ją w wózku do biegania i popędził do miasta. Wrócił godzinę później z pudełkami jedzenia na wynos, pełnymi krewetek, frytek, małży i sałatki coleslaw – ucztą z potraw, na które właśnie miałam ochotę. – Zajmę się nią – powiedział ponownie tego wieczoru, a ja tuż po siódmej runęłam na świeżo wypraną pościel i momentalnie zapadłam w najgłębszy sen, jaki potrafię sobie przypomnieć.

Kiedy się obudziłam i spojrzałam na błyszczący na różowo wschód słońca,

było tuż po piątej. Ellie przespała całą noc. Leżała pośrodku łóżka, gdzie położył ją Dave, i mrugała spokojnie. On spał po drugiej stronie, zwinięty w swojej typowej pozycji embrionalnej, w koszulce i bokserkach, z ciemnymi włosami niesfornie sterczącymi, oddychając głęboko, prawie chrapiąc. Słyszałam przez okno szum fal i mlaskanie Ellie, kiedy machała w powietrzu paluszkami i wpatrywała się w nie, jakby były najciekawszym filmem świata. Teraz jesteśmy trójką, pomyślałam. Ta myśl wypełniła mnie tak niezmaconą rozkoszą, że aż zaparła mi dech w piersiach. Tak właśnie wygląda rodzina, nas troje, tak blisko razem. Na to pracowałam i tego pragnęłam, od kiedy byłam małą dziewczynką.

A teraz mój mąż zabierał na lunch inną kobietę. Uważał, że jestem szurnięta. Nie, właściwie uważał, że jestem ćpunem. Co gorsza, był rozczarowany swoim życiem, naszym życiem. Nie rozumiałam tego, dlatego nie potrafiłam temu zaradzić. Czy kiedykolwiek rzeczywiście byliśmy tacy szczęśliwi, zastanawiałam się, przypomniawszy sobie tamten poranek na plaży, czy wtedy jeszcze brałam percocet na ból po cesarskim cięciu?

Pojemniczek z oxycontinem nadal był w mojej torebce, ale na stoliku nocnym stał vicodin. Rozgryzłam dwie tabletki i położyłam się na poduszce. Pamiętałam, by nastawić budzik na szóstą, kiedy życie, którego zawsze pragnęłam, zacznie się na nowo.

– Allison?

– Tak, mamó? – powiedziałam w stronę głośników w samochodzie, prowadząc jedną ręką. Wjeżdżałam na parking pod salą zabaw Skoczny Czas, gdzie za dziesięć minut zaczynało się przyjęcie urodzinowe kolegi z klasy Ellie, Jaydena (byłam prawie pewna, że tak właśnie ma na imię). Był przygnębiający kwietniowy dzień, pochmurny i wietrzny, a z nieba padał zniechęcający deszcz.

– Dojeżdżasz już do nas? – zapytała drżącym głosem.

Dave siedział obok mnie, sztywny i milczący jak jeden z tych nadmuchiwanym balonów w kształcie człowieka, które kierowcy w Kalifornii kupują, by móc korzystać z pasów dla samochodów przewożących więcej niż dwóch pasażerów. Od czasu jego urodzinowej kolacji minęło kilka tygodni, ale rozmawialiśmy jedynie o tym, czy kończy się mleko i czy pamiętałam o płatności za ubezpieczenie samochodu. Ja brałam tabletki, on, prawdopodobnie, pocieszał się rozmowami z L. McIntyre i staraliśmy się zachowywać wobec siebie uprzejmie, zwłaszcza w obecności córki. Wspomniana córka siedziała na tylnym siedzeniu i gawędziła ze swoim kolegą, Hankiem.

– Jeśli chcesz włożyć coś do nosa, nie powinien to być bucik Barbie. – Usłyszałam radę Ellie.

– Okej. – Pociągnął nosem Hank. Był drobnym, bladym chłopcem o wąskiej twarzy, z białawymi strupkami wokół ust i oczu. Miał prawie sześć lat, podobnie jak Ellie, ale z powodu uczulenia na jajka, nabiął, skorupiaki i sierść zwierząt był wzrostu trzylatka i stale pociągał nosem.

Skąd Ellie w ogóle wiedziała o istnieniu lalek Barbie? Zastanawiałam się nad tym, manewrując samochodem, by wpasować się w miejsce parkingowe pomiędzy jaguarem a minivanem. Nie byłam pewna, ale założyłabym się, że to zasługa matki Dave'a, Nieugiętej Doreen. Szydziła z moich poglądów, jak je nazywała, na temat organicznego jedzenia, zabawek bez segregacji płciowej i ograniczania czasu, jaki Ellie spędza przed telewizorem. Doreen była wysoka, szczupła, miała szerokie ramiona i jasną karnację, którą odziedziczyli po niej synowie, oraz takie same jak oni krótkie, ciemne włosy, chociaż podejrzewałam, że je farbowała. Wychowała trzech chłopców i latami czekała na dziewczynkę, którą mogłaby hołubić. Kiedy tylko zajmowała się Ellie, pozwalała jej objadać się lodami i słodyczami. Przez całą noc siedziały w ogromnym łóżku zasłanym jedwabną pościelą, grały w Casyno, oglądały *Wyspę Giliana* i Bóg jeden wie co jeszcze.

– Wyluzuj – mówiła Doreen, czasami szturchając mnie w ramię, życzliwie, acz boleśnie, kiedy uprzejmie przypominałam jej, że Ellie bardziej służy chodzenie spać o ustalonej porze, albo wspominałam, że dajemy córce kieszonkowe za

wykonywanie prac domowych i gdy ona ukradkiem podrzuca wnuczce dwadzieścia dolarów, podważa naszą reputację. – Uspokój się, bo zwariujesz!

Wiedziałam, że teściowa ma dobre intencje. Nigdy nie mówiła o tym, czy brakowało jej pracy, którą rzuciła, gdy chłopcy przyszli na świat, ale zastanawiałam się, czy tak było. Czy widziała, jak było mi trudno najpierw jako pełnoetatowej niepracującej mamie i teraz jako pełnoetatowej mamie pracującej na pół etatu? (który z każdym dniem zbliżał się do pełnego). Mogłam ją o to zapytać, ale prawda była taka, że kiepsko się między nami układało od momentu, gdy przeczytała mój plan porodowy na spotkaniu klubu książki. Z perspektywy czasu widzę, że był on być może nieco zbyt obszerny – miał osiem stron i opisywał wszystko, poczynając od muzyki, jakiej chciałam słuchać, poprzez informację, iż nie życzę sobie zewnętrznych interwencji, w tym znieczulenia zewnątrzoponowego, i podkreślał konieczność zapewnienia „spokojnego otoczenia do porodu”. Nie oznaczało to jednak, że chciałam, by sześć członkiń klubu Słowa i Trunki śmiało się ze mnie, czytając ostatnią książkę Sue Monk Kidd.

Na tylnym siedzeniu Ellie raczyła Hanka opowieścią o zdechłej wiewiórcie, którą widziała na skrzyżowaniu South Street podczas jednej z naszych wizyt w mieście.

– Środek miała cały zgnieciony, a na jej pupie była KREW – oznajmiła, a Hank z przerażenia wstrzymał oddech.

– Hej, El, to chyba nie są szczegóły do opowiadania – zauważyłam.

Ellie zamilkła i przygryzła dolną wargę. Potem odwróciła się do Hanka i powiedziała tak idealnym tonem damy konwersującej na przyjęciu koktajlowym, że oboje z Dave'em się uśmiechnęliśmy.

– A jakie masz plany na weekend?

Zatrzymałam samochód i poczekałam, aż Hank odpowie:

– Nie wiem.

– Plany na weekend to znaczy, co masz zamiar robić – wyjaśniła Ellie. – Możesz na przykład powiedzieć: będę oglądał *Sam i Cat* albo posegreguję lakiery do paznokci.

– Nie mam lakierów do paznokci – zauważył smutno Hank.

Telefon zadzwonił ponownie. Zignorowałam go. Pomyślałam, że, w odróżnieniu od mojej matki, Doreen przynajmniej nie potrzebuje instrukcji do wykonania najprostszyc zadań, takich jak telefon do firmy naftowej w sprawie napełnienia baku czy wymiana wycieraczek zamiast kupna nowego samochodu, co kiedyś faktycznie zrobiła. Gdyby tata nadal był sobą, zapytałabym, jak z nią wytrzymuje, chociaż podejrzewałam, że odpowiedź miałaby coś wspólnego z seksem.

Gdybym miała czas, pomagałabym więcej, ale w ciągu ostatnich sześciu tygodni od ukazania się artykułu w „The Wall Street Journal” ruch na stronie

KobietySalon.com wzrósł o ponad dwieście procent i Sarah zaczęła sugerować, że powinnam pomyśleć o pisaniu nie pięć razy w tygodniu, ale codziennie. Odezwały się też do mnie inne serwisy, kilka stron internetowych, dwa drukowane czasopisma i program publicystyczny w telewizji kablowej z pytaniami, czy chciałabym dla nich pisać, blogować lub udzielać komentarzy w internecie albo na antenie. Na razie wszystkie odrzuciłam, ale podejrzewałam, że gdyby Sarah dowiedziała się o propozycjach, zachęcałyby mnie do przyjęcia ich, gdyż pomogłyby to w promocji marki Kobięcego Salonu.

Najlepiej byłoby, gdyby Dave przejął opiekę nad Ellie kilka wieczorów w tygodniu, a może nawet znalazł godzinę tygodniowo na terapię. On jednak, niech Bóg ma go w swojej opiece, odmówił spełnienia którejkolwiek z próśb i zamiast tego zapisał się na kolejny maraton. Starłam się nie doszukiwać zbyt wielkiego znaczenia w symbolice sytuacji, w której mój mąż będzie spędzał co tydzień kilka godzin, dosłownie biegiem oddalając się ode mnie i od naszej córki. Wytrwale unikałam googlowania nazwiska L. McIntyre i sprawdzania, czy ona również weźmie udział w biegu, dzięki czemu nie musiałam wyobrażać sobie, jak wspólnie planują treningi wzdłuż rzeki Schuylkill i truchtają ramię w ramię ścieżkami Wissahickon pod zielonym baldachimem z drzew. Zamiast narzekać, poprosiłam gosposię, by przychodziła dwa razy w tygodniu, zatrudniłam dodatkową opiekunkę, która mogła pracować wieczorami i w weekendy, i zapisałam Ellie na zajęcia pozalekcyjne codziennie z wyjątkiem czwartków: gimnastykę akrobatyczną, pływanie, garncarstwo, a nawet lekcje z obsługi iPada. Serce mi się krajało, ale im więcej czasu spędzała poza domem, tym lepiej sprawy układały się w domu. Znalazła sobie nawet nowego przyjaciela. Hank uczęszczał prawie na wszystkie zajęcia razem z Ellie, a jego mama była urologiem pracującym na pełny etat. Ellie niemal adoptowała Hanka, jeszcze bardziej wrażliwego i nerwowego niż ona, i samodzielnie wyznaczyła sobie rolę jego nieoficjalnego doradcy i terapeuty.

– Jeśli chcesz iść na nocnik, po prostu mi powiedz. – poradziła przyjacielowi, wypinając się ze swojego fotelika i sięgając, by pomóc Hankowi z zapięciem. – Ja byłam tutaj już chyba na miliardzie przyjęć.

Pomogłam Ellie wysiąść z samochodu, podałam Dave'owi prezent dla jubilata, a potem stałam obok niego na parkingu, czując się tak, jakby ktoś wypchnął nas na scenę bez scenariusza. Normalnie pocałowalibyśmy się przed moim odjazdem – szybki całus, delikatne muśnięcie, wystarczające, bym poczuła jego zapach, który nadal działał na mnie odurzająco – a potem każde poszłoby w swoją stronę. Zamiast tego Dave machnął do mnie niedbale i rzucił: „Na razie”, a potem wprowadził dzieci do budynku. Część mnie chciała pobiec za nim i uściskać go. Nawet chwilowy kontakt fizyczny dałby mi siłę. Inna część miała ochotę pokazać mu środkowy palec. Od kłótni w wieczór jego urodzin prawie mnie nie dotykał i nadal spędzał noce w pokoju gościnnym. Wyobrażałam sobie, jak leży

pod pościelą, skulony na boku, z przeklętym telefonem przyciśniętym do ucha i rozmawia ze swoją służbową żoną L. McIntyre, podczas gdy jego prawdziwa żona leży sama w łóżku na końcu korytarza, wpatrując się w ciemność, czasem płacząc, do momentu aż narkotyki pozwolą jej zasnąć.

Kiedy drzwi zamknęły się za Dave'em, Ellie i Hankiem, usiadłam za kierownicą i pod euforią zapewnioną przez tabletki poczułam pustkę. Przynajmniej nadal miałam to – gwarantowaną poprawę nastroju na początku dnia i pokrzepienie pod koniec. Gdy w moim krwiobiegu krążyła substancja z tabletki albo dwóch (albo trzech, albo czterech), czułam się spokojna, pełna energii, zorganizowana, wiedziałam, że uporam się z pracą, dam radę być dobrą matką i córką, z prowadzeniem domu, zapełnię lodówkę, a nawet być może od czasu do czasu wcielę się w rolę opiekunki podczas szkolnej wycieczki do muzeum sztuki. Niestety, doktor Andi znacznie oszczędniej wypisywała mi recepty na oxycontin niż na vicodin. „Proszę uważać z tym lekiem”, ostrzegła mnie, kiedy zadzwoniłam po drugą receptę. – Łatwo uzależnia. „Och, będę uważała”, obiecałam.

Spokojnie mogłam dotrzymać obietnicy, ponieważ podczas jednej z codziennych rundek po stronach plotkarskich, na które marnowałam zbyt wiele czasu, trafiłam na artykuł, który w pierwszej chwili uznałam za zmyślony: „Poznaj Penny Lane: tajną stronę internetową, na której kupisz każdy lek”. Niemożliwe, pomyślałam, ale z opisu strona wyglądała na wiarygodną i przypominała Amazon z nielegalnymi substancjami. By się na nią dostać, trzeba było użyć oprogramowania zapewniającego anonimowość i zaszyfrować dane przy rejestracji. Po pokonaniu tych przeszkód można było, podobno, zamówić wszystko, co się chciało, poczynając od trawki przez viagrę i środki przeciwbólowe po heroinę. Zamawiający przysyłał sprzedawcom swoje prawdziwe nazwisko i adres, oczywiście zaszyfrowane, dokonywał opłaty z użyciem nowego rodzaju waluty wyłącznie do transakcji internetowych, a sklep przysyłał mu produkty.

Pomyślałam, że to na pewno przekręt, ale co miałam do stracenia? Tylko trochę pieniędzy i wolność, jeśli można, jak podejrzewałam, trafić do więzienia za próbę nabycia leków na receptę przez Internet. Zdecydowałam, że takie ryzyko gotowa jestem ponieść. Przez jakieś dziesięć sekund zastanawiałam się, czy ktoś rozpozna moje nazwisko, i uznałam, że prawdopodobnie niewiele osób kupuje nielegalnie leki i jednocześnie czyta KobietySalon.com. Ściągnięcie oprogramowania zajęło mi mniej niż minutę, a opanowanie go zaledwie kolejnych pięć. Najtrudniejsze było zorientowanie się, jak przeliczać dolary na e-monety, których strona używała zamiast gotówki. Poświęciłam większość następnego tygodnia na założenie konta bankowego do osobistych celów w innym banku niż ten, z którego korzystaliśmy z Dave'em. Potem musiałam zarejestrować się na kolejnej stronie, by przesłać e-walutę na swoje konto na Penny Lane. Kiedy wybrałam swój nick (HarleyQueen, wariacja na temat imienia jednej z seksownych

kobiecych czarnych charakterów w *Batmanie*) i przelałam na konto walutę o wartości tysiąca dolarów, zaczęłam przechadzkę po wirtualnych alejkach, zadziwiona tym, co tam oferowano. Psychodeliki, amfetamina, dysocjanty (czymkolwiek były). Viagra i cialis, ecstasy, ketamina i metamfetamina. Kliknęłam kategorię *Opioidy* i było tam wszystko: percocet, vicodin, tylenol z kodeiną. Z ustami otwartymi z niedowierzania dodałam do koszyka dwadzieścia opakowań oxycontinu, poszperałam jeszcze, przeliczyłam cenę vicodinu z Indii i ponownie zaczęłam się zastanawiać, czy to może być legalne.

Pomyślałam, że w najlepszym razie dostanę fałszywki, jeśli sprzedawcy w ogóle pofatygują się, żeby mi coś wysłać. A potem przyszła pierwsza przesyłka. Tabletki znajdowały się w maleńkiej plastikowej torebeczce owiniętej w folię bąbelkową, złożonej i wetkniętej do puszki po miętówkach. Wyglądały dokładnie tak jak te, które mi przepisano i, według strony Pillfinder.com, miały być lekami, za które zapłaciłam. Ostrożnie włożyłam jedną pod język i czekałam na znajomą gorzycz. Pojawiła się zgodnie z planem, ale nadal czułam przerażenie. A jeśli to sprytne podróbki? A jeśli właśnie zażyłam truciznę? Co, jeśli Ellie wróci do domu i znajdzie mnie w konwulsjach na kuchennej podłodze? Jednak dziesięć minut później z rozmarzonym wzrokiem niemal płynęłam po kuchni. Od tego momentu moje spożycie leków odrobinę wzrosło (choć „znacznie” byłoby trafniejszym określeniem). Skoro jednak mogłam kupić tyle tabletek, ile chciałam i kiedy chciałam, skoro było mnie stać na te nielegalne zakupy, a cała transakcja wydawała się nie bardziej ryzykowna niż zamówienie stanika ze strony Victoria's Secret, to czym miałam się przejmować?

Zatrzymałam się na światłach i wystukałam numer mamy.

– Tata właśnie się obudził – powiedziała. – Wydaje mu się, że musi się ubrać, żeby pojechać na lotnisko. Powtarzam mu cały czas...

– W porządku, mamo.

– ...ale nie chce mnie słuchać. Wczoraj w nocy nie zmrużyłam oka. Ciągle mnie szturchał albo włączał telefon i świecił mi nim w oczy. O trzeciej nad ranem zaczął pakować walizkę...

– Jestem dziesięć minut drogi od was – powiedziałam, rezygnując w głowie z postoju w Starbucksie (albo jeśli mam być szczerą, w McDonalddie). Tak długo musiałam namawiać Eloizę do zjedzenia kilku łyżek płatków śniadaniowych, że nie miałam czasu na własne śniadanie. Zasługuję na placek ziemniaczany. Jeden placek ziemniaczany, powiedziałam sobie, i żadnych hamburgerów.

– Ronnie! – Usłyszałam krzyk taty. – Gdzie ta taksówka?

– Daj mi go do telefonu – poleciłam, uznając, że to nie powinno zaszkodzić.

Minutę później tata warknął mi do ucha:

– Kto mówi?

– Tato, tu Allison. Mama mówi, że trzeba cię podwieźć. – Nie byłam pewna,

czy to dobry pomysł, by podtrzymywać wersję wydarzeń osoby we wczesnym stadium alzheimera, cierpiącej na demencję (co moja matka wymawiała „demensja”), ale lekarz taty stwierdził, że do pewnego momentu można mu w tym pobłażać. Nazwał to „terapeutycznym kłamstwem”, co w wolnym tłumaczeniu oznaczało „cokolwiek się sprawdza”.

– Allison – powiedział tata.

Wstrzymałam oddech. W zeszłą sobotę, kiedy wysłałam Eloizę do Hanka na umówione spotkanie i zabawę i zaprosiłam rodziców na brunch, rozpoznał mnie, ale czasami myślał, że jestem jego siostrą, i nazywał mnie Joyce. Wiedziałam, że nadejdzie dzień, kiedy przestanie mnie poznawać, ale modliłam się, by nie był to jeszcze ten moment, nie tyle ze względu na siebie, co na mamę.

Rodzice poznali się, kiedy mama, Ronnie Feldman, miała osiemnaście lat, uroczy dzióbek, łagodne brązowe oczy, wdzięczną, drobną figurę i lśniące czarne włosy, a tata był dwudziestoosmioletnim absolwentem college’u, który przez dwa lata służył w wojsku jako informatyk, stacjonując w Korei. Gdy się spotkali, kończył studia MBA na Uniwersytecie Pensylwanii. Mama odbywała staż jako psycholog na obozie letnim, w którym uczestniczył tata, kiedy przyjechał na spotkanie klasowe po dziesięciu latach od ukończenia szkoły. Ona była jeszcze w szkole średniej, nadal jeździła na rowerze z zaczepionym na kierownicy wiklinowym koszykiem ozdobionym plastikowymi kwiatami i kupowała ubrania w dziale dziecięcym. Mała Ronnie, która ozdabiała „i” w swoim imieniu serduszkami, nigdy nie mieszkała sama, nigdy nie płaciła rachunków i nigdy nie pracowała, poza pełnieniem funkcji niedoszłego psychologa na obozie Wah-Na-Wee-Naw w Poconos, mała Ronnie z opalonymi nogami, zawadiacko uniesioną bródką i kucykiem związanym biało-czerwoną wstążką oczywiście w kolorach klubowych wyszła za tatę dwa lata później i przeprowadziła się prosto z domu rodziców do wynajętego mieszkania, gdzie bawiła się w dom, dopóki ja nie przyszłam na świat i wtedy zabawa się skończyła. Zawsze był obok niej mężczyzna, który o nią dbał, najpierw jej ojciec, a potem mąż. Mama nigdy nie miała powodu, by opanować podstawy dorosłego życia, takie jak zarządzanie książeczką czekową, rejestracja samochodu czy kupno domu. Wszystkim zajmował się mój tata. Śliczna Mała Główka albo SMG, tak Dave i ja nazywaliśmy ją w lepszych czasach, kiedy mieliśmy jeszcze swój własny język żartów. „Nie zavrcaj sobie niczym swojej ślicznej małej główki”, mówiliśmy.

– Spakowałaś się już? – zapytał tata.

A więc myślał, że jadę z nim na tę wymyśloną wyprawę.

Spakowana i gotowa do drogi.

– Jestem z ciebie dumny – oznajmił chrapliwym głosem takim jak po wypiciu swojego zwyczajowego, drugiego, przedobiadowego martini. – Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawiła w college’u. Wyluzuj trochę! Odłóż farby

i idź na imprezę! Poznaj jakichś miłych chłopaków! Wiesz, że w college'u nie chodzi tylko o naukę.

A więc myślałam, że zawozi mnie do college'u. Na czerwonym świetle wzięłam głęboki oddech i przypomniałam sobie tę podróż. Zatrzymaliśmy się na koktajlu, a tata wygłosił pełną bólu i rozbrajająco słodką przemowę o tym, że chłopcy w college'u będą chcieli pewnych rzeczy, że na imprezach nigdy nie powinnam spuszczać z oka swojego drinka, ponieważ jakiś drań mógłby próbować „czegoś mi dosypać” oraz że powinnam uważać, w co się ubieram.

– Wiem, że to trochę staromodne – powiedział tata, a ja byłam tak zażenowana, kiedy użył sformułowania „taka jest ich natura”, że spędziłam następne dziesięć minut schowana w łazience.

Wcisnęłam pedał gazu i starałam się nie myśleć o momencie, gdy będę musiała zawieźć go do ośrodka opiekuńczego albo domu opieki czy innego miejsca, którego będzie w końcu potrzebował. Żadnych koktajli mlecznych, żadnych pogadarek na temat tego, że powinien unikać rozwódek o pożądanym spojrzeniu, żadnych żartów ani czułości akceptującej naturalną kolej rzeczy, kiedy ptaszki wylatują z gniazda. Nie tak powinno być, pomyślałam, przypomniał mi się tata, jak imponująco wyglądał tata, kiedy zaoferował pomoc mojej nowej współlokatorce i jak pomógł mi zasłać łóżko. Odchrząknęłam, żeby nie zorientował się, że płakałam.

– Kupię szybko kawę i będę gotowa.

– Świetnie, księżniczko. – Brzmiał radośnie, serdecznie, był całkowicie sobą.

Pomyślałam, nie po raz pierwszy, że może lepiej by było, gdyby po prostu umarł, na nagły atak serca albo z powodu pęknięcia tętniaka w mózgu, spokojnie odszedł w środku nocy, we własnym łóżku, po ulubionym posiłku, z mamą u boku. Opłakiwalibyśmy go, a potem życie potoczyłoby się dalej. To, co się teraz działo, to była katastrofa w zwolnionym tempie, śmierć na raty.

– Może pogładasz CNBC? – zaproponowałam, starając się nadać głosowi pogodny ton. – Sprawdź swoje akcje, a mama będzie mogła wziąć prysznic. Będę u was najszybciej, jak mi się uda.

Uwielbienie dla CNBC było jedną z cech, które zachował, pomimo że coraz głębiej osuwał się w głąb króliczej nory. W domu rodziców telewizor w gabinecie zawsze był włączony, a poziom dźwięku ustawiono tylko nieco ciszej niż na ogłuszający, nieustannie leciał program z wiadomościami finansowymi, by tata mógł kontrolować swój portfel akcji, którym w zasadzie zarządzał jego były protegowany, człowiek o nazwisku Don Ettlinger, który pracował w centrum miasta i pamiętał mnie z czasów dzieciństwa.

– W porządku. Zobaczymy się, jak się zobaczymy. – Usłyszałam dudniący dźwięk, gdy odkładał telefon. Czasami się gubił, a potem złościł, kiedy chciał zakończyć rozmowę i odkrywał, że komórki nie mają widełek, na które można by

je odłożyć. Zacisnęłam dłonie na kierownicy. Kiedy miałam czternaście lat, moja cera się uspokoiła, a reszta rysów dogoniła nos, chłopak zaprosił mnie do kina. Jego matka nas tam zawiozła. Spędziliśmy następane dwie godziny, trzymając się za spocone dłonie, ze wzrokiem utkwionym w ekranie i oboje, bez wątplenia, czekaliśmy, aż to drugie wykona ruch. Tata odebrał nas z kina i przywiózł do domu. W kuchni, gdzie mama zostawiła talerz ciasteczek, spojrział surowo z góry na całe sto sześćdziesiąt centymetrów Marca Schwartzbauma.

– Będziecie się oboje porządnie zachowywać, tak? – zapytał tonem, który wydawał mi się niższy niż zwykle, a Marc przełknął ślinę i nerwowo skinął głową.
– To wspaniale – oznajmił tata. – Bo będę miał was na oku.

Następnie, zgodnie z planem, na który zgodę wybłagałam u rodziców, Marc i ja zeszliśmy do naszej wykończonej piwnicy, gdzie znajdował się wielkoformatowy telewizor i stoły do ping-ponga oraz cymbergaja. Krządek błyszczał w ciemności, dlatego trzeba było gasić światła. Przełączyłam kontakty, włączyłam urządzenie i po kilku minutach spoczęliśmy na kanapie i przeszliśmy do obściskiwania, które już wówczas uznałam za nieudolne i niezadowolające. Nagle z sufitu rozległ się dudniący głos ojca, brzmiały, dając słowo, jak głos Boga.

– BĘDĘ MIAŁ WAS NA OKU! – oznajmił.

Marc krzyknął jak dziewczyna, podskoczył, uderzył się plecami o poręcz kanapy i potoczył na podłogę, gdzie zaległ, jęcząc, nabrzmiały i obolały. Zaczęłam się śmiać i za każdym razem gdy już niemal udało mi się opanować wystarczająco, by pocieszyć swojego chłopaka, znowu słyszałam głos taty dochodzący z systemu nagłaśniającego, który zainstalował rok wcześniej w całym domu, żeby mama mogła słuchać Jamesa Taylora i Simona & Garfunkela, gdziekolwiek by poszła. „Będę miał was na oku”. Marc nigdy więcej nie zaprosił mnie na randkę. Nie przejęłam się tym. Nie było warto.

Siedziałam przez chwilę i oddychałam głęboko na podjeździe nowoczesnego domu z czterema sypialniami w Cherry Hill, gdzie dorastałam. Budynek był w stylu lat osiemdziesiątych, z ułożonych pod kątem drewnianych desek i szkła. Wyobrażałam sobie opuszczoną plażę z białym piaskiem i koronkowymi falami bijącymi o brzeg. To mi dobrze zrobiło. Potem wsunęłam rękę do torebki i zacisnęłam palce wokół puszek po miętówkach zawierającej dziesięć magicznych niebieskich tabletek. To robi mi jeszcze lepiej. Włożyłam jedną do ust i wysiadłam z samochodu.

Dokładnie w momencie, gdy moje stopy dotknęły podjazdu, otworzyły się drzwi frontowe. Mama rozchyliła usta, bez wątplenia gotowa zacząć wyliczanie swych trosk, a potem powoli je zamknęła, oceniwszy mój strój.

– Wiesz, za moich czasów trzeba było się umalować nawet po to, by wyjść przed drzwi po gazetę – oznajmiła.

– W takim razie mam szczęście, że czasy się zmieniły – powiedziałam

beztrosko, żałując, że nie połknęłam dwóch tabletek. Spojrzałam na swoje ubranie: czarne legginsy, szaro-czarna wełniana tunika, której przydałaby się wizyta w pralni, czarne chodaki z lakierowanej skóry. To prawda, nie miałam makijażu, a włosy związałam w niedbały kok, ale przynajmniej niedawno je umyłam. Tymczasem mama straciła swą sprężystość i urok dziewczyny z kucykiem, które przez te wszystkie lata zniewalały ojca. Jej skóra, zazwyczaj opalona i promienna, teraz była blada i pomarszczona jak krepina, co sugerowało, że spędzała większość dnia w domu. Lakier na paznokciach zaczął odpryskiwać, a pierścionek z kamieniem wielkości kulki do gry, który tata kupił jej (jak podejrzewam, za jej namową) na trzydziestą rocznicę ślubu, luźno obracał się na palcu. Jak zwykle była drobniutka. Nigdy nie przekroczyła wagi czterdziestu pięciu kilogramów, „z wyjątkiem okresu”, jak lubiła mówić tonem niemal oskarżycielskim, „kiedy byłam w ciąży z tobą”. Miała na sobie ten sam szlafrok, który nosiła w poprzednią sobotę, tyle że teraz na rękawie widniała plama – prawdopodobnie z keczupu – a na klapie smuga czegoś żółtego. Drżące dłonie trzymała ściśnięte razem – dłonie mojej matki trzęsły się, od kiedy pamiętam. Powiedziano mi chyba, że miało to związek z Wypadkiem. Gdy ją uściskałam, poczułam znajomy zapach: owocowy, słodki, z wysokimi nutami perfum Giorgio i płynu do płukania ust Listerine. Jej maleńkie stopy były bose, paznokcie pokryte poodpryskiwanym koralowym lakierem, a wokół kostek plątały się fioletowe żyły. W porannym słońcu widziałam pod przerzedzającymi się włosami zarys jej czaszki.

– Sidney! – zawołała, przekrzykując hałas wiadomości finansowych. – Idę wziąć prysznic!

Ojciec krzyknął w odpowiedzi coś, czego nie dosłyszałam. Mama weszła po schodach, z pochyloną głową, poruszając się powoli, jakby każdy krok sprawiał jej ból. Powiesiłam płaszcz na krześle przy wózku śniadaniowym. Domyśliłam się, że Brenda, ostatnia sprzątaczką, którą przysłała agencja, nie spodobała się bardziej niż Maria, Dot, Phyllis ani ktokolwiek przed nią. Kiedy tata usłyszał diagnozę, obiecałam zapłacić za wizyty pomocy domowej pięć razy w tygodniu. Blanka, która od zawsze pracowała u rodziców i przychodziła w każdy wtorek i czwartek, by umyć podłogi, odkurzyć dywany, zrobić pranie i przetrzeć wybielaczem blaty, zajmowała się też innymi rodzinami i nie mogła z nich zrezygnować. Znalazłam agencję i wyjaśniłam, czego potrzebuję – kogoś, kto wykona prace domowe, pomoże z praniem, zawiezie mamę do sklepu spożywczego, pralni i w inne miejsca, jeśli będzie miała coś do załatwienia, kogoś z przyzwoitym charakterem i prawem jazdy. Agencja przysłała całą drużynę piłkarską kandydatek, ale mama znalazła uchybienia u każdej z nich. Maria Pierwsza koniecznie chciała otrzymywać wynagrodzenie w gotówce, a nie czekiem, a mama odmówiła „specjalnych wypraw do banku wyłącznie dla niej”. Maria Druga jeździła dodgem, w którym brakowało jednego przedniego kołpaka. Tak skończyła się jej kariera.

– Nie ma mowy, żebym jeździła takim... pojazdem – kręciła nosem mama.

Dot odmówiła prasowania pościeli albo źle to robiła. Phyllis, jak twierdziła mama, ukradła parę kolczyków od Judith Leiber wprost z kasetki na biżuterię (podejrzywałam, że gdybym dobrze poszukała, znalazłabym je gdzieś; mama notorycznie coś gubiła, od kluczy poprzez karty kredytowe po biżuterię, ale łatwiej mi było zadzwonić ponownie do agencji niż klócić się z nią).

Tego ranka na stole kuchennym stały pojemniki na wynos z baru sałatkowego, szklanka z resztką soku pomarańczowego zaschniętą na dnie, kolekcja buteleczek po lekach i leżała pomięta gazeta. Zaczęłam sprzątać, chwilę potem zrezygnowałam i poszłam do ojca, do gabinetu.

Siedział na kanapie w świeżo wypranej białej koszuli z monogramami na mankietach, w szelkach i prążkowanych granatowych spodniach. Marynarka od garnituru wisiała na wieszaku, na kłamce. Przełknęłam głośno ślinę. Wyglądał dokładnie tak jak tego ranka, gdy zawoził mnie do Lancaster, do college'u; jak każdego poranka mojego dzieciństwa, kiedy po cichu wchodził do mojego pokoju, pachnąc Old Spice'em i grejpfrutem, który jadał na śniadanie. „Z tarczą albo na tarczy”, mawiał, jak ojcowie Spartanie do swych synów przed wysłaniem ich na wojnę.

Może byłby trochę delikatniejszy, bardziej skłonny traktować mnie jak dziewczynkę, a nie jak syna, gdybym była bardziej podobna do mamy. Odziedziczyłam jednak rysy twarzy i figurę po jego matce, babci Sadie, kobiecie wysokiej, szczególnie na jej czasy, i biuściastej. Nauczyłam się modulować głos (tubalny głos babci Sadie był w stanie uciszyć cały sklep) i po żenująco krótkich błaganiach latem, pomiędzy szkołą średnią a college'em, zrobiłam sobie operację plastyczną nosa (tata powiedział: „Wyglądasz dobrze!”, a mama zapytała, czy chcę sobie także zmniejszyć piersi).

Mama była przeciwieństwem Sadie – drobna, cicha i słodka. W odróżnieniu od babci, która prowadziła samochód, podpisywała czek i podejmowała wszystkie ważne domowe decyzje, mama była całkowicie zależna od taty. Zatrudnił Blankę, by nie musiała sprzątać, i kierowcę, by po Wypadku nie musiała prowadzić. Kiedy gościli u siebie więcej niż jedną parę, wynajmował firmę cateringową i sprzątaczkę po przyjęciu. Gdyby mógł zapłacić komuś, by przeszedł za mamę ciężę i poród, żeby nie musiała nawet przez chwilę doświadczyć bólu, również by to zrobił.

Moja matka do tej pory sunęła przez życie jak królowa, która ma do wypełnienia jedynie kilka reprezentacyjnych obowiązków. Nie pracowała, nie zajmowała się mną ani domem. Zabawiała jedynie tatę. Plotkowała, tańczyła, grała w karty, tenisa i golfa, słuchała opowieści ojca, śmiała się z jego żartów i używała swych długich pomalowanych paznokci, by drapać go w kark. Najbardziej się bała, o czym mówiła codziennie, że go przeżyje i zostanie sama na świecie, którego nie ogarnia, nic więc dziwnego, że stała się jego hipochondrycznym pełnomocnikiem.

Gdy mój ojciec pociągał nosem, ona umawiała wizytę u lekarza, by sprawdzić, czy to nie zapalenie płuc. Jeśli cierpiał na niestrawność, kazała mu jechać na pogotowie i upewnić się, że to na pewno sos pomidorowy, a nie serce. Rankiem stała przy drzwiach wyjściowych i nie pozwalała mu wyjść, dopóki nie posmarował kremem z filtrem rąk, twarzy i łysiny (jego ojciec zmarł na czerniaka), a wieczorami przynosiła mu kieliszek czerwonego wina (dozwolone ze względu na prozdrowotną taninę). Zamiast orzeszków przynosiła mu do drinka małe zielone szklane naczynko pełne witamin, suplementów i kapsulek z tranem, zależnie od tego, o czym w danym tygodniu przeczytała w czasopiśmie „Zapobieganie” albo „Reader’s Digest”.

Jedliśmy kolację, potem oboje udawali się do gabinetu, a ja szłam do swojego pokoju. Zamykałam drzwi i odrabiałam lekcje, słuchałam muzyki albo rysowałam w szkicowniku.

Nie byłam najbardziej popularną dziewczyną w szkole, ale też nie kompletną fajtłapą. W college’u byłam dość rozpoznawalna, miałam krąg zaufanych przyjaciół i, od momentu gdy skończyłam szesnaście lat, chłopaka, a przynajmniej kogoś, z kim mogłam się całować w kinie. Bardzo dbałam o wygląd, przez cały okres szkolny prowadziłam zeszyt, w którym zapisywałam wszystko, co wkładałam do ust, i każdą minutę wykonanych ćwiczeń. Niedawno znalazłam stopy zeszytów w szufladach biurka w moim pokoju dzieciennym, dokumentujące lunche złożone z serka wiejskiego i przekąski z jabłka i masła orzechowego. Po co je zachowałam? Czyżbym sobie wyobrażała, że kiedykolwiek znów je przeczytam?

W gabinecie tata siedział pochylony i zakładał białe buty ortopedyczne, zapinane na rzepy. Poczułam ucisk w sercu i odwróciłam się. Ojciec zawsze drobiazgowo dobierał ubrania. Uwielbiał ciężkie, jedwabne krawaty od Hermès’a i garnitury od Hickeya Freemana, które nosił do pracy, granatowy i grafitowy. Raz do roku wybieraliśmy się wspólnie do Boyd’s, staromodnego domu towarowego na Chestnut Street w Filadelfii, gdzie sprzedawcy witali mojego ojca po imieniu. Siadałam na małej aksamitnej kanapie, z kubkiem gorącej czekolady i włoskim ciasteczkiem migdałowym i obserwowałam, jak tata i Charles, sprzedawca, który zawsze mu pomagał, dyskutowali o lekkiej wełnie na lato, porównywali amerykańskie i europejskie fasony i rozmawiali o tym, czy tacie przydają się sportowe marynarki kupione rok wcześniej. Tata pytał o synów Charlesa, a Charles pytał mnie o szkołę, zajęcia sportowe i o to, czy mam chłopaka. Potem tata zniknął w przebieralni z garniturem przewieszonym przez ramię, podczas gdy dwa lub trzy inne wisiły na haczyku na drzwiach. Następnie wyłaniał się w spodniach marszczących się lekko przy kostkach, by ponownie przedyskutować strój z Charlesem, a w końcu zwracał się do mnie:

– Co o tym myślisz, Allie, kotku? Jak wygląda twój staruszek?

Mrużyłam oczy i skubałam ciasteczko.

– Najbardziej podoba mi się ten szary garnitur – mówiłam, a innym razem: – Założę się, że do granatowego prążkowanego pasowałby ten srebrny krawat, który kupiłam ci na Dzień Ojca.

– Ma dobre oko – mawiał Charles, co roku tak samo.

– To artystka – odpowiadał tata, a w jego tonie dawało się usłyszeć zarówno dumę, jak i sceptycyzm.

W końcu wzywano krawca, ojciec stawał przed trzyczęściowym lustrem, a przygarbiony staruszek z ustami pełnymi szpilek i kawałkiem kredy w palcach zaznaczał i przypinał. Potem tata przebierał się z powrotem w weekendowy strój – spodnie khaki, skórzane mokasyny i koszulkę z kołnierzykiem – i zabierał mnie na lunch na dim sum. Zamawialiśmy cieniutkie chińskie pierożki wypełnione esencjonalnym złotym bulionem, wieprzowinę faszerowaną imbirem, naleśniki z szalotką, chrupiące na brzegach i delikatnie soczyste w środku, puszyste białe bułeczki z wieprzowiną i filiżanki jaśminowej herbaty, a potem szliśmy na bazar Reading Terminal na lody w rożku na deser.

Tata wstał. Zignorował szarą nylonową wiatrówkę, którą mama zostawiła na jednym z krzeseł w kuchni – kurtkę staruszka, jeśli taki by się tu znalazł – i zdjął z wieszaka w szafie trencz, włożył go i wyszedł za mną z domu.

– Pamiętasz, jak chodziliśmy do Boyd’s po twoje garnitury? – zapytałam, gdy wyjechaliśmy na ulicę.

– Nie jestem tępy – odpowiedział, wyglądając przez okno. – Oczywiście, że pamiętam.

– Myślisz, że Charles nadal tam pracuje? – Przez wszystkie lata, kiedy odwiedzaliśmy Boyd’s, Charles, przystojny łysy Afroamerykanin, który zawsze dopasowywał poszetkę do krawata, wcale się nie starzał.

– Nie mam pojęcia – odparł ojciec. – Wiesz, ostatnio nie potrzebowałem nowego garnituru.

Jechaliśmy w stronę Filadelfii w milczeniu, słuchając NPR. Planowałam zabrać go na lunch do Honey’s Sit’n Eat, żydowskiej restauracji z jedzeniem w stylu soul food, gdzie podawali gofry, smażonego kurczaka i mnóstwo rodzajów kanapek.

– Gdzie twoja dziewczynka? – zapytał tata, gdy przy South Street zjechaliśmy z autostrady.

Próbowałam sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek wcześniej nazwał Ellie „moją dziewczynką”, czy to coś nowego, oznaczającego, że zapomniał jej imienia.

– Jest z Dave’em na przyjęciu urodzinowym. – Chociaż Dave’a nie było w domu tak często, jak bym chciała, kiedy przebywał z Ellie, był cudownym tatą. Uwielbiali się nawzajem, tak jak zawsze chciałam, by mój ojciec uwielbiał mnie. Ellie uroczo wsuwała swą małą dłoń w rękę swojego taty, uśmiechała się do niego promiennie albo klepała kieszenie jego marynarki w poszukiwaniu słodyczy, kiedy

wracał do domu z pracy. „Witaj, księżniczko”, mówił, brał ją na ręce i podrzucał raz, dwa lub trzy do sufitu, a ona pisała z radości.

Znalazłam miejsce parkingowe przy ulicy, nakarmiłam parkometr i poszłam za tatą do restauracji, gdzie posadzono nas przy stoliku z widokiem na South Street: modna siłownia, jeszcze modniejszy sklep zoologiczny, mamy pchające zbyt duże wózki, zakryte i osłonięte przed deszczem.

– Uwielbiam ich smażonego kurczaka. I mostek jest przepyszny. A jeśli chcesz śniadanie, wszystkie dania z jajek podają z plackami ziemniaczanymi. – Zdałam sobie sprawę, że trajkoczę podobnie jak z Ellie, starając się utrzymać balon konwersacji w powietrzu bez jakiegokolwiek pomocy ze strony partnera.

Ojciec wzruszył ramionami, a potem zapatrzył się w kartę dań. Czyżby miał depresję? To nie byłoby zaskakujące. Tylko czy mógł zażywać antydepresanty, skoro brał aricept na demencję i inne leki na ciśnienie? Czy leczenie depresji u kogoś, kto traci kontakt z rzeczywistością, w ogóle ma sens?

Kiedy kelnerka opowiedziała o specjalnościach dnia i udało nam się złożyć zamówienie – potrójna kanapka z mostkiem dla taty, a dla mnie z grillowanym serem, bekonem i awokado – byłam już wyczerpana.

– Opowiedz mi o nocy, kiedy się urodziłam. – Proszenie osoby tracącej pamięć, by przypomniawsza sobie coś na poczekaniu i opowiedziała historię, było ryzykowne, ale to była jedna z ulubionych opowieści ojca, którą przywoływał dziesiątki razy, w tym w każde moje urodziny. Może przez chwilę poopowiada, a ja będę mogła siedzieć cicho, złapać oddech, może zanim wyjdziemy, niepostrzeżenie w toalecie połknę tabletkę.

Ugryzł kęs kanapki, otarł usta i zaczął tak jak zwykle:

– To była ciemna, burzowa noc. – Uśmiechnęłam się, a on kontynuował: – Mama była trzy dni po terminie. Mieszkaliśmy na trzecim piętrze starego, wiktoriańskiego budynku na rogu Trzydziestej Ósmej i Clark. Ja byłem głodującym magistrantem, a ona... – Zamilkł, wzrok mu się rozmył, rysy twarzy zmiękły, policzki się zaróżowiły. Dawno nie wyglądał tak młodo, jak ojciec, którego pamiętałam. Bezgłośnie wypowiedziałam razem z nim kolejnych pięć słów. – Twoja matka była taka piękna.

Uśmiechnęliśmy się do siebie, a potem mówił dalej:

– Gdy zaczęła mieć skurcze, nie martwiliśmy się. Pierwsze dzieci zwykle rodzą się długo, a my mieszkaliśmy zaledwie dziesięć przecznic od szpitala. Torba czekała spakowana, a ja zapamiętałam numery telefonu do dwóch różnych korporacji taksówkowych. Miała jeden skurcz, a dziesięć minut później kolejny, potem następny po pięciu minutach, kolejny po dwóch. – Gestykulował i opowiadał, jak poród postępował szybciej, niż się spodziewali, że kiedy zeszli na ulicę, by poczekać na taksówkę, deszcz zacinął, wiatr praktycznie łamał drzewa wół, a burmistrz i gubernator przez radio prosili mieszkańców, by zostali

w domach i nie wychodzili na zewnątrz, chyba że koniecznie muszą. – Byłem na dziewięćdziesiąt procent pewny, że urodzisz się na tylnym siedzeniu taksówki – powiedział.

Dokładnie zrelacjonował każdy szczegół, każdy niuans historii: to, że w taksówce pachniało kadzidelkami i curry, niezmacony spokój kierowcy i że śpiesząc się, by wsadzić mamę do taksówki, zostawił jej małą walizeczkę w szkocką kratę na chodniku przed domem, a gdy deszcz ustał, jeden z sąsiadów znalazł ją, wysuszył wszystkie ubrania i następnego dnia przyniósł je z powrotem.

– Chcieliście mieć więcej dzieci? – Zastanawiałam się nad tym przez tyle lat i wreszcie zebrałam się na odwagę, by go zapytać. Poczekał, aż kelner zabierze nasze talerze i przyjmie zamówienie na dwie filiżanki kawy i jeden kawałek maślankowo-czekoladowego ciasta, ponownie wytarł usta serwetką i powiedział:

– Nie było nam to pisane. Urodziłaś się ty, a potem mama miała swoje kłopoty...

– Jakie kłopoty? – zapytałam, skupiona częściowo na odpowiedzi, a częściowo na kanapce. Pewnie miał na myśli Wypadek. To jedyne kłopoty, o których słyszałam.

Przesunął solniczkę i pieprzniczkę po stole jak figury szachowe i nie odpowiedział.

– Czy byłam trudnym dzieckiem? – chciałam wiedzieć. Czy byłam jak Ellie, rozwrzeszczana, wybredna, z tendencją do popadania w rozpacz? Tata znowu nie odpowiedział. Wiedziałam, oczywiście, jak przytłaczające może być wychowywanie dziecka, ale podejrzewałam, że oprócz poczucia, że potrzeby noworodka są ponad jej siły, mama czuła się również opuszczona. To musiało być trudne, pomyślałam i wyobraziłam sobie Małą Ronnie, której idealną skórę nagle pokryły rozstępy, a drzemkę „dla urody” zakłóciły obowiązki, samą w mieszkaniu, a w końcu w dużym domu, który ojciec jej kupił. Do kogo zwracała się z pytaniami i obawami? Ja miałam koleżanki, kosztowną konsultantkę do spraw karmienia piersią i kierowniczkę grupy dziecięcej po studiach z wczesnego rozwoju dziecka, do której chodziłam z Ellie. Miałam Janet, swoją mamę, a nawet Nieugiętą Doreen. Moja mama nie miała nikogo. Jej własna matka zmarła, zanim się urodziłam, a jako nastoletnia mężatka i młoda matka nie nawiązała jeszcze relacji z innymi kobietami. Miała tylko mojego ojca, a w tej sytuacji mogła czuć się samotna.

Wyobraziłam sobie ją teraz w Cherry Hill. Czy próbowała posprzątać bałagan w kuchni? Czy przeglądała stare albumy ze zdjęciami tak jak ostatnim razem, kiedy spędziłam z nią dzień, oglądając zdjęcia kuzynów, których nie pamiętam, i wujków, których nigdy nie poznałam? Czy wspominała mojego ojca, dziarskiego, młodego i niezniszczalnego, i żałowała, że to nie ona zachorowała zamiast niego?

– Przepraszam – powiedziałam.

W łazience w Honey's była prosta drewniana ławka, na której można postawić torebkę albo torbę z pieluchami. Na ścianach wisiały, oprawione w ramki, ryciny z czasopism z lat dwudziestych, reklamujące musujące tabletki uspokajające i odżywki do włosów; było tam też lustro w obłupanej złotej ramie.

Spojrzałam na swoje odbicie. Twarz wyglądała na chudsza, a cienie pod oczami pogłębiły się w ciągu ostatnich paru tygodni. Schudłam kilka dodatkowych kilogramów – z powodu tabletek czasami przegapiałam posiłki – ale nie wyglądałam zdrowo. Wydawałam się zmęczona i wyczerpana. Nawet podczas najlepszych dni nie byłam Małą Ronnie, z jasnymi oczami i długimi gęstymi włosami, dziewczyną, którą mężczyzna chciałby włożyć do kieszeni i chronić na zawsze.

Odwrociłam się od lustra i sięgnęłam po torebkę. Rozgryzłam dwie tabletki, popiłam garścią wody z kranu i wróciłam do stolika. Wpadłam na pomysł, jak zapewnić mamie więcej wolnego czasu i spędzić dzień z ojcem.

– Tato – powiedziałam. – Chcesz zobaczyć Ellie?

Jak tylko weszłam do sali zabaw, wiedziałam, że przyprowadzenie tam taty było pomyłką. Z podwieszonych głośników rozlegała się hałaśliwa muzyka. Piosenkarka przekrzykiwała ryk maszyn nadmuchujących budowle do skakania. Dzieci z krzykiem biegały po sali, wbiegały na ogromną zjeżdżalnię, rzucały w siebie nawzajem piłkami plażowymi albo strzelały z działek powietrznych piankowymi pociskami. W kółku stała grupka mam ubranych w obowiązkowy strój Haverford, czyli dzinsy i kaszmirowy półgolf albo spodnie do jogi i oddychającą, chłonącą wilgoć koszulkę w pasującym kolorze. Pod ścianą zebrała się mniejsza grupka tatusiów. Stali z pochylonymi głowami, stukali zawzięcie w ekrany smartfonów i od czasu do czasu podnosili wzrok na dźwięk: „Tato, patrz na mnie!” albo częściej: „Tato, nakręć film!”. Znalazłam Dave'a stojącego z dwoma innymi mężczyznami. Jeden z nich był prawnikiem, a drugi prowadził firmę oferującą ubezpieczenia dentystyczne.

– Cześć – przywitał się prawnik. – To przecież Seksowna Mama z „Wall Street Journal”!

– Tak, to ja – przytaknęłam, przyklejając do twarzy sztuczny uśmiech. – Poznaliście już mojego tatę? – Pozwoliłam Dave'owi zapoznać panów ze sobą, a ja rozejrzałam się w poszukiwaniu Ellie. Nie było jej w nadmuchiwanym zamku z dziewczynkami, nie czekała też z chłopcami w kolejce do armatek powietrznych. W końcu znalazłam Hankę, siedzącego ponuro na jednej z ławek, z okładem lodowym przy czole. Wskazał Ellie przycupniętą pod ścianą, w wygładzonej na kolanach spódnicy. Bawiła się urządzeniem, które wyglądało jak iPod, którego zgubiłam tydzień wcześniej.

Podeszłam do niej, starając się nie wyglądać na rozzłoszczoną.

– Ellie, czy to mój iPod?

Podniosła wzrok.

– Nie powinnaś TU BYĆ!

– Też się cieszę, że cię widzę. – Usiadłam obok niej na podłodze i wyciągnęłam rękę. – Znasz zasady. Nie wolno brać rzeczy innych. Najpierw musisz zapytać.

Rzuciła we mnie iPodem. Uderzył mnie tuż nad lewą brwią i spadł na podłogę.

– Ellie! Po co to było?

– Jade i Summer, i Willow, wszyscy mają SWOJE WŁASNE IPODY! – Otworzyła szeroko oczy, sugerując spojrzeniem, że ledwie jest w stanie wyobrazić sobie taką niesprawiedliwość.

– Ellie, nie rzucamy rzeczami – powiedziałam, z trudem opanowując się przed krzykiem.

Zignorowała mnie.

– I to są nowe, dotykowe iPody, a nie GŁUPIE MAŁE, DZIECINNE jak TWÓJ!

– Nie rzucamy rzeczami – powtórzyłam. – I nie powinnaś była brać rzeczy mamy bez pozwolenia.

Ellie wysunęła dolną wargę.

– Nawet nie chciałam przychodzić na to GŁUPIE, DZIECINNE PRZYJĘCIE! Zostawcie mnie wszyscy W SPOKOJU!

Rozpląkała się, a ja westchnęłam. Może – prawdopodobnie – to miejsce było po prostu zbyt jasne i hałaśliwe dla Eloizy. Jakby na potwierdzenie moich myśli oparła się o mnie i położyła mi głowę na ramieniu.

– Przepraszam, że wzięłam twoją rzecz i rzuciłam ci w głowę.

– W porządku – odpowiedziałam. – Następnym razem po prostu zapytaj.

Usłyszałam pociąganie nosem. Podniosłam wzrok i zobaczyłam Hankę.

– Idziesz na zjeżdżalnię? – zapytał.

Ellie potrząsnęła głową.

– Zbyt straszna – oznajmiła.

– A może zjedziemy razem? – zaproponowałam. – Mogłabyś usiąść mi na kolanach.

Zmrużywszy oczy, Ellie oceniła kąt nachylenia zjeżdżalni i spojrzała na dzieci piszczące z radości i śmigające w dół z uniesionymi rękami i otwartymi ustami. Większość zjeżdżała sama, ale kilkoro siadało na kolanach rodziców. – Chcesz spróbować?

Westchnęła, jakby wyświadczała mi ogromną przysługę.

– No dooobra.

– A ty, Hank?

Potrząsnął głową.

– Jestem uczulony na jutę.

No przecież. Wstałam, nie tak wdzięcznie, jak zrobiłyby to jogowe mamy, i wyciągnęłam rękę. Szłyśmy z Ellie w kierunku kolejki na zjeżdżalnię, kiedy Dave nas zatrzymał.

– Hej, Al. Może zajrzysz do taty.

– Co się dzieje? – Zerknęłam w kierunku ławek, gdzie go zostawiłam, i zobaczyłam, że siedzi na jednej z nich i wpatruje się w przestrzeń tak samo, jak wpatrywał się w CNBC.

– Chyba czuje się nieswojo.

Posłałam mu cierpliwy, anielski uśmiech w stylu Mary Poppins. Miałam nadzieję, że nie wyglądam na naćpaną.

– Ellie i ja spróbujemy zjechać ze zjeżdżalni. Usiądź z nim, przyjdę za dwie minuty.

– Nie chcę – oznajmiła Ellie, jak tylko zorientowała się, że będzie musiała wejść na górę po drabince wbudowanej w tył zjeżdżalni.

– Kochanie, będę tuż obok. Chwyć się tak... – Pochyliłam się, podniosłam ją i postawiłam jej stopy na najniższym szczebelku, a dłonie na kolejnym, powyżej. – Teraz zrób krok...

– Nie chcę tego robić. BOJĘ SIĘ!

– Szybciej! – krzyknął chłopiec za nami (Hayden? Holden?). Wzięłam Ellie pod pachę i wciągnęłam nas obie na górę.

– NIE BĘDĘ LUBIŁA ZJEŹDŹALNI! – oznajmiła Ellie, ale pozwoliła się zanieść na górę. Czerwona na twarzy, dysząc i ociekając potem na plecach, chwyciłam worek, zastanawiając się jednocześnie nad brakiem postępu – dlaczego w czasach łączności satelitarnej i bezprzewodowego Internetu dzieci nadal zjeżdżały na workach z juty?

Wzięłam Ellie w ramiona i przygotowałam nas do zjazdu.

– Raz... dwa... trzy!

Odepchnęłam się piętami. Słyszałam, jak moja córka krzyczy, nie byłam pewna, czy z radości, czy z przerażenia. Nie było też czasu tego dochodzić, ponieważ jak tylko dotarliśmy na dół, ktoś chwycił mnie za ramię i zaczął mną potrząsać.

– Co robisz z moją córką?

Próbowałam się wyswobodzić, ale dłonie mojego ojca zacisnęły się mocno, a palce wbiły mi się w skórę na ramionach. Koszulę miał wyjętą ze spodni, poluzowany krawat zwisał na bok, a rzep w jednym z butów odpiął się i powiewał.

– Jak mogłaś być tak nieodpowiedzialna?

– Tato. Tato! To ja, Allison!

– W tej chwili postaw ją na ziemi, Ronnie! Nigdy więcej tego nie rób!

O Boże. Eloiza zawodziła, gdy nagle kolejny duet matka–dziecko zjechał

pełdem ze zjeżdżalni i uderzył mnie w plecy. Wytrącona z moich rąk Ellie upadła na podłogę i, jak można się było spodziewać, zaczęła krzyczeć.

– O mój Boże, bardzo przepraszam! – powiedziała natychmiast matka.

– Jak mogłaś być tak nieodpowiedzialna! – krzyczał tata.

– Mama Ellie prze-skro-ba-ła – zaśpiewał chłopczyk, kiedy wreszcie udało mi się wyszarpnąć z uścisku. Łkając, Ellie dramatycznie pokuśtykała do Dave’a. Wszyscy w sali gapili się na nas: mamy, tatusiowie, dzieci.

– Hmm, proszę pani. Przepraszam. – Nastolatka w koszulce „Skoczny Czas” klepnęła mnie w ramię. – Nie może pani tu stać. Inne osoby też chcą skorzystać ze zjeżdżalni.

– Proszę mi wierzyć, próbuję odejść – odpowiedziałam. Wzięłam ojca za łokieć i poprowadziłam z dala od zjeżdżalni, na ławkę przy ścianie. – Tato – zaczęłam, starając się mówić cicho i spokojnie. Obok mnie Dave próbował uspokoić Ellie. – Posłuchaj. Jestem twoją córką, Allison. To była Ellie, twoja wnuczka. Nic jej nie jest, zjeżdżalnia jest całkowicie bezpieczna.

– Dlaczego dziadek na mnie KRZYCZAŁ? – zawodziła Ellie. Uniosła rąbek spódnicy i otarła łzy.

– O! Fuj! – powiedział chłopczyk.

Mój wzrok powędrował za jego wyciągniętym palcem. O rany!

– Twój tata chyba miał wypadek – oznajmił Dave. Mówił cicho, ale niewystarczająco cicho. Myślałam, że Ellie będzie zniesmaczona, ale zamiast tego wsunęła swoją rączkę w dłoń mojego ojca i pociągnęła go w stronę drzwi.

– Nie martw się, dziadziu – powiedziała teatralnym szeptem. – Mnie też się to czasem zdarza.

Ellie i Dave pojechali do domu z mamą Hanką. Zaprowadziłam tatę z powrotem do samochodu, położyłam mu na siedzeniu ręcznik z bagażnika i skupiłam się na tym, by zawieźć go do domu najszybciej jak się da.

– Tato, wszystko w porządku? – zapytałam. – Potrzebujesz czegoś?

Nie odpowiedział, uniósł tylko brodę i odwrócił twarz w drugą stronę. Wstrzymałam oddech z nadzieją, że nie zauważy, i jak tylko ruszyliśmy, opuściłam szybę. Kiedy usłyszałam z siedzenia pasażera odgłos przypominający zdławiony szloch, trzymałam obie ręce na kierownicy, a wzrok skierowany przed siebie. Przetrwaj to, powiedziałam sobie. Przetrwaj to, a potem będą tabletki szczęścia.

Przyjechaliśmy i zastaliśmy mamę śpiącą na kanapie, ubraną w podomkę, skuloną, z bosymi stopami zawiniętymi jedna na drugiej, tak samo jak układała nogi Ellie podczas snu.

– Chcesz, żebym... – zapytałam tatę, a potem zamilkłam i zwróciłam wzrok w stronę schodów.

Ojciec zignorował mnie i przeszedł obok z zaciśniętymi ustami. Poczekiałam na dźwięk wody puszczanej w łazience i pozwoliłam sobie opaść na krzesło przy

stole kuchennym. Kuchnia nadal była w nieładzie, w zlewie piętrzyły się brudne naczynia, na blatach widać było tłuszcz i smugi brudu, kwiaty, które kupiłam tydzień wcześniej, wędły w wodzie pokrytej brudną pianą. Opróżniłam wazon, załadowałam zmywarkę, popsikałam detergentem i zmyłam blaty, na końcu wyniosłam śmieci. Wyjęłam z lodówki paczkę lekko przeterminowanych udek indyczych, torbę miękkiej cukinii i trzy zeschnięte cytryny i wszystko wyrzuciłam. Wylałam do zlewu skwaśniałe mleko, przetarłam półki w lodówce, zagotowałam wodę na herbatę, a na tacy ustawiłam imbryk razem z talerzykiem ciasteczek i serwetką. Zapukałam do drzwi sypialni.

– Tato?

Żadnej odpowiedzi. Otworzyłam drzwi. Leżał skulony na boku, z pięścią pod brodą i spał z otwartymi ustami. Z gładkim czołem i zamkniętymi oczami wyglądał jak mały chłopiec, który bawił się do utraty sił i zasnął na łóżku rodziców. Postawiłam tacę, wzięłam w dwa palce mokre spodnie taty i zaniiosłam je do pralki, która była pełna wilgotnych, śmierdzących stęchlizną ubrań. Włączyłam ją ponownie, dodawszy więcej proszku. Potem znowu wśliznęłam się do sypialni rodziców. Stoliki nocne były obstawione szklankami do połowy wypełnionymi wodą, wały się pogniecione chusteczki i rozrzucone gazety. Na podłodze leżały sterty brudnych ubrań, a w rogach stosy czasopism. Przeszłam nad płataniną krawatów i kilkoma rozrzuconymi butami i otworzyłam drzwi do łazienki. Nadal była zaparowana po gorącym prysznicu. W wannie leżały mokre ręczniki, a kilka kolejnych pokrywało podłogę. Do umywalki lała się gorąca woda, a maszynka taty leżała oparta o otwartą tubkę kremu do golenia. Zakręciłam kran, zamknęłam krem i otworzyłam apteczkę. Moja dłoń wędrowała pomiędzy pojemnikami, opuszki palców muskały nakrętki tylko tak długo, by odróżnić leki ogólnodostępne od tych sprzedawanych na receptę. Wyjęłam propranolol, diltiazem i wiele innych środków na nadciśnienie i cukrzycę, zanim dotarłam do tego, co najlepsze. Vicodin 325/10. „Zażyć w razie bólu”. Tramadol i – bingo! – oxycotin. Bez zatrzymywania, bez zastanowienia otwierałam buteleczki i wysypałam na rękę po połowie każdej z nich.

Co ty robisz?! – krzyknęło coś w moim mózgu, kiedy rozgryzałam trzy tabletki, a potem schyliłam się, by zebrać mokre ręczniki, podniosłam mydło z brodzika, wyciągnęłam garść włosów z odpływu i zgarnęłam do kosza zużyte patyczki higieniczne i chusteczki. Kradniesz leki ojca, swojego chorego ojca. Czyżbyś naprawdę upadła tak nisko?

Najwyraźniej tak. Potrzebuję tego, powtarzałam sobie, gdy przechodziłam przez sypialnię, zbierając stosy ubrań i pakując je do worków na śmieci, a następnie wkładałam do bagażnika samochodu, by zawieźć je do domu i wyprać. Potrzebuję tego.

Część druga
Na samo dno

– Witamy w Eastwood.

Kobieta, która powitała mnie na trawniku przed wejściem do ośrodka opiekuńczego Eastwood, miała srebrnosiwe włosy związane w gładki kok, wysoki, przyjemny głos i chłodny, energiczny uścisk dłoni. Była ubrana w spodnie khaki i sweter, do którego przypięła identyfikator: Kathleen Young. Poprowadziła mnie przez drzwi sprężystym krokiem byłej szkolnej sportsmenki, która została na uczelni, żeby prowadzić zajęcia z WF-u.

– Oprowadzę panią!

W porównaniu z jej żywym usposobieniem garstka mieszkańców – mężczyzna na wózku inwalidzkim przy drzwiach drżącymi rękami trzymający „Examinera”, kobieta w różowo-białym szlafroku zmierzająca z pomocą balkoniku w stronę pracowni plastycznej – wyglądała na jeszcze starszych i smutniejszych, niż byli w rzeczywistości. Próbowałam wyobrazić sobie tutaj mojego ojca, mojego bystrego, silnego, kompetentnego ojca w szlafroku, wymagającego takiej opieki, jaką mogło zapewnić mu to miejsce. To był bolesny obraz, ale ból był odległy. Tabletki pozwoliły mi zastanowić się nad przyszłością bez zbytniego uczuciowego zaangażowania. Czułam się niemal tak, jakbym oglądała film o zmartwieniach innej osoby – teraz jej ojciec nie pamięta imienia wnuczki, kiedy indziej wpada w furję, zdarzają mu się wypadki, bezwiednie oddala się od domu, a czasem płacze – i zdawałam sobie sprawę, że te doświadczenia są bolesne, ale nie odczuwałam ich tak dotkliwie. Narkotyki przypominały ciepłą miękką kołdrę, warstwę ochronną pomiędzy mną a światem.

– Proszę za mną – zachęciła Kathleen, odbijając się sprężystością na przednich częściach stóp. Zmagałam się z przelotnym, acz gwałtownym pragnieniem, by wskoczyć z powrotem do samochodu, pałac gumy odjechać z parkingu i nigdy więcej nie oglądać tego miejsca. Ale co by to dało? Moja matka raczej nie weźmie tego na siebie. Ktoś musiał stanąć na wysokości zadania i zrobić to, co należy.

W holu przygotowałam się na zapach moczu, przemysłowych środków czyszczących i rosołu z puszki, które zapamiętałam z ostatniego pobytu taty w szpitalu, ale wyłożone zielonymi dywanami korytarze Eastwood przyjemnie pachniały cedrem i przyprawą korzenną. Na blacie recepcji stał koszyk z aromatycznymi szyszkami sosnowymi, a za biurkiem dwie kobiety w słuchawkach były zajęte pisaniem na komputerze. Za nimi wisiała ogromna biała tablica, podobna do tej, jaką pamiętałam z przedszkola Ellie. Widniały na niej niedokończone zdania, które dzieci i nauczyciele mogli uzupełniać. „Dzisiaj jest PONIEDZIAŁEK” napisano na samej górze. „Jest 7 KWIETNIA”. „Pogoda jest...” – zamiast słowa „słoneczna”, ktoś umieścił rysunek przedstawiający

radośnie świecące słońce. „Nasze atrakcje to: BINGO W ŚWIETLICY i WYCIECZKA DO AKWARIUM W CAMDEN”. Poczułam pociągnięcie za rękaw i usłyszałam szept:

– Proszę mi pomóc.

Spojrzałam w dół. Podczas gdy Kathleen była pochłonięta rozmową z jedną z recepcjonistek w słuchawkach za biurkiem, niziutka, pokurczona kobieta podjechała do mnie wózkami i chwyciła za rękaw.

– Czy coś jest nie w porządku?

Kobieta przewróciła oczami zupełnie jak nastolatka. Cienkie siwe włosy otaczały jej różową czaszkę chmurą godną Einsteina. Jej kruchy tułów owinięty był zbyt obszernym, różowym rozpinanym swetrem, na nogach miała welurowe spodnie w tym samym kolorze i białe, zrobione na drutach kapcie. Pokryta żyłami dłoni drżała, ale oczy schowane za ogromnymi okularami spoglądały uważnie, a kiedy zaczęła mówić, z ulgą dostrzegłam pełne uzębienie (a przynajmniej realistycznie wyglądającą protezę).

– To miejsce jest nie w porządku – szepnęła, mówiąc półgębkiem, jak więzień na spacerniaku, który nie chce, by usłyszeli go strażnicy. – Stek jest twarde, pudding bez smaku. Od dwóch tygodni obiecują, że zamówią mi bezglutenowe placki i... – Uniosła ręce wewnętrzną stroną do góry w niemym błaganiu do boga bezglutenowych placków. – Poza tym dzieci mnie nie odwiedzają.

– Przykro mi – wydukałam, a potem przykucnęłam i zbliżyłam swoją twarz do jej. Wyciągnęła w moim kierunku jedną z pokrzywionych rąk.

– Lois Lefkowitz. Mieszkałam kiedyś na słonecznej Florydzie, dopóki nie złamałam kości biodrowej i dzieci nie umieściły mnie tutaj.

Delikatnie uścisnęłam jej dłoń.

– Jestem Allison Weiss. – Zerknęłam w stronę recepcji i upewniłam się, że dziarska pani Young nadal jest zajęta, a potem wyszeptałam: – Czy naprawdę jest tutaj tak źle?

Poklepała moją dłoń i potrząsnęła głową.

– Na co mam narzekać? – zapytała. – Nie muszę gotować, nie muszę sprzątać, robić zakupów ani słuchać, jak Murray bez końca opowiada o swojej wymyślonej drużynie piłkarskiej. Czytam... – Stuknęła w elektroniczny czytnik na kolanach. – Dzięki temu urządzeniu każda książka ma duże litery. Chodzę do muzeum i do filharmonii, a raz w tygodniu otwierają salon urody i robię sobie włosy. – Poklepała siwe kosmyki, a potem położyła powyginaną dłoń na moim ramieniu. – Matka czy ojciec?

– Tata.

– Utrata pamięci czy po prostu nie radzi sobie sam?

– Ma alzheimera.

– Och, skarbie, przykro mi. – Poklepała mnie pomarszczona mała dłoń, co było zadziwiająco przyjemne. Moje obie babcie zmarły dawno temu – mama mamy na raka piersi, zanim się urodziłam, a mama taty, babcia Sadie, odeszła, by zasiąść na niebiańskiej oszklonej werandzie, kiedy byłam w college’u. Lubiłam ją sobie czasem wyobrażać siedzącą w bujanym fotelu, słuchającą meczu Soxów i krzyczącą na dziadka. – Dobrze się nim tutaj zaopiekują.

Poczułam ucisk w gardle, gdy przełykałam ślinę.

– Tak pani myśli?

– Widzę różne rzeczy. Obserwuję. Zrobią wszystko, by był bezpieczny. Ma pani dzieci?

– Dziewczynkę.

– Jakieś zdjęcia?

Wyciągnęłam telefon z torebki. Na tapecie miałam zdjęcie Ellie w jej ulubionej długiej sukience. Stała na plaży, w kapeluszu przeciwsłonecznym z szerokim rondem, a u jej stóp pieniały się fale. Moja nowa znajoma zerknęła i westchnęła.

– Czas tak szybko mija – powiedziała. – Smarujemy im pupy kremem na odparzenia, a już po chwili prowadzimy do ołtarza. A potem umieszczają cię w takim miejscu jak to. – Ponownie westchnęła, a mnie wydawało się, że dostrzegłam błysk wilgoci na pooranym bruzdami policzku. – A ty siedzisz tutaj i zastanawiasz się, kiedy minął ten czas, i przypominasz sobie, że nigdy nie chciałaś dożyć momentu, gdy ktoś będzie musiał ci zmieniać pieluchę. – Kolejne westchnięcie. – Pomimo tego nie żałuję ani chwili. – Stuknęła w ekran mojego telefonu. – Ma tu pani Candy Crush?

– Och, nie, przykro mi.

Kathleen Young zmierzała w naszym kierunku z życzliwym uśmiechem, ale zauważyłam, że zmarszczki wokół jej oczu się pogłębiły.

– Pani Lefkowitz, nie odstrasza pani klientów, prawda?

Moja nowa znajoma uśmiechnęła się do niej promiennie.

– To znaczy, że nie powinnam im opowiadać o szczurach pod prysznicem?

– Żartuje – uspokoiła mnie pani Young.

Pani Lefkowitz posłała mi kolejny niezwykle uroczy uśmiech.

– Mam nadzieję, że jeszcze panią zobaczę – oznajmiła. – I tę śliczną dziewczynkę!

– Miło mi było panią poznać – odpowiedziałam i jeszcze raz uściśnęłam jej małą dłoń.

– Proszę tędy – zachęciła pani Young. – To jest Dworek – oznajmiła, przechodząc szybko obok otwartych drzwi z imiennymi tabliczkami. – Tutaj mieszkają rezydenci, którzy wymagają najwięcej opieki. – Tak wygląda typowy pokój dwuosobowy – poinformowała i otworzyła drzwi.

Weszłam do środka. Pomieszczenie nie było duże, a większość miejsca zajmowały regulowane szpitalne łóżka z bocznymi poręczami, które można podnosić i opuszczać. Stały tam również dwie dębowe komody, dwie szafki na książki, a po obu stronach pokoju dwa fotele obite niebieskim plastikiem, ufarbowanym i ozdobionym tak, by przypominał materiał. Łazienkę wyposażono we wszystkie niezbędne poręcze ze stali nierdzewnej, a w dużej kabinie prysznicowej umieszczono metalowo-plastikowe krzesło oraz matę antypoślizgową. Gdy wróciłyśmy do pokoju, musnęłam podłokietnik jednego z foteli i starałam się nie wzdygnąć, czując plastik pod palcami. Czy tata zauważy różnicę pomiędzy meblami domowymi a tym wyposażeniem? Jakżeby inaczej? Spostrzegłszy mój wyraz twarzy, Kathleen powiedziała:

– Oczywiście zachęcamy mieszkańców, by przynosili swoje meble. Większość z nich to robi. Obserwujemy, że dzięki temu lepiej radzą sobie z przeprowadzką.

Przytaknęłam. W wyobraźni usunęłam szpitalne łóżko, tanie biurko i półki na książki oraz pokryty plastikiem fotel i zastąpiłam je meblami z domu rodziców. Lepiej.

– Czy dostępne są pokoje jednoosobowe?

– Oczywiście. Ale są znacznie droższe...

– To nie będzie stanowiło problemu – oznajmiłam i obserwowałam, jak źrenice Kathleen się rozszerzają. Wiele lat temu, w ramach milczącego przyzwolenia, by matka została wyposażona tak, żeby nie musiała zajmować się żadnymi kwestiami, które mogłaby przynieść ze sobą jesień życia jej męża, tata wykupił sobie polisę na życie oraz wszelkiego rodzaju ubezpieczenia na wypadek kalectwa, gwarantujące szeroki zakres opieki. Zapewnił sobie fundusze na opłacenie wszystkiego, czego potrzebował, oraz każdej pomocy, jakiej mama może wymagać, kiedy tata nie będzie już w stanie organizować jej dni. – Proszę mi opowiedzieć o, hmm, poziomie opieki.

Dowiedziałam się szczegółowo, jakie pytania powinnam zadać, mimo że wszystkie odpowiedzi były na stronie placówki. Podczas gdy Kathleen recytowała dane statystyczne na temat asystentów, lekarzy dyżurnych, pielęgniarek, młodszych pielęgniarek i ich pomocy oraz zapewniała, że Eastwood stawia sobie za cel zapewnienie mieszkańcom jak największej niezależności, oczywiście w granicach bezpieczeństwa pacjenta, ja przypominałam sobie moment, kiedy miałam dwanaście lat i tata zabrał mnie do Nowego Jorku.

Wszystko zdarzyło się przypadkowo. Tata kupił bilety na przedstawienie *Południowy Pacyfik* jako prezent urodzinowy dla mamy. Całe tygodnie puszczała nagrania z musicalu i śpiewała *Młodszy niż wiosna*, umówiła się do fryzjera na strzyżenie i koloryzację, przymierzała i zwracała do sklepu różne sukienki. Wróciłam do domu w piątkowe popołudnie, na kiedy zaplanowali wyjazd,

i zastałam mamę chorą w łóżku. Myślałam, że to jeden z tych dwudziestoczerogodzinnych wirusów. Słyszałam odgłosy wymiotów, szepty za zamkniętymi drzwiami, pytania ojca, czy chce wezwać lekarza, i jej piskliwe, płaczące odpowiedzi, że nic jej nie będzie i po prostu musi się przespać. Tata wyszedł z pokoju z zaciśniętymi ustami, najwyraźniej niezadowolony. Zapłacił już za bilety, zaplanował kolację i zarezerwował pokój w hotelu. Gdyby było wystarczająco dużo czasu, odwołałby całą wycieczkę. Zamiast tego zdobył się na uśmiech i zapytał:

– Chciałabyś pojechać ze swoim kochanym staruszkim do Nowego Jorku?

W wieku dwunastu lat nie wyglądałam dobrze. Moje piersi i nos wybujały do swoich ostatecznych, dorosłych rozmiarów, podczas gdy reszta ciała i twarz zostały w tyle. Nosiałam aparat na zębach, z gumkami na zamkach, by wyrównać górną szczękę z dolną, a moja tłusta cera, pomimo nieustannego używania pilingujących wacików nasączonych tonikiem i nadtlenkiem benzoilu, stale była pokryta pryszczami. Miałam grzywkę, bo doszłam do wniosku, że im więcej problematycznej cery uda mi się zakryć, tym lepiej, a moje za duże koszule, noszone do spodni obcisłych w kostkach i luźnych na górze, nie zdołały ukryć moich rozmiarów. Jednak tamtej nocy, w wyniku jakiegoś cudownego zrzędzenia losu, moja skóra stała się gładka, włosy pięknie się układały, a ja wyglądałam jak dziewczyna, którą każdy ojciec z chęcią zabrałby na przedstawienie.

– Przymierz moją srebrną sukienkę – zaskrzypiała z łóżka mama.

Sukienka z założenia miała sięgać kolan, ale na mnie wyglądała jak ledwo zasłaniająca biodra tunika. Założyłam do niej gładkie legginsy i skórzane kozaki mamy. Wyglądałam prawie jak dorosła kobieta, wytworna i elegancka. Mama odgarnęła mi grzywkę do tyłu i przytrzymała ją jedną ze swoich szerokich białych opasek, które nosiła na jogę. Potem wysuszyła i wyprostowała mi włosy i pozwoliła lekko pomalować usta czerwoną szminką, dzięki czemu moja cera wyglądała na oliwkową, a nie ziemistą.

– Ładnie – wyszeptała z uśmiechem, a potem odwróciła się na drugi bok i zasnęła, głośno oddychając. Tata założył swój najnowszy garnitur i krawat, który mama kupiła mu na urodziny. Otworzył oczy z podziwu, kiedy schodziłam ze schodów ze starym zimowym płaszczem mamy przewieszonym przez ramię.

– Chłopaki nie wiedza, co tracą – rzucił i natychmiast się zawstydził, ale ja nosiłam ten komplement przy sobie jak wysadzany klejnotami medalion, coś cudownego i rzadkiego.

Tata otworzył mi drzwi samochodu, raczył mnie opowieściami o przygłupich stażystach z podyplomowych studiów na uniwersytetach Pensylwanii i Temple, którzy nachodzili go co lato, i o tym, jak jeden z nich tak się upił na przyjęciu z okazji Dnia Niepodległości zorganizowanym przez jednego ze współników, że zwymiotował do jacuzzi. Kiedy tata wysiadał z samochodu, płacił parkingowemu,

wyciągał rękę, by zatrzymać taksówkę albo otwierał drzwi i mówił; „Panie przodem”, wyglądał niezwykle przystojnie, wysoki i pewny siebie, w długim płaszczu z wielbłądziej wełny, butach wypastowanych na wysoki połysk, z rolexem, który mama kupiła mu na pięćdziesiąte urodziny, błyszczącym na nadgarstku. Gdy w teatrze prowadził mnie w stronę naszych miejsc, trzymał jedną dłoń delikatnie pomiędzy moimi łopatkami, a w restauracji z wyraźną dumą w głosie przedstawiał mnie szefowi sali i kelnerowi, którzy najwyraźniej go znali, jako „swoją córkę, Allison”.

Pamiętałam wszystko z tego wieczoru: wystrój teatru, oświetlonego jak świątynia na mroźnym wieczornym Manhattanie, zapach perfum, jedwabiu i futer unoszący się w powietrzu, szelest przeglądanych programów, gdy widzowie sadowili się na swoich miejscach, płaczliwy głos głównego aktora lamentującego nad tym, że kiedyś niemal sięgnął raj. Pamiętam, jak kobiety zwracały oczy w stronę ojca i ich pełne aprobaty spojrzenia oraz to, jak w moim odczuciu pasował do nich, wysoki, elegancki, odnoszący sukcesy. Potrafiłam wyrecytować wszystkie potrawy, które jedliśmy w małym francuskim bistro na Pięćdziesiątej Szóstej, i przywołać smak zupy z homara z dodatkiem sherry, ciastek z kremem oblanych ciemną czekoladą i pojedynczych łyków białego i czerwonego wina oraz porto po kolacji, które tata pozwolił mi wypić. Na wpół śpiąca na tylnym siedzeniu pędzącej ulicami taksówki mruczałam pod nosem uwerturę i myślałam, że nigdy nie będę czuła się bardziej szczęśliwa, kochana i piękna.

„Dzisiaj jest PONIEDZIAŁEK” głosił napis w jadalni, gdzie czteroosobowe stoliki nakryto różowymi obrusami i rozstawiono daleko od siebie, by łatwiej dało się podjechać do nich wózkami inwalidzkimi. Na półce stały dziesiątki książek Lee Childa, Vince’a Flynna i Brada Thora. Czy obowiązywało jakieś prawo nakazujące autorom thrillerów wojennych noszenie dwusylabowych imion i nazwisk, które brzmiały tak, jakby można było je zamieniać miejscami? Były też romanse autorstwa Nory Roberts i Danielle Steel oraz gry planszowe w zużytych pudełkach, z rogami czasami wzmocnionymi taśmą klejącą, te same, w które grałam z Ellie: przepraszam!, chińczyk, monopol i okręty. „Następny posiłek to KOLACJA”, brzmiał napis z przodu sali. „Dzisiaj serwujemy KREM GRZYBOWY, PIECZONĄ NA RUSZCIE POŁĘDWICĘ, ZIEMNIAKI PURÉE I ZIELONĄ FASOLKĘ”. „Och, tato”, westchnęłam zrozpaczona i zastanawiałam się, jak mama przeżyje fakt, że jej ukochany mąż skończy w takim miejscu.

Kathleen przerwała moje rozmyślenia, podając mi błyszczący folder *Witamy w Eastwood* i posyłając szeroki uśmiech.

– Jeśli jest pani gotowa, możemy wrócić do mojego gabinetu. Na początek musi pani wypełnić kilka formularzy. Zapozna się z nimi nasz dział finansowy i odezwie się do pani. Czy przyniosła pani ze sobą zeznania podatkowe ojca?

– Przepraszam – powiedziałam. Piekła mnie skóra pod powiekami i już

mrukałam, by powstrzymać łzy. – Chyba zajmę się tym później.

– Dobrze się pani czuje? – Ton głosu Kathleen zdradzał współczucie. Musiała być świadkiem podobnej sytuacji dziesiątki, jeśli nie setki razy, gdy małżonkowie i dzieci, którym wydawało się, że są gotowi, wpadali w panikę i uciekali, kiedy nadchodził moment podpisania dokumentów, wystawienia czeków i faktycznego przypieczętowania decyzji. Zdobyłam się na skinienie głową i popędziłam obok recepcji, przez drzwi wejściowe na parking i do samochodu. „Jedno marzenie w sercu”, usłyszałam w głowie i otarłam rękawem łzy z policzka. „Jedna miłość, dla której warto żyć. Jedna miłość, dla której warto żyć. Niemal była moja”².

– Allison Weiss?

Dziewczyna czekająca przy drzwiach była drobniutka. Miała nos wielkości gumki na końcu ołówka, a stopy tak małe, że założyę się, iż robi zakupy w dziale dziecięcym. Był maj, a pogoda cudownie wiosenna. Ciepła bryza unosiła zapach kwiatów, skoszonej trawy i świeżo zaoranej ziemi (widziałam, jak ogrodnik przekopuje rabatki przy parkingu), a idealnie turkusowe niebo nad budynkiem studia telewizyjnego ozdabiały chmurki jak z waty.

Uśmiechnęłam się do młodej kobiety z ciepłem i życzliwością, na jakie mogą zdobyć się tylko ludzie o czystym sercu albo tacy, którzy właśnie połknęli garść oxycontinu.

– Ja jestem Allison Weiss. Czy pani to Beatrice? – Poprzedniego wieczoru otrzymałam telefon od kobiety, która przedstawiła się jako Kim Caster, producentka *Wiadomości o dziewiątej*, programu informacyjnego lokalnej stacji telewizyjnej.

– Czy słyszała pani o aferze w Akron? – zapytała.

– Tak, słyszałam. – Afera w Akron to historia, która stała się przygnębiająco znana, gdyż najwyraźniej każdy dzieciak w Ameryce posiadał iPhone'a. W piękny wiosenny weekend piętnastoletnia dziewczyna poszła na imprezę. Upiła się. Czterech chłopaków, kolegów z drużyny futbolowej, wykorzystała ją, a następnie, dla rozrywki, umieściło na Instagramie zdjęcia dokumentujące ich działania, a na YouTube film z nagraniem. W ciągu następnych dwudziestu czterech godzin niemal każde dziecko uczęszczające do miejscowej szkoły zobaczyło, co się stało. Po tym jak kilka z najokropniejszych zdjęć wylądowało na jej profilu na Facebooku, dziewczyna próbowała się zabić. Chłopaków aresztowano, ale ich obrońcy rozpuszczali pogłoski, jakoby dziewczyna przyszła na imprezę wyzywająco ubrana, z wibratorem w torebce i pisała do koleżanek esemesy, że ma ochotę się zabawić.

– Co pani o tym myśli jako osoba, która pisze wiele na temat seksu i związków oraz, oczywiście, jako matka?

– Moim zdaniem posiadanie wibratora, a nawet noszenie go ze sobą nie oznacza jawnego zaproszenia chłopców, by robili, co im się podoba – odpowiedziałam. – Dziewczyna może włożyć krótką spódniczkę i wcale nie chceć seksu. Może nawet się upić i nadal nikt nie ma prawa jej gwałcić. To nigdy nie jest wina ofiary.

– Hmm... Aha... Świetnie... świetnie... – mruzczała w odpowiedzi producentka. – A co pani odpowie na argument, że nie był to w zasadzie gwałt zbiorowy, ponieważ penetracja odbyła się jedynie przy użyciu palca?

Wywróciłam oczami. Felietonista z samego „Washington Post” użył tego argumentu w zeszłym tygodniu na odwrocie strony redakcyjnej, a „Examiner” przedrukował jego artykuł. Kiedyś, gdy było między nami lepiej, mogłabym skrytykować za to Dave’a, ale teraz ledwie rozmawialiśmy. Miałam wrażenie, że utknęliśmy podczas najdłuższego na świecie konkursu patrzenia sobie w oczy i żadne z nas nie chce mrugnąć i poruszyć tematu L. McIntyre, przedłużającego się w nieskończoność nocowania Dave’a w pokoju gościnnym czy moich tabletek.

– W kwestii gwałtu nie ma „jedynie” – odpowiedziałam. – Nie ma znaczenia, czy chodzi o penisa czy palec. Żaden niechciany element nie powinien znaleźć się w ciele człowieka.

Moje odpowiedzi wywarły na producentce wystarczające wrażenie, by zaprosiła mnie do wystąpienia w porannym niedzielnym programie *Opinie o dziewiątej*, w którym przedstawiciele lokalnej społeczności wyrażali swoje poglądy na temat najnowszych wydarzeń. Poświęciłam godzinę na makijaż i zostawiłam sobie piętnaści minut, by posiedzieć w spokoju i złapać oddech po tym, jak wcisnęłam się w kilka warstw korygującej bielizny. Byłam prawie gotowa. Ostrożnie dobrałam dawkę leków, tylko dwie tabletki, wystarczająco dużo, by mnie rozluźnić i pozwolić mi przebrnąć przez smutek, który groził przykuciem mnie do łóżka w rozpacz.

– Proszę za mną – oznajmiła Beatrice, a jej włosy podskakiwały w rytm kroków. – Przejdziemy od razu do makijażowni.

– Jest aż tak źle?

Beatrice zatrzymała się w pół kroku, odwróciła i przyjrzała mi się uważnie.

– To był żart! Nie musi pani odpowiadać! – powiedziałam.

– Och, okej.

Dzisiejsze dzieciaki, pomyślałam, kiedy dziewczyna pomachała plastikową kartą przed elektronicznym czytnikiem i szklane bariery się otworzyły.

Makijażownia okazała się pomieszczeniem wielkości szafy, z dwoma fotelami kosmetycznymi, lustrem zakrywającym jedną ze ścian i stołem, na którym piętrzyła się godna stoiska kosmetycznego ilość słoiczków, tubek, pojemniczków z cieniami do powiek, podkładami i sztucznymi rzęsami ułożonymi jak amputowane nogi pajaków. Jeden z foteli był pusty. Na drugim siedział mężczyzna w średnim wieku, z krótkimi, piaskowymi włosami, mało wyrazistymi rysami twarzy, obrączką na lewej dłoni i szklanym sygnetem z jaskrawym, czerwonym kamieniem na prawej. Makijażystka przedstawiła się jako Cindy, podała mi fartuch i wróciła do pudrowania twarzy mężczyzny. Usiadłam na pustym fotelu.

– Hej, to moja marka! – powiedziałam do mężczyzny, który się jednak nie uśmiechnął. – Nazywam się Allison Weiss. Czy pan również zasiada w panelu?

Nie patrząc mi w oczy, skinął sztywno głową.

– Tak, zasiadam. – Jego małe, brązowe oczy zatopione były w skórze

dziwnie prostokątnej twarzy jak rodzyńki w cieście, które wyrosło wokół nich. – Pani zapewne świadczy usługi seksualne.

Nie mogłam się powstrzymać i roześmiałam się.

– Usługi seksualne? Kto pana zdaniem by mnie zatrudnił? – Kiedy mężczyzna nie odpowiedział, zdałam sobie sprawę, że nie żartował. – Nie jestem prostytutką, tylko blogerką.

Uświadomiwszy sobie, że dla niewtajemniczonych nie brzmi to wcale inaczej, dodałam:

– Piszę o małżeństwie i macierzyństwie na stronie KobietySalon.com. – Nazwa również brzmiała lekko pornograficznie, pomyślałam ze smutkiem. Zdobyłam się na uśmiech. – Proszę mi wierzyć. Jest mi tak daleko do gwiazdy porno, jak to możliwe.

– Gotowe – oznajmiła makijażystka, ostatni raz dotykając nosa mężczyzny wacikiem z pudrem. Wstał i rozpiął fartuch, odsłaniając gładką czarną koszulę i białą koloratkę. O rety!

– Dobry Boże – powiedziałam, a dziewczyna zachichotała. Po tabletkach nie czułam się przymulona ani nieudolna, ale pozbywałam się zahamowań. Pod wpływem leków mówiłam wszystko, co przychodziło mi do głowy, a treść analizowałam później. Zwykle nie stanowiło to problemu. Ta sytuacja może jednak okazać się wyjątkiem. Przygryzłam wargę i zastanowiłam się, czy zażycie czegokolwiek przed wejściem do studia było dobrym pomysłem. W konsekwencji zaczęłam rozmyślać o tym, czy paczka, której oczekiwałam tego dnia, zostanie dostarczona na czas i czy miałam wystarczającą liczbę tabletek, by przetrwać weekend, jeśli tak się nie stanie. Idąc korytarzem, zastanawiałam się, kim był sprzedawca z Penny Lane, narkotykowy Czarnoksiężnik z Oz za zieloną, internetową kurtyną. Czy byli to chorzy na raka, którzy woleli sprzedać leki i cierpieć, by móc opłacić rachunki i zostawić pieniądze dzieciom? Podli złodzieje okradający pacjentów nowotworowych i sprzedający ich leki za gotówkę? Dzieciaki pracujące w aptekach i wykradające po pięć lub dziesięć tabletek albo ludzie dostający leki od lekarzy pozbawionych zasad etycznych, a może nawet sami lekarze? Wszystko jedno.

– Sama zrobiła sobie pani makijaż? – zapytała Cindy. Ujęła w dłoń moją brodę i odwróciła ją najpierw w lewo, a potem w prawo.

– Koleżanka mi pomogła. – Tego ranka odwiedziły mnie Janet z Mayą i przyniosły podświetlane lustro i torby pełne kosmetyków do makijażu. Maya była tak podekscytowana, że zwracała się nawet bezpośrednio do swojej matki, kiedy rozważały, czy lepszy będzie brązowy czy czarny eye-liner i czy moje brwi powinny zostać bardziej wyregulowane.

– Nieźle – oceniła Cindy.

– Proszę, tylko nie chcę wyglądać zdzirowato – poprosiłam, kiedy zaczęła

czesać moje rzęsy szczoteczką umaczną w brązowym pudrze. – Zdzirowaty wygląd mi nie posłuży.

Mając to na uwadze, włożyłam ołówkową spódnicę i czółenka na niewysokim obcasie, jasnoróżową koszulkę, a na nią rozpinany sweter w kolorze fuksji i pojedynczy sznur pereł. Chciałam wyglądać na „łagodnie seksowną bibliotekarkę” i już przyrzekłam sobie solennie, że powstrzymam się przed czytaniem wszelkich komentarzy internetowych na temat mojego stroju, figury i tego, co mam do powiedzenia.

– Powodzenia – powiedział Dave, kiedy brałam do ręki kluczyki do samochodu i torebkę. Od wielu tygodni nie brzmiał tak przyjaźnie i niemal bez namysłu odwróciłam się w jego stronę z nadzieją na pocałunek. Może planował jedynie musnąć ustami moje wargi, ale zachwiałam się, z powodu obcasów albo tabletek z Penny Lane, i wylądowałam w jego objęciach. Przyłgnęłam do niego całym ciałem tak blisko, że poczułam przez bawełnę i dżins jego ciepło, zapach szamponu i czystej skóry. Otworzyłam usta, a on położył jedną dłoń na moim krzyżu, wygiął mnie, jednocześnie przyciskając do siebie, bym poczuła jego rosnącą erekcję. Drugą rękę położył mi na karku, by przytrzymać głowę, gdy całował mnie powoli, namiętnie...

– Blee!

Odkoczyliśmy od siebie. Ponownie się zachwiałam, tym razem na pewno z powodu obcasów, i upadłam w tył, modląc się, by nie rozerwać spódnicy.

– Ellie, co się stało? – zapytałam. Jak można się było spodziewać, Ellie zaczęła płakać.

– Nie lubię CAŁOWANIA. Jest OBRZYDLIWE.

– Nie wtedy, kiedy robią to mamy i tatusiowie.

– Wtedy – oznajmiła z uniesioną brodą – jest NAJOBZRZYDLIWSZE!

– W porządku – mruknęłam, kiedy Dave pomagał mi wstać. Nadal ledwie mogłam uwierzyć w to, co się stało, i zastanawiałam się, co się do tego przyczyniło. Czyżby zdał sobie sprawę, że w głębi serca nadal mnie kocha? A może L. go rzuciła, kombinował głos w mojej głowie, i kazała wrócić do żony, dopóki nie będzie gotów jej zostawić?

– Na razie – szepnął Dave, a ja wyszłam z domu, postanowiwszy nie zastanawiać się nad tym zbytnio, podniesiona na duchu tą nagłą demonstracją uczuć, pożądaniem i pewnością siebie, którą mogła mi dać jedynie dawka narkotyków. Może wszystko się ułoży? Może wrócę do domu i będziemy się kochać? (w mojej fantazji ktoś zajmie się Ellie, być może Nieugięta Doreen). Dave powie, że mnie kocha, że zawsze mnie kochał i na dodatek jest ze mnie dumny. Wyzna, że jest mi wdzięczny, że zrobiłam wszystko, byśmy przetrwali cięższy okres, a potem oznajmi, że wpadł na pomysł na kolejną książkę, który spodobał się jego agentowi i wydawcy, który dał mu zaliczkę, jeszcze większą niż poprzednia,

a L. McIntyre została przeniesiona do Butte w stanie Montana.

– Żadnych źdźbir – potwierdziła Cindy. Działała szybko, dołożyła mi nieco podkładu, wklepała korektor pod oczami, dokleiła kilka sztucznych rzęs i przejechała prostownicą po włosach. – Proszę tuż przed programem nałożyć więcej szminki i błyszczczyku – poleciła i podała mi dwie tubki.

Beatrice z notatnikiem w dłoni czekała w korytarzu.

– Zabiorę panią do poczekalni. Ma pani około dziesięciu minut.

– Kto jeszcze występuje w tym fragmencie programu? – zapytałam.

Jej obcasy stuknęły żwawo o wyłożoną kafelkami podłogę.

– Niech sprawdzę. Pani, ojciec Ryan z Chrześcijańskiej Ligi Przyzwoitości i ktoś od wychowania. Dziecięcy psy... psycholog? Psychiatra? – Spojrzała spode łba do notatnika, jakby była zawiedziona, że nie daje jej odpowiedzi. – Ktoś od dzieci.

– Świetnie. Czy mogę zadać krótkie pytanie? – Nie dając jej czasu do namysłu, zapytałam: – Wiecie, że nie jestem prostytutką, prawda?

Kiedy podniosła na mnie wzrok znad notatnika i ponownie spojrzała na zapiski, pomiędzy jej brwiami znów pojawiła się zmarszczka.

– Więc nie jest pani prostytutką.

Potrząsnęłam głową.

– Ale pracuje pani w branży erotycznej?

– Nie, nie pracuję. Najtrafniej mogę określić to tak, że pracuję dla strony internetowej, która czasami zajmuje się sprawami kobiecej seksualności. – Sarah, pomyślałam. To ona odpowiada w Kobięcym Salonie za tematy erotyczne, ale nie ma jej tutaj, ponieważ jesteśmy w Filadelfii, a ja stąd właśnie pochodzę.

Dziewczyna zapisała coś w notatniku.

– Rozumiem.

Nie byłam przekonana, ale powiedziałam:

– Dobrze, świetnie. – I poszłam w kierunku, który wskazała palcem, do kolejnego pomieszczenia wielkości szafy. To była poczekalnia pomalowana na nijaki beżowy kolor. Znajdowały się w niej stół konferencyjny, duży płaski telewizor nastawiony na kanał dziewiąty i stolik na kółkach, na którym postawiono trzy puszki coli light, wiaderko pełne wody, która jak się domyśliłam, kiedyś była lodem, i czarną plastikową tacę z jakimiś okruchami i dodatkiem w postaci dwóch niedojrzałych truskawek. Na jednym końcu stołu siedział ojciec Ryan z głową pochyloną nad otwartą Biblią, a na drugim drobniutka ciemnowłosa kobieta w czerwonym kostiumie rozmawiała przez słuchawkę Bluetooth.

– Mmm-hmm. Tak. Niech Dolly odbierze po drodze sushi. Kwiaty przywiozą o piątej, a firma cateringowa zacznie pracę o szóstej. Dobra. Poczekaj. – Stuknęła czubkiem palca w telefon. – Dzień dobry, tutaj doktor Carol Bendinger, w czym mogę pomóc?

Wzięłam jedną z puszek coli i znalazłam wolne miejsce. Żaden ze współrozmówców nie zauważył mojej obecności, więc wyjęłam wydruk moich porannych postów z bloga i podkreśliłam opinie, które chciałam przedstawić. „Aktywność seksualna to nie zaproszenie dla gwałcicieli”, napisałam. To prawda. „Fakt, że nastolatka decyduje się na uprawianie seksu, nie oznacza, że jest gotowa spać ze wszystkimi”. To również prawda. Jednak gwałt to nie seks. Czy powinnam silniej zarysować granicę pomiędzy używaniem przez dziewczynę wibratora podczas seksu z chłopakiem (albo dziewczyną, przypominałam sobie) a tym, co zrobili chłopcy na imprezie?

Poszperałam od niechcenia w torebce, aż znalazłam puszkę po miętówkach. Otworzyłam ją i policzyłam: dwie, cztery, sześć, osiem, dziesięć tabletek. Wzięłam dwie mniej niż godzinę temu, ale już zaczynałam odczuwać pełzający w ciele znajomy niepokój, który kąsał moje kolana i sprawiał, że zdawały się wypełnione powietrzem, a nie tkanką, krwią i kośćmi. Mój mózg pracował na zbyt wysokich obrotach, zalewany myślami o Ellie, Davie, Sarah, Kobięcym Salonie, o tym, czy rzeczywiście musiałam zacząć pisać przez siedem dni w tygodniu i jakim cudem uda mi się wypełnić dwieście plastikowych jajek zatwierdzonymi przez szkołę smakołykami przed obchodami pierwszego dnia wiosny w poniedziałkowe popołudnie. Rata kredytu hipotecznego czekała na spłatę, dach wymagał remontu, musieliśmy kupić drugi samochód, była też opłata za szkołę Ellie, obóz letni. Poza tym czy zapisałam ją do dentysty? Nie mogłam sobie przypomnieć.

– Paneliści? – Beatrice i jej notatnik powrócili. – Przypniemy państwu mikrofony, a podczas przerwy reklamowej posadzimy na miejscach.

Stałam bez ruchu, kiedy potężny brodaty mężczyzna o delikatnych palcach przypinał mi mikrofon do kołnierzyka swetra i taksował mnie wzrokiem, by w końcu zawiesić małe czarne pudełko z wyłącznikiem z tyłu na pasku mojej spódnicy. Przyzwoitemu chrześcijaninowi przypięto je z tyłu, do paska w spodniach, podczas gdy ekspertka od wychowania, najwyraźniej telewizyjna weteranka, wyjęła z kieszeni swój własny mikrofon. Następnie zaprowadzono nas do studia, które oglądałam tysiące razy z własnej kuchni i salonu – zagięty stół, przy którym dziennikarz sportowy i pogodynka przekomarzali się z prezydentem wiadomości, i mapa Pensylwanii wisząca z jednej strony. Posadzono nas na podwyższeniu, na fotelach ustawionych wokół stolika kawowego, na którym stały równy stos książek i wazon z kwiatami. Jak tylko zaczęła się przerwa reklamowa, piękna prowadząca, kobieta o imieniu LaDonna Cole, podeszła i zajęła miejsce naprzeciw nas.

– Wyobraźcie sobie, że zwyczajnie siedzimy i rozmawiamy – poinstruowała nas, podczas gdy kobieta z suszarką i skórzanym przybornikiem na biodrach rozpylała coś na włosach LaDonny, a inna pudrowała jej policzki. – Przerwywajcie sobie nawzajem! Wtrącajcie się, jeśli macie coś do powiedzenia! Podtrzymujcie

rozmowę, dobra? – Uśmiechnęła się do nas z błyskiem w oku.

Z niepokojem obserwowałam jej twarz. Pokryta była toną makijażu, chociaż o ile mi wiadomo, kobieta miała nieskazitelną cerę. Czy powinnam bardziej się umalować?

– Wchodzimy za trzy sekundy... dwie... jedną. – Brodaty mężczyzna za kamerą wyciągnął w stronę LaDonny dwa palce, a ona ponownie błysnęła swymi oszalałymi zębami. – Dzień dobry. Wita państwa LaDonna Cole. Ta sprawa trafiła na pierwsze strony gazet i głośno o niej we wszystkich mediach społecznościowych. Zdarzenie miało miejsce wieczorem w zeszły piątek w Akron i prawie wszyscy znają jego szczegóły. Piętnastoletnia dziewczyna idzie na imprezę organizowaną przez osiemnastoletnią koleżankę, której rodzice wyjechali. Młodzież pije alkohol. Dziewczynie urywa się film. Jej były chłopak, siedemnastolatek, mówi jej koleżankom, że zawiezie ją do domu. Zamiast tego, według zeznań dziewczyny, wraz z trzema kolegami zanoszą ją do piwnicy domu jednego z nich, gdzie wykorzystują ją seksualnie, a potem umieszczają zdjęcia z napaści na stronach popularnych mediów społecznościowych. I w tym momencie sprawy się komplikują. – Na ekranie za LaDonną pojawiły się zdjęcia ilustrujące jej wypowiedź: fotografie oskarżonych z albumu szkolnego, ujęcia z boiska futbolowego. – Były chłopak, znany sportowiec mówi, że dziewczyna właściwie przyzwoliła na ich działania. Twierdzi, że nie miał pojęcia, że koledzy ich nagrywali. Pozostali chłopcy opublikowali również zdjęcia wibratora, który ofiara podobno miała w torebce. Sprawa zapoczątkowała burzliwą dyskusję – powiedziała LaDonna, odwracając się fachowo do drugiej kamery. – Czy ta młoda kobieta ponosi jakąś odpowiedzialność za to, co rzekomo stało się owej nocy? Czy to przypadek gwałtu, czy jak twierdzą niektórzy, przypadek dziewczyny, która po imprezie obudziła się rano z wyrzutami sumienia? Dzisiaj rano są z nami ojciec Ryan z Chrześcijańskiej Ligi Przyzwoitości, doktor Carol Bendinger, psycholog dziecięcy i autorka książki *W sieci i pod opieką – bezpieczeństwo dzieci w świecie Internetu*, oraz Allison Weiss, znana blogerka, której dział na stronie KobietySalon.com poświęcony jest seksualności, małżeństwu i macierzyństwu.

W porządku, pomyślałam. Nieźle.

– Ojciec Ryane, zacznijmy od pana.

– Oczywiście, to, co wydarzyło się w zeszły piątek, to tragedia dla wszystkich zamieszanych w to młodych osób, młodej kobiety i młodych mężczyzn – zaczął. – Żadne z nich nie wyjdzie z tej sytuacji bez szwanku. Reputacja młodej kobiety została zrujnowana, a młodym mężczyznom grozi kara więzienia i figurowanie na liście przestępców seksualnych do końca życia.

– A ojciec uważa, że to źle – podpowiedziała LaDonna.

– Myślę, że to tragedia, i uważam, że młoda kobieta powinna ponieść część winy za to zdarzenie.

– Dlaczego to jej wina? – zapytałam.

Wszystkie trzy głowy zwróciły się w moim kierunku i kątem oka uchwyciłam ruch kamery.

– Poszła na imprezę i piła alkohol, podobnie jak chłopcy. Usłyszeliśmy wiele wersji wydarzeń w kwestii jej przyzwolenia na seks. Zdjęcia natomiast są jednoznaczne. Zdjęcia nie kłamią. Pokazują grupę chłopców molestujących widocznie nieprzytomną dziewczynę, która nie jest w stanie powiedzieć ani „tak”, ani „nie”, ani w ogóle czegokolwiek.

– Zdjęcia pokazują również, jak była ubrana – skomentował gładko ojciec Ryan. – Nie można iść na imprezę prawie w samej bieliźnie i nie zdawać sobie sprawy, że wystawia się na niebezpieczeństwo.

– A więc dziewczyna zasługuje na gwałt, ponieważ założyła krótką spódniczkę, a chłopcy, którzy to zrobili, i ci, którzy sfotografowali swoich kolegów, wcale nie zasługują na karę? – Zaskoczyło mnie moje wzburzenie, jak łatwo wyobraziłam sobie własną córkę skąpo ubraną, wypijającą drinka mocniejszego, niż się spodziewała, i pozwalającą nieodpowiedniemu chłopakowi odprowadzić się do domu. – Jacy dobrzy, szanowani obywatele idą na imprezę i robią zdjęcia koledze uprawiającemu seks, a potem umieszczają je w sieci?

– Ci chłopcy zostali sprowokowani – powiedział ojciec Ryan.

– A więc sama się o to prosiła? – Czułam gniew, ale obserwowałam go z dystansu, z ochronnej ciepłej bańki leków, niewidzialnej zbroi, która pozwalała mi być odważną.

– Przekonanie, że kobiety mogą się ubierać, jak chcą, i nie przydarzy im się nic złego, to przyjemna fantazja – kontynuował ojciec Ryan. – Ale żyjemy w prawdziwym świecie. Nastoletni chłopcy, nastoletni pijani chłopcy...

– Wiedzą, że kradzież jest zła, wiedzą, że podpalanie jest złe. Jednak udało im się upić i nie ukraść niczyjego portfela ani nie podpalić domu. Przyzwolenie na nieodpowiednie zachowanie na tle seksualnym jest niedorzeczne, podobnie jak twierdzenie, że chłopcy tracą świadomość wszystkiego, co wiedzą na temat dobra i zła, tylko dlatego, że wypili kilka piw i widzą dziewczynę w krótkiej spódniczce.

– Posłuchajmy opinii doktor Bendinger – zaproponowała LaDonna. Jej szeroko otwarte oczy sugerowały, że dyskusja stała się bardziej ożywiona, niż sobie wyobrażała.

Doktor Bendinger stwierdziła, że omawiany przypadek ilustruje to, jak za sprawą mediów społecznościowych ryzykowne stały się wszystkie nasze działania. Nieważne, co się robi, zostanie to w sieci na zawsze.

– Czy to sprawiedliwe? – zapytała LaDonna.

Ojciec Ryan potrząsnął głową.

– To była młodzięcza nieostrożność – stwierdził.

– To był gwałt – odpowiedziałam.

Ponownie pokręcił głową. Wyglądał na poirytowanego, jakbym była komarem, który nie chce przestać bzyczeć.

– Młoda dziewczyna idzie na imprezę w krótkiej spódniczce i koszulce bez rękawów. Upija się i ogłasza, że ma ochotę na seks. Ma w torebce wibrator...

– Żaden z powyższych faktów nie usprawiedliwia zaciągnięcia jej przez czterech chłopaków do piwnicy i zgwałcenia.

– Więc nie ma pani nic przeciwko temu, by piętnastolatka posiadała wibrator? – zapytała LaDonna.

– Nie, nie mam – odparłam. – Uważam, że lepiej, by młoda kobieta używała wibratora w pełnym miłości i oddania związku albo używała go sama, nie będąc w żadnym związku, niż uczestniczyła w kulturze przygodnego seksu, w której obsługuje faceta: on się spuszcza, a ona zostaje z niczym. – Czy wolno mi było powiedzieć „spuszcza” przed kamerą? Nieważne. Tabletki unosiły mnie, dodawały animuszu, sprawiały, że czułam się niepokonana, naturalnie dowcipna, a nawet urocza. – W zasadzie może wibratory chronią dziewczyny przed kłopotami? – zastanawiałam się. – Może każda powinna dostać jeden razem z prawem jazdy? Kurczak w każdym garnku³ i wibrator w każdej torebce! – obwieściłam.

Ojciec Ryan wyglądał na przerażonego, ja natomiast czułam się świetnie.

– Obawiam się, że czas nam się skończył – oznajmiła LaDonna. Widać było, że jej ulżyło, i to nawet bardzo. – Ojczy Ryane, doktor Bendinger, pani Weiss, dziękuję bardzo za przybycie do studia.

Po zejściu z wizji wszyscy uścisnęliśmy sobie dłonie, a potem, nadal triumfalnie promieniejąc, jak na skrzydłach opuściłam budynek i pomknęłam do samochodu. Mój telefon wibrował, a na ekranie pojawiło się zdjęcie Sarah.

– Cześć!

– Kurczak w każdym garnku i wibrator w każdej torebce? – Ton jej głosu oscylował pomiędzy speszoną i pełną obrzydzenia. – Dziewczyno, musisz to napisać i wysłać na bloga najszybciej jak się da.

– ASAP – powiedziałam i zachichotałam.

Och, jak dobrze się czułam! A kilka kolejnych tabletek – dwie, może trzy, dlaczego nie? – wprawi mnie w jeszcze lepszy nastrój. Mogłam surfować po tej pysznej, radosnej fali do samego domu. Napiszę kolejny post na bloga, będę kochać się z mężem i zasnę w jego ciepłych objęciach, a potem wstanę, pójdę do spożywczego i kupię składniki na jego ulubione danie, *coq au vin*, na kolację. Gdy potrawa będzie się gotowała na wolnym ogniu, zadzwonię do chudej Marie, dam jej wolną rękę w sprawie urządzania domu i wypiszę czek *in blanco*. W moim domu wreszcie pojawią się meble, a moje życie w końcu zacznie się układać.

– Sześćset słów, najszybciej jak możesz. – Potem Sarah zamilkła. To nie było w jej stylu. Zwykle mówiła na pełnych obrotach i nawet „hmm” nie zakłócało staccato jej myśli. – Czuję się trochę niezręcznie, ale muszę cię o coś zapytać.

– Pytaj śmiało! – zachęciłam. Tak po prostu cudowna fala radości załamała się pode mną i zostawiła mnie wyrzuconą na lodowaty brzeg. Nagle się przeraziłam. Ona wie, pomyślałam. Może przez przypadek podałam na Penny Lane adres firmowy i dostarczyli paczkę percocetu albo oxy do biura?

Sarah odchrząknęła i zanim zaczęłam ją błagać, by zakończyła moją agonię, powiedziała:

– Na koncie podręcznym brakuje pieniędzy.

– Och!

Kobiecey Salon posiadał wspomniane przez Sarah konto, a na nim kilka tysięcy dolarów, do którego mieli dostęp wszyscy pisarze i redaktorzy na wyższych stanowiskach, jeśli chcieli na przykład zapłacić za członkostwo w klubie erotycznym i nie używać własnej karty kredytowej albo czekać, aż zestawienie wydatków przejdzie przez księgowość (którą, jak się domyśliliśmy, zlecano firmie w kraju, gdzie kobiety pracowały za dolara za godzinę).

W środowe popołudnie siedziałam beczynnym przed komputerem i zdałam sobie nagle sprawę, co nie było przyjemne, że przy moim obecnym tempie spożycia do niedzieli skończą mi się tabletki. Kupowanie leków w Internecie było żmudnym zajęciem, które wymagało zakupu wirtualnej waluty i przeniesienia jej na Penny Lane. Na dodatek z bijącym sercem zobaczyłam, że konto, z którego finansowałam swoje nielegalne działania, było niemal puste. Mogłam przelać na nie pieniądze z konta domowego albo wziąć je z jednej z kart kredytowych i zdeponować na dodatkowym koncie. Co jednak, jeśli Dave sprawdzi historię transakcji?

Nie mogłam wymyślić rozwiązania, czułam się zdesperowana i złapana w pułapkę. Wzięłam więc tysiąc dolarów z firmowego konta podręcznego, przelałam pieniądze na konto osobiste, a potem zapłaciłam nimi na Penny Lane. Planowałam oddać pieniądze w poniedziałek z samego rana, jak tylko dostanę wypłatę, i miałam nadzieję, że nikt nie zauważy ich braku. Ale ktoś zauważył.

– O mój Boże, przepraszam! – powiedziałam, starając się zyskać na czasie, by wymyślić jakieś wiarygodne wytłumaczenie. – Miałam ci powiedzieć. Zabrakło mi pieniędzy na opłatę podatku od nieruchomości. Nie miałam pojęcia, jak wysoki będzie tutaj, to znaczy, oczywiście wiedziałam, a przynajmniej w pewnym momencie się zorientowałam, ale musiałam to wyprzeć. Księgowa zadzwoniła do mnie w zeszłą środę i powiedziała, że muszę zapłacić tę kwotę do końca dnia, więc po prostu przelałam pieniądze. Miałam zamiar napisać do ciebie mejla w tej sprawie i, oczywiście, planowałam oddać pieniądze, jak tylko dostanę wypłatę w poniedziałek rano, ale musiało mi to kompletnie wypaść z głowy. To była straszna głupota i bardzo, bardzo cię przepraszam...

Zamknęłam się. W wyobraźni widziałam podjeżdżających pod dom policjantów i Ellie obserwującą, jak zakuwają mnie w kajdanki i wyprowadzają.

Sarah miała pełne prawo oskarżyć mnie o kradzież. Konto podręczne było przeznaczone do pokrywania wydatków firmowych, a nie płacenia podatków od nieruchomości. Mogła wsypać mnie glinom albo szefom Kobiecego Salonu. Co gorsza, mogła zażądać wyjaśnienia, na co rzeczywiście potrzebowałam pieniędzy. Opowieść o kłopotach podatkowych nawet w moich uszach brzmiała słabo.

Jednak zamiast zadać więcej pytań, Sarah powiedziała:

– Okej. Domyśliłam się, że pewnie chodziło o podobną sytuację. Przecież nie robiłaś tego po kryjomu, nie próbowałaś zatrzeć za sobą śladów.

Czułam, jak moje narządy wewnętrzne zamieniają się w zupę, a kości miękną. Cała się trzęsłam, pociałam na czole i pod pachami. Próbowałam zapanować nad głosem, gdy powtarzałam, jak bardzo mi przykro, jak głupio się zachowałam i że oczywiście oddam pieniądze natychmiast albo jeszcze szybciej i nigdy, przenigdy więcej nie zrobię czegoś równie idiotycznego.

– W porządku. – Głos Sarah brzmiał nieco sztywno. Oczy piekły mnie od łez, a policzki płonęły z upokorzenia. Czy Sarah miała jakiegokolwiek pojęcie, co naprawdę się działo? Czy straciłam jej szacunek i zaufanie? – Po prostu pojedź do domu i weź się do pisania. – Kurczak w każdym garnku i wibrator w każdej torebce. Ciekawe, czy uda nam się zamówić koszulki z tym hasłem?

Uradowana obrotem sprawy, przeprosiłam jeszcze kilka razy, potem otwierałam zaciśniętą na kierownicy, śliską od potu dłoń i wsunęłam ją do torebki. Nie miałam wystarczającej ilości tabletek, by się uspokoić, wymazać to, co się stało, i wszystko naprawić. Kiedy byłam spięta tak jak teraz, cztery, pięć, a nawet sześć pigułek ledwie było w stanie mnie odprężyć. Musiałam jednak coś zrobić, by uspokoić szalone bicie serca, pozbyć się przyprawiającego o mdłości ścisku w żołądku, wstydu, który zagnieździł się w moich kościach, a to był jedyny znany mi sposób.

– Zadzwońię do ciebie, jak tylko skończę pisać – powiedziałam i włożyłam lekarstwo pod język.

Uważnie pilnowałam ograniczenia prędkości i utrzymywałam bezpieczną odległość pomiędzy przednim zderzakiem a samochodem przede mną. Nigdy nie byłam szczególnie uważnym kierowcą, nawet w czasach przed tabletkami, a garść oxy nie poprawiała koncentracji. Odkąd znalazłam Penny Lane, kilka razy odjechałam spod domu z kubkiem kawy na dachu samochodu albo ze stacji benzynowej ze zwisającą zakrętką od wlewu paliwa. Włączyłam muzykę, ćwiczyłam techniki oddechowe i próbowałam powtarzać sobie, że wszystko jest w porządku, że uniknęłam pocisku w postaci sprawy z kontem podręcznym i że zaraz po napisaniu posta Dave i ja podejmiemy temat tam, gdzie skończyliśmy go rano.

Ta myśl powinna była skutecznie mnie zająć. Kiedy zakochaliśmy się w sobie, mieliśmy fantastyczne życie seksualne. Działaliśmy spontanicznie, ale

planowaliśmy również dla siebie nawzajem wymyślne niespodzianki, gry, w których trzeba było zebrać różne przedmioty, przemyślane prezenty i wyjazdy. Nawet gdy nie mieliśmy wiele pieniędzy, zawsze znajdowaliśmy sposób, by sprawić sobie nawzajem przyjemność na szczególne okazje, a czasami również w zwykłe piątkowe wieczory.

Na pierwszą rocznicę wymyśliłam przygodę w stylu *Alicji w Krainie Czarów*. Postawiłam na stole zatkaną korkiem szklaną fiolkę napełnioną ulubioną szkocką Dave'a. Na etykiecie napisałam: „Wypij mnie” i narysowałam strzałkę w kierunku korytarza. Droga do sypialni usłana była różami. Rozważyłam i odrzuciłam pomysł położenia się na łóżku nago, w samych tylko fikuśnych koronkowych majtkach ozdobionych karteczką z napisem „Zjedz mnie”. Zamiast tego obok kartki położyłam pojedynczą truskawkę umaczaną w czekoladzie. Na odwrocie karteczki umieściłam kolejną wskazówkę, która kazała Dave'owi iść tam, „gdzie robię się mokra”. To zaprowadziło go na basen w klubie Lombard, gdzie zaszaleliśmy i wykupiliśmy sobie członkostwo na lato. Dziewczyna w recepcji wręczyła mi kopertę w stylu programu *Niesamowity Wyścig* z ręcznie narysowaną krzyżówką, która z kolei pokierowała go do baru Boathouse Row w hotelu Rittenhouse. Tam czekałam na niego z koktajlami i rezerwacją pokoju w odnowionym wiktoriańskim pensjonacie w Avalon na Jersey Shore, gdzie następnego ranka mieliśmy razem wystartować w biegu.

Może znowu powinnam zaplanować coś podobnego? – pomyślałam, skręcając w naszą ulicę. To prawda, że ostatnio rzadko biegałam, ale przecież nie siedzę całkowicie beczynnie (biegasz po leki, szepnął głos w mojej głowie, biegasz do banku, do apteki; kazałam mu się zamknąć). Kilka tygodni treningów i będę w stanie przebiec większość pięciokilometrowego dystansu. Znajdę bieg w jakimś malowniczym miejscu, niezbyt daleko, poproszę, by Doreen wzięła Eloizę na noc, a może nawet na weekend, kupię butelkę dobrego szampana do wypicia po biegu...

Na naszym podjeździe stał niebieski lexus z tablicami z Pensylwanii i naklejką z Obamą na zderzaku. Hmm. Chwyciłam torebkę, wysiadłam z samochodu, przeszłam przez garaż i usłyszałam odgłos śpiewu dochodzący z kuchni. Ellie stała na krześle i dawała przedstawienie, które rozpoznałam jako składankę z musicalu *Legalna blondynka*.

– „Hej kochana, o co ten szloch? Taka jak ona nie odbierze ci go”.

– Prawdziwa gwiazda – powiedział Dave do kobiety siedzącej przy stole.

Ellie była w swoim stroju, z tutu wokół talii i tiarą na głowie, sztucznym boa owiniętym wokół szyi i z moimi szpilkami na nogach. Dave miał na sobie dżinsy i koszulkę z logo Uniwersytetu Rutgersa, a włosy nadal wilgotne po wyjściu spod prysznicy. Kobieta siedząca przy stole wyglądała tak swobodnie, jakby... mieszkała u nas albo jakby Dave zadzwonił do agencji castingowej i poprosił

o nieco młodszą i znacznie seksowniejszą wersję mnie. Nosiła świeżo wyprasowane ciemne dżinsy biodrówki wetknięte w skórzane buty do jazdy konnej. Koszulka w kolorze fuksji miała w składzie wystarczającą ilość lycry, by opiąć jej figurę i nadać jej atrakcyjną linię. Dekolt w łódkę odsłaniał obojczyki i bladą, pokrytą piegami skórę. Blond włosy związane były gładko w kucyk, który wyglądał na zebrany od niechcienia, ale jego ułożenie z pewnością wymagało przynajmniej dwudziestu minut zabawy i kilku różnych produktów fryzjerskich. Miała delikatny makijaż: jasny podkład, nieco błyszczycy w jasnym odcieniu, tusz i kredka, by przyciemnić brwi i rzęsy. L. McIntyre, domyśliłam się.

– Dzień dobry – powiedziałam i postawiłam torebkę na blacie. Położyłam lewą dłoń na ramieniu Dave’a, eksponując dumnie pierścionek zaręczynowy i obrączkę, i wyciągnęłam prawą.

– Jestem Allison.

– Lindsay to koleżanka z pracy taty – wyjaśniła Ellie.

– Przyniosła kilka dokumentów – dodał Dave.

Wydawało mi się, że dostrzegłam, jak się rumieni.

– Jakie to miłe – skomentowałam. – Mieszka pani w okolicy?

– Na starym mieście – odpowiedziała L. – Jestem Lindsay McIntyre. – Miała jeden z tych chłodnych, wiotkich uścisków, całkowicie pozbawionych energii.

Poruszyłam jej palcami w górę i w dół i puściłam.

– Dave, czy możesz przyjść na chwilę i mi pomóc? – Mój ton był słodki jak cukierek.

Dave poszedł za mną przez kuchnię do przedsionka, ale nie byłam w stanie rozszyfrować wyrazu jego twarzy.

– Co się dzieje? – syknęłam. – Przyrowadzasz swoją dziewczynę na dziecięcą imprezę?

Przeczesał palcami mokre włosy.

– Allison, ona nie jest moją dziewczyną. Ja jestem żonaty. Gdy jest się żonatym, nie ma się dziewczyn.

– Cieszę się, że w tej kwestii się zgadzamy. Więc co ona robi w moim domu?

– W TWOIM domu? – powtórzył Dave.

Czułam, że pod telewizyjnym makijażem płoną mi policzki.

– W naszym domu. Dlaczego jest w naszym domu, siedzi przy naszym stole kuchennym i śpiewa piosenki z naszą córką?

– Robi dokładnie to, co powiedziałem. Przyniosła dokumenty, których potrzebowałem do artykułu, nad którym pracuję. To część serii wyborczej – dodał tonem sugerującym, że powinnam wiedzieć, co to za seria. Ponieważ nie wiedziałam, stwierdziłam:

– I postanowiła zostać dłużej i zaśpiewać jeden numer?

– Dogadują się z Ellie.

Jak miło, chciałam powiedzieć, że możesz zrobić casting na moje miejsce, jeszcze zanim odeszłam. Przestań, upomniałam się. Może to całkiem niewinne spotkanie? Może po tabletkach zaczynałam mieć paranoję? W torebce zadzwonił mój telefon. Sarah przysłała mi esemesa, jak zwykle związłego. „Kończysz?”, pytała. Cholera.

– Muszę coś napisać. Czy możesz zająć czymś Ellie przez godzinę?

– Właściwie muszę iść do biura. Zajmowałam się Ellie cały poranek – odpowiedział Dave.

Kiedy ja się leniłam, pomyślałam. Zamiast wypowiedzieć to na głos, weszłam bez słowa do kuchni, gdzie Ellie kończyła finałowy numer.

– Muszę lecieć – powiedziała L., gdy Ellie, która zmieniła repertuar na *Dźwięki muzyki*, zaintonowała ostatnie nuty *Tymczasem żegnaj*. L. wstała, wygładziła koszulkę i dotknęła włosów. To było rzeczywiście zdumiewające. Kilka drobnych zmian w rysach twarzy i kolorze włosów i mogłaby być mną dziesięć lat temu.

– Pójdziemy do zoo? – namawiała mnie Ellie, kiedy L. i Dave wyszli.

– Przykro mi, kochanie, mama musi napisać tekst na bloga. – Siedziałam na kanapie z otwartym laptopem, a obok mnie Ellie przekupiona paczką żelków, by zachowywała się grzecznie. Myślałam, co Lindsay McIntyre zobaczyła, kiedy weszła do domu. Przynajmniej w kuchni były meble. Na lodówce wisiała radosna mieszanina zdjęć rodzinnych, jedna ze ścian została pomalowana farbą tablicową i przejęła funkcję kalendarza, na którym widniały wydarzenia typu „Zajęcia z ceramiki”, „10 km taty” czy „Piżamowa impreza Stonefield” zapisane kolorową kredą. W żółto-niebieskiej ceramicznej misce leżały jabłka, a na parapecie, w glinianej doniczce stała orchidea, której jeszcze nie zdołałam uśmiercić. Patrząc na moją kuchnię, nikt nie zgadłby, jak wiele miligramów narkotyków potrzebuję, by przeczłgać się przez dzień. Nic w wystroju salonu nie zdradzało, jak bardzo płakałam, czytając komentarze do jednego z postów na moim blogu, gdy patrzyłam na stronę banku i martwiłam się rosnącą częstotliwością, z jaką przelewam pieniądze z tajnego konta, albo coraz większą różnicą pomiędzy tym, ile pieniędzy dostarczałam do domowego budżetu, a wkładem Dave’a. Patrzenie na okazały dom z apartamentem księżniczki i na samą księżniczkę, której brązowe włosy choć raz zostały uczesane, i wyobrażacie sobie, że więdziemy szczęśliwe życie. Nie widać tu nic szczególnego, myślicie. Wszystko jest w porządku.

Przez wszystkie lata pracy dla „Examinera”, a potem dla Kobiecego Salonu żaden z moich tekstów nie rozprzestrzenił się w sposób choćby zbliżony do popularności wirusowej. Kiedy zorganizowałam pokaz slajdów nagich rowerzystów, który towarzyszył relacji gazety z Corocznej Nagiej Masy Krytycznej w Filadelfii, zdjęcia miały ogromną liczbę odsłon, ale zainteresowanie pochodziło jedynie od miejscowych czytelników. Nic, co zrobiłam, a z pewnością nic, co powiedziałam, nigdy nie zyskało rozgłosu na skalę krajową. Być może to był tydzień ubogi w informacje, a może chodziło o pruderyjną, obłudną fascynację Ameryki wszystkim, co jest związane z kobietami i seksem, ale już w niedzielę wieczorem fragment *Wibrator w każdej torebce* zbierał kolejne odsłony na YouTube (zmądrzałam już na tyle, by wiedzieć, że nie powinnam oglądać filmiku ani czytać komentarzy pod nim). W poniedziałek rano konserwatywny gospodarz audycji radiowej o zasięgu krajowym przez dziesięć minut pienił się do mikrofonu rozsierdzony informacją, że pisarze i wydawcy Kobiecego Salonu – „banda dostarczycieli pornografii”, jak to ujął – chcą, by rząd wyposażył niewinne nastolatki w wibratory. Nie byłam pewna, skąd wziął pomysł, że ubiegamy się o rządowe pieniądze, ale cieszyło mnie zainteresowanie tematem. Każde przesadne, opluwające nas krytyką kazanie w stylu *Tego chcą liberałowie!* zapewniało Kobiecemu Salonowi kolejne tysiące odsłon. Więcej wejść na stronę oznaczało więcej zainteresowania i więcej pieniędzy – szefowie naszej korporacji obiecali hojną premię osobie, której tekst zdobędzie pięćdziesiąt tysięcy odsłon. Zdeponowałam kwotę bezpośrednio na Niegrzecznym Koncie, świadoma tego, że będę potrzebowała leków, by przetrwać falę krytyki, nieuniknioną dysekcję mojego wyglądu, poglądów politycznych i życia seksualnego albo jego braku. Zamierzałam ograniczyć spożycie, ale... jeszcze nie teraz. Wspomniano o nas nawet w *The Daily Show*. Jon Stewart uśmiechnął się ironicznie i powtórzył moją kwestię:

– Kurczak w każdym garnku i wibrator w każdej torebce! Uważajcie tylko, by ich nie pomylić – ostrzegł, a na ekranie za nim pojawiło się zdjęcie z Magiczną Różdżką Hitachi w kociołku nad paleniskiem.

Moja skrzynka zasypywana była zarówno mejlami potępiającymi, jak i pochwalnymi, na które szybko przestałam odpowiadać. „Dziękuję za przeczytanie moich tekstów” musiało wystarczyć, bez względu na to, czy czytelnik uważał mnie za geniusza, bohaterkę i inspirację dla dziewcząt na całym świecie czy grubą, brzydką dziwkę, która ma zamiar wysłać mężczyzn do lamusa.

Próbowałam oderwać się od tematu, pisząc coś nowego. Od jakiegoś czasu chodził za mną pomysł na *Przewodnik matki po świecie Internetu*, serię porad i wskazówek, jak ochronić dziewczynki w sieci i w realnym życiu. Nic nie

przerażało mnie tak, jak wizja Ellie w wieku nastu lat, otoczonej rówieśnikami, którzy uznawali za normalne to, że dziewczyny wysyłają swoje zdjęcia topless chłopakom, którzy im się podobają, a chłopcy filmują siebie podczas czynności seksualnych i udostępniają nagrania kumplom. Była zbyt młoda nawet na najbardziej wstępną rozmowę – dopiero pół roku temu musiałam przebrnąć przez wykład na temat tego, skąd się biorą dzieci – ale pomyślałam, że jeśli uda mi się stworzyć listę wskazówek, co robić i mówić, może przygotuję się na moment, gdy będzie miała osiem lub dziewięć lat albo dziesięć lub jedenaście i podobna rozmowa przestanie być czysto teoretyczna.

– Mamo, choć do mnie w odwiedzinach! – mówiła Ellie podczas kolejnych dni i tygodni po moim debiucie telewizyjnym, waląc w zamknięte drzwi sypialni.

– Mama teraz pracuje – odpowiadałam, telepatycznie błagając opiekunkę, by przyszła na górę i ją zabrała. Katrina, niech ją Bóg ma w opiece, chciała dobrze, ale zwykle wpadała na jakiś skomplikowany pomysł kulinarny albo rękodzielniczy, którego realizacja zajmowała jej dłuższą chwilę. Ellie chodziła sama po domu lub stuknęła w moje drzwi, podczas gdy jej opiekunka rozkładała kartki papieru do origami albo piekła pierniczki na domek z piernika.

Tymczasem Dave na powrót stał się milczący, mijał mnie w kuchni albo na korytarzu z nieodgadnionym wyrazem twarzy, napiętym ciałem i zaciśniętymi ustami. Bałam się przepytować go na temat L. McIntyre. Chciałam znać prawdę, ale podejrzewałam, że przebiłaby ona moją narkotyczną bańkę i ujawniła niezbyt radosną rzeczywistość, której nie zdołałoby zamaskować kilka tabletek oxy – że moje małżeństwo było fikcją, szczęście iluzją, że chociaż elementy układanki były na swoim miejscu i wyglądało na to, że wszystko jest w porządku, pod pozorem atrakcyjności i dobrych manier, nasza trójka rozpadała się. A przynajmniej ja.

Dwa tygodnie po triumfie telewizyjnym dopadło mnie poczucie winy. Obudziłam się wcześniej, przeżułam sześćdziesiąt miligramów oxycontin, wzięłam prysznic i przy śniadaniu, które sama przygotowałam, oznajmiłam, że odkładam wszystko na bok i zabieram Ellie na babskie wyjście.

– Świetnie – powiedział Dave i nawet zdobył się na uśmiech. Dziesięć minut po moim obwieszczeniu w ręku miał buty do biegania, na nadgarstku swój nowoczesny zegarek mierzący liczbę okrążeń oraz tempo i ciało odziane w różnego rodzaju oddychające i chłodzące tkaniny zrobione z bambusa z odzysku. – Cześć – rzucił i zamknął za sobą drzwi.

Ellie posłała mi cukierkowo słodki uśmiech.

– Czy możemy pójść do muzeum? I do burgerowni Shake Shack? I do zoo? I na *Dźwięki muzyki* ze wspólnym śpiewaniem?

– *Dźwięki muzyki* ze wspólnym śpiewaniem to specjalna atrakcja. Może wybierzesz dwie z pozostałych? – zaproponowałam łagodnie. W międzyczasie przeprowadzałam w głowie inwentaryzację i liczyłam, ile tabletek oxy mi zostało

i w jakich odstępach czasu je przyjmować, by przetrwać do południa następnego dnia, kiedy pocztą przyjdzie kolejna partia. Bierzesz zbyt wiele, zbeształ mnie wewnętrzny głos. Wstawiłam naczynia do zlewu, opłukałam je, włożyłam do zmywarki i kazałam głosowi się zamknąć. Ile pieniędzy wydałaś w zeszłym miesiącu? – pytał dalej głos. Cztery tysiące dolarów? Pięć? Mogę sobie na to pozwolić, pomyślałam z niepokojem, odsuwając na bok wspomnienie o podręcznych funduszach, które pożyczyłam, i o obawie, że Dave przyjrzy się uważnie transakcjom na naszym wspólnym koncercie. O ile zdołam wszystko kontrolować i będę ostrożna, uda mi się.

Po długich rozmyślaniach Ellie zdecydowała się na zoo i burgery na lunch. Przez dwie godziny podziwialiśmy słonie, wtykałyśmy nosy do domku małp, krzyczałyśmy: „Blee!” na widok nagich golców piaskowych i siedziałyśmy na ławce, jedząc w słońcu miękkie precle. Pozwoliłam jej na wszystko, czego chciała – pływała po stawie w łódce w kształcie łabędzia, jeździła na kucyku i przejechała się miniaturową kolejką wokół zoo. Dała sobie pomalować twarz w lamparcie cętki (biało-różowe cętki), kupiła bransoletki dla przyjaciółek i pamiątkowy łańcuszek na klucze, a w Shake Shack otworzyła z niedowierzania oczy, kiedy powiedziałam, że może zamówić serowe frytki i koktajl czekoladowy, podczas gdy zwykle musiała wybrać jedno albo drugie. Kasjer dał Ellie brzęczyk – jedną z głównych atrakcji lokalu.

– Zadzwoni, gdy twoje jedzenie będzie gotowe.

– Wiem! WIEM, że zadzwoni! – W dwóch dłoniach Ellie zaniosiła go do naszego stolika i nabożnie położyła na środku, wyczyściwszy uprzednio powierzchnię antybakteryjną chusteczką z mojej torebki. – Nie wariuj – poleciła brzęczykowi.

– Dobrze, nie będę wariował – odpowiedziałam, wcielając się w rolę Ła, jak nazwałyśmy brzęczyki z Shake Shack, ze względu na dźwięk „ła-ła-ła”, który wydawały.

– Siedz spokojnie, Ła – poleciła i zachichotała.

– Będę. Ja-ja będę spokojny – jąkałam się dalekim od spokojnego głosem Ła.

– Po prostu powiedz NORMALNYM głosem: „Twoje jedzenie jest gotowe”. Nie WARIUJ – nakazała Ellie z błyskiem radości w oczach.

– Rozumiem, rozumiem. Żadnego szaleństwa, żadnego wariactwa, żadnego...

Ellie już zaczęła chichotać, kiedy brzęczyk zaświecił się i zaczął dźwięczeć.

– Ła! Ła! Ła! Twojedzeniejestgotowe! – powiedziałam. – Ła! Ła! ŁAŁAŁAZACZYNAMWARIOWAĆŁAŁA!

– Ła, uspokój się, to tylko burger! – Ellie poklepała czule brzęczyk, a ja kontynuowałam odgrywanie jego załamania nerwowego. Starsza kobieta siedząca

przy bufecie obserwowała nasze zabawy. Gdy wracałyśmy z tacami, dotknęła mojego w ramienia.

– Przepraszam. Chciałam tylko powiedzieć, że bardzo mi miło patrzeć na panią i pani córkę.

– Och, dziękuję! – odpowiedziałam, wzruszona niemal do łez.

– Widzę tak wielu rodziców wpatrzonych w telefony, ledwie zerkających na dzieci. Pani zapewnia córce wspomnienia, które zachowa na zawsze.

Oczy zachodziły mi już łzami na myśl o tym, czego owa kobieta nigdy nie zobaczy – momentów, kiedy rozmawiałam przez telefon, pracowałam na laptopie albo spałam, gdy Ellie potrzebowała mojego towarzystwa.

– Miło mi to słyszeć – odpowiedziałam, kiedy, jak na ironię, zadzwonił mój telefon. Posłałam kobiecie przepraszający uśmiech. – Halo? Mama?

Przez minutę słyszałam jedynie jej płacz.

– On spaadł... z łóżka... próbowałam... go podnieść, a on mnie poopchnął...

Usiadłam na krześle.

– W porządku, mamó. Weź głęboki oddech. Czy tata jest obok?

– Wyszedł! Uciekł! – Kolejny szloch. – Próbowałam go powstrzymać, ale mnie odepchnął i wybiegł z domu. Był boso, a może tylko w kapciach. Nie mogłam go powstrzymać...

– Rozumiem. – W głowie mi się kręciło. Ellie chociaż raz siedziała spokojnie, może doceniwszy powagę sytuacji. Wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi oczami znad pokrywki kubka z koktajlem mlecznym. – Wiesz, dokąd poszedł?

– Nie – załkała mama. – Kiedy dotarłam do drzwi, już go nie było.

– Dobrze, uważam, że powinnaś się rozłączyć i zadzwonić na policję.

– Co mam powiedzieć? – zawodziła.

– Powiedz im to co mnie. Powiedz, że tata ma alzheimera, że był zdezorientowany i... Uciekł z domu? Oddalił się? Poszedł boso na spacer? Po prostu powiedz im, co się stało. Jestem w centrum. Wsadzę Ellie do samochodu i będziemy u was najszybciej, jak się da. – Rozmawiając, podawałam już Ellie chusteczkę do wytarcia buzi, pakowałam torebkę i szperałam w niej w poszukiwaniu kwitu parkingowego i banknotu dwudziestodolarowego.

– Powodzenia – rzuciła kobieta, która chwaliła moje umiejętności wychowawcze, kiedy pośpiesznie prowadziłam Ellie przez drzwi na drugą stronę ulicy, do samochodu, i tak szybko, jak pozwalały mi przepisy, popędziłam mostem Bena Franklina do New Jersey.

Kiedy przyjechałam, przed domem rodziców stały trzy samochody policyjne, jeden na podjeździe, a dwa pozostałe zaparkowane przy krawężniku. Podczas jazdy odbyłam dwuminutową rozmowę z Dave'em i opowiedziałam mu, co się stało.

– Co mogę zrobić? – zapytał.

– Po prostu siedź i nie ruszaj się... A właściwie, wiesz co? Czy mógłbyś zadzwonić do... – Jak się nazywała ta kobieta? Zjechałam na pobocze i zaczęłam grzebać w portfelu, aż znalazłam wizytówkę, którą wetknęłam tam właśnie na wypadek takich sytuacji. – Kathleen Young. Pracuje w Eastwood, wiesz, tym ośrodku opiekuńczym.

– Kathleen Young – powiedział Dave i powtórzył numer telefonu, który mu podyktowałam.

– Jeśli nie pracuje w weekend, poproś o osobę odpowiedzialną za przyjęcia nowych pacjentów. Poszłam tam kilka tygodni temu, żeby się rozejrzeć, więc znają mnie i przynajmniej skojarzą nazwisko taty i jego sytuację. Jeśli powiesz im, co się dzieje, może znajdą dla niego łóżko albo będą w stanie polecić inny ośrodek, który ma wolne miejsca.

– Jasne – potwierdził Dave. – Zadzwoń, jak będziesz mogła.

Zaparkowałam na ulicy za jednym z radiowozów, chwyciłam Ellie i popędziłam do domu. Mama siedziała na kanapie, a obok niej po dwóch stronach policjanci w mundurach. Tata w spodniach od dresu, z brudnymi, bosymi stopami i krwawiącym palcem siedział w fotelu z całkowicie nieobecny wyrazem twarzy. Nie miał na nosie okularów, a włosy wyglądały na nieuczesane.

– Och, tato – westchnęłam. Postawiłam Ellie i na wpół usiadłam, na wpół opadłam na sofę obok jego fotela. Nie poruszył się, nie zauważył mnie, tylko wpatrywał się w środek pokoju, podczas gdy otoczona policjantami mama płakała w garść chusteczek. – Co się stało? – zapytałam w przestrzeń.

Mama nadal płakała. Tata ciągle wpatrywał się w dal. Wreszcie jeden z funkcjonariuszy, który przedstawił się jako oficer Finlay, wyjaśnił, że znaleźli go dwie przecznice od domu, idącego boso w kierunku szkoły podstawowej.

– Wyglądał na dezorientowanego, ale nie sprawiał kłopotów.

– Od razu wsiadł na tylne siedzenie radiowozu i pozwolił zawieźć się do domu – dodał drugi policjant. – Pani matka wyjaśniała nam właśnie sytuację pani ojca.

– Powinnyśmy zadzwonić do jego lekarza – zwróciłam się do mamy. Głupio wierzyłam, że już to zrobiła, że zrobiła cokolwiek. Oczywiście nic nie zrobiła. Siedziała tylko w milczeniu i drżała, szlochając. – Zadzwoń – poinformowałam policjantów.

Posadziłam Ellie przed telewizorem, podałam jej pilota i patrzyłam, jak oczy jej się rozszerzają, jakbym podarowała jej klucz do miasta, a potem poszłam na górę do gabinetu taty, żeby zadzwonić do jego lekarza. Jak na złość włączyła się automatyczna sekretarka. Zostawiłam swoje nazwisko, numer telefonu i krótko opisałam zaistniałą sytuację. Potem zadzwoniłam do Dave'a.

– Mieli wolne łóżko, ale dopóki nie dostarczysz do ośrodka wszystkich

dokumentów ubezpieczeniowych taty, trzeba będzie zapłacić z własnej kieszeni – referował Dave. – Będą również potrzebowali kopii zeznań podatkowych twoich rodziców. Prześlę ci wszystkie informacje mejlem – oznajmił swoim zaangażowanym, energicznym, reporterskim tonem. – Skontaktuj się z Emily Gavin, ona zajmuje się przyjmowaniem pacjentów w weekendy. Przesłali mi listę rzeczy do spakowania, którą też mogę ci podesłać... – Dave mówił, a ja pozwoliłam, by powieki mi się zamknęły.

– Myślisz, że... – Przełknęłam głośno ślinę. To był fragment, którego nie zaplanowałam, kawałek układanki, której nie udało mi się włożyć na miejsce. – Kochanie, czy byłoby w porządku, gdyby mama zamieszkała z nami na jakiś czas?

Spodziewałam się sprzeciwu, a przynajmniej zboląłego westchnięcia, ale głos Dave'a brzmiał łagodnie.

– Oczywiście, w porządku – oznajmił.

Zaczęłam płakać.

– Kocham cię – powiedziałam i usłyszałam sygnał oczekującego połączenia, informujący, że ktoś z gabinetu lekarza taty próbował się do mnie dodzwonić.

– Ja też cię kocham – powiedział Dave.

Pociągnęłam nosem. Jak wiele czasu upłynęło od momentu, gdy czułam tę pewność, to niezachwiane przekonanie, że Dave mnie wspiera? I czy on wiedział, że też go wspieram? Czy zwróciłby się do mnie w kryzysowym momencie, czy próbowałby przetrwać go sam albo, co gorsza, zwróciłby się do L. McIntyre z jej skromnym makijażem i gładko zebrany kucyk i poprosił o pomoc?

Lekarz ojca dzwonił z holu kina.

– Ma pani szczęście, że nikomu nic się nie stało – oznajmił. – Najwyraźniej tata potrzebuje wyższego poziomu opieki.

Zgodziłam się z nim.

– Wybrała pani ośrodek? – Lekarz wręczył mnie i mamie listę placówek tego samego dnia, gdy przekazał nam diagnozę.

– W Eastwood mają dla niego łóżko.

– To świetnie. To dobrzy ludzie. Niech pani nie zapomni wziąć ze sobą dwóch dowodów tożsamości. Proszę spakować wszystkie leki, prawdopodobnie pierwszego wieczoru pozwolą ojcu wziąć dotychczasowe leki, a potem lekarze z ośrodka przepiszą mu własne, żeby wiedzieć, co dokładnie bierze, kiedy i w jakich dawkach. – Z uwagą słuchałam instrukcji umieszczenia taty w ośrodku, informacji, co spakować, do kogo zadzwonić, a jednocześnie próbowałam wykombinować, jak go tam dostarczyć. Czy mogę zostawić Ellie z mamą i zawieźć tatę? A jeśli straci orientację albo nawet stanie się agresywny, odmówi wejścia do samochodu lub wyjścia, gdy zorientuje się, gdzie przyjechaliśmy? Może poczekam, aż Dave przyjedzie z Filadelfii i pojedzie ze mną? To mogłoby się udać.

Podziękowałam lekarzowi, rozłączyłam się i zamknęłam cicho drzwi

gabinetu, ale zanim zeszłam na dół, weszłam do łazienki, której używałam jako dziewczynka. Deska sedesowa była podniesiona, ręczniki wisiały krzywo, a na kurku od zimnej wody zastygło coś białego, miałam nadzieję, że to pasta do zębów. Zignorowałam to wszystko, pogmerałam ręką głęboko w torebce, wyjęłam puszkę po miętówkach, a następnie włożyłam do ust dwie tabletki, potem cztery, a w końcu sześć.

Być może tata był rano wojowniczo nastawiony, ale kiedy policjanci wyjeżdżali, cała waleczność z niego uleciała. Siedział spokojnie przed telewizorem ze szklanką soku i talerzem krakersów z serem, podczas gdy ja poszłam na górę, by zacząć go pakować.

– Mamo, chcesz mi pomóc? – zapytałam, wyciągając walizkę z szafy w pokoju gościnnym. Z dołu dobiegała jedynie cisza.

Nieważne. Zaczęłam opróżniać szuflady, odwołując się do listy podanej mejlem przez Dave'a („Zorientowaliśmy się, że nasi podopieczni najlepiej czują się w znanych, wygodnych strojach bez zatrzasków, suwaków, guzików i klamerek”). Zapakowałam telefon taty i ładowarkę, chociaż zastanawiałam się, czy będzie ich potrzebował. Dodałam stos książek, biografię Winstona Churchilla i Franklina D. Roosevelta, egzemplarz *W komnatach Wolf Hall*, którą uwielbiał. Szczoteczka i pasta do zębów, krem do golenia, mydło. Włożyłam do walizki wszystko, czego moim zdaniem potrzebował. Kiedy usłyszałam, że przyjechał Dave, zeszłam na dół i zastałam mamę na kanapie obok taty. Uklękłam i chwyciłam jej dłoń w swe ręce.

– Dave i ja zawieziemy tatę do Eastwood. Zaczekaj tutaj z Ellie, a my wrócimy, jak tylko wszystko załatwimy. – Objęłam ją ramieniem i poczułam się tak, jakby ktoś właśnie wręczył mi scenariusz, a ja odczytywałam kwestie i odgrywałam rolę Dobrej Córki. – Postaraj się nie martwić. Dobrze zajmą się tatą, będzie tam bezpieczny.

Mama nie odpowiedziała, ale czułam, jak cała drży. Po minucie pochyliła się i na moment oparła się o mnie. Miała zaciśnięte wargi, a drobne dłonie zwinięte w pięści. Bujała się w przód i w tył, a ja słyszałam delikatny gwizd wydobywający się z jej ust, nieszczęśliwy, zbolaty dźwięk.

Jedna strona jej twarzy już była opuchnięta, po tym, jak uderzyła o komodę, kiedy tego ranka tata ją odepchnął. Znalazłam w zamrażarce worek z lodem, owinęłam go ścierką, przyłożyłam mamie do policzka i szeptałam bzdury w stylu: „Nie martw się” i „Z tatą będzie w porządku”, a nawet „Będzie mu tam lepiej”. To Dave posadził ojca na tylnym siedzeniu i włożył walizkę do bagażnika. Prowadził, ja płakałam, a tata siedział w milczeniu przypięty pasem, z dłońmi ułożonymi na kolanach.

Trzy godziny później jako tako urządził się w dwuosobowym pokoju. Oprawione w ramkę zdjęcie mamy stało na szafce nocnej, ulubiony dziergany pled leżał na łóżku, a pracownik socjalny, którego zadaniem było pomóc tacie przyzwyczaić się do nowego miejsca w ciągu pierwszych kilku dni, przedstawiał go tymczasowemu współlokatorowi. Na białej tablicy wywieszanej na drzwiach widniał napis: „Dzisiaj jest NIEDZIELA. Kolejny posiłek to KOLACJA. Podajemy

PIECZONEGO INDYKA, SŁODKIE ZIEMNIAKI I SAŁATKĘ. Po kolacji mogą państwo obejrzeć ZAKONNICĘ W PRZEBRANIU w pokoju telewizyjnym albo zagrać w KIERKI w świetlicy. Jutro rano o dziewiątej odbędą się zajęcia z ARTETERAPII”.

Spojrzałam na tablicę, potem odwróciłam wzrok, a Dave, być może zgadując, jak się czuję, wziął mnie za rękę.

– Robimy, co trzeba – powiedział, a ja przytaknęłam, czując pustkę i smutek.

Po powrocie do domu rodziców zastaliśmy Ellie i mamę tam, gdzie je zostawiliśmy, na kanapie przed telewizorem przełączonym z CNBC na Nickelodeon. Na stole leżała kanapka z serem, z której ugryziono dwa kęsy.

– Zrobiłam KŁANAPKI – oznajmiła Ellie.

– Widzę. – Kanapka udekorowana była aż sześcioma ozdobnymi wykałaczkami, a obok niej leżał równy stosik korniszonów, ulubionych pikli Ellie.

– Chodź, mamó – powiedziałam i wzięłam ją za chłodne, wiotkie rękę. Potem uniosłam lekko głos, starając się dodać mu nutę radości.

– Hej, Ellie, wiesz, co? Babcia zamieszka z nami przez jakiś czas!

– Hurra! – ucieszyła się Ellie.

Mama bez słowa, bezszelestnie wstała i weszła po schodach, a Ellie i ja poszłyśmy za nią. Przez chwilę stała przed niepościelonym łóżkiem, gdzie na jednej z poduszek nadal widniał odcisk głowy taty. Potem wzięła poduszkę w ręce i ją uściskała.

– Tak bardzo go kocham – powiedziała. Nie płakała, co było jeszcze bardziej przerażające niż zawodzący dźwięk, który wydawała z siebie wcześniej. Jej głos brzmiał cicho i rzeczowo. Odepchnęła moją dłoń, gdy próbowałam dotknąć jej ramienia. – Nie masz pojęcia... Jak mam żyć bez niego?

– Nadal będziesz go widywała – zapewniłam, starając się ją pocieszyć, powstrzymując własne łzy. – On cię potrzebuje. – Zamilkłam na chwilę. – Ja cię potrzebuję – dodałam, starając się nie zauważać, jak dziwnie brzmiały te słowa. Czy kiedykolwiek powiedziałam mojej matce, że jej potrzebuję? Czy to kiedykolwiek była prawda? – A Ellie potrzebuje babci.

Spakowaliśmy do torby ubrania mamy, moim zdaniem wystarczające na tydzień, a do kolejnej włożyliśmy kosmetyki, suszarkę, lokówkę, słoiczki, buteleczki i pojemniczki ze sprayami, żelami i pudrami, których codziennie używała. Zamykałam torby i tłumaczyłam mamie, że Eastwood jest odpowiednim rozwiązaniem dla nas obu. Powiedziałam, że odwiedziłam wiele placówek (co było prawdą, jeśli liczyć wirtualne wizyty) i wybrałam tę, gdyż była najlepsza. Opisałam atrakcyjne obiekty i udogodnienia w ośrodku, wygodny pokój, urzędujących na miejscu lekarzy i wycieczki, z których tata będzie mógł skorzystać. W drodze powrotnej do Haverford mama siedziała w milczeniu, z dłońmi złożonymi na kolanach i patrzyła na mijane drzewa, jakby była zwłokami, których nikt jeszcze

nie zdążył pochować.

– Dlaczego babcia nic nie MÓWI? – zapytała Ellie ze swego fotelika.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, mama powiedziała zachrypniętym, dławionym łzami głosem:

– Babcia jest smutna. – Czekałam, aż rozwinie myśl. Kiedy tak się nie stało, Ellie powiedziała:

– Ja też czasami bywam smutna.

– Każdy czasem bywa smutny – dodałam i na tym zakończyłam temat. Oczywiście myślałam o tabletkach. Zamiast wyciągnąć mnie z przygnębienia, utrzymywały mnie w nim, roztrzęsioną, podminowaną i nieszczęśliwą, z myślami w stylu: „wezmę jeszcze tylko jedną” albo „a może wezmę dwie”. Od momentu gdy odebrałam telefon w Shake Shack, połknęłam... ile? Nie chciałam o tym myśleć. Obawiałam się, że ich liczba osiągnęła wynik dwucyfrowy, a nawet ja sama wiedziałam, że to o wiele za dużo. Ograniczę tabletki, obiecywałam sobie, kiedy wjeżdżałam na podjazd przed naszym domem. Teraz, kiedy tata był w bezpiecznym miejscu, a sytuacja w pracy się uspokoiła, mogłam zacząć zmniejszać dawki.

Kolejne dni mijały, wrzawa w mediach spowodowana hasłem „Wibrator w każdej torebce” ucichła, tata przyzwyczał się do funkcjonowania w Eastwood, ale zmniejszanie dawki się nie rozpoczęło. Każdy dzień witałam z najlepszymi zamiarami, potem jednak Ellie wpadała w szal, dowiedziawszy się, że skończyły się jej ulubione płatki śniadaniowe, albo zastawałam mamę pochyloną nad stołem kuchennym, nadal w szlafroku, czekającą, razem z moją pięcioletnią córką, by ją nakarmić. Musiałam namawiać ją do przełknięcia kilku kęsów, ubrać, poprosić, by wsiadła do samochodu, ponieważ w przeciwnym razie spóźnimy się na wizytę taty u gerontologa, i myślałam wtedy: jutro. Od jutra zacznę ograniczać tabletki. Muszę tylko przetrwać dzisiejszy dzień.

Kiedy nie odwiedzała taty w Eastwood, mama spędzała dni za zamkniętymi drzwiami pokoju gościnnego. Nie miałam pojęcia, co robiła. Gdy Ellie wracała do domu, wyłaniała się, blada i cicha, ale przynajmniej w pozycji pionowej i w ubraniu, i spędzały popołudnie we dwie. Mama uczyła Ellie grać w kierki – grywali w nie z tatą na plaży. Uczyła ją również, jak się malować. Nie byłam z tego powodu szczególnie zadowolona, ale nie miałam zamiaru toczyć bojów w tej kwestii. Siedziałam przed komputerem i zza drzwi sypialni szykowałam się na krzyki typu: „Nie, nie chcę!” i nieuniknione „MORDUJESZ mnie grzebieniem!”, ale Ellie rzadko narzekała. Po kolacji znajdowałam je przytulone na dużym fotelu przykrytym płótnem, który pozostał z mojego panieńskiego mieszkania. Kartkowały „Vogue’a” i dyskutowały o tym, czy dekolot sukienki pasuje modelce, która ma ją na sobie.

Pewnego ranka, po przelaniu kolejnego tysiąca dolarów z tajnego konta

osobistego na konto założone na Penny Lane, zaczęłam liczyć, ile kosztowały mnie wszystkie tabletki. Zatrzymałam się, gdy kwota osiągnęła dziesięć tysięcy dolarów, gdyż z przerażenia zaczęło mi się kręcić w głowie. Prawda była taka, że prawdopodobnie wydałam znacznie więcej. Byłam również pewna, że jeśli spróbuję gwałtownie odstawić leki, zachoruję. Zdążyłam już zauważyć, że jeśli przerwy pomiędzy dawkami trwały dłużej niż cztery, pięć godzin, zaczynałam się pocić. Skórę pokrywała mi gęsia skórka, a żołądek kurczył się od mdłości. Miałam zawroty głowy, czułam się słaba, spanikowana i zdesperowana, dopóki nie chwyciłam puszek lub buteleczki, której właśnie używałam, dopóki tabletki nie trafiły do moich ust, pod język i nie zostały rozgryzione na proch.

Tylko na razie, powtarzałam sobie. Dopóki dom rodziców nie zostanie sprzedany, dopóki nie wymyślę, co zrobić z mamą, dopóki tata nie zadomowi się w ośrodku. Kolejnych sześć tygodni, maksymalnie dwa miesiące. Potem to zrobię. Policzę, ile tabletek biorę każdego dnia, codziennie zmniejszę dawkę o kilka, powoli, łagodnie, aż wrócę do zera. Dokonam od dawna odwlekanej konfrontacji z Dave'em i zadam mu pytania, które najbardziej mnie przerażały: Zostajesz w naszym małżeństwie czy się wypisujesz? Kochasz mnie? Możemy nad tym popracować? Czy zostało coś do ocalenia? Cokolwiek mi powie, jakichkolwiek odpowiedzi udzieli, popracuję nad nimi. Będę taką kobietą, jaką wiem, że potrafię być: dobrą pracownicą, dobrą matką i dobrą żoną, jeśli Dave nadal mnie zechce. Tylko nie teraz. Teraz potrzebuję tabletek.

– Jak się ma twój tata?

Westchnęłam, usiadłam przy blacie kuchennym u Janet obok stosu katalogów i na wpół skończonej dioramy kolonialnej kuchni. Była trzecia piętnaście kojącego, słodko pachnącego majowego popołudnia. Właśnie przyjechałam do domu przyjaciółki, oddalonego osiemset metrów od mojego, z idealnie przyciętymi krzakami róż rosnącymi wzdłuż ścieżki wiodącej od ulicy do drzwi frontowych. Przeszliśmy obok salonu i gabinetu, obu urządzonych przez dekoratora wnętrz, i wylądowałyśmy w kuchni, gdzie Janet odmrażała na kuchence garnek z gulaszem wołowym, a na blacie stały kieliszki do wina.

– Pół kieliszka – poprosiłam, a ona zaczęła nalewać malbec z pięknej butelki. Uzgodniłyśmy już, że odbiorę dzieci ze „Wzbogacania”, pozalekcyjnego programu, który Stonefield: Wspólnota Nauki oferowało dzieciom pracujących rodziców pomiędzy godziną trzecią a szóstą po południu. Dlatego będę piła odpowiedzialnie. Oczywiście Janet nie miała pojęcia, że w samochodzie poczęstowałam się garścią vicodinu taty oraz że w mojej torebce i kieszeni było więcej tabletek. – I dziękuję, że pytasz. Tata się aklimatyzuje.

Popijałam wino i opowiadałam Janet, jak dzień po przyjeździe tata z cichego stał się agresywny, zaczął rzucać rzeczami i krzykiem żądał od personelu, by dali mu inny pokój, ponieważ, do cholery, zasługuje na apartament, a jeśli takowego nie ma, chciałby mieć przynajmniej lepszy widok. Podejrzywałam, że myślał, że jest w hotelu podczas podróży służbowej. Rozpakował się, powiesił koszule i spodnie w szafie, a jeśli zauważył brak krawatów oraz fakt, że jedynymi butami, jakie mu spakowałam, były adidasy, to nic na ten temat nie powiedział. W Eastwood przydzielano stałe miejsca w jadalni i opiekująca się tatą młoda kobieta, Nancy Yanoff, przyznała, że mój ojciec jadł posiłki i najwyraźniej odpowiadało mu towarzystwo innych mieszkańców przy stole. W międzyczasie z trudem próbowałam wystawić dom rodziców na sprzedaż, skończyć wypełnianie grubej sterty formularzy niezbędnych przy długoterminowej opiece w ośrodku i opracować długofalowy plan dla mamy.

Dzięki Bogu za prochy! Tabletki dawały mi energię i pewność siebie, by przetrwać dzień, a w nocy kołysały mnie do snu. Dzięki nim mogłam odbyć nieprzyjemną rozmowę z mężem na temat tego, jak długo moja mama ma u nas zostać. Dave nadal był wielkoduszny, zwracał się do mnie życzliwie, ale wyczuwałam, że jego cierpliwość ma swoje granice i że za miesiąc lub dwa zbliżę się do nich.

Na razie jednak przeniósł swoje rzeczy z powrotem do głównej sypialni. Naprędce zamówiłam komodę, dwa stoliki nocne, lampy i chodniczek do pokoju

gościnnego, w którym dotychczas stało tylko łóżko. Zazwyczaj wieczorami zasypiałam przed Dave'em. Czasami, gdy obudził mnie światłem z łazienki, brałam książkę i szłam do pokoju Ellie. Kładłam się obok córki na podwójnym łóżku, które rozsądnie kupiliśmy, i mówiłam jej, że tata znowu chrapie, gdy obudziła się i była zaskoczona towarzystwem.

– Jednak biorąc to wszystko pod uwagę, nie jest źle – powiedziałam przyjaciółce.

Janet spojrzała na mnie z boku, a na jej twarzy malował się sceptycyzm.

– A jak wam się układa z Małą Ronnie?

– To zaskakujące, ale w porządku. W zasadzie funkcjonuje. Wieczorami pomaga mi w opiece nad Ellie. – To prawda, że mama nadal miała irytujący zwyczaj schodzenia na dół na śniadanie, lunch i obiad z oczekiwaniem, że ktoś (nie ona) postawi na stole gorący, pełnowartościowy posiłek i posprząta po nim. Zostawiała brudne ubrania na stosie w koszu na bieliznę, po cichu zakładając, że zostaną wyprane i odłożone do szafy, i oznajmiała, że ma spotkanie w tym lub innym miejscu, zamiast poprosić o podwiezienie, ale każdego dnia spędzała kilka godzin z wnuczką. – A Ellie się nieco uspokoiła. Myślę, że w dziwny sposób czuje się odpowiedzialna za babcię.

Janet przytaknęła, wypiła łyk wina i powiedziała:

– Może mogłabym wypożyczyć twoją mamę. Moja trójka potrzebuje przypomnienia, że są odpowiedzialni za coś więcej niż tylko podcieranie własnych tyłków. – Zrobiła minę, pokazując nierówne zęby. – A jeden z chłopaków nawet tego nie robi zbyt dobrze. Nie wiem który, gdyż kupuję im identyczne majtki, nie mam ochoty tego, no wiesz, sprawdzać dogłębnie.

Uśmiechnęłam się, wyobraziwszy sobie przyjaciółkę z pęsetą laboratoryjną i zestawem do zdejmowania odcisków palców ostrożnie wyciągającą parę pobrudzonych majtek z Transformerami z wywróconych na lewą stronę chłopięcych džinsów.

– Mówiłam ci już, że Maya została weganką? Chłopaki nie chcą jeść wegańskiego jedzenia, o co nie mam do nich pretensji, więc teraz codziennie gotuję dwa posiłki. Co się stało? – zapytała. Miała zaróżowione policzki, przymrużone oczy i przekrzywiony kucyk. – Pomyśl tylko. Należałam do bractwa Phi Beta Kappa i miałam ogromne szanse odnieść sukces. Po studiach prawniczych podczas pierwszych trzech lat pracy mogłam się pochwalić największą liczbą przepracowanych godzin, a teraz spędzam czas, odwożąc dzieci na treningi hokeja, na basen i próby chóru, po południu przygotowuję lasagne z tofu, a wieczorami składam czystą bieliznę, sprawdzam prace domowe i spryskuję lizolem wnętrza butów do hokeja. Sama już nie wiem, kim jestem. – Napełniła swój kieliszek winem niemal do pełna i pociągnęła okazały łyk. – Wiesz, o czym myślę, kiedy budzę się rano? – Nie czekając na odpowiedź, wyznała: – Odliczam godziny do

momentu, aż będę mogła napić się wina. Coś ze mną nie w porządku, skoro tylko na to czekam. Mam to... – Rozłożyła ramiona i gestem wskazała kuchnię, dom, okolicę – ...to życie, dzieci, dom, męża, którego kocham, przysięgam, że tak jest, ale przez większość czasu jedyną rzeczą, która sprawia mi radość, jedyną rzeczą, na którą czekam, jest kieliszek cholernego wina. Mam problem, prawda?

– Nie wiem – odparłam i odruchowo zaczęłam wyrównywać stos katalogów na blacie. Pottery Barn, J.Crew, L.L.Bean, Land's End, Ballard, Garnet Hill, Saks, Nordstrom, Restoration Hardware, Sundance. Takie same, jakie też kupowałam i trzymałam w koszu w toalecie, by przeglądać późno w nocy. Jeśli Janet odliczała godziny do drinka o piątej po południu, ja byłam w znacznie gorszej formie. Już nie czekałam do piątej. Ani nawet do południa. Moje dni zaczynały się od tabletek – budziłam się smutna, roztrzęsiona i przytłoczona i potrzebowałam ich, by w ogóle wstać z łóżka – i cały dzień utrzymywałam w krwiobiegu stałą dawkę opiatów. Coraz częściej moje myśli wracały do owego quizu, który rozwiązałam w poczekalni gabinetu lekarskiego, i zaczęłam się zastanawiać: *Co by się stało, gdybym próbowała ograniczyć przyjmowanie leków i nie mogła?*

Możesz przestać, powiedział łagodnie mój umysł. Ale nie musisz. Nie teraz. Brzmiało to dobrze, ale... co, jeśli nie będę potrafiła? Co, jeśli jestem naprawdę głęboko uzależniona jak aktorki z brukowców albo bezdomni, których unikałam, gdy zebrali na skrzyżowaniach i chodnikach w centrum? Co, jeśli to byłam ja? Późno w nocy, gdy Dave chrapał w najlepsze, a na końcu korytarza spały Ellie i mama, leżałam rozbudzona, nadal czując na języku gorzyc tabletek. Laptop grzał mnie w uda, a ja wyszukiwałam kliniki odwykowe, czytałam artykuły o narkotykach i alkoholu, rozwiązywałam testy, czytałam blogi i artykuły prasowe o pijących mamach i celebrytach uzależnionych od środków przeciwbólowych i xanaxu. Podczas gdy oxy i percocet nadal pulsowały w mojej głowie, kliknięciami myszy posuwałam się w głąb tunelu, aż do wczesnych godzin porannych.

– Uważam, że jesteś wspaniałą matką – powiedziałam Janet. – Świetnie sobie radzisz. I wiesz, że obecna sytuacja nie będzie trwała wiecznie. Ani się obejrzysz, a dzieciaki będą w college'u. – College – powtórzyła. Uniosła kieliszek i zdziwiła się, że jest niemal pusty. – Miałam wieść życie z rozmachem. Razem z Barrym mieliśmy przeżywać przygody. Miałam być prokuratorem, potem sędzią, a potem może wykładać prawo. Kiedyś o tym marzyłam. A teraz... – Wyduła wargi, a jej twarz wykrzywił wyraz głębokiego obrzydzenia. – Allison, jestem gospodynią domową. Gdy sprawdzam Internet, szukam kuponów na płatki śniadaniowe albo próbuję się dowiedzieć, czy lek na ADHD mojego dziecka nie wejdzie w interakcję z jego lekiem na astmę. Moją ostatnią lekturą dla przyjemności był *Cud chłopak*. Wspaniała książka, tyle że dla dziesięciolatków, i jedynym powodem, dla którego ją przeczytałam, był fakt, że leżała w salonie,

ponieważ to była lektura szkolna Mayi. Mam tyle ubrań...

Tak dyskretnie, jak tylko mogłam, zerknęłam na zegarek w telefonie, zastanawiając się, czy dostarczono już moją paczkę i czy dotarły tabletki zamówione na Penny Lane. Przychodziły w zwykłych kopertach, ale nie mogłam ryzykować, że Dave przechwyci jedną z nich. Nie chciałam, by nasza pierwsza od niepamiętnych czasów rozmowa dotyczyła mojego nielegalnego zakupu leków przez Internet.

Wsunęłam dłoń do torebki i dotknęłam puszek. Potrafiłam już wówczas ocenić po jej wadze, jak wiele pigułek zawiera. Oszacowałam, że dziesięć. Taka liczba powinna mi wystarczyć do jutra. Może mogłabym przeprosić Janet, powiedzieć, że muszę zadzwonić i sprawdzić, czy któryś z lekarzy wystawi mi telefonicznie receptę, bym na pewno mogła przetrwać najbliższe dni?

– Tyle ubrań – powtórzyła Janet. – Spódnice, kostiumy i żakiety. Buty na obcasach. A wszystko tylko wisi w szafie.

– Założysz je znowu – zapewniłam ją. Wiedziałam, że zeszłej jesieni planowała zacząć pracę na pół etatu, kiedy chłopcy poszli do przedszkola. Potem jednak u Conora zdiagnozowano ADHD i Janet spędziła niemal cały rok, przesiadując w gabinetach lekarzy i u terapeutów. Kiedy stan chłopca się ustabilizował dzięki odpowiedniej kombinacji leków, prywatnych lekcji i zajęć z psychologiem, który uczył go kognitywnych strategii zachowania w celu opanowania zaburzenia (czytaj: jak uniknąć krzyczenia i rzucania rzeczami w chwilach frustracji), Dylan zaczął ujawniać swoje problemy emocjonalne. Wdawał się w bójkę w szkole, krzyczał na nauczycieli i chował się po przerwie w łazience. To oczywiście oznaczało konieczność terapii również dla niego. W międzyczasie Maya przestała odzywać się do matki. Kiedy Janet opisywała swoje próby przeprowadzenia z córką rozmowy na temat „twoje ciało zaczyna się zmieniać” i to, jak farba odprysnęła ze ściany, gdy Maya cisnęła na korytarz egzemplarz poradnika *Zadbaj o siebie*, śmiałyśmy się z Barrym tak bardzo, że na brodzie połyskiwały mu krople łez, ale widziałam, że Janet była załamana zachowaniem córki. – Za pięć lat będziesz prowadziła biuro prokuratora generalnego i staniesz się zbyt ważną osobistością, by odbierać telefony ode mnie – uspokajałam ją.

– Ha. – To było bardzo ponure „ha”.

Chciałam ją zapewnić, że przejdziemy przez ten trudny czas, że za trzy, pięć albo osiem lat sprawy się ułożą i znów odnajdziemy siebie: inteligentne, pełne energii kobiety, którymi niegdyś byliśmy. Kim jednak byłam, by się na ten temat wypowiadać?

– O mój Boże – krzyknęła Janet, spojrzawszy na zegar. Jakimś cudem zrobiła się piąta trzydzieści. – Możesz prowadzić? Na pewno?

– Tak, dam radę. – Wypiłam tylko jeden kieliszek wina. Przynajmniej o tym

wiedziała Janet.

– Chcesz, żebym z tobą pojechała?

– Nie, w porządku. Przywiozę chłopaków o szóstej piętnaście.

Zgodziła się, a potem przytuliła mnie, nadal trzymając w ręce kieliszek z winem.

– Jesteś moją najlepszą przyjaciółką – wyznała i na chwilę oparła głowę na moim ramieniu. Uścisnęłam ją, znalazłam torebkę, wsiadłam za kierownicę i wyjechałam z podjazdu. Serce mi zamarło, kiedy usłyszałam klakson i płynące wzdłuż ulicy słowo „DUPEK!”. Cholera, pomyślałam, gdy zdałam sobie sprawę, jak niewiele brakowało, bym cofając, uderzyła w bok czyjś bmw. Co tam. Samochód pewnie jechał zbyt szybko. Ruszyłam w kierunku Stonefield z nadzieją, że Janet nie widziała tego zajścia. Zatrzymywałam się całkowicie przed każdym znakiem STOP i gorliwie przestrzegałam ograniczenia prędkości. Skąd w ogóle wzięło się to bmw?

Zatrzymałam się na czerwonym świetle i poczułam, że powieki mam tak ciężkie, jakby ktoś obłożył je mokrym piaskiem. Trzymając stopę na hamulcu, pozwoliłam oczom się zamknąć. Czułam ciepło lekarstw płynących w moich żyłach, to odurzające uczucie, że wszystko jest w zgodzie ze wszechświatem. Głowa opadła mi do przodu, poczułam włosy na policzkach...

Kierowca za mną zatrąbił. Gwałtownie się wyprostowałam i otworzyłam oczy.

– Jezu, wyluzuj!

Nacisnęłam pedał gazu i poleciałam gwałtownie na oparcie, gdy samochód przeskoczył skrzyżowanie. Dlaczego wszyscy tak cholernie się spieszą? Co się stało z dobrym manierami? Zmrużyłam oczy i zerknęłam w lusterko wsteczne, próbując przyjrzeć się twarzy kierowcy, który na mnie trąbił. Zastanawiałam się, czy to ktoś znajomy, i wtedy nagle znak Stonefield zaświecił po prawej. Wdepnęłam hamulec, włączyłam kierunkowskaz i usłyszałam pisk opon. Skręcając w prawo, zajechałam drogę autu na sąsiednim pasie. Serce mi waliło, gdy ponownie nacisnęłam hamulec. Przede mną stały dwa samochody, a z daleka widziałam czekające bliźniaki Janet, w czapkach baseballowych, z identycznymi tornistrami, oraz Eloizę w letniej sukience na ramiączkach od Lilly Pulitzer, którą sama wybrała. Zaparkowałam, chwyciłam breloczek z kluczami i wyskoczyłam z samochodu. Jeden z obcasów musiał zaczepić się o matę na podłodze i zamiast wysiąść z gracją jak planowałam, potknęłam się i runęłam na chodnik, lądując na rękach i kolanach.

– Au! – krzyknęłam. Piekły mnie dłonie zroszone kropelkami krwi, a spodnie rozdarły mi się na kolanach. Zastanawiałam się, czy ktoś mnie widział. Rozejrzałam się wokół i głośno przełknęłam ślinę, dostrzegłszy przy krawężniku panią Dale, jedną z nauczycielek Ellie, z notatnikiem w ręce. Cudownie. Obok niej

stała panna Reckord, inna nauczycielka, dwudziestopięciolatka o słodkiej, pulchnej twarzy z różowymi policzkami i głosem zbliżonym do szeptu. Wszyscy chłopcy się w niej podkochiwali, a dziewczynki walczyły o to, by na czas czytania bajek usiąść u niej na kolanach i móc dotknąć jej wiszących kolczyków. Pani Dale to zupełnie inna historia. Miała wąskie usta, szerokie ramiona, płaską klatkę piersiową, włosy koloru i konsystencji metalowego zmywaka do naczyń i twarz bladą jak jogurt. Pani Dale, do której o ile mi wiadomo, nikt w społeczności Stonefield nigdy nie zwracał się po imieniu, przywoływała pięciolatki do porządku od ponad trzydziestu lat. Jej nie dało się zaimponować specjalnym, własnoręcznie wykonanym płatkim śniegu. Nie wierzyła w afirmację, niezасłużone komplementy mające podnieść poczucie własnej wartości u dzieci ani w niepisaną filozofię Stonefield, według której każdy uczeń był zwycięzcą. Uważała, że dzieci powinny trzymać ręce przy sobie, kolorować wewnątrz wyznaczonych linii i nie biegać po korytarzach. Nie słuchała żadnych wymówek i nigdy, przenigdy się nie uśmiechała.

Pomachałam do niej i ukradkiem wsunęłam krwawiące dłonie do kieszeni.

– Przepraszam za spóźnienie! Chodźcie, dzieciaki! – Otworzyłam tylne drzwi samochodu, podniosłam Ellie, chwytając ją pod pachami, i posadziłam w foteliku.

Pani Dale mnie obserwowała.

– Dostała pani moją wiadomość o spotkaniu rady?

Ups. Dzwoniono do mnie ze szkoły kilka razy w ciągu ostatnich kilku dni – a może i tygodni – ale wciskałam „odrzucić” i pozwalałam, by włączyła się poczta głosowa. Byłam zajęta, zmęczona i miałam pracę, w odróżnieniu od połowy matek dzieci z klasy Ellie. Dlaczego nie dzwonią do nich?

– Przepraszam. Latam jak zakręcona. Mam nowy projekt...

– MAMO! Jestem we KRWI! – wrzasnęła Eloiza. Spojrzałam na nią. Oczywiście moje zakrwawione dłonie zostawiły czerwoną smugę na jej różowo-zielonej sukience.

Pani Dale podeszła bliżej.

– Pani Weiss, czy wszystko w porządku?

– Co? A, tak. Porwałam spodnie, ale to nic wielkiego. Taka ze mnie niezdara. Proszę nie stawać obok mnie na lekcji zumby. – Podążając za jej wzrokiem, spojrzałam na swoje ręce. Zarumieniłam się, chwyciłam z tylnego siedzenia wilgotną chusteczkę i wytarłam krew, a potem zaczęłam nerwowo majstrować przy zapięciu pasa i w końcu zacisnęłam go mocno na piersi Ellie.

– Och, mamo, to BOLI!

– Przepraszam, przepraszam – powiedziałam. Teraz je poczułam, tabletki i wino pulsujące w żyłach z każdym uderzeniem serca i wyśpiewujące swój rozkaz: Spać. Natychmiast. Wreszcie zapięłam pas. – Za dziesięć minut będziemy u Janet. Dam ci plaster z obrazkami z *Jak ukraść księżyc*.

– NIENAWIDZĘ *Jak ukraść księżyc!*

– Oczywiście – mruknęłam. Cały ostatni tydzień uwielbiała ten film. – Dylan? Conor? W porządku, chłopcy? – Przytaknęli. Jeden z nich miał w dłoni przenośną konsolę do gier wideo, a drugi iPoda i słuchawki w uszach. Zamknęłam tylne drzwi, odwróciłam się i poczułam, jak dłoń pani Dale zaciska się na mojej ręce. Na kluczykach do samochodu.

– Może wejdzie pani do środka i napije się kawy?

– Och, to miło z pani strony, ale naprawdę... muszę... Janet czeka z obiadem, a Ellie będzie się denerwowała, jeśli jej nie umyję.

– Możemy przeprać jej sukienkę w gabinecie pielęgniarki. Mamy tam plastry i przekąski, jeśli chłopcy są głodni.

– To uprzejmie z pani strony. – Słyszałam w uszach pulsowanie krwi. – Ale naprawdę muszę zawieźć dzieciaki do domu.

Pani Dale nadal trzymała dłoń na mojej.

– Czy pani piła? – zapytała i podeszła bliżej z przymrużonymi oczami i rozwartymi nozdrzami, jakby próbowała powąchać mój oddech.

Zesztywniałam. Poczułam, jak mój kark pokrywa gęsia skórka, i niemal zemdlałam z przerażenia. Wpadłam. Przyłapała mnie. Aresztują mnie, stracę prawo jazdy, Dave się dowie i wszyscy będą poinformowani.

Wyprostowałam się, starając się wyglądać i brzmieć jak najbardziej trzeźwo.

– Wypiłyśmy z Janet po kieliszku wina, ale od tego czasu minęła ponad godzina. Czuję się dobrze, naprawdę. Przyrzekam. – Wypowiedziałam te słowa stanowczo, starając się sprawiać wrażenie porządnej, trzeźwej osoby. Miałam nadzieję, że pani Dale będzie pamiętała, że praktycznie jestem jej pracodawczynią. Przyglądałam włosy, starałam się zignorować rozdarte spodnie i zakrwawione dłonie i posłać jej spojrzenie pełne spokoju i opanowania.

Pani Dale była jednak nieporuszona.

– Pani Weiss, uważam, że powinna pani wejść do środka.

– Czuję się dobrze. – Pociągnęłam za klucze i wyszarpnęłam je z jej dłoni z taką siłą, że poleciałam w tył i niemal upadłam na chodnik.

– Niech mnie pani posłucha. – To był władczy, rozkazujący ton, który słyszałam na placu zabaw, ton, który był w stanie postawić na baczność dziesiątki niegrzecznych dzieciaków. – Jako nauczyciel mam obowiązek zgłaszać nadużycia. Jeśli uważam, że dziecko jest w niebezpieczeństwie, muszę zadzwonić do ministerstwa...

– O czym pani mówi? – niemal krzyknęłam. Otwarłam szeroko oczy, by pokazać, jak niedorzeczne są jej przypuszczenia. – Myśli pani, że dzieciom coś grozi? – Spokój, który dawały tabletki, zniknął, wyparował, jakby nigdy go nie było. Moje ciało było w gotowości, serce mi waliło, adrenalina pulsowała w krwiobiegu, a ja słyszałam, jak mój głos staje się coraz wyższy i głośniejszy. –

Wypiłam jeden kieliszek wina. – Pal licha wzięte wcześniej tabletki. – Jeden. Kieliszek. Nic mi nie jest.

– Nie wiem, co pani piła, ale nie mogę pozwolić pani prowadzić, gdy w samochodzie są dzieci. – Położyła dłoń, protekcyjną dłoń, pomiędzy moimi łopatkami. – Proszę wejść do środka, usiąść, napić się kawy.

Teraz za moim samochodem stało już troje innych ludzi. Rozpoznałam Tracy Kelly, Quinn Gamer i mężczyznę, którego nazwiska nie znałam. Wszyscy się gapili. Quinn miała w dłoni telefon i energicznie pisała na klawiaturze, prawdopodobnie informując kogoś, męża lub koleżankę, o szczegółach zdarzenia: Allison Weiss, pani „Wibrator w każdej torebce”, przyjechała do Stonefield narąbana.

– Mamusiu?

Zajrzałam do samochodu, gdzie Ellie siedziała zapięta w foteliku, z kciukiem w buzi. Nie ssała go, od kiedy skończyła trzy lata.

– Dlaczego wszyscy KRZYCZĄ?

– W porządku – powiedziałam i rozluźniłam uchwyt. Breloczek z kluczami wysliznął się z mojej spoczonej dłoni i upadł z brzękiem na chodnik. – W porządku.

Pani Dale wysadziła dzieci z samochodu i odstawiła go na parking dla nauczycieli. Zostawiła mnie w swojej klasie, a potem zniknęła z Ellie i chłopcami. Miałam nadzieję, że zaprowadziła ich z powrotem do sali „Wzbogacania”, dała im smakołyki i pozwoliła bawić się najnowszymi zabawkami. Usiadłam przy jednym z miniaturowych biurków i wyciągnęłam telefon. Janet odebrała po trzecim dzwonku.

– Allison?

– Hej! – powiedziałam, starając się zachować wesoły i beztroski ton, chociaż strużki zimnego potu spływały mi po kręgosłupie i zauważyłam, że podczas wystukiwania numeru drżały mi ręce. – Chcę ci tylko powiedzieć, że trochę się spóźnię. Był okropny korek – skłamałam, wiedząc, że Janet mi uwierzy. – Nie ruszaj się nigdzie, przywiozę chłopaków najszybciej, jak będę mogła.

– Nie spiesz się.

Rozłączyłyśmy się, a ja zaczęłam szperać w torebce w poszukiwaniu butelki z wodą. Sączyłam płyn i tęsknie patrzyłam na puszkę. Wiedziałam, że głupotą byłoby teraz zażyć tabletkę, zwłaszcza teraz. Serce nadal biło mi tak mocno, że czułam pulsowanie w skroniach i zbierający się na nich pot, podobnie jak kropelki nad górną wargą. Potem pomyślałam: Jak się powiedziało A, trzeba powiedzieć B. Pigułki stały się dla mnie normalnością. Pomogą mi się uspokoić i przetrwać tę sytuację. A jeśli tak się stanie, obiecałam Bogu, Ellie i wszelkim siłom i duchom, które mogły mnie słuchać, że przestanę brać. Przestanę.

Wsunęłam pod język dwie niebieskie pigułki dokładnie w momencie, gdy pani Dale weszła do klasy, niosąc parujący kubek z napisem „Najlepszy nauczyciel na świecie”, torebeczki cukru, śmietankę w proszku i słodzik.

– Dziękuję – powiedziałam. Wsypałam sztuczną śmietankę i cukier do kubka i wypiałam łyk kawy. Pani Dale usiadła za biurkiem i włożyła segregatory do teczki z garbowanej skóry. Czekałam, aż zacznie się wykład. Kiedy to nie nastąpiło, odezwałam się: – Doceniam to, co pani zrobiła. Rozumiem, że na tym polega pani praca, ale jak już wspomniałam, wypiałam dziś po południu jeden kieliszek wina z Janet Mallory. Może pani do niej zadzwonić, jeśli mi pani nie wierzy.

Przyjrzała mi się uważnie.

– Czy brała pani coś jeszcze?

Wtedy dostrzegłam swoją szansę na ucieczkę. Swoją szczelinę. Światelko w tunelu świecące złościście i zwycięsko.

– O mój Boże – szepnęłam. Otworzyłam szeroko oczy, pozwoliłam, by szczeka opadła mi luźno, i brakowało tylko, bym stuknęła się w czoło. – W weekend wysiadł mi kręgosłup i biorę... Boże, jak to się nazywa? Środek

zwiotczający i lek przeciwbólowy. Zupełnie zapomniałam, że nie powinnam pić, gdy je przyjmuję. – Zwiesiłam głowę, a wstyd na mojej twarzy był całkowicie niekłamany. – Boże, co się ze mną dzieje?

Może mi się wydawało, ale zauważyłam, że wyraz twarzy pani Dale złagodniał, więc kontynuowałam.

– Tak mi przykro – wyszeptałam. – Nie mogę uwierzyć, że nie upewniłam się dwa razy. – Przełknęłam głośno ślinę. Ogrom sytuacji: kłopoty, w jakie mogłam się wpakować, fakt, że mogłam skrzywdzić dzieci, własne i cudze, albo potraścić kogoś obcego na drodze, pokrywał mnie jak warstwa lodu, mroząc stopy, kolana, brzuch. Jeśli pani Dale to zgłosi, mogę stracić córkę. Jeśli Dave dowiedziałby się, że prowadziłam pod wpływem... Potrząsnęłam głową. Nie chciałam nawet o tym myśleć. Nie mogłam pozwolić, by to się stało. Powstrzymywanie. Tak nazywała się ta gra – powstrzymywanie. – Miała pani całkowitą rację, zabraniając mi prowadzenia samochodu. Przepraszam, to się więcej nie powtórzy.

Wyraz twarzy pani Dale był trudny do odczytania. Czy kupiła cokolwiek z tego, co powiedziałam? Nie potrafiłam tego ocenić.

– Zażywała pani leki przeciwbólowe? – zapytała w końcu.

Zaczęłam przytakiwać, niemal zanim z jej ust wyszła ostatnia sylaba.

– Tak i środek zwiotczający. Na kręgosłup...

Przyglądała mi się przez kolejną dłuższą chwilę.

– Kiedy moja siostrzenica miała cesarskie cięcie, dostała percocet – powiedziała wreszcie. – Lekarz przepisywał go jej niemal przez pół roku po porodzie, a kiedy przestał, znalazła innego lekarza, specjalistę od leczenia bólu, by przepisywał jej vicodin i oxycontin.

Próbowałam się nie wzdrygnąć. Vicodin i oxy. Moje ulubione, najdroższe... I w tym właśnie momencie poczułam, że chcę wziąć przynajmniej dziesięć tabletek każdego z nich. Chciałam nie być tam, gdzie byłam, nie być widzianą przez kobiety przed szkołą, które zapewne już siały plotki, nie być w klasie, która pachniała mieszanką dziecięcego potu i chleba bananowego, nie wysłuchiwać kazania jakiejś hetery, która prawdopodobnie nie ma pojęcia, jak to jest w dzisiejszych czasach, gdy próbuje się wychowywać dzieci, utrzymać pracę i prowadzić dom.

– Brała tabletki latami. Przyzwyczailiśmy się wszyscy, że Vicki czasami źle wyglądała albo cały czas była zmęczona. Pytaliśmy ją, co bierze, ale odpowiadała, że to nic takiego, a ponieważ dostawała recepty i była pod opieką lekarza, nikt z nas się nie martwił. Nie wiedzieliśmy, że pożyczowała leki od koleżanek, gdy skończyły się jej zapasy, albo kupowała je od kogoś na siłowni, a kiedy dostała receptę na xanax, wymieniała lek na środki przeciwbólowe sąsiadki.

– Co się z nią stało?

– Stało się to, że umarła – oznajmiła pani Dale.

W cichej, pustej klasie usłyszałam własne westchnięcie.

– Na akcie zgonu jako przyczynę podano niewydolność oddechową, ale Vicki wzięła wcześniej pięć razy więcej tabletek niż powinna, popiła je kilkoma kieliszkami wina, położyła się spać i już się nie obudziła. – Spojrzała na mnie, nie drgnąwszy nawet. – Znalazła ją córeczka. To był poranek przed pójściem do szkoły, mąż siostrzenicy był pod prysznicem, a Brianna weszła do sypialni i dotknęła ramienia matki.

Siedziałam jak zamrożona, ciało pokrywała mi gęsia skórka, a w oczy i nos kłuły nieprzelane łzy. Widziałam ją – kobietę mniej więcej w moim wieku, w koszuli nocnej, leżącą na plecach w łóżku, pod kołdrą. Dochodzący z łazienki odgłos lejącej się wody pod prysznicem, kłęby pary, zapach mydła i małą dziewczynkę w piżamie z syrenką Ariel. Potrząsała kobietę za ramię delikatnie, potem bardziej stanowczo, nie zauważywszy sztywnej, pozbawionej giętkości faktury tkanek ani ich chłodu, i krzyczała: „Mamusiu! Mamusiu! Obudź się!”. W mojej głowie tą małą dziewczynką była Ellie.

Ciężko przełknęłam ślinę. O Boże. Co mam zrobić? Muszę przestać, to oczywiste. Co jednak, jeśli nie będę potrafiła? Pani Dale patrzyła na mnie. Chciałam jej wyjaśnić, opowiedzieć, jak to się stało, jak stresujące mam życie pomiędzy pracą, rodzicami, mężem, jego służbową żoną i Ellie, to, że czasami wcale nie lubię być matką, i chociaż podoba mi się sama koncepcja macierzyństwa, to jego rzeczywistość mnie zabija. Nie znoszę łez, napadów furii, niekończących się gier w monopol, nocnego schodzenia Ellie na dół kilka razy z prośbą o szklankę wody, bajkę, włączenie lampki, wyłączenie lampki, jej walenia w drzwi łazienki, gdy jestem pod prysznicem, a nawet gdy siedzę na sedesie, próbując się wysuszyć albo włożyć sobie tampon. Czasem mam ochotę krzyczeć, chwycić ją za małe ramionka, potrząsnąć i wrzasnąć: „Proszę, po prostu zostań w łóżku! Zostaw mnie samą i daj mi pięć minut spokoju!”.

– Brianna miała cztery lata – dodała pani Dale.

– Cztery – powtórzyłam. Wyobraziłam sobie, jak Ellie idzie na uroczystość przejścia z zerówki do pierwszej klasy i tylko tata oklaskuje ją z widowni. Pomyślałam o dniu, gdy dostanie pierwszej miesiączki i nie będzie obok niej nikogo, kto powiedziałby jej, co wtedy robić, albo, co gorsza, będzie tam jakaś macocha lalunia, która uzna moją córkę za konkurencję. Jej bat micwa, pierwsza randka, studniówka, zawiadomienie o przyjęciu do college’u, a wszystko to bez matki, dopingującej, pocieszającej i kochającej pomimo wszystko.

Spuściłam głowę. Koniec, pomyślałam. Nie mogę tego dłużej robić. Zaraz po tej myśli pojawiła się nieuchronnie kolejna: potrzebuję ich. Nie wyobrażałam sobie, jak mogłabym zostawić Ellie, by musiała stawić czoło życiu bez matki, ale jednocześnie nie mogłam wyobrazić sobie, jak mogłabym sobie poradzić bez chemicznego bufora pomiędzy mną a Dave’em, mną a matką, mną a Internetem,

mną a moimi uczuciami. Jak mogłabym przetrwać bez słodkiej rzeki spokoju płynącej przez moje ciało, uspokajającej, rozluźniającej napięcie od podeszew stóp po czubek głowy? Jak mogłabym przetrwać dzień bez świadomości, że na mecie czeka na mnie to niezawodne pocieszenie?

Potrząsnęłam lekko głową. To było głupie. W porządku, sprawy wymknęły mi się nieco spod kontroli i przyszedłam do szkoły lekko zakręcona, ale przecież nikomu nie stała się krzywda, prawda? I nie umrę. Nie. Nie brałam aż tyle i były to leki na receptę, a nie heroina kupowana na ulicy. Nie byłam jakimś przeżartym dragami ćpunem i nie skończę martwa w łóżku z ustami pełnymi wymiocin, gdzie znajdzie mnie córka. Jestem na to zbyt mądra.

Jednak cichy głos w mojej głowie szepnął: „Czyż siostrzenica pani Dale nie brała tych samych leków co ty? Kupujesz większe ilości i nie zażywasz ich według zaleceń. Mocno przesadzasz”. Kazałam mu się zamknąć, ale nalegał. „Zamiast wziąć jedną tabletkę co cztery godziny bierzesz cztery co godzinę, a do tego pijesz alkohol”.

„Potrzebujesz pomocy”.

Nie potrzebuję.

„Tak dłużej być nie może”.

Wszystko jest w porządku!

– Nic mi nie jest – szepnęłam, na wpół do pani Dale, na wpół do siebie, ale już wypowiadając te słowa, widziałam małą dziewczynkę potrząsającą mamę za ramię. Zimne, sztywne, martwe ramię matki.

– Nie chcę pani przestraszyć, ale wiem, jak to wygląda – powiedziała pani Dale. – I wiem, że może się to przytrafić każdemu. Najmilszym ludziom, najmądrzejszym. Moja siostrzenica była taka piękna. Nikt, kto ją widział, nie pomyślałby, że jest uzależniona od leków. Zażywała jedynie to, co przepisali jej lekarze. Aż do śmierci.

– Doceniam pani słowa, ale to nie moja historia. Nie mam problemu z lekami. – Pal lichy ankiety, które wypełniłam, testy, które rozwiązałam, i coraz większą ilość tabletek, których potrzebowałam, by przetrwać dzień. Pal lichy obietnice: dopiero po dziewiątej, dopiero po południu, nie podczas pracy, nie kiedy jestem z Eloizą, które łamałam, jedną po drugiej, codziennie, przez wiele miesięcy.

– Nie mam. Popęlniłam dzisiaj błąd i miała pani rację, zabierając mi kluczyki. Przysięgam, przysięgam na życie córki, że to się więcej nie powtórzy. – Wypiłam łyk letniej kawy i zmusiłam się, by zapytać – Zgłosi mnie pani?

Po nieskończeniu długiej chwili ciszy pani Dale potrząsnęła głową.

– Dziękuję. Przepraszam. Obiecuję... przyrzekam pani – powtórzyłam. – To się więcej nie powtórzy.

Spojrzała na mnie, a jej oczy schowane za dwuogniskowymi okularami miały życzliwy wyraz.

– To nie wstyd prosić o pomoc, jeśli jej pani potrzebuje – powiedziała i wyszła, zostawiając mnie samą z kawą i kluczykami.

Poczekalam, aż się oddali, zanim wsunęłam rękę do torebki i dotknęłam puszek po miętówkach, a potem pojemniczka z lekami: jedna, druga, trzecia, czwarta. Już podnosiłam tabletki do ust, gdy w połowie drogi coś się we mnie odezwało, cichy głos rozsądku zapytał głośno: Co ty, DO CHOLERY, wyprawiasz?

Odłożyłam tabletki z powrotem. Zamknęłam pojemniczek. Schowałam go do torebki, oparłam głowę na złożonych rękach, a potem, sama w sali lekcyjnej, rozpłakałam się.

Następnego ranka nie wzięłam ani jednej tabletki. Zawiozłam Ellie do szkoły, zafundowałam sobie superciepłą latte na podwójnym espresso, a potem pojechałam do centrum, założyłam duże okulary przeciwsłoneczne i bejsbolówkę i wśliznęłam się bocznymi drzwiami do kościoła na Pine Street, który znalazłam w sieci poprzedniego wieczoru. Około dwudziestu osób, w większości mężczyzn, siedziało w podziemiach na metalowych rozkładanych krzesłach. Na ścianie wisiały przyczepione pinezkami zniszczone plakaty, jeden zatytułowany *Dwanaście kroków*, a drugi *Dwanaście tradycji*. Z przodu sali stało drewniane biurko, za nim kolejne dwa składane krzesła. Na nim znajdowały się wyrzeźbione w drewnie litery AA oraz zużyty segregator kołowy i koszyk. Naciągnęłam czapkę mocniej na głowę, podniosłam kołnierz i zajęłam miejsce najbliżej drzwi. Sala zaczęła się zapełniać, aż siedziało w niej prawie pięćdziesiąt osób.

Rozejrzałam się i podzieliłam obecnych na kategorie: wiekowi bezdomni (wiele warstw ubrań i niewiele zębów) i młode punki (blade, białe, glistowate klony Eminema w obscenicznym koszulkach, z wieloma kolczykami). Byli tam starsi mężczyźni w kurtkach z logo Phillies, których minęlibyście na ulicy i nie zwrócili na nich uwagi, i jedna kobieta w kostiumie, ze złotymi kołami w uszach, w skórzanych czółenkach, które nie mogły kosztować mniej niż pięćset dolarów, ale w większości była to zbieranina osób, które całkowicie różniły się ode mnie.

– Zajęte? – zapytał młody mężczyzna, może nastolatek, w niebieskiej koszulce z krótkim rękawem. Kiedy potrząsnęłam głową, usiadł, wytarł ręką nos i wycisnął pryszcz na brodzie. – Cześć – powiedział.

– Cześć – odparłam. Miał w nosie kolczyk. Przywołał mi na myśl byczka Fernando, który nie chciał walczyć, tylko siedział i wachał kwiatki. Zerknęłam na zegarek – pięć minut do rozpoczęcia – i kontynuowałam ocenę sytuacji. Tłum stanowili głównie mężczyźni, ale z tyłu sali dostrzegłam jeszcze dwie kobiety wyglądające na zmęczone życiem, jak ująłby to Dan, kumpel Dave’a z bractwa. Jedna z nich miała nienaturalnie jasne włosy związane w wysoki kucyk, z którym wyglądała niekorzystnie przy swej zniszczonej twarzy. Druga była brunetką, miała ekstrawaganckie kolczyki i mokry kaszel. Blondynka nosiła spodnie od dresu, a brunetka džinsy z wysokim stanem i golf à la Jennifer Aniston mniej więcej z okresu pierwszego sezonu *Przyjaciół*. Dla zabicia czasu wymyśliłam dla nich zawody. Blondynka była kasjerką na stacji benzynowej, a brunetka kelnerką w taniej restauracji, ale nie hipsterskiej knajpie serwującej piwo Pabst Blue Ribbon z beczki, gdzie profesjonalny szef kuchni używa tradycyjnych składników, tylko w obskurnym barze, gdzieś w północnej Filadelfii, gdzie podaje się purée z proszku i gdzie kierowcy ciężarówek, taksówek i budowlańcy przychodzą, by zjeść klopa

i puścić z szafy grającej Patsy Cline.

– Pierwszy raz?

O rany, Fernando próbuje konwersować. Myślałam, że krótkie skinięcie głową go uspokoi. Niestety.

– Nakaz?

Nie wiedziałam, co ma na myśli.

– Przepraszam? – zapytałam i ziewnęłam. Przez ostatnich dwadzieścia minut nie byłam w stanie przestać ziewać. Ciekło mi z nosa, a oczy łzawiły. Alergia, pomyślałam. Miałam też ochotę wyskoczyć ze skóry. Stopy chciały tupać w podłogę, nogi zginać się i kopać, a tułów sam prawie się skręcał. Tyle mogłam zrobić, by wytrzymać w spokoju. Tylko ziewanie pozwalało mi usiedzieć na miejscu.

– Złapali cię na prowadzeniu pod wpływem?

– Och, nie. Nic z tych rzeczy. – Czyżby wszyscy obecni przyszli na spotkanie, ponieważ sędzia im kazał?

Uśmiechnął się do mnie szeroko. Zauważyłam wówczas, że pomimo kolczyka w nosie i pajęczyny wytatuowanej na szyi nadal był raczej chłopcem niż mężczyzną. Jeszcze niedawno każdego wieczoru wysiadał z autobusu szkolnego i przebierał się w Halloween. Ktoś całował go, gdy upadł, wkładał srebrne dolary pod poduszkę w zamian za mleczaki, podpisywał zestawienia ocen i chodził na wywiadówki, ktoś martwił się, gdy długo nie wracał wieczorem do domu, i ktoś leżał w ciemności z otwartymi oczami, czekając na zgrzyt klucza w drzwiach frontowych.

Starszy mężczyzna w kraciastej koszuli i spodniach khaki, z dużym opatrunkiem na policzku zajął miejsce za biurkiem i zastukał knykciami w blat.

– Witam na spotkaniu Anonimowych Alkoholików. Mam na imię Tom i jestem alkohikiem. – Przynajmniej zdawało mi się, że tak powiedział. Mówił tak bełkotliwie, z tak silnym filadelfijskim akcentem, że udało mi się zrozumieć może co trzecią sylabę.

– Cześć Tom – zaintonowała grupa radosnym głosem, jakby alkoholizm był wspaniałym powodem do świętowania.

– To jest otwarte spotkanie Anonimowych Alkoholików. Każdy, kto chce, może w nim uczestniczyć. Jedyńm warunkiem członkostwa w AA jest chęć pozbycia się nałogu. Poprosiłem kolegę, by odczytał *Jak to działa*.

Kiedy kolega Toma, pulchny mężczyzna z siwą brodą, który przedstawił się słowami: „Jestem Glen i nie piję alkoholu”, brnął przez dwie strony zalaminowanej kartki – coś o tym, że droga na skróty nie przyniesie nam żadnego pożytku i coś o proponowanych krokach będących częścią programu wychodzenia z nałogu – zaczęłam planować ucieczkę. Poza kobietą w kostiumie, która prawdopodobnie kończyła studia z terapii albo opieki społecznej i przyglądała się spotkaniu

w ramach zajęć, w sali nie było nikogo, z kim mogłabym porozmawiać.

– Na początku wielu z nas się przeraziło: cóż to za rygor! To przecież niewykonalne! – czytał Glen.

Założyłam torebkę na ramię. Kto tak mówił? Nikt, kogo znałam. – Nie upadajcie jednak na duchu. Nikt z nas nie był w stanie idealnie dostosować się do tych zasad. Nie jesteśmy świętymi. Rzecz w tym, że pragniemy rozwijać się duchowo. Chodzi nam raczej o rozwój duchowy, a nie duchową doskonałość. Opis alkoholika, opis dotyczący niewierzących oraz nasze osobiste doświadczenia „przed” i „po” uwidaczniają trzy ważne kwestie. Po pierwsze, że byliśmy alkoholikami niezdolnymi do kierowania własnym życiem.

Nie ja, pomyślałam. Z wyjątkiem małego potknięcia dzień wcześniej zarządzanie własnym życiem szło mi całkiem nieźle, nie wspominając o życiu mojej córki, męża i rodziców.

– Po drugie – kontynuował Glen. – Prawdopodobnie żadna ludzka siła nie mogłaby uwolnić nas od alkoholizmu.

Znowu pudło. Mogę zrobić to sama, tylko jeszcze nie spróbowałam. Sama przestanę. Osiemnaście tabletek dzisiaj, szesnaście jutro, czternaście w weekend, do poniedziałku dziesięć dziennie...

– Po trzecie: Bóg może to uczynić i uczyni, gdy się do Niego zwrócimy. – Wszyscy zgromadzeni przyłączyli się i wspólnie wyrecytowali ostatnie słowa: „Może to uczynić i uczyni, gdy się do Niego zwrócimy”. W tym momencie zdałam sobie sprawę, że trafiłam do sekty. Dlaczego nikt mi nie powiedział, że AA to jakiś dziwny układ na zasadzie „przełącz sprawę Bogu”? Myślałam, że to program wzajemnej pomocy, gdzie człowiek spotyka się z innymi pijakami i ćpunami, żeby wykombinować, jak rozwiązać swoje problemy. Chyba jednak niewiele wiedziałam.

– Jakies rocznice? – zapytał zza biurka Tom i rozejrzał się po sali. – Ktoś z was odlicza dni?

Młody mężczyzna w niebieskiej bluzie i brudnych butach roboczych uniósł rękę.

– Mam na imię Greg, jestem alkoholikiem i narkomanem.

– Cześć, Greg! – odpowiedziała sala.

– Dzisiaj mija trzydziesty dzień, odkąd nie piję.

Tłum zaczął klaskać.

– I... – kontynuował Greg, zmierzając w stronę frontu sali, gdzie Tom uściśnął go i wręczył coś, co wyglądało jak pokerowy żeton. – Mój kurator mówi, że jeśli będę trzeźwy przez dziewięćdziesiąt i przejdę wszystkie testy na sikanie, ta suka musi mi pozwolić zobaczyć się z moim dzieciakiem.

Cudownie, pomyślałam, gdy tłum oklaskiwał owo urocze stwierdzenie. Greg ma dziecko, kuratora sądowego i właśnie nazwał matkę swego dziecka suką. Nagle

poczułam, że muszę wyjść, a uczucie to było tak naglące, jak moja rozpaczliwa potrzeba zażycia tabletki tuż po przebudzeniu. Podeszłam dyskretnie do termosu z kawą. Pomyślałam, że zostanę tam tak długo, jak uwaga grupy będzie zajęta, a potem zwieję. W międzyczasie udawałam, że interesują mnie plakaty z oślimi uszami powieszzone za brudnymi szybami: „Liczy się prostota. Dzień po dniu. Dzięki łasce bożej”.

Nie pasuję tutaj, pomyślałam. Ci ludzie nie są tacy jak ja. Nie jestem tak uzależniona jak oni, daleko mi do tego. Sama dam sobie radę.

– Na dzisiejszym spotkaniu posłuchamy wystąpienia – poinformował Tom. – Poprosiłem jednego z moich podopiecznych, Tylera, by powiedział parę słów. – Wskazał na lewo, gdzie siedział zgarbiony mężczyzna w wieku około dwudziestu jeden lat, o cerze koloru przeterminowanego odtłuszczonego mleka, w cienkiej, wypłowiałej koszulce, dżinsach i znoszonych trampkach.

– Cześć – zaczął i z trudem wstał. – Mam na imię Tyler, jestem alkoholikiem i narkomanem.

– Cześć, Tyler!

Tyler wciągnął smarki i podrapał się w przedramię.

– No, tak. Hmm. Tom jest moim sponsorem. To naprawdę porządny gość. Zasugerował, żebym przyszedł na spotkanie i coś powiedział, więc jestem. Dziś mija... Ile to było? Pięćdziesiąty siódmy dzień mojej trzeźwości.

Sala rozbrzmiała brawami, ludzie krzyczeli: „Gratulacje!”, „Tak trzymaj!” i „Wracaj do nas częściej!”. Tyler skromnie pochylił głowę i następną część wystąpienia wygłosił dokładnie w kierunku swego mostka.

– Wiem, że powinienem się dzielić swoim doświadczeniem, siłą i nadzieją, ale podzielę się głównie nadzieją, ponieważ... – Wydał z siebie autoironiczny śmiech. – Nie mam zbyt wiele doświadczenia w tym całym nieużywaniu.

I tak Tyler zaczął swoją historię. Jego mama była alkoholiczką, a tata heroinistą. Zostawiali go samego w domu na kilka dni, a sami szli w tango. Pierwszy raz Tyler spróbował alkoholu w wieku jedenastu lat, kiedy ukradł dziadkowi pół litra wódki i wypił całą butelkę.

– Od tego momentu zaczęła się jedna wielka impreza.

Wsypałam śmietankę w proszku do styropianowego kubka i słuchałam.

– Piłem wódkę przed szkołą, w czasie przerwy na lunch podkradałem kilka piw, a przed powrotem do domu wypalałem skręta na parkingu. To było w dziewiątej klasie.

W dziesiątej palił już metamfetaminę, a kiedy w jedenastej klasie wyrzucono go ze szkoły, wymykał się z domu w środku nocy i jechał stopem do Kensington, gdzie zaczął wstrzykiwać sobie heroinę. Wreszcie rodzice zainterweniowali. Nie wspomniał o tym, czy wcześniej sami skończyli z nałogiem, czy byli jedynie na tyle trzeźwi, by zauważyć, że ich syn ma kłopoty.

– Powiedzieli, że muszę się wyprowadzić albo pójść na odwyk. To było po tym, jak, hmm, ukradłem pierścionek zaręczynowy mamy i zastawiłem go, bo byłem kompletnie na głodzie i, no wiecie, potrzebowałem wziąć działkę, i miałem gdzieś, jakim kosztem ją zdobędę. Miałem gdzieś, kogo skrzywdzę. Taki byłem, gdy brałem.

Tak cicho jak mogłam wyrzuciłam kubek do kosza na śmieci i wyśliznęłam się przez drzwi. To nie dla mnie, pomyślałam. Nie brałam metamfetaminy, nie wstrzykiwałam sobie heroiny, a na pewno nie ukrađam nikomu niczego. Nawet nie paliłam!

Szybkim krokiem wróciłam do samochodu. Ktokolwiek mnie widział, pomyślałby, że byłam typową niepracującą mamą w drodze po niezbędne zakupy albo zapomniany składnik potrawy – tuzin jajek albo szklankę cukru – przed powrotem dzieci ze szkoły. Tak właśnie jest, uznałam. Nie byłam uzależniona, jak inne osoby w sali. Byłam czynną zawodowo matką doświadczającą nadmiernego stresu z powodu pracy, małżeństwa i kryzysowej sytuacji z ojcem; kobietą, która w naturalny sposób sięgnęła po dostępne remedium, by przetrwać kolejne dni.

– Mam się dobrze – powiedziałam, a potem, by to udowodnić, kupiłam w spożywczym tuzin jaj i torebkę brązowego cukru. Kiedy Eloiza wróciła do domu, czekały na nią świeżo upieczone ciasteczka z czekoladą.

– MAMUSIU!

Zamrugalam, obróciłam się na bok i przestudiowałam własną tablicę informacyjną. Dzisiaj jest WTOREK. Kolejny posiłek to OBIAD i lepiej zacznij go gotować. A potem zobaczyłam, jak gałka w drzwiach sypialni obraca się w prawo i w lewo.

– Mamusia odpoczywa! – zawołałam i ponownie zamknęłam oczy. Pracowałam na pełnych obrotach od piątej rano do momentu, gdy musiałam zawieźć Ellie do szkoły, a potem od przyjścia do domu do pierwszej po południu. Postanowiłam się zdrzemnąć i kiedy trzy niebieskie oxy nie zadziałały, rozgryzłam jeszcze dwie tabletki, zamknęłam oczy i poczułam się tak, jakby ktoś przyłożył mi w głowę. Nie zasnęłam tak po prostu, pomyślałam, starając się poruszyć nogami. Zostałam ogłuszona i pogrążyłam się w nieświadomości.

Telefon migał. Dostałam trzy nowe mejle i dwie wiadomości od Sarah. „Oddzwoń”, napisała w nagłówku pierwszego. „Wszystko w porządku?”, pytała w drugim. „Miałaś dziwny głos”.

O Boże. Nie pamiętam, żebym z nią rozmawiała. Co takiego powiedziałam? Co zrobiłam? Zalała mnie fala paniki. Podniosłam się z łóżka, przycisnęłam telefon do ucha, wykręciłam numer Sarah i popędziłam do łazienki, by móc jednocześnie wysuszać się i rozmawiać. Włączyła się poczta głosowa.

– Hej, Sarah, tu Allison. Hmm. Przepraszam, że wydawałam się trochę zakręcona. – Podtarłam się i spuściłam wodę. Czułam się rozgorączkowana, było mi niedobrze i byłam sobą zniesmaczona. Zastanawiałam się, jak wdzięcznie zapytać, co wcześniej powiedziałam. – Oddzwoń. Już w porządku!

Otworzyłam drzwi sypialni i omal nie wpadłam na matkę. Jak zwykle miała na twarzy kompletny makijaż – podkład, eye-liner, a dzióbek pociągnęła cukierkowym błyszczkiem. Nabijany ćwiekami skórzany pasek podkreślał jej smuklejszą niż kiedykolwiek talię, manikiur francuski wyglądał na świeżo zrobiony, ale wyraz jej twarzy zdradzał niepokój. Wygięła ręce i przyjrzała mi się uważnie.

– Allison, wszystko w porządku? – zapytała.

– W porządku! – Minęłam ją i zesłam po schodach. Czy pamiętałam, by rozmrozić kurczaka? Czy były jakieś warzywa, które mogłam do niego przygotować? O Boże, czy po wzięciu tych wszystkich oxy powiedziałam coś do matki?

– Wyglądasz... – Poszła za mną po schodach, imponująco nadążając za moim tempem bliskim truchtowi, pomimo że ja byłam boso, a ona na obcasach. – Wyglądasz, jakbyś kiepsko się czuła.

– Mam się dobrze! – Wyciągnęłam ze spiżarni pudełko ryżu i puszkę serc palmy. Wciąż na wpół zamrożony kurczak leżał w lodówce. Włożyłam go do mikrofalówki. – Naprawdę. Po prostu, no wiesz, dużo się dzieje w pracy i... martwię się o tatę. – Zazwyczaj zmiana tematu na tatę wystarczała, by mama zalała się łzami, ale ona wpatrywała się we mnie z nieznaną mi intensywnością i zmrużonymi oczami przyglądała się mojej twarzy.

– Wiesz – zaczęła. – Jeśli potrzebujesz zrobić sobie przerwę... Jeśli chcielibyście wyjechać gdzieś z Dave'em, z chęcią zostanę z Ellie.

Zamrugałam. Czy to była moja matka? Moja matka, która ledwie była w stanie zająć się sobą?

– To naprawdę wspaniałomyślnie z twojej strony, ale wszystko jest w porządku. Tak jak powiedziałam, jestem ostatnio trochę przytłoczona. – Moje myśli biegły trzema typowymi torami. Trzeba przygotować obiad. Muszę skończyć pracę; wysłałam post na bloga, ale powinnam rzucić jeszcze nieco czerwonego mięsa komentującym, których ostatnio zaniedbywałam. Do tego, jak zwykle, muszę policzyć, a potem jeszcze raz przeliczyć tabletki. Czy miałam wystarczającą ilość prochów? Czy kolejne były w drodze? Czy przelałam pieniądze na konto na Penny Lane?

Potrząsnęłam głową. Ellie i mama obserwowały mnie, gdy rozbijałam jajka, wsypywałam bułkę tartą do miski, nakrywałam do stołu i rozgrzewałam piekarnik.

– Ellie, chodź, zagramy w karty – zaproponowała mama.

Poszły gęsiego do salonu.

Wszystko gra, powiedziałam do siebie i przyrzekłam sobie, że osobiście przeproszę Sarah i będę bardziej dostępna dla Ellie, a przynajmniej bardziej przytomna. Mam się dobrze.

Usłyszałam skrzywienie unoszących się drzwi garażowych.

– Tatus, tatus, tatus! – zawołała Ellie i popędziła w tamtą stronę. Nie spodziewałam się Dave'a na obiedzie. Czyż nie powiedział mi, że musi iść jakąś imprezę organizowaną przez jeden z dużych związków zawodowych? A może to było poprzedniego wieczoru?

– Ellie, pomóż mi nakryć do stołu – zawołałam. Słyszałam, jak niski głos Dave'a miesza się z radosnym trajkotaniem córki, a potem oboje weszli do kuchni. Eloiza stała na butach Dave'a i ścisnęła go za rękę, chichocząc.

– Jak ci minął dzień? – zapytał.

– W porządku! Pracowicie! – Schyliłam się, by sprawdzić kurczaka.

– Mamusia spała – oznajmiła Ellie.

– Mamusia była zmęczona – odparłam, wdzięczna za to, że Dave nie widział mojej twarzy. Nie powiedziałam mu o spotkaniu z panną Dale, podobnie jak Ellie. Przynajmniej na razie. Wiedziałam, że lepiej nie zabraniać jej tego, gdyż na pewno poleciałaby do Dave'a i opowiedziała mu całą historię, jak to mamusia upadła,

pokrwawiła jej całą sukienkę i pani za karę posadziła ją w sali. Miałam nadzieję, że ocali mnie jej typowy dla pięciolatki ograniczony czas koncentracji i że wydarzenia minionego dnia wydadzą jej się tak odległe jak te sprzed kilku lat.

– Wiesz, że mama chrapie przez sen? – zapytała.

– Nie chrapię! – Uśmiechałam się tak szeroko, że aż bolały mnie policzki, kiedy wsypywałam kostki lodu do dzbanka, potem pokropiłam serca palmy cytryną, spryskałam oliwą i oprószyłam solą.

– Właśnie, że tak. I ŚLINISZ SIĘ. Miałas pod twarzą całą KAŁUŻĘ!

– Ciężki dzień w biurze – wyjaśniłam i odwróciłam się, by wyjąć mleko z lodówki. Kiedy zamknęłam drzwiczki, Dave i mama patrzyli na siebie. – Co? – zapytałam. Żadne z nich nie odpowiedziało. – Co? – zapytałam ponownie. Starłam się zabrzmieć radośnie, wyglądać wesoło i udawać, że nie spędziłam ostatnich pięciu godzin, leżąc nieprzytomna w kałuży własnej śliny.

– Na pewno dobrze się czujesz? – zaryzykowała w końcu mama.

– Dobrze – odparłam. Uśmiech nadal na twarzy, głos bez troski. Obiad w piekarniku. Post na bloga wysłany. Przynajmniej wydawało mi się, że go wysłałam. Pokroję Ellie kurczaka, a potem pobiegnę na górę, by się upewnić. I wziąć kolejną tabletkę. – Wszystko w porządku.

Mama i Dave wymienili spojrzenia.

– Hej, Ellie, może pójdziesz z babcią na sushi, żeby mama i tata mogli porozmawiać? – zapytał Dave.

– Sushi, sushi! – zawołała Ellie. Chwyciła moją matkę za rękę i zaczęła ciągnąć w stronę drzwi.

– Podwieźć was? – zapytałam.

– Weźmiemy taksówkę! – zawołała mama.

Drzwi zamknęły się za nimi.

– Usiądźmy w jadalni – zaproponował Dave. Poszłam za nim i czułam, że kolana zaczynają mi drżeć. Jadalnia plasowała się nisko na liście moich priorytetów, co oznaczało, że jedynymi meblami w tym pokoju były stół i sześć tanich krzeseł z Ikei. Gołe ściany pokrywała nieciekawa, zielono-niebieska tapeta, którą planowałam usunąć, jak tylko będę miała na to czas i pieniądze.

– O co chodzi? – zapytałam, starając się zachować bez troski, obojętny ton głosu.

– Usiądź – polecił Dave.

Owinęłam palce wokół oparcia krzesła.

– Nie usiądę, dopóki nie powiesz mi, co się stało.

Westchnął. Cały Dave. Nigdy nie mógł od razu powiedzieć, o co mu chodzi. Najpierw potrzebował kilku chwil na wzdychanie i chrząkanie.

– Musimy porozmawiać.

– Okej – odpowiedziałam powoli, grając na czas. Wiadomość zaczęła

docierać do mojego ciała. Czułam ciężar w klatce piersiowej, a w kolanach znajome wrażenie przestrzeni i dygotania. Czy poprosi mnie o rozwód? Serce mi stanęło, gdy sięgnął do torby i wyciągnął kopertę firmy kurierskiej FedEx. Z Penny Lane. Cholera, pomyślałam. O cholera, o cholera, o cholera.

– Co to jest? – Nie otworzył jej. Na adresie zwrotnym prawdopodobnie figurowała banalna nazwa firmy sprzedającej części komputerowe albo usługi poprzez serwis aukcyjny. Może miałam szansę się z tego wyłgać?

– To karta SIM do mojego telefonu. – Otworzyłam szeroko oczy. – Wiem, to przerażające.

– Mówisz mi, że jeśli otworzę tę kopertę, nie znajdę w niej narkotyków?

Serce waliło mi tak mocno, że byłam zdziwiona, że Dave tego nie słyszy.

– O Jezu, Dave. Co ty jesteś, inspektor Gadżet? Myślisz, że – narysowałam palcami w powietrzu sarkastyczny cudzysłów i wywróciłam oczami na samą myśl o tym podejrzeniu – „biorę narkotyki”?

Podniósł kopertę i potrząsnął nią. Przygotowałam się na odgłos grzechotania i modliłam, by paczka pochodziła od jednego ze sprzedawców, który hojnie dysponował folią bąbelkową. Zero grzechotania. Dzięki ci, Boże. Dave się jednak nie poddawał.

– Może ją otworzysz i pokażesz mi, co jest w środku?

Może był to pełen zadowolenia wyraz jego twarzy albo oskarżycielska nuta w tonie głosu. Cokolwiek to było, rozwścieczyło mnie.

– A może nie, do jasnej cholery! – wrzasnęłam. – Nie zgłosiłam się do opowiadania klasie o ulubionych przedmiotach! Jesteś moim mężem, a nie inspektorem Javertem!

Zakręciło mi się w głowie, a fala słabości popłynęła od podstawy kręgosłupa do czubka głowy. W uszach mi dzwoniło wysokim przenikliwym dźwiękiem. Usta miałam wyschnięte, a dłonie lodowate. Potrzebowałam tabletki, musiałam ją wziąć. Sama myśl o nich, miażdżonych między zębami, o znajomej goryczy zalewającej usta, pozwoliła mi odrobinę się rozluźnić.

Dave nadal wpatrywał się we mnie. Pomyślałam o owym dniu w Stonefield i o tym, jak kilka godzin wcześniej oddzwoniłam do Sarah i nie miałam pojęcia, co jej wtedy powiedziałam. Pomyślałam o wydanych pieniądzach, o drzemkach, o bezsennych nocach i kołataniu serca. To musi się skończyć, mówił głos w mojej głowie. To może skończyć się w tym momencie. To może być koniec.

– Ja nie... – wypaliłam. Zmusiłam się, by zamknąć usta, usiąść i spojrzeć Dave'owi prosto w oczy. – Dobrze, powiem ci prawdę. Kupuję leki przez internet. Ale to środki na receptę. Wiesz, że mam dyskopatię.

Dave sięgnął do swojej torby. Z wewnętrznej kieszeni wyjął strunową torebkę pełną pustych pojemniczków po lekach. Sięgnął ponownie i wyjął plik kartek. Zmrużyłam oczy i w końcu zobaczyłam, co to było – wydruki z Penny Lane

dokumentujące wszystkie moje zakupy.

Zamknęłam oczy i odwróciłam twarz do ściany.

– Dzwoniłem wczoraj do Janet – powiedział w ciszy Dave. – Powiedziałem, że martwię się o ciebie. Zapytałem, czy zauważyła coś niepokojącego, czy spóźniałaś się, by zawieźć Ellie do szkoły albo ją odebrać.

– Nigdy się nie spóźniłam – zaprzeczyłam. To przynajmniej była mniej więcej prawda.

– A potem – kontynuował uparcie. – Zadzwoń do szkoły.

O cholera.

– Dave...

– Pani Dale oddzwoniła do mnie. Stwierdziła, że wyglądałaś na – użyła słowa „upośledzona” – kiedy przyjechałaś po dzieci kilka dni temu. Podobno powiedziałaś jej, że wypitaś kieliszek wina po wzięciu leku przepisanego przez lekarza, ponieważ zapomniałaś, że nie powinnaś tego robić.

Próbowałam mu przerwać.

– Dave, posłuchaj...

– Miałaś zamiar wieźć Ellie po pijaku! – zaczął wrzeszczeć, twarz mu poczerwieniała, żyła pośrodku czoła pulsowała, a w oczach pojawiły się łzy. – A gdyby zginęła? A gdybyś ty zginęła? Co się z tobą, kurwa, dzieje?

Zaczęłam płakać.

– Nie wiem. Może nie podoba mi się, że mąż już wcale ze mną nie rozmawia. Może mam dość tego, że sama muszę robić wszystko w domu.

Piorunował mnie wzrokiem, nieczuły na moje łzy.

– Nie zrzucaj winy na mnie, Allison.

– Nie wiesz... – Głos mi się załamał na ostatnim słowie. – Nie masz pojęcia, jak to jest. Muszę radzić sobie z Ellie, z rodzicami, z pracą...

– Może nie – odpowiedział chłodno. – Może nie wiem. Ale myślę, że są na świecie ludzie, którzy radzą sobie z tym wszystkim i nie zostają narkomanami.

– Nie jestem narkomanką! – Niech szlag trafi panią Dale! W wyobraźni podarłam czek, który zamierzałam przekazać na szkolną kampanię charytatywną. Zamiast tego pójdę na zakupy. – W porządku. Nie powinnam pić po wzięciu leku. Byłam zmęczona i popełniłam błąd. Nie jestem doskonała.

– Nie jesteś sobą. Nie wiem, jak to inaczej powiedzieć. Wszyscy to zauważyli, ja, twoja mama, Ellie... – Sięgnął przez stół, ale zabrałam rękę, zanim zdążył mnie dotknąć. – Jeśli potrzebujesz pomocy, będę cię wspierał najlepiej, jak potrafię.

Mój śmiech zabrzmiał piskliwie i przenikliwie.

– Pomocy? Co, odwyk? Uważasz, że powinnam pójść na odwyk? Myślisz, że jestem jak Lindsay Lohan?

– Nie wiem, czego potrzebujesz, ale wiem, że bierzesz więcej tabletek, niż

powinnaś. Martwię się o ciebie i... szczerze mówiąc, obawiam się, gdy zajmujesz się Ellie.

Myślałam, że już wcześniej się bałam, tego dnia w Stonefield, kiedy pani Dale zabroniła mi prowadzić. Myliłam się. To była pestka. Teraz poczułam prawdziwy strach. Prawdziwe przerażenie. A najlepszą obroną jest atak. Tata stale to powtarzał. Wyprostowałam się, wdzięczna za to, że miałam na sobie czyste ubranie, na twarzy makijaż i umyłam włosy tego ranka.

– Sugerujesz, że nie nadaję się na matkę?

Dave potrząsnął głową.

– Mówię, że martwię się o ciebie i o Ellie, kiedy jest z tobą. Musisz potraktować to poważnie, Allison. Niektórzy umierają, robiąc to co ty.

– Dobrze! W porządku! Przestanę! – Ostentacyjnie wyjęłam z torebki pojemniczek z vicodinem, otworzyłam go i wysypałam tabletki do zlewu. Oczywiście miałam niewielki, sekretny zapas: puszkę po miętówkach schowaną w torebce, tuzin oxy na dwie pudełka z tamponami i kilka tabletek percocetu w schowku w samochodzie. Odwróciłam się na pięcie i wyszłambym efektownie, gdybym nie zahaczyła biodrem o blat stołu. Potknęłam się i prawie bym upadła, ale chwyciłam się ściany. Dave był tuż za mną, patrzył mi prosto w oczy, piorunował wzrokiem, a w jego wyrazie twarzy nie było śladu życzliwości, humoru ani miłości.

– Nie chcę musieć cię szpiegować – oznajmił. – Ale zrobię wszystko, by zapewnić Ellie bezpieczeństwo.

– Ellie – powiedziała z całą godnością, na jaką było mnie stać – jest całkowicie bezpieczna. Nigdy, przenigdy nie zrobiłabym niczego, co mogłoby narazić ją na niebezpieczeństwo. – Poza tym oczywiście co zrobiłam parę dni wcześniej.

– Jeśli potrzebujesz pomocy, jestem przy tobie.

Przewróciłam oczami.

– Świetnie. Sprawdź, czy możesz mnie wysłać tam, gdzie poszedł ten facet z *Przyjaciół*. Mają tam pilates.

– Allison.

– Obiecuję – warknęłam, zanim zdążył wyartykułować kolejne dorosłe, życzliwe ostrzeżenie. – Obiecuję, obiecuję, obiecuję.

I dotrzymałam obietnicy podczas całej drogi na górę po schodach, wzdłuż korytarza, do łazienki, gdzie wyłowiłam tabletki z pudełka z tamponami i połknęłam je, jedną, drugą, trzecią.

Tej nocy byłam zbyt zdenerwowana, by zasnąć. Siedziałam w salonie z laptopem i zawzięcie wystukiwałam post na bloga zatytułowany *Mężowie nie rozumieją*, podczas gdy Ronnie spała w pokoju gościnnym, a Dave chrapał na końcu korytarza. Przedzierałam się przez robotę, którą stale odkładałam, spędziłam dziewięćdziesiąt minut, odpowiadając na komentarze, i wymyśliłam tematy artykułów dla jednego z magazynów, z którym mejlowałam po moim komentarzu *Wibrator w każdej torebce*. Za każdym razem gdy czułam, że mój mózg skłania się w kierunku słów „Dave wie, co robię” albo „Stracę rodzinę” lub choćby „Chcę przestać i nie potrafię”, maszerowałam do łazienki i brałam kolejną tabletkę. O szóstej rano miałam rozbiegany wzrok, roztaczałam wokół ostry zapach potu i czułam się jednocześnie ociężała i rozgrzowana. I wtedy, niespodziewanie, stało się coś nie do pomyślenia: skończyły mi się tabletki.

– Możesz zawieźć Ellie do szkoły? – zachrypiałam przez drzwi łazienki. Panika zaczęła kąsać moje serce jak sznur.

Głos Dave’a brzmiał obrzydliwie spokojnie.

– Jasne, nie ma problemu.

Podeszłam do komputera i zalogowałam się na Penny Lane, by upewnić się, że nie zapomniałam o żadnym złożonym zamówieniu. Nie. Były tam tylko zakupy przechwycone przez Dave’a. Wcześniej zamówiłam sześćdziesiąt tabletek, które dostarczono dwa dni temu, i wszystkie już wyszły, co do jednej. Wpatrywałam się w ekran, liczyłam i czułam, jak szczeka mi opada. Trzydzieści tabletek w mniej niż półtora dnia? To nie może być prawda. Pamiętałam jednak, jak odbierałam przesyłkę, jak szybko ją otworzyłam i przesyłałam tabletki do puszek po miętówkach. Zanim zdążyłam wejść do domu, już miałam w organizmie cztery z nich.

– Kurwa – szepnęłam. Poszłam do sypialni i zaczęłam przeszukiwać moje stałe kryjówki: pudełko z tamponami, drugą szufladę w szafce nocnej, zapinane na suwak kieszenie w różnych torebkach, których używałam w tym miesiącu. Wszystkie były puste. Nie znalazłam nawet kawałka złamanej tabletki, która pozwoliłaby mi przetrwać. Wszystkie wyszły.

Usiadłam na łóżku, serce mi waliło, a dłonie i skronie były śliskie od potu. Wzięłam telefon i przejrzałam listę nazwisk lekarzy. Do tego dzwoniłam w zeszłym tygodniu, do tej w poniedziałek, a do tej nie dzwoniłam tak dawno, że prawdopodobnie zacznę pytać, dlaczego teraz potrzebuję środków przeciwbólowych.

Myśl, poleciłam sobie ostro, gdy usłyszałam, jak otwierają się drzwi garażu i samochód odjeżdża z podjazdu. Może zostały jakieś leki w szafce ojca?

Wiedziałam jednak, że nie. Wyczyściłam je wszystkie, zanim agent nieruchomości przyszedł, by ostatni raz obejrzeć dom. Czy mama miała jakieś leki? I czy chciałam ryzykować wywabienie jej z domu, by móc to sprawdzić?

Czterdzieści minut po odjeździe Dave'a, nadal w spodniach od piżamy i koszulce z Wonder Woman, którą zakładałam, gdy pracowałam, siedziałam na kozetce w klinice w centrum handlowym, gdzie przywiozła mnie taksówka i rozmawiałam z lekarzem z silnym akcentem i workami pod oczami.

– Kiedy miała pani uraz kręgosłupa?

– Dwa lata temu. – Miałam dreszcze, pociłam się i z trudem utrzymywałam nogi w bezruchu. Kolana chciały kopać, stopy stukać o podłogę, całe ciało mnie swędziało, a palce miały ochotę wbić się w skórę i drapać. Syndrom odstawienia, pomyślałam ponuro. Zapętłona seria wszystkich obejrzanych filmów, w których narkomani na okrągło rzucali nałóg, odtwarzała się w mojej głowie. Byłam przerażona myślą o czekającej mnie agonii i wściekła na siebie, że pozwoliłam, by do tego doszło, że nie zdołałam skontrolować tego, co mam i czego potrzebowałam. Te wszystkie tygodnie, a nawet miesiące obiecywania sobie, że ograniczę branie, tylko jeszcze nie dzisiaj, gdy w rzeczywistości moje spożycie stale wzrastało, a tolerancja zwiększała się, aż potrzebowałam czterech, pięciu, a nawet sześciu małych niebieskich tabletek oxycontin, by poczuć ową odurzającą euforię, którą zapewniała mi kiedyś jedna pigułka vicodinu, a teraz zostałam z niczym.

– Ile środków przeciwbólowych pani bierze?

– Nie wiem. Dużo. Około dziesięciu tabletek dziennie – skłamałam.

– Po trzydzieści miligramów?

– Tak. – Dziesięć brałam, gdy miałam dobry dzień, a poza tym oxy nie był jedynym środkiem, ale nieważne. Lekarz da mi coś, wszystko jedno co, a potem się ogarnę. Zwolnię trochę i zacznę działać rozważnie. Koniec z braniem tabletek zaraz po przebudzeniu i w środku nocy. Trzy, najwyżej cztery dni i będę miała wszystko pod kontrolą.

– Bierze je pani codziennie?

Przytaknęłam i zaczęłam opowiadać historię, którą przedstawiłam już przyjmującej mnie pielęgniarce.

– Jak już wspomniałam, mam zamiar udać się do swojej lekarki, tylko jest teraz na zwolnieniu, a ja dziś po południu wyjeżdżam na wakacje, więc jeśli mógłby pan przepisać mi jakieś dziesięć tabletek, żebym mogła przetrwać lot...

Oparł się o umywalkę i obserwował. Nazywał się doktor Desgupta, a jego oczy schowane za ciężkimi, brązowymi, plastikowymi oprawkami patrzyły życzliwie.

– Bierze je pani codziennie – powtórzył.

Schyliłam głowę i zaczęłam się modlić. Boże, proszę, niech da mi tylko tyle,

bym przetrwała dzień, a przestanę, zwrócę się po pomoc, zrobię coś, przyrzekam.

– I to dlatego, że bolą panią plecy, czy dlatego, że potrzebuje pani tabletek, gdyż bez nich źle się czuję?

Nie odpowiedziałam. Objęłam się ramionami i skoncentrowałam jak tylko mogłam na powstrzymaniu wymiotów.

– Źle się czuję – powiedziałam w końcu. – Nie próbowałam przestać i myślę... Już kiepsko się czuję.

– Jest taki lek, Suboxone. – Uniosłam głowę. – To agonista i antagonist receptorów opioidowych w jednym. Blokuję je, więc nie może pani wziąć heroiny, vicodinu, oxycontinu ani jakichkolwiek innych narkotyków, jakie pani zażywała. Jednocześnie zawiera pewną ilość opiatów. Nie tyle, żeby pani odleciała, ale wystarczająco, by czuła się pani stosunkowo dobrze.

Przytaknęłam. To wyglądało na rozsądne rozwiązanie. Mogłabym wziąć ten suboxone i przestać cierpieć, a następnego dnia wziąć się za siebie. Kupię więcej tabletek, w sieci lub od lekarzy, wystarczająco, by taka sytuacja więcej się nie powtórzyła. Skontaktuję się z prawnikiem i psychologiem dziecięcym, którego pomocy Ellie bez wątpienia będzie potrzebowała. Powoli odstawię tabletki, może pójdę na kilka spotkań AA, zapiszę się do terapeuty albo znowu zacznę biegać. Teraz jednak pragnęłam jedynie wziąć coś, połknąć, zapalić albo wciągnąć. Coś, co zmniejszyłoby moją panikę, uspokoiło bicie serca i pozwoliło mi znowu poczuć się lepiej.

– Dobrze. – Doktor Desgupta wyciągnął wreszcie bloczek recept. – Wypiszę kurację na siedem dni. Lekarstwo jest w formie cienkich kawałków folii, które rozpuszcza się pod językiem. – Oderwał stronę, a ja niemal wydarłam ją z jego ręki. – Jak dawno wzięła pani ostatnią dawkę oxycontinu?

Próbowałam sobie przypomnieć, kiedy rozgryzłam ostatnią tabletkę, jednocześnie starając się nie pamiętać wylizania wnętrza pudełka na biżuterię, gdzie znalazłam ostatnie dwa vicodiny. Jeśli kiedykolwiek będziecie się zastanawiali, czy macie problem z lekami, smak filcu z pudełka na biżuterię powinien być wystarczającą odpowiedzią.

– O czwartej rano.

Spojrzał na zegar, przeliczając czas. Miał duże brązowe oczy, łysą głowę z kilkoma pasmami czarnych włosów, ułożonymi ostrożnie na czubku, i łagodny głos, którym mówił z silnym akcentem.

– Proszę wziąć pierwszą dawkę w południe. O tej porze powinna już pani poczuć symptomy odstawienia. Jakby miała pani grypę. Będzie się pani pociła, ręce będą pani drżały. Kiedy się pani tak poczuje, proszę zażyć pierwszą porcję leku.

– Dziękuję – powiedziałam cicho i zanim zdążył mnie pożegnać, wstałam z leżanki z receptą w jednej dłoni i telefonem w drugiej.

Resztę dnia pamiętam tylko wrywkowo. Jazda taksówką od doktora do kolejki dla zmotoryzowanych w aptecę. Grypa, powiedział, ale to miało się do grypy tak jak sfera wściekłych pitbuli do psa chihuahua. Zalewał mnie obrzydliwie cuchnący pot i trzęsłam się tak, że zęby mi szczękały. Pokryłam się gęsią skórą, a wszystko, co zjadłam poprzedniego dnia, niepokojąco przewracało mi się w żołądku. Pamiętam, że farmaceuta powiedział mi, że bez wcześniejszego potwierdzenia koszt leku nie zostanie pokryty z mojego ubezpieczenia, a ja powtarzałam mu w kółko, że nie dbam o to, że to nie ma znaczenia, że zapłacę z własnej kieszeni, a refundacją będę martwić się później.

W domu w ekspresowym tempie przeczytałam ulotkę, a potem rozdarłam jedną z saszetek i pozwoliłam, by kawałek żółtej folii rozpuścił się pod moim językiem w kwaśną maź. Zamknęłam drzwi sypialni na klucz, położyłam się na łóżku i przeżyłam sześć godzin najgorszego piekła, jakie byłam w stanie sobie wyobrazić. Całe ciało drżało i piekło, nogi kopały i wierzgały niekontrolowanie. Nie mogłam leżeć spokojnie ani znaleźć wygodnej pozycji. Miałam wrażenie, że po mojej skórze maszerują setki tysięcy ognistych mrówek w butach zakończonych umocnionymi w truciźnie igłami. Drapałam się i szarpałam skórę, ale nic nie było w stanie ich powstrzymać. Pierwszy raz zwymiotowałam do toalety i stamtąd zdołałam wysłać mamie i Dave'owi wiadomość, że jestem chora i że we dwojkę będą musieli zająć się Ellie i innymi obowiązkami. Drugi raz zrobiłam to do umywalki. Przy trzecim razie nie dałam nawet rady wstać z łóżka. Zamarzałam, więc próbowałam wejść pod kołdrę, ale przez kopanie – kopałam, faktycznie kopałam! – wszystko skotłowałam, kołdra wysunęła się z poszewki, a prześcieradło zsunęło z materaca. Zwijałam się na łóżku, próbując jęczeć w poduszkę i modliłam się, by suboxone zaczął działać, żebym poczuła się lepiej i żeby Ellie nie musiała tego oglądać.

Mama zapukała do drzwi.

– Allison? Allison, wszystko w porządku?

– Grypa – odpowiedziałam głosem, który brzmiał jak nie mój. Owinęłam się w koc i siedziałam skulona i jęcząca w starym fotelu bujanym, w którym kiedyś karmiłam Ellie. Cała płonęłam, matowe strąki włosów oblepiały mi policzki, a ja wydawałam z siebie wysokie, zawodzące dźwięki. Jęczałam i kołysałam się, jęczałam i kołysałam, a minuty wlewały się jedna za drugą. O szóstej nie mogłam już tego znieść. Znalazłam telefon, wpełzałam do łóżka i z trudem zadzwoniłam do kliniki. Powiedziałam recepcjonistce, że to pilna sprawa i muszę porozmawiać z doktorem Desguptą.

– Tak, słucham – zaczął.

Podaliśmy swoje nazwisko. Mówiłam wysokim, drżącym szeptem. Nie brzmiałam jak ja, a raczej jak Ellie, kiedy obudzi się chora w środku nocy.

– Coś jest nie tak... Naprawdę źle się czuję...

– Czy ma pani mdłości i rozwolnienie?

– Tak – wyszeptałam. Na dodatek płakałam. – Jest mi zimno... nie mogę przestać się trząść... wszystko mnie boli... czuję, że zaraz umrę...

– Dwadzieścia cztery godziny – powiedział łagodnie. – Suboxone wytrąca opiaty z pani receptorów, ale za dzień lub dwa znów poczuje się pani lepiej. – Dzień lub dwa? Nie byłam pewna, czy dam radę wytrzymać kolejne dwadzieścia minut tej agonii.

– Nie dam rady – powiedziałam. Mój głos brzmiał raczej jak zawodzenie kota, a nie ludzka wypowiedź. – Proszę, musi mi pan pomóc... Chyba muszę pojechać do szpitala...

– Myślę, że powinna pani być w klinice odwykowej – powiedział spokojnie. W jego ustach zabrzmiało to jak obietnica cudownych egzotycznych wakacji.

– Żadnego odwyku – zaprotestowałam. – Nie jestem narkomanką. Proszę. Nie jestem. Tylko bardzo, bardzo źle się czuję.

– Proszę pojechać do jednej z placówek, tam pani pomogą – wyjaśnił. – Nie musi pani zostawać tam przez dwadzieścia osiem dni, chyba że pani zechce. Musi pani być jednak pod nadzorem, dopóki nie poczuje się pani lepiej.

Odwyk. Zaczęłam płakać jeszcze bardziej, ponieważ podejrzewałam, że ma rację. Może nie potrzebowałam odwyku, ale musiałam znaleźć się w miejscu, gdzie są pielęgniarki, lekarze, leki i aparatura medyczna. Ból był nie do zniesienia. Ledwie mówiłam. Nie byłam w stanie utrzymać nóg w bezruchu. Właściwie chciałam umrzeć. Śmierć byłaby lepsza od mojego obecnego stanu.

Gałka u drzwi przekręciła się. Drżąca i chora, poczułam ciężar ciała Ellie, która wdrapała się na łóżko obok mnie.

– Mamusiu? – wyszeptała. Malutkimi rączkami pogłaskała moje włosy, a potem czoło. – Mamusiu, chcesz dostać pocałunek prawdziwej miłości?

Wydałam z siebie jakiś dźwięk i pomyślałam, że nigdy wcześniej nie nienawidziłam siebie tak bardzo. Wtedy pojawiła się moja mama.

– O mój Boże. – Jakimś cudem powiedziała to spokojnie. – Ellie, pójdź do swojego pokoju, a ja pomogę twojej mamie.

Otworzyłam oko.

– Mamo.

Nachyliła się i uściskała mnie mocno. Wyszeptałam nazwisko doktora Desgupty, potem podałam jej telefon i znowu zamknęłam oczy. Słyszałam, jak mówi:

– Tak, jestem matką Allison Weiss. Córka jest bardzo, bardzo chora.

Skulona na boku, kołysałam się bez końca. Słyszałam stłumiony głos mamy, jakbym słuchała przez papierową tubę, jej pytania i odpowiedzi.

– Uzależnienie od opiatów... Suboxone... Przyspieszony odwyk... Którą placówkę by pan polecił?

– Żadnego odwyku – jęknęłam i chwyciłam mamę za rękaw.

– Tak, odwyk – potwierdziła i odsunęła się. Nie załamała się ani nie łkała. Na jej policzkach nie było śladu rozmazanego tuszu, nie widziałam drżących rąk i nie słyszałam żalosego narzekania, że nie daje sobie rady. To zabawne, pomyślałam. Lekkie odstawienie wystarczyło, by moja matka rzeczywiście stała się matką. – Jesteś chora, kochanie. Jesteś chora, ale ja pomogę ci wyzdrowieć.

Zamknęłam oczy. Pamiętam później głosy w sypialni, stetoskop przykładany do mojej klatki piersiowej, głos mamy, potem Dave'a odczytujący z faktury z Penny Lane listę środków, które brałam, w jakich dawkach i jak długo. „Mamy dużo takich przypadków”, powiedział ktoś, chyba ratownik medyczny. „Więcej, niżby się państwo spodziewali. Zdarza się to najporządniejszym ludziom”. Najporządniejsi ludzie, pomyślałam. To ja. Potem położyli mnie na noszach, poczułam na ręce ukłucie igły i kiedy ponownie otworzyłam oczy, leżałam w łóżku szpitalnym i czułam się tak, jakby każda kość w moim ciele została złamana, a potem nieudolnie nastawiona.

– Gdzie ja jestem? Co się stało? – szepnęłam.

Dave stał obok w dżinsach i koszulce z wizerunkiem grupy Blind Melon i patrzył na mnie. Bolało mnie całe ciało. Było jak zdarte kolano, odarte ze skóry i krwawiące, jak jedno palące zakończenie nerwowe. Wstydziłam się bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Nie dam rady przez to przejść. Nie teraz. Muszę dostać coś przeciwbólowego.

– Jesteś w szpitalu. Przeszłaś tak zwane przyspieszone odstawienie. – Dave podszedł do drzwi, ale nie zrobił ani jednego kroku w głąb sali, jakby obiecał sobie, że zajrzy na chwilę, ale nie zostanie długo na imprezie, której gości nie miał ochoty poznawać. – Dzieje się tak, kiedy przez długi czas zażywa się duże dawki opiatów, a potem lek wytrąca je z organizmu.

– Jeśli chciałbyś wiedzieć, to niezbyt przyjemne – szepnęłam.

Dave się nie uśmiechnął.

– Zostały dwa dni szkoły. – To było typowe, racjonalne przekazywanie faktów, które znałam z rozmów Dave'a z wydawcą. – Twoja mama i ja zajmujemy się Ellie, a potem zostanie w Stonefield na półkolonii.

– Mama ledwie daje sobie radę sama ze sobą – zauważyłam.

– Musisz gdzieś pójść – oznajmił.

– Masz na myśli odwyk. – Dave nie odpowiedział. – Posłuchaj – powiedziałam w ciszę. – Przyznaję, że kupowanie tabletek w Internecie było kiepskim pomysłem. Wiem, że brałam o wiele więcej, niż powinnam. Żyję w ogromnym stresie. Podjęłam kilka złych decyzji, ale zobacz, upłynęło... – rozejrzałam się w poszukiwaniu zegara, a potem oszacowałam – około dwudziestu czterech godzin, od kiedy wzięłam jakikolwiek lek, prawda? – Nie czekając na odpowiedź Dave'a, brnęłam dalej. – Wyjdę z tego. Może muszę tylko odpocząć.

Przyjąć płyny. Potem wrócę do domu i wszystko będzie dobrze. Nie wezmę już żadnych tabletek.

Czy dam radę? Zastanawiałam się już w momencie składania obietnicy. Może dwadzieścia cztery godziny później będę fizycznie wolna od leków, ale wiedziałam, że kiedy zostanę w domu sama, od razu sięgnę po komputer albo telefon, by zamówić więcej.

Jesteś uzależniona.

Nie, nie jestem.

Nie potrafisz przestać.

Tak, potrafię.

W tamtym momencie, w tamtym łóżku to, co zrobiłam, kim pozwoliłam sobie się stać, dotarło do mnie jeszcze silniej. Naraziłam na niebezpieczeństwo własną córkę, synów Janet i siebie. Chociaż nikomu nic się nie stało – na razie, podpowiadał mój umysł, nikomu NA RAZIE nic się nie stało – prawda była taka, że jeśli będę żyła tak jak dotychczas, Ellie będzie dorastała z pustką jeszcze większą niż ta, której ja doświadczałam. Będzie miała w sercu taką samą dziurę, te same pytania, które dręczyły mnie: Dlaczego nie jestem wystarczająco dobra, by moja własna matka mogła mnie kochać?

– To tylko dwadzieścia osiem dni – przekonywał Dave.

– A co z moim tatą? – pytałam. – Co z Ellie?

– Twój tata jest w bezpiecznym miejscu, mama zadba o siebie, a ja zajmę się Ellie.

– A jeśli nie pójdę?

Dave nie odpowiedział, tylko spojrzał na mnie stanowczo.

– Mam nadzieję, że postąpisz słusznie – oznajmił w końcu. – Zrobię wszystko, by zapewnić Ellie bezpieczeństwo.

Rozważałam, co to oznacza, i panika rosła we mnie, wypierała powietrze z płuc. Wyobraziłam sobie, że Dave się wyprowadza i zabiera Ellie ze sobą. Zobaczyłam swojego męża w najlepszym, granatowym garniturze stojącego przed sędzią i wszystkie dowody: koperty z Penny Lane, wyciągi z konta i rachunki, kopie wszystkich recept, które dostałam od różnych lekarzy. „Wysoki sądzie, żona nie jest w stanie zajmować się małym dzieckiem”. A może, co gorsza, wrócę do domu i zorientuję się, że wszystkie zamki zostały zmienione?

– Allison, bądź rozsądna. – Jego głos brzmiał tak łagodnie, jak przez telefon tego dnia, kiedy zawieźliśmy tatę do Eastwood. – Czy tak chcesz żyć? Taką mamą chcesz być?

Otworzyłam usta, by kolejny raz powiedzieć mu, że wszystko jest w porządku, że jest niemal całkowicie w porządku, że oczywiście zdarzyły mi się potknięcia, sprawy wymknęły mi się spod kontroli, ale nie zawały kompletnie ani (jak określali to na mitingach?)... nie stały się nie do opanowania. Byłam w stanie

nad nimi panować.

Zanim jednak wypowiedziałam te słowa, pomyślałam o tym, jak spędzam czas. Zaraz po przebudzeniu nie myślałam o córce ani o mężu, o pracy, przyjaciółach ani planach na ten dzień, ale o tym, ile tabletek mi zostało, czy to wystarczy i skąd wezmę więcej. Pomyślałam o czasie, jaki poświęciłam na pogoń za nimi, energii, pieniądzach, zasobach umysłowych. Prawda była taka, że teraz nie czułam już takiej euforii, jaką leki zapewniały mi kiedyś. Rok wcześniej jedna lub dwie tabletki vicodinu sprawiały, że czułam się świetnie. Ostatnio cztery czy pięć pigułek oxy – leku podawanego chorym na raka, na litość boską, umierającym na raka – z trudem pozwalały mi poczuć się normalnie. Czy tak chciałam żyć?

Ale jak mogłam wyjechać? Jak mogłam zostawić wszystko: dom, pracę, ojca, córkę? Nie ma mowy. Muszę wrócić do domu i sama sobie z tym poradzić. Potrafię żyć lepiej. Potrafię kontrolować zażywanie leków, zmniejszyć dawki, postępować rozważnie. Jednak już w momencie gdy zaczęłam kreślić w głowie plan, podejrzewałam, że prawda będzie zupełnie inna. Mój wyłącznik się zepsuł, przypuszczalnie na zawsze. Wzięcie jednej tabletki wydawało się tak prawdopodobne jak wzięcie oddechu.

Spojrzałam na męża.

– Podejrzewam, że znalazłeś już dla mnie klinikę?

Przytaknął.

– Znajduje się w New Jersey i jest renomowana. Moje ubezpieczenie pokryje twój dwudziestośmiodniowy pobyt.

– Dobrze – odparłam cicho, rozmyślając. To musi się skończyć, jakoś, gdzieś. Może to jest odpowiedni moment. – Dobrze.

Część trzecia
Zameldowanie

Kiedy byłam małą dziewczynką, co roku z rodzicami spędzaliśmy tydzień w Avalon, na wybrzeżu New Jersey. Każdego lata wynajmowaliśmy ten sam mały domek, oddalony przecznicę od plaży, i tam rozbijaliśmy nasz obóz. Teraz, kiedy sama byłam matką, nazwałabym to raczej przeprowadzką niż wakacjami, ale wówczas czułam się tak, jakby ktoś przeniósł mnie do krainy baśni. Każdego dnia pływałam w oceanie, a wieczorami zasypiałam, słuchając przez otwarte okno szumu fal zamiast buczenia klimatyzacji i patrzyłam na swój mały pokój oświetlony blaskiem odbijającego się w wodzie księżycy, a nie światłem lampki z Królewną Śnieżką. Ostatniego wieczoru szliśmy na spacer promenadą w Wildwood, objadaliśmy się pysznymi grillowanymi kiełbaskami i watą cukrową, graliśmy w gry zręcznościowe, jeździliśmy na diabelskim młynie i kolejce górskiej.

Rano jedliśmy płatki śniadaniowe z zimnym mlekiem i tosty, pakowaliśmy do przenośnej lodówki napoje i przekąski i szliśmy pieszo przecznicę dzielącą nasz domek od plaży. Mama rozkładała koc w różowo-białe paski, tata machał kijem od parasolki w prawo i w lewo, wkopując go w ziemię, potem brał mnie w ramiona i niósł prosto w fale, a ja krzyczałam w na wpół udawanym przerażeniu.

Każdego roku wolno mi było kupić sobie jedną pamiątkę. Tego lata, gdy skończyłam osiem lat, oszczędziłam kilka dolarów z pieniędzy, które dostałam od Wróżki Zębuszki i z kieszonkowego, powiększone o ćwierćdolarówki wyłuskane spomiędzy poduszek na kanapie i banknoty wyjęte z filtra w suszarce. Planowałam sama pójść do sklepu, kupić dwie szklane kule śnieżne z widokiem wybrzeża New Jersey i podarować je rodzicom na Chanukę.

Poczekiałam, aż mama zaśnie, leżąc twarzą w dół na ręczniku plażowym, z nogami błyszczącymi od olejku Hawajskie Tropiki, a tata usadowi się na leżaku z „Examinerem”. Potem dla kamuflażu wzięłam łopatkę i wiaderko i poszłam wzdłuż plaży do miejsca, gdzie pod okiem niezbyt zainteresowanej nastoletniej opiekunki kilkoro dzieci robiło z piasku syreny z długimi, falującymi włosami z wodorostów i bikini z muszelek.

– Baw się tam, gdzie będziemy cię widzieli – zawołał za mną tata, a ja obiecałam, że tak będzie. Poczekiałam, aż otworzy w gazecie dział biznesowy, sprawdziłam, czy mam portmonetkę, i zesłam z plaży na chodnik, a potem na róg ulicy, gdzie rozejrzałam się w prawo i w lewo, zanim przeszłam na drugą stronę.

Sklep, w którym każdego roku robiliśmy zakupy, był wysokim pomieszczeniem przypominającym stodołę, do którego smugi światła słonecznego wpadały przez okna w suficie. Pełen był koszy z lakierowanymi muszelkami i zakonserwowanymi rozgwiazdami, cukierkami na wagę i krówkami w papierkach. W szklanej gablocie leżały lśniące kawałki toffi i jabłka maczane

w karmelu. Obok kasy znajdowały się stojaki z pocztówkami. Na niektórych widniały piękne dziewczyny w bikini i podpis „Podziwiał widoki na wybrzeżu New Jersey”. Tego ranka jednak na zewnątrz było pochmurno, a sklep wydawał się ciemny i pusty. Kasa stała opuszczona, nie widać było żadnych nastoletnich sprzedawców w czerwonych fartuszkach, układających towar na półkach lub informujących klientów, gdzie mogą znaleźć dmuchane zabawki albo pieluszki do kąpieli. Towar w postaci przecenionych koszulek, gąbczastych pojemników na piwo, kieliszków z napisem „Wybrzeże New Jersey” i skąpych ręczników plażowych nie przypominał błyszczących skarbów, ale obskurne, tanie przedmioty. Stojak na pocztówki zaskrzypiał, gdy go obróciłam i zauważyłam kartkę, której wcześniej nie widziałam. Przedstawiała zdjęcie bardzo grubej kobiety w czerwonym jednoczęściowym kostiumie podobnym do mojego. „Wybrzeże New Jersey jest świetne, ale jedzenie tu jest wspaniałe!” głosił napis wydrukowany na tle piasku. Wpatrywałam się w nią, nie do końca zrozumiałam żart, ale wiedziałam, że kobieta w kostiumie była jego sednem, i zastanawiałam się, w jakich okolicznościach pozowała do zdjęcia. Czy leżała po prostu i opalała się, kiedy podszedł do niej mężczyzna z aparatem i zwiódł ją słowami: „Jesteś taka piękna. Czy mogę zrobić ci zdjęcie?”? Czy może była świadoma, że fotografia zostanie wykorzystana w formie żartu? A jeśli tak, dlaczego na to pozwoliła, wiedząc, iż ludzie będą się z niej śmiali?

Chwyciłam mocniej portmonetkę, ostatni raz zakręciłam metalowym stojakiem i już odchodziłam w poszukiwaniu kul, kiedy jakiś mężczyzna złapał mnie za ramię i odwrócił w swoją stronę.

– Widziałaś? – zapytał. Podniosłam wzrok i zamrugałam. Ubrany był w rozpiętą koszulkę baseballową, pod którą widać było nagą klatkę piersiową, obcięte dżinsowe spodnie i skórzane sandały. Miał dziki wzrok i brązowe zęby, a bijący od niego odór alkoholu był tak intensywny, że niemal widoczny, jak chmura otaczająca Pig-Pena w komiksie o Fistaszkach. Wpatrywałam się w niego, a mężczyzna ponownie potrząsnął mnie za ramię. – Widziałaś?

Pokręciłam głową. Niczego nie widziałam, a nawet gdyby tak było, zaprzeczyłabym. Coś z nim było nie tak, nawet małe dziecko, jak ja, potrafiło to wyczuć. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek wcześniej tak się bała. Gorsze niż roztaczane przez niego fale alkoholowego odoru było poczucie, że coś jest nie tak. Jego źrenice wydawały się zbyt duże, a dłonie trzymały mnie o wiele za mocno. Z moich ust wyrwał się pisk, a po policzkach popłynęły łzy. Żałowałam, że tam przyszłam, że wymknęłam się rodzicom. Chciałam, by natychmiast przyszli i mnie uratowali. Kiedy tak staliśmy, a jego palce nadal wbijały się w skórę na moim ramieniu, za rogiem pojawiła się bosa kobieta w górze od bikini i krótkiej dżinsowej spódnicy, z odcieniem tlenionych włosów, który mama skrytykowałaby lekceważącym wydukiem ust i określeniem „tani”. Na jednym

ramieniu miała czerwony koszyk na zakupy, w którym nie było nic oprócz tubki chipsów Pringles, i tatuaż, który wyglądał na serce, widoczny nad miseczką kostiumu.

– Straszysz ją, Kenny – powiedziała i uklękła obok mnie. Miała południowy akcent i słodki, wysoki głos, ale od niej również czuć było alkohol. – Jak masz na imię, ślicznotko? Chcesz kawałek toffi?

– Nie, dziękuję – szepnęłam, a dzikooki Kenny powtórzył, jęcząc monotonnie: – Widziała nas.

– Nic nie widziała. – Oczy kobiety wyglądały jak wirujące wiatraczki, a źrenice przypominały maleńkie czarne punkciki na tle niebieskich tęczówek. – A może lizak, śliczna panienko?

– Muszę już iść – szepnęłam. Przebiegłam obok nich i wybiegłam na zewnątrz. Wiedziałam, jak dojść na plażę – musiałam tylko przejść przez jedną ulicę i byłabym na miejscu – ale najwidoczniej poszłam w złym kierunku. Kiedy przestałam biec, nie widziałam wody, a ulica wyglądała całkiem obco. Na jednym z szyldów widniał napis „Bar i Grill”. Usłyszałam, jak wisząca na rogu amerykańska flaga łopocze na wietrze. Po ulicy chodzili ludzie, ale nie turyści, tacy jak ja i moi rodzice, w kostiumach kąpielowych i kapeluszach przeciwsłonecznych, noszący przenośne lodówki i radia oraz leżaki. Widziałam jedynie kilku mężczyzn ubranych jak Kenny, w ciemnych okularach, z pochylonymi głowami, z namacalną aurą dziwności i poczucia, że coś z nimi nie tak, wchodzących do lokalu Bar i Grill i wychodzących z niego. Stałam na rogu w swoich różowych, gumowych japonkach i białej sukience frotte. Podczas ucieczki w którymś momencie upuściłam portmonetkę. W końcu mężczyzna w niebieskim kostiumie kąpielowym, z warstwą białej maści cynkowej na nosie znalazł mnie, stojącą na rogu ulicy i zapłakaną.

– Dziewczynko, zgubiłaś się?

Podaliśmy mu swoje imię, powiedziałam, że mieszkam w Cherry Hill, ale przyjechałam na wakacje do Avalon, a on zaprowadził mnie z powrotem na plażę, zaledwie dwie przecznice dalej, gdzie w budce ratowników czekali na mnie rodzice.

– Gdzie byłaś? – mama zapytała drżącym głosem i chwyciła mnie w ramiona. Tata zrobił mi wykład na temat tego, żebym zawsze trzymała się w zasięgu wzroku i nigdy więcej nie straszyla w ten sposób matki.

– Wiesz, jaka jest wrażliwa – powiedział, a ja przytaknęłam, płacząc w milczeniu. Chciałam im wyjaśnić, że planowałam pójść do sklepu, kupić prezenty, zrobić im niespodziankę, ale nie zdołałam złapać tchu, by się wysłowić, a rodzice nie zapytali, dokąd poszłam i dlaczego. Zabrali mnie z powrotem na koc i dali lemoniadę. Moje szlochanie uspokoiło się i przeszło w czkawkę, aż wreszcie zasnęłam w skrawku cienia pod parasolem i rodzice musieli mnie obudzić, byśmy

mogli wrócić do domku na lunch. Do wieczora prawie zapomniałam o swojej przygodzie, ale kiedy dorastałam, przypomiiałam sobie o niej i zastanawiałam się, co owa para – on w koszulce baseballowej i ona z koszykiem na zakupy i południowym akcentem – robili, czego woleli, bym nie widziała. Czy obrabowali sklep? Ukradli z niego butelkę? Czy mieli paranoję, ponieważ wcześniej wypalili coś lub połknęli, podskakiwali ze strachu na widok każdego i straszili bez powodu małe dziewczynki? Nie dowiedziałam się tego, ale wrażenie z tamtego poranka nigdy mnie nie opuściło, poczucie, że jeden fałszywy krok może wszystko zmienić. Obok normalnego świata funkcjonował równoległy wszechświat i jeśli weszło się nieodpowiednimi drzwiami albo skręciło w lewo, a nie w prawo, poszło w górę ulicy zamiast w dół, można było niechcący odsłonić zasłonę i znaleźć się w tym miejscu, gdzie wszystko było inne i nie takie, jak powinno. Tak właśnie się czułam, budząc się pierwszego ranka w pojedynczym łóżku w małym, zapyziałym pokoju w Meadowcrest.

– O cholera, nie tutaj – powiedziałam, kiedy Dave zjechał z drogi i zobaczyłam tabliczki z napisem „Meadowcrest: Rodzina na pierwszym miejscu”. Wzdłuż autostrady I-95 z centrum na lotnisko stało przynajmniej pięć billboardów z tym sloganem. Przedstawiały białego mężczyznę ze szczęką superbohatera trzymającego na rękach uśmiechnięte dziecko. Żartowaliśmy z Dave’em z tej reklamy. Zastanawialiśmy się, czy mężczyźni powiedziano, że pozuje do reklamy piwa albo leku na impotencję, i wyobrażaliśmy sobie, jak kumple musieli się z niego nabijać, gdy okazało się, że stał się twarzą uzależnień.

Nie uśmiechając się, przez zaciśnięte zęby Dave powiedział:

– Mieli wolne łóżko.

– Chcę pojechać do Malibu, poważnie. Skoro mam to zrobić, lepiej zrobić to dobrze. – Nadal czułam się okropnie, chora, słaba, miałam mdłości i byłam wkurzona ze wstydu. Uniosłam jednak brodę, starając się wyglądać władczo z moimi potarganymi włosami, w brudnym ubraniu, otulona polarowym kocem Ellie z wizerunkiem księżniczki Jasminy. – Zawieź mnie do kliniki, w której zarządzie zasiada Liza Minnelli.

Dave nie odezwał się ani słowem i podjechał do stanowiska strażnika.

– Allison Weiss. Ma się zameldować.

– Melduję się! – śpiewałam, próbując sobie przypomnieć słowa hymnu odwykowego Simpsonów. – Koniec z trawą i demerolem. Koniec z prochami i alkoholem! Koniec z zwykłym rock and rollem!

Spojrzałam w bok. Zastanawiałam się, czy Dave pamięta, że kiedy zaczęliśmy się spotykać, dzwoniliśmy do siebie i oglądaliśmy razem Simpsonów, on w swoim mieszkaniu, a ja w swoim, a podczas reklam spekulowaliśmy, czy totalnie frajerowaty, występujący w muszce facet od pogody w stacji NBC nadal uprawia seks.

Dave zaparkował, wziął z tylnego siedzenia moją torbę podróżną i wszedł ze mną do budynku. Recepcjonistka zaprowadziła nas do wygodnej, ładnie urządzonej poczekalni ze skórzanymi kanapami, kosztami wypełnionymi paczkami przekąsek po tysiąc kalorii i telewizorem z ekranem panoramicznym.

Leciał właśnie teleturniej *Va banque*, wybrano kategorie „historia świata”, „literatura angielska”, „wyrazy kończące się na «y»”, „znane twarze” i – ha! – „napoje alkoholowe”. Skulona na kanapie, w kocyku z książeczką Jasminą odpowiedziałam na każde pytanie.

– Czy naprawdę muszę tu być? – zapytałam Dave’a.

– Tak, Allie – odpowiedział, wydał mi się zdystansowany i zmęczony. – Musisz.

Dostrzegłam zmarszczki w kącikach jego oczu, kilka kępek siwych włosów na brodzie, która urosła od tego poranka, i nogawkę wetkniętą w jedną ze skarpetek. Zastanawiałam się, jak się czuł przez ostatnich kilka dni, a potem uznałam, że lepiej o tym nie myśleć. Próbowałam mu powiedzieć, że czuję się o wiele lepiej, że najwyraźniej bardzo źle zareagowałam na suboxone, ale teraz byłam w formie i, jak udowodnił *Va banque*, myślałam trzeźwo, więc spokojnie może zabrać mnie do domu. Pamiętam, że niezbyt delikatnie zdjął moje palce ze swoich przedramion („podważył” byłoby lepszym określeniem) i przekazał mnie pod opiekę niskiemu łysemu pielęgniarzowi, który nucił *The Edge of Glory* Lady Gagi, kiedy pobierał mi krew i robił wywiad medyczny, a potem wręczył mi plastikowy pojemniczek na mocz i skierował do łazienki.

– Musimy cię przeszukać – powiedział, kiedy wyszłam. Podał mi szlafrok i kazał rozebrać się do naga. – Zrobimy też test „kucnij i kaszlnij”.

Wpatrywałam się w niego, aż zrozumiałam, że mówi poważnie. Potrząsając z niedowierzaniem głową, kucnęłam. I zakaszlałam.

Kiedy skończyłam badanie, dołączyłam do Dave’a w boksie, gdzie kobieta o ziemistej cerze i zbyt dużej ilości niebieskiego eye-linera siedziała za komputerem i zadawała mi wstydlive pytania. Kiedy nie odpowiadałam albo nie mogłam odpowiedzieć, Dave się włączał.

– Myślę, że nadużywała środków przeciwbólowych przez ponad rok – powiedział. – Tak, ma recepty, ale kupowała również leki w Internecie – dodał, a w końcu, co było najbardziej przerażające, oznajmił: – Tak, zapłacę z własnej kieszeni za to, czego nie pokryje ubezpieczenie.

Ponownie chwyciłam go za rękaw, nachyliłam się i wyszeptałam:

– Dave...

Zabrał rękę i posłał mi spojrzenie, które można określić jedynie jako chłodne.

– Musisz się pozbierać – polecił. – Jeśli nie dla siebie samej, to dla Ellie.

A więc byłam na miejscu. Rozejrzałam się wokół i dotknęłam swoich ubrań.

Jeansy wydały mi się tłuste, pasek zsunął się na biodra, jak zwykle, kiedy nosiłam spodnie zbyt długo bez prania. Stojące obok łóżka chodaki były poplamione czymś, czemu nie chciałam się zbyt blisko przyglądać. Koszulka śmierdziała, a na rękawie widniała smuga tej samej odrażającej substancji. W torbie, którą spakował Dave, miałam czyste ubrania, ale ostatni raz widziałam ją po drugiej stronie blatu recepcjonistki.

– Zatrzymamy ją tutaj do momentu, aż ktoś z obsługi będzie miał czas ją przeszukać, okej? – zapytała.

– Dzień dobry, Meadowcrest! – ryknął głos z sufitu. Poderwałam się, a serce waliło mi w piersi. Nadal czułam się źle, mdliło mnie i bolało całe ciało. Nie byłam pewna, czy miało to związek z przyspieszonym odstawieniem, czy były to skutki zażywania fenobarbitalu, który podawano mi, bym przebrnęła przez najgorsze z utrzymujących się symptomów. – Jest siódma rano – oznajmił sufit. – Panie, proszę udać się po poranne lekarstwa. Śniadanie rozpocznie się o siódmej trzydzięci. Panowie będą jedli o ósmej. Inspekcja pokoi zacznie się o dziewiątej. Pobuuudka!

Padłam na plecy. Głowa opadła na poduszkę, co wydało trzeszczący odgłos. Moje dochodzenie wykazało, że zarówno poduszka, jak i materac były cienkimi, smutnymi przedmiotami obleczonymi w pomarszczony, poplamiony plastik. Cudownie. Spuściłam nogi na podłogę i po raz pierwszy dokładnie rozejrzałam się po pokoju. Wąskie, przypominające celę pomieszczenie z łóżkiem, biurkiem, odrapaną drewnianą szafą, postrzępionym plakatem z napisem „Dzień po dniu” przyklejonym do ściany kawałkiem taśmy klejącej. Obok łóżka, na podłodze leżała moja torba podróżna, teraz opatrzona etykietką z grubego kolorowego papieru ze słowami „Allison W.” i „Przeszukana” przyczepioną papierkiem zaciskowym do jednej z rączek.

Zrobiłam jeden szurający krok, potem drugi i podeszłam do drzwi, gdzie mężczyzna w kombinezonie khaki zmywał podłogę.

– Przepraszam – powiedziałam.

Spojrzał na mnie obojętnie.

– Czy jest tutaj ktoś, z kim mogę porozmawiać?

Wciąż to samo obojętne spojrzenie.

– Nie powinnam tu być – wyjaśniłam, wymawiając wyraźnie każde słowo. – Muszę z kimś porozmawiać, żebym mogła wrócić do domu.

Mężczyzna, woźny, jak się domyśliłam, wzruszył ramionami i wskazał kciukiem przeciwną stronę korytarza. Stało tam biurko, za którym nikt nie siedział. Kilka osób, głównie nastolatków, kłębiło się w holu w spodniach od pizamy, kapciach i bluzach i rozmawiało po cichu. Stałam tam, aż mnie zauważyli.

– Przepraszam, czy jest tu jakiś pracownik, który mógłby mi pomóc?

– Przychodzą o ósmej – wyjaśnił jeden z szurających kapciami. Wróciłam do

pokoju. Z braku innych zajęć rozsunęłam suwak torby i spojrzałam na jej zawartość. Po drodze ze szpitala Dave nie pozwolił mi nawet wejść do domu, bym się spakowała. Martwił się pewnie, że wykorzystam szansę na ucieczkę, podczas gdy chciałam jedynie pożegnać się z Ellie i mamą. Własne odbicie w szpitalnym lustrze przekonało mnie, by poczekać w samochodzie. Gdyby Ellie zobaczyła mnie w tak złym stanie, prawdopodobnie martwiłaby się jeszcze bardziej. Miałam nadzieję, że Dave powiedział jej, że pojechałam na spontaniczną wycieczkę do Nowego Jorku.

Zanim zajrzałam do torby, posłałam łóżko, wygładzając cienką, zmechaconą kołdrę. W moim bagażu było sześć par skarpetek tenisowych, dwie pary majtek z koronką, które kupiłam przed urodzeniem Eloizy i w które od tamtej pory nawet nie próbowałam się wcisnąć, jeden stanik sportowy, para dżinsów, dwie koszulki z długim rękawem i para czarnych aksamitnych legginsów, które rozpoznałam jako dół od kostiumu Kobiety Kota, który przed laty założyłam na Halloween. W tym momencie przestałam szperać dalej. To było zbyt przygnębiające. Dlaczego Dave mnie spakował, a nie Janet czy choćby mama? Czy w torbie była choćby szczoteczka do zębów albo dezodorant? Jakim cudem spakował wszystko, czego potrzebowałam na wyjazd weekendowy, gdy Ellie była niemowlakiem, a teraz kompletnie sobie nie poradził?

Może się bał, pomyślałam. Pięć lat temu pakował nas na romantyczny wyjazd, rodzinny miesiąc miodowy nad morzem, a teraz zawoził narkomankę na odwyk. To duża różnica.

Ktoś zapukał do drzwi łazienki z drugiej strony.

– Proszę – zawołałam.

Mój głos był słaby i zachrypnięty. Dziewczyna, która wyglądała zaledwie na czternaście lat wetknęła głowę do mojego pokoju i rozejrzała się.

– Mamy wspólną łazienkę, więc musisz utrzymywać w niej porządek i nie kłaść niczego na podłodze – oznajmiła. – Inaczej dostaniemy przewinienie.

Przewinienie?

– W porządku – przytaknęłam i zmusiłam się, by wstać. Miałam wrażenie, że całą noc moje nogi gryzło coś wielkiego i wściekłego.

– Umyję zęby. Chcesz skorzystać z łazienki?

Potrząsnęłam głową, chociaż nie byłam pewna, czego potrzebuję, z wyjątkiem tabletek. Spojrzałam z boku na torebkę. Może był w niej zapas, o którym zapomniałam, albo chociaż pyłek w puszcze po miętówkach, który mógłby mi pomóc.

– Jestem Allison – przedstawiłam się.

– Cześć – odpowiedziała dziewczyna i podążyła wzrokiem za moim spojrzeniem. – Zapomnij o tym – poradziła. – Przeszukują wszystko, co tu trafia. – Miała lśniąco blond włosy, sięgające dołu pleców, drobną lisią twarz, jasne oczy

i widoczne fioletowe siniaki na całej długości odkrytych rąk. – Aubrey – powiedziała i pociągnęła ramiączko koszulki. Była ubrana tak, jakby wybierała się do klubu, a przynajmniej tak, jak ja wyobrażałam sobie dziewczyny idące do klubu. Jej dzinsy były tak obcisłe, że zapewne hamowały krążenie, miała czarne botki na obcasach, a koszulka była wykonana z cienkiego srebrnego materiału, do którego dziewczyna dobrała srebrny cień do powiek i, jeśli się nie myliłam, sztuczne rzęsy oprószone brokatem.

– Słuchaj – zaczęłam, starając się nie zdradzić, jak bardzo jestem zdesperowana. – Z kim mogę porozmawiać o wyjściu stąd?

Aubrey parsknęła śmiechem.

– Nie, poważnie. Zaszła pomyłka.

– Jasne – powiedziała tym samym pobłażliwym tonem, jakiego używałam, by rozweselić Ellie, gdy miała zły nastrój.

– Proszę. Musi tu być jakiś psycholog albo kierownik. Ktoś, z kim mogę porozmawiać.

– Tak by się wydawało – przyznała Aubrey. – Za taką cenę powinien być, ale do czasu lunchu nie zastaniesz nikogo, że tak powiem, z obsługi. Hej, mogło być gorzej – dodała, zobaczywszy wyraz mojej twarzy. – W ostatnim ośrodku, w którym byłam, w pokojach mieszkało po sześć dziewczyn i spałyśmy na piętrowych łózkach. Tutaj masz przynajmniej własną przestrzeń. Dlaczego tutaj trafiłaś?

– Ponieważ mój mąż to dupek – odpowiedziałam.

Uśmiechnęła się, a potem szybko zacisnęła usta, zakrywając odbarwione zęby.

– Lepiej, żeby TT tego nie usłyszeli – poradziła. – Powiedzą, że jesteś w fazie wyparcia i dopóki nie będziesz gotowa przyznać, że masz problem, nie zaczniesz zdrowieć.

– A jeśli nie mam problemu?

Wzruszyła wąskimi ramionami.

– Nie wiem. Szczerze mówiąc, nigdy nie widziałam na odwyku kogoś, kto nie miał problemu. A byłam na wielu.

Brawo!, pomyślałam.

– Co brałaś? – zapytała. Gdy nie odpowiedziałam, dodała: – No dalej, musiałaś coś brać.

– Och, no, środki przeciwbólowe. Leki przeciwbólowe na receptę. – Nagle dodanie „na receptę” wydało mi się ważne. W ten sposób informowałam dziewczynę, że nie wciągałam kraku na ulicy, że mogę być ćpunem, ale szanowanym ćpunem.

– Perc? – zapytała, wygładzając włosy. – Vic, oxy?

– Wszystko – potwierdziłam smutno.

– Tia. Tak zaczynałam. – Spojrzała przez moje ramię za okno, które ukazało nieatrakcyjny widok na podmokłe pola. – Wiesz, jak to jest. Jednego dnia wciągasz perc przed lekcją historii, a następnego jesteś w Kensington i jakiś facet o ksywie D-Block wbija ci igłę w ramię.

– Aha – odparłam. D-Block, myślałam w międzyczasie. W mojej historii nie ma żadnego D-Blocka. Ani Kensington. Ani igieł.

– Masz nakaz sądowy? – zapytała bez zbytniego zainteresowania. Od wyglądania przez okno i gładzenia włosów przeszła do sprawdzania makijażu oczu w lusterku wyciągniętym z kieszeni.

Potrząsnęłam głową.

– Zawaliłaś wyrywkowy?

Starłam się zrozumieć pytanie.

– Nie wiem, co to znaczy.

– Wyrywkowy test na obecność narkotyków przeprowadzany w pracy. Wiele starszych kobiet trafia tu z tego powodu. – Posłała mi życzliwe spojrzenie. – Bez urazy.

– Och, nie ma sprawy. – Nie byłam pewna, czy „bez urazy” odnosiło się do mojego wieku czy do faktu, że narobiłam sobie kłopotów w pracy. – Nie, pracuję na własny rachunek, więc nie przechodzę żadnych testów.

– Straciłaś prawo jazdy? Prowadzenie pod wpływem?

Znów potrząsnęłam głową.

– A ty? – zapytałam, jakbyśmy zostały sobie przedstawione na koktajlu, a ona właśnie posłała konwersacyjną piłkę na moją stronę siatki. – Pracujesz czy się uczysz?

– Byłam kelnerką. – Minutę zabrało jej przypomnienie sobie, jak prowadzić konwersację. – A co ty robisz?

– Jestem dziennikarką – odpowiedziałam, co brzmiało bardziej jak prawdziwy zawód niż blogerka.

– Aha. – Pociągnęła się za włosy. – Musiałaś studiować, żeby nią zostać?

– Cóż, tak, studiowałam, ale praktycznie rzecz biorąc, nie jest to konieczne. Trzeba mieć po prostu coś do powiedzenia. – Musiałam sobie przypomnieć, że byłam tutaj, by pomóc sobie, a nie komuś innemu, nie po to, by ocalić wszystkie ptaszki, które wypadły z gniazda. Nie przyszłam tu na praktyki, powiedziałam do siebie. Nie mam zamiaru zostać tu tak długo, by nauczyć się imion współlokatorek, nie mówiąc o zebraniu ich życiorysów.

– Dzień dobry, Meadowcrest! – ponownie zawołał głośnik.

Aubrey wywróciła oczami i wystawiła w kierunku sufitu środkowy palec.

– Panie, już czas. Poranne leki, śniadanie i inspekcja. Pobuuudka!

Rozległo się kolejne pukanie do drzwi.

– Czy to ty jesteś tą nową dziewczyną? – zapytała starsza kobieta. Miała

siwe kręcone włosy i była ubrana w czarne, luźne spodnie z poliestru, ortopedyczne buty sportowe z nieskazitelnie białymi sznurówkami i czerwony, rozpinany sweter z błyszczącymi, szklanymi guzikami. Na obfitej piersi zwisały okulary do czytania na łańcuszku z koralikami, miała złoty zegarek, złotą obrączkę, a na łańcuszku u jej szyi zwisał złoty krzyżyk i kolejny wisiołek z małymi, ceramicznymi figurkami w kształcie chłopców i dziewczynek, prawdopodobnie mającymi symbolizować jej wnuki.

– Dzień dobry – przywitała się i wyciągnęła dłoń. – Jestem Mary i jestem alkoholiczką.

Aubrey przewróciła oczami.

– Nie musisz tego zawsze powtarzać, Mary – powiedziała. – Tylko na mitingach.

– Próbuję się do tego przyzwyczaić – wyjaśniła Mary.

– Cześć – powiedziałam i starałam się wymyślić życzliwą kontynuację rozmowy. – Jak długo tu jesteście?

– Trzy dni – odparła Aubrey.

– A ja cztery – wyjaśniła Mary. – Jesteśmy *new kids on the block*⁴. – Spojrzała niepewnie na Aubrey. – Dobrze zapamiętałam? *New kids on the block*?

Aubrey się skrzywiła.

– Skąd mam wiedzieć? To starocie.

– Cóż – powiedziała Mary. Wyglądała na zdenerwowaną. – Potrzebujesz pomocy ze sprzątaniem pokoju?

– Kurwa – rzuciła Aubrey.

Podążyłam za jej wzrokiem na drugą stronę łazienki, w kierunku, prawdopodobnie, jej pokoju, wąskiego pomieszczenia, bliźniaczo podobnego do mojego. Sądząc po jego wyglądzie, Aubrey miała atak w środku nocy i porozrzuciła wokół wszystkie swoje rzeczy.

– Pomogę ci – zaproponowała Mary. Postanowiłam się przyłączyć i uniknąć przewinienia, czymkolwiek miało się okazać. Nie zamierzałam zostać tu długo, co nie oznaczało, że chcę zrobić złe wrażenie. Schyliłam się i zaczęłam zbierać dziewczęce przedmioty: lakier do paznokci za dziewięćdziesiąt dziewięć centów, majtki Victoria's Secret, czarną kredkę do powiek, egzemplarz *Wielkiej księgi Anonimowych Alkoholików* w miękkiej okładce, plik kartek odbitych na ksero zatytułowany *Zapobieganie nawrotom*, tekturową tablicę z napisem „Moja historia nałogu”, bluzkę, parę wywróconych na lewą stronę dżinsów, jeden but Ugg i opróżnioną do połowy paczkę ciasteczek z masłem orzechowym.

– Wiecie, gdzie dokładnie jesteśmy? W jakim mieście? – Podczas podróży tak źle się czułam i tak niewiele kojarzyłam, że nie zauważyłam, dokąd jechaliśmy.

– Na jakimś zadupiu w New Jersey – wyjaśniła Aubrey, wciskając książki i papiery pod łóżko. – To znaczy, pewnie ma jakąś nazwę, ale za cholerę nie wiem

jaka. Wszystkie ośrodki odwykowe są w jakichś pieprzonych dziurach, więc nie da się nic skołować.

Wzięłam naręczę rzeczy i położyłam je delikatnie pod wolno stojącą szafą.

– Ile razy przez to przechodziłaś?

Kiedy odpowiadała, nadal miała na twarzy ironiczny uśmieszek, ale w jej oczach dostrzegłam smutek.

– Sześć.

Sześć odwyków. Dobry Boże.

– A ty? – zapytałam Mary, a ta potrząsnęła głową.

– Och, nie, moja droga. To moje pierwsze leczenie. Chodźcie – zachęciła. – Powinnyśmy ustawić się w kolejce po leki.

Aubrey poszła do łazienki. Wróciłam do pokoju, założyłam czyste dżinsy i koszulkę, przetrzepałam plastikową poduszkę, zapięłam torbę i włożyłam ją do szafy. Potem wyszłam za Mary na szeroki korytarz oświetlony światłem fluorescencyjnym. Po obu stronach znajdowało się kilkanaście par drzwi, takich jak moje, wzmacniając podobieństwo budynku do taniego motelu. Szłyśmy wzdłuż holu, aż dotarłyśmy do biurka, które odkryłam wcześniej. Kręciło się obok niego około dwudziestu kobiet, większość w ubraniach, kilka w piżamach i szlafrokach. Wiele z nich trzymało białe plastikowe segregatory.

– Co to jest? – zapytałam i wskazałam podobny w rękach Mary.

– To zestaw powitalny i rozkład zajęć. Nie dostałaś?

Przecząco pokiwałam głową. Za komputerem przy biurku siedziała pochylona przysadzista kobieta w spodniach khaki i żółtej koszulce z krótkim rękawem. Plastikowa tabliczka z wyrytym imieniem informowała, że nazywa się Margo, a na koszulce po prawej stronie miała czerwoną nitką wyhaftowane „Meadowcrest Cottage”. Jej biurko było biednym krewnym lśniącego dębowego biurka przy wejściu, z bukietem kwiatów i naczyniem z cukierkami. To zrobiono z taniej sklejki, a zamiast kwiatów i słodczy leżał na nim stos kartek zatytułowanych *List od twojego nałogu*.

Drogi Przyjacielu!

Odwiedzam cię kolejny raz. Uwielbiam patrzeć, jak cierpisz mentalnie, fizycznie, duchowo i społecznie. Chcę utrzymywać Cię w stanie ciągłego niepokoju, byś nigdy nie mógł odpocząć. Pragnę, byś był niestabilny, nerwowy i przestraszony. Chcę sprawić, byś czuł się wzburzony i drażliwy, tak by wszystko i wszyscy Cię denerwowali. Chcę, żebyś wpadł w przygnębienie i dezorientację, byś nie był w stanie trzeźwo myśleć. Pragnę, byś znienawidził wszystko i wszystkich, zwłaszcza siebie samego. Chcę, żebyś czuł się winny i miał wyrzuty sumienia z powodu rzeczy zrobionych w przeszłości, o których nigdy nie zapomnisz. Chcę, żebyś złościł się na świat i nienawidził go za to, jaki jest, i za to, jaki ty jesteś. Pragnę, byś się nad sobą użalał i obwinał o obecny stan rzeczy

wszystko, tylko nie siebie. Chcę, żebyś stał się podstępny i niegodny zaufania, byś manipulował i oszukiwał tak wiele osób, jak to możliwe. Pragnę, byś się bał i wpadał w paranoję bez powodu, byś budził się z krzykiem w środku nocy i wołał mnie. Wiesz, że nie możesz zasnąć beze mnie. Jestem nawet w Twoich snach.

– Przepraszam – powiedziałam i uśmiechnęłam się do Margo. – Chciałabym z kimś porozmawiać o moim wyjściu stąd.

– Gdzie pani plakietka?

– Plakietka?

– Plakietka – powtórzyła i wskazała moją klatkę piersiową w sposób, który mogłabym odebrać jako zbyt bezpośredni, gdybym nie czuła się tak fatalnie. – W momencie przyjęcia dajemy mieszkańcom plakietkę z imieniem, segregator powitalny i rozkład zajęć. Musi pani stale ją nosić.

– Rozumiem, ale ja tu nie zostaję. Nie powinnam...

Uniosła dłoń.

– Kochana, nie mogę nawet z tobą rozmawiać, dopóki nie założysz plakietki. Sprawdź w swoim pokoju.

– W porządku.

Wróciłam do pokoju, a na korytarz wyległo więcej kobiet. Większość z nich była w wieku zbliżonym do Aubrey, ale widziałam kilka koło trzydziestki i czterdziestki, a nawet starszych. Młode dziewczyny miały na sobie obcisłe dżinsy, buty na obcasach, twarze w pełnym makijażu. Kobiety w moim wieku były ubrane w luźniejsze spodnie, nosiły mniej makijażu i, obowiązkowo, chodaki Dansko – oficjalne obuwie placów zabaw, sal operacyjnych, kuchni restauracyjnych i ośrodków odwykowych.

– Przepraszam – powiedziała smutna, wątła, pochylona kobieta, która wyglądała na jeszcze starszą niż Mary i używała chodzika, by dotrzeć do biurka. Wzdrygnęłam się i pomyślałam, że gdybym była osiemdziesięcioletnią narkomanką, liczyłabym na to, że przyjaciele i dzieci zostawią mnie, bym piła i ćpała w spokoju.

Oczywiście w pokoju przypominającym celę na biurku znalazłam beżową plakietkę z moim imieniem: Allison W. przypiętą do czarnej smyczy. Obok leżał segregator i rozkład zajęć. Rzuciłam w stronę łóżka tęskne spojrzenie, żałując, że nie mogę zwyczajnie znowu pójść spać, potem założyłam smycz przez głowę i poszłam z powrotem wzdłuż korytarza.

Zza podwójnych drzwi stołówki sączył się zapach masowo produkowanej żywności. Nawet gdyby nie mdliło mnie tak bardzo, nie wyobrażałam sobie, jak mogłabym cokolwiek zjeść. Czułam się ja Persefona w podziemiach – jeden kęs, jeden łyk, jedno nasiono granatu i utknę tu na zawsze.

Wróciłam do biurka i pomachałam plakietką Margo, biurkowemu trutniowi.

– Chciałabym zadzwonić do domu.

– Poranne leki – powiedziała, nie podnosząc głowy.

Podeszłam do stanowiska pielęgniarki, odstałam dwadzieścia minut w kolejce, połknęłam zawartość małego białego papierowego kubeczka, który mi podała, i wróciłam do biurka.

– Wzięłam leki – oznajmiłam i pokazałam Margo pusty kubeczek, wdzięczna, iż nie chciała oglądać moich pustych ust, jak pielęgniarka. – Czy mogę skorzystać z telefonu?

– Masz siedmiodniowy zakaz kontaktów – wyrecytowała, nie patrząc nawet powyżej mojej brody. – Żadnych wizyt, żadnych telefonów.

– Słucham? Nie pamiętam, bym się na to zgadzała.

Margo wydała z siebie ciężkie westchnienie.

– Skoro jest pani tutaj, to podpisała pani umowę, w której zgadza się pani na przestrzeganie naszych zasad.

– Czy mogę zobaczyć tę umowę? – Pamiętałam, że podpisywałam różne papiery: pozwolenie na udzielanie przez lekarza informacji o moim stanie zdrowia, pozwolenie na kontakt Meadowcrest z moją firmą ubezpieczeniową, ale wydawało mi się mało prawdopodobne, bym podpisała dokument, w którym obiecuję, że przez tydzień nie będę dzwoniła do domu. Oczekiwanie, że rodzice małych dzieci będą w stanie wytrzymać tak długo bez rozmów telefonicznych, też wydawało mi się nierozsądne. Poza tym czy umowa ma moc prawną, jeśli podpisała ją osoba świeżo wypuszczona z ostrego dyżuru, nadal przechodząca proces odstawienia?

Margo ziewnęła, nie racząc nawet zasłonić ust.

– Może pani zapytać swojego terapeutę.

– Kto nim jest?

– Przydzielimy go pani po wprowadzeniu.

– Kiedy to będzie?

– Po śniadaniu.

– Nie zamierzam zostawać na śniadanie. – Zmusiłam się do uśmiechu i ściszyłam głos. – To nie jest miejsce dla mnie. Chcę tylko wrócić do domu.

– Musi pani omówić to ze swoim...

Zanim powiedziała „terapeutą”, wskazałam teren przy drzwiach

wejściowych: ładne biurko, czystą poczekalnię z panoramicznym telewizorem i koszykami przekąsek, oraz drzwi.

– Co się stanie, jeśli teraz po prostu stąd wyjdę? – zapytałam.

Te słowa zwróciły uwagę Margo. Usiadła prosto i spojrzała na mnie tak, jakby widziała mnie po raz pierwszy.

– Jeśli wypisze się pani NWŻ, może pani wyjść po dwudziestu czterech godzinach – wyrecytowała. – Teraz nie możemy pani wypuścić. Nadal ma pani w organizmie leki odtruwające. To byłoby niebezpieczne.

– Nawet jeśli ktoś po mnie przyjedzie i pojedę prosto do szpitala? – Szpital brzmiał dobrze. Dostanę oddzielny pokój, przyniosę oczywiście własną pościel. Wyobraziłam sobie kroplówkę w ręce, przez którą płyną leki, dzięki którym ten proces staje się znośniejszy. Potem może pojedę na parę dni do spa. Świeże powietrze, długie spacery, nic silniejszego niż aspiryna i mrożona herbata. Idealnie.

– Dwadzieścia cztery godziny. Takie są zasady.

– Okej. – Przez dwadzieścia cztery godziny mogę wytrzymać wszystko. Tak długo rodziłam Eloizę. Poszłam dalej korytarzem i znalazłam w kolejce Mary i Aubrey.

– Skąd miałaś towar? – Usłyszałam, jak posągowa brunetka, która mogłaby zostać modelką, gdyby nie jej zniszczona trądzikiem cera, pyta drobnutką blondynkę w prześwitującej bluzce. Nie słyszałam odpowiedzi, ale brunetka zapiszczała:

– O jacie! Nie wierzę! Kto był twoim dilerem?

Drobna dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Powiedział tylko, by mówić do niego Szmal. – Musiała zauważyć, że się jej przyglądam, ponieważ odwróciła się w moją stronę i spojrzała zmrużonymi oczami. – Pracujesz tu?

– Ja? Nie...

Teraz patrzyło już na mnie kilka młodych dziewczyn.

– Alko? – zapytała wysoka brunetka.

– Tabletki – odpowiedziałam. Krótko i niewinnie, postanowiłam.

– Tia – powiedziała smutno brunetka. – Też tak zaczynałam.

Odnosiłam wrażenie, że wszyscy zaczynali od tabletek, a kiedy nie stać ich już było na leki lub nie mogli ich dostać, przechodzili na heroinę.

– Chodź – zachęciła Aubrey, gdy tłum dziewczyn i kobiet zaczął się przemieszczać korytarzem. – Śniadanie.

Ominęłam przywiedle kromki francuskich tostów i tłuste krążki kiełbasy na patelniach ze stali nierdzewnej postawionych na podgrzewanych ladach oraz dzbanki z barwionym syropem kukurydzianym udającym klonowy i zrobiłam sobie kubek herbaty. Pomieszczenie było wielkie i chłodne, licealna stołówka z piekła rodem, z nieprzyjemnym światłem i zużytym linoleum, starymi plakatami

motywacyjnymi przypiętymi pinezkami do ścian pomalowanych na wypłowiwały żółty kolor, a wśród nich nieodzowny wizerunek kota wiszącego na gałęzi podpisany „Trzymaj się!”. Większość powierzchni zajmowało sześć długich stołów z plastikowymi blatami i przymocowanymi do nich siedzeniami. Każdy z nich ozdabiał malutki ceramiczny wazon ze sztucznymi kwiatami – czyjaś smutna próba upiększenia owego miejsca. Pomieszczenie pachniało jak duchy tysiąca dawnych stołówkowych lunchów ze szkoły średniej, odgrzewanymi na parze burgerami i nieświeżymi frytkami, pokrojoną sałatą lodową wyjętą z torebki, podawaną z przesiąkniętymi konserwantami grzankami, tak twardymi, że można na nich złamać ząb. Usiadłam na końcu stołu, odrętwiała, boleśnie tęskniąc za tabletkami, i przysłuchiwałam się dalszemu ciągowi rozmowy pomiędzy wysoką brunetką a drobną blondynką.

– ...rodzice znaleźli mój sprzęt pod materacem i zatrudnili interwenta...

– Miałaś interwencję? Ale super! Cholera, moja mama powiedziała, że zabiera mnie do kina, a przywiozła mnie tutaj.

Sączyłam herbatę i patrzyłam na zegar. Miałam zamiar odzywać się najmniej, jak się da, najdłużej, jak się da. Przesiedzę ich wprowadzenie i przetrwam obowiązkowe dwadzieścia cztery godziny. Potem znajdę terapeutę, wyjaśnię swoją sytuację i poproszę Dave’a, Janet albo inną osobę, by po mnie przyjechała.

Nie pasowałam tutaj. Nie byłam taka jak reszta kobiet. Nie musiałam odbyć odwyku, by wykreślono mi z papierów jazdę pod wpływem, nie nakazał mi go sąd i nie zawałam testu na obecność narkotyków w pracy. Nikt o ksywie D-Block nie wbił mi igły w ramię i nie byłam pewna, czy znalazłabym Kensington nawet z pomocą GPS-u. Heroina, pomyślałam i wzdrygnęłam się. Te dziewczyny wstrzykiwały sobie narkotyki i prawdopodobnie robiły jeszcze gorsze rzeczy, by je zdobyć. Ja połknęłam tylko o kilka tabletek za dużo, a wszystkie (z wyjątkiem tych, które kupiłam w sieci) legalnie przepisali mi lekarze. To nie było miejsce dla mnie i musiałam wykombinować, jak szybko mogę stąd wyjść. Moja córka mnie potrzebowała, podobnie jak czytelnicy. Jak, u licha, pozwoliłam Dave’owi przekonać mnie, choćby na minutę, że mogę wypisać się ze wszystkich swoich obowiązków, by zamieszkać w takim miejscu?

– Czym się trujesz? – zapytała siedząca obok dziewczyna. Miała około dwudziestu lat, szerokie ramiona i mocną budowę ciała. Na jej jasnej twarzy nie widać było makijażu, a długie brązowe włosy upięła na czubku głowy w potargany kok. Miała na sobie szare spodnie od dresu, koszulkę z logo drużyny Eagles i plakietkę z imieniem Lena.

– Słucham?

– Co bierzesz, jaki towar? – wyjaśniła niskim, nosowym głosem, a naprzeciw mnie usiadła Mary.

– Tabletki, ale tak naprawdę nie... To znaczy, ja nie jestem... – Zamknęłam usta i zaczęłam jeszcze raz. – Właściwie nie mam zamiaru tu zostać. Uważam, że to nie jest dla mnie odpowiednie miejsce.

Dziewczyna w koszulce Eagles i Mary, obie posłały mi znaczące uśmiechy.

– Mówiłam to samo – przyznała Mary. Z niebieskimi oczami i siwymi lokami, zaokrąglonymi biodrami i obwisłym biustem wyglądała jak pani Mikołajowa po ciężkim weekendzie, podczas którego znalazła na twardym dysku Świętego Mikołaja sprośne zdjęcia elfów. – Przelewałam gin do butelki po wodzie mineralnej, bo to było eleganckie. – Bostoński akcent rozciągnął jej samogłoski w ostatnim wyrazie. Sączyłam herbatę, podczas gdy inne dziewczyny i kobiety przytakiwały. – Przyszłam tutaj z butelką mineralki i wydawało mi się, że wszystkich przechytrzyłam.

– Ja nikogo nie okłamywałam – przyznała Lena. – Przywieźli mnie prosto ze szpitala. Naszprycowali mnie narcanem.

– Słucham?

– Przedawkowałam. Niemal umarłam i musieli mi podać narcan. To zastrzyk, który przywraca cię do życia. Obudziłam się, wyrwałam kroplówki z ręki i wybiegłam z budynku. Miałam towar w staniku – opowiedziała.

– Aha. – Towar w staniku, pomyślałam. Dodać to do listy rzeczy, których nie robiłam i które nie do końca rozumiałam. Czy sprzęt różni się od towaru?

– Oczywiście, złapali mnie. – Lena, gdy mówiła, używała rąk, wykonując duże, obszerne, zamaszyste ruchy. Kiedy nie gestykulowała, głaskała swój kucyk jak zwierzątko. – Byłam w więzieniu przez sześć tygodni, a potem pracowałam na zewnątrz, ale spieprzyłam sprawę, bo się narąbałam i mój kurator mnie zapuszkował. – Kurator, praca na zewnątrz, więzienie, gin w butelkach po wodzie mineralnej, picie przed trzecią godziną programu telewizyjnego śniadaniowego *Today Show*. Rozejrzałam się wokół, kolejny raz zwracając uwagę na drzwi i zastanawiając się, co by się rzeczywiście stało, gdybym po prostu wstała, wzięła torebkę i torbę podróżną i wyszła z budynku. Oczywiście nie wiedziałam, gdzie dokładnie jestem. Na tym polegał problem. Nie miałam również żadnych pieniędzy – pamiętałam, że razem z torbą zabrano mi portfel i telefon. Oparłam na dłoniach pulsujące boleśnie skronie i zmusiłam się, by oddychać powoli, starając się opanować wrażenie, że zaraz wyskoczę ze skóry.

Zadzwiećczał dzwonek. Dziewczyny i kobiety wstały z tacami w dłoniach i pomaszerowały do okienka ze stali nierdzewnej wyciętego w ścianie. Podniosłam swoją tacę i stanęłam w kolejce, a potem wrzuciłam łyżeczkę do kubła z płynem do zmywania i wsunęłam kubek przez otwór, z którego przejęła go pomywaczka w gumowych rękawiczkach i siatce na głowie.

– Chodź – zachęciła Aubrey i wyszłam ze stołówki razem z tłumem.

O dziewiątej tego ranka siedziałam na kanapie obitej błyszczącą i zdecydowanie sztuczną tkaniną w pomieszczeniu zwanym „Damskim salonem”, a mężczyzna o figurze przypominającej kciuk i czerwonej twarzy wrzeszczał na mnie.

– Wszyscy uzależnieni są samolubni – mówił. Był jak sławny mały imbryk, niski i pękaty⁵. Czerwień jego taniego, akrylowego swetra pasowała do twarzy. Niebieskie spodnie marszczyły się niepokojąco w kroku, a nogawki były tak krótkie, że ukazywały skarpetki w romby i fragment owłosionej голени. Na nogach miał pozdierane mokasyny z frędzlami, a na swetrze widniała plakietka z imieniem Darnton. Patrzył na nas oskarżycielsko. We wprowadzeniu brały udział trzy osoby: ja, Aubrey i Mary, która płakała cicho od momentu wejścia do pomieszczenia. – Wszyscy uzależnieni są samolubni – powtórzył i uniósł przypominające gąsienice brwi, prowokując nas, byśmy mu zaprzeczyły. Gdy nikt tego nie zrobił, otworzył trzymaną w ręce książkę w miękkiej, niebieskiej okładce i zaczął czytać. Zastanawiałam się leniwie, czy zaczął w miejscu, w którym skończył z poprzednią grupą, czy brnął przez *Wielką księgę* bez względu na to, kto go słuchał. – Po pierwsze, musimy się przekonać, że opieranie życia na własnej woli nie przyniesie korzystnych rezultatów.

Zamrugałam. Ręce mnie bolały i drżały. Głowa nadal boleśnie pulsowała. Chciałam się położyć, skulić pod kocem, spokojna i wolna od bólu dzięki tabletkom.

– Dlaczego tu jesteś? – Darnton zapytał Aubrey.

Wzruszyła ramionami.

– Bo rodzice znaleźli mój sprzęt.

– Chcesz przestać brać?

Kolejny ruch ramion.

– Raczej.

– Raczej – powtórzył Darnton pełnym sarkazmu głosem. Czy przedrzeźnianie uzależnionych było skuteczną metodą przekonania ich do zmiany? Zanim zdołałam dojść do jakichś wniosków, Darnton zwrócił się do Mary. – A ty?

– Za dużo piłam – odpowiedziała drżącym głosem. – Robiłam okropne rzeczy.

Darnton wydawał się równie zainteresowany samobiczowaniem Mary, co nonszalancją Aubrey.

– A ty?

Zmusiłam się, by usiąść prosto.

– Brałam środki przeciwbólowe.

– Brałaś środki przeciwbólowe, ponieważ...? – nalegał kciuk.

– Ponieważ cierpiałam – odpowiedziałam. Halo! Pał lichy, że ból był psychiczny, a nie fizyczny. Kciuk nie musiał o tym wiedzieć. Spojrzałam na ścianę, gdzie wisiały dwa plakaty. „KROK PIERWSZY”, przeczytałam. „Przyznaliśmy, że jesteśmy bezsilni wobec alkoholu i życie wymyka się nam spod kontroli”. Potem odwróciłam się z powrotem w stronę głupkowatego, małego człowieczka, który robił nam wykład na temat naszych „wad charakteru”, straszył czymś, co nazywał „umysłową chorobą nałogu”, która jak twierdził, ma swe korzenie w egocentryzmie. – Jeśli już, to zażywałam tabletki, ponieważ próbowałam zrobić zbyt wiele dla innych ludzi – wtrąciłam. – Mój ojciec ma alzheimera, więc pomagałam jemu i matce. Opiekuję się też córką i piszę teksty na kobiecą stronę internetową.

Brwi Darntona uniosły się praktycznie aż do linii włosów albo przynajmniej tam, gdzie kiedyś była.

– O, pisarka – powiedział. Myślał pewnie, że kłamię. Biorąc pod uwagę moje podrapane ręce, bladość, niechlujny wygląd włosów i ubrań, delikatny zapach wymiocin oraz oczywiste fakt, że byłam na odwyku, nie winiałam go za to.

– Tak, jestem pisarką – potwierdziłam. – I to nie moje własne życie wymknęło mi się spod kontroli, ale życie innych.

Kciuk ponownie otworzył księgę i czytał dalej.

– Samolubstwo – egocentryzm! To, naszym zdaniem, jest sedno kłopotów. Powodowani tysiącem form strachu, okłamywania samego siebie, egoizmu i uzalania się nad sobą...

– Zgłosiłam się z własnej woli – powiedziałam. Słyszałam, że głos mi drży. Przełknęłam głośno ślinę. Nie ma mowy, bym się rozplakała na oczach tego napastliwego małego dupka. – Prowadziłam dom, opiekowałam się córką i rodzicami, pomagałam w szkole...

Darnton ponownie uniół brwi.

– Robiliśmy wszystko, prawda?

– Więc albo jestem egoistką, albo męczenniczką?

Męczyzna wzruszył ramionami.

– Twoje myślenie przywiodło cię tutaj. Zastanów się nad tym. – Wrócił do czytania. – Alkoholik jest krańcowym przykładem upartego szaleńca, chociaż on sam zwykle tak o sobie nie myśli. – Przerwał, by posłać mi znaczące spojrzenie.

– Nie myślę o sobie „on” – zaznaczyłam. Słuchałam fragmentów *Wielkiej księgi* zaledwie od dwudziestu minut, ale już zdążyłam się zorientować, że przydałaby się jej aktualizacja pod względem używanego rodzaju gramatycznego.

– Przede wszystkim my, alkoholicy musimy pozbyć się tego egoizmu. Musimy, bo inaczej nas zabije! – Odłożył książkę i przyjrzał się nam. Aubrey wyglądała, jakby spała, a Mary płakała cicho w dłonie.

– Uważasz, że twoje życie jest w porządku – powiedział do mnie. Lepsze niż twoje, pomyślałam niemiło i wyobraziłam sobie żywot pasujący do jego stroju: obłożony sidingiem dom na nieciekawych przedmieściach jakiegoś miasteczka, dziesięcioletni samochód wielkości pudełka od butów pałacy jak smok i oczekiwanie na zwrot podatku, by spłacić odsetki na karcie kredytowej. Malutki człowieczek z malutkim umysłem i garstką sloganów, które powtarzał bez względu na to, kto był z nim w pomieszczeniu i jakie miał problemy. – Założę się, że kiedy wrócisz do domu i spojrzysz na swoje sprawy trzeźwo, pomyślisz inaczej. – Kiedy nie odpowiedziałam, dodał: – Zanim wytrzeźwiałem, montowałem meble w kuchni. Uważałem, że są piękne. Myślałem, że naprawdę wiem, co robię. Kiedy wróciłem do domu, zobaczyłem, że to kompletna katastrofa. Półki były krzywe, drzwiczki szafek się nie domykały. Kiedy się sfrustrowałem, zrobiłem dziurę w ścianie.

– Przykro mi to słyszeć – powiedziałam, chociaż tak nie było. Kompletnie nie obchodził mnie ten człowiek z kiepską fryzurą, w tanich ciuchach. Poza tym mój dom wyglądał dobrze. Żadnych dziur w ścianach ani krzywych półek. W każdej chwili mogłam zadzwonić do Henry’ego, złotej rączki.

– Zajmowałeś się rodzicami – przypomniał człowieczek.

– Mój tata ma początkowe stadium alzheimera.

Mary w końcu przestała płakać na wystarczająco długą chwilę, by podnieść wzrok.

– Ja też! To znaczy, nie ja, tylko mój mąż.

Darnton uniósł dłoń i uciszył Mary.

– I swoją córką – kontynuował człowieczek.

– Moją córką, moją pracą, moim mężem, moim domem.

– Czy kiedykolwiek pomyślałaś, że... – zakreślił w powietrzu cudzysłów – „pomagałaś” im wszystkim, by móc ich kontrolować?

Nagle poczułam się tak zmęczona, że ledwie mogłam mówić. Tak bardzo potrzebowałam tabletek, że aż chciało mi się płakać. Jak mam przeżyć resztę życia w świecie opanowanym przez takich idiotów jak ten, bez obietnicy ukojenia pod koniec dnia?

– Pomagałam im, ponieważ potrzebowali pomocy.

– Jestem samolubna – wyszeptala Aubrey. Jej powieki pokryte grubą warstwą cienia były teraz zamknięte, a ona, mówiąc, skubała skórę przy paznokciu. – Kradłam rodzicom, kradłam babci.

– A ty? – mężczyzna zapytał Mary.

– Nie sędzę – odpowiedziała z wahaniem. – Zaczęłam dużo pić, dopiero gdy córka urodziła dzieci. Po in vitro miała trojaczki, więc raz w tygodniu jeździłam z Maryland na Long Island i spędzałam z nią trzy dni, a potem jechałam na weekend do New Jersey, by pomóc synowi. Jest samotny i tylko w weekendy

widuje dwójkę swoich dzieci. Myślę, że dlatego piłam. Byłam tak spięta po całym jeździe i opiece nad dziećmi, że po prostu nie potrafiłam się wyciszyć. Robiłam sobie gin z tonikiem, to zawsze pijaliśmy z mężem, a jeśli jeden drink nie pomagał, wypijałam drugi, a potem... – Łzy popłynęły z jej zaczerwienionych oczu. – Zatrzymano mnie za jazdę pod wpływem – wyszeptała. Jedną ręką Mary powędrowała na brzeg bluzy i skubała ją, gdy mówiła: – Wjechałam w tył innego samochodu, gdy wiozłam wnuki. Nie miałam zamiaru prowadzić, ale syn utknął w pracy, a ja byłam jedyną osobą, która mogła odebrać dzieci. Powinnam była odmówić, wymyślić wymówkę, dlaczego nie mogę prowadzić, ale tak bardzo się wstydziłam. Tak się wstydziłam – powtórzyła i znów zaczęła płakać.

Świetnie, pomyślałam. Wściekły kciuk, pijana babcia i złodziejka. Co było nie tak na tym obrazku? To, że ja na nim byłam.

– Przepraszam – powiedziałam uprzejmie i podeszłam do drzwi.

Darnton posłał mi gniewne spojrzenie.

– Wprowadzenie trwa do dziesiątej piętnaście. Potem macie „Konie”.

– Konie? Hmm, nie – odpowiedziałam. – Muszę teraz z kimś porozmawiać.

Wyszłam z sali. Margo, kobietę ze zmiany śniadaniowej, zastąpiła młodsza dziewczyna w takim samym stroju. Ta miała wąsik, delikatny, ale zauważalny. Na klawiaturze jej komputera leżała otwarta *Wielka księga*, ale pod nią dostrzegłam magazyn „People” z nagłówkiem „Kobiety *Kawalera* ujawniają wszystko!”.

– O mój Boże – powiedziałam. – Przegapię randkę w apartamencie!

Kobieta posłała mi przelotny uśmiech. Zamiast plakietki na smyczy nosiła przypinkę z imieniem Wanda.

– Przykro mi, nie możecie oglądać telewizji, tylko filmy związane z programem odwykowym.

– Jak będę żyła, jeśli nie dowiem się, czy wybrał Kelly S. czy Kelly D. – zastanawiałam się. W tym momencie przypominałam sobie wszystkie odcinki, które oglądałam z Ellie przytuloną do mnie na kanapie. Między nami stała miska popcornu, a Ellie zasypiała z głową opartą na moim ramieniu. Było normalnie (prawie), radośnie. Boże, co się stało, że straciłam to wszystko i wylądowałam tutaj?

Kobieta ściszyła głos.

– Czy pani je faktycznie rozróżnia?

– Jedna jest fryzjerką, a druga była tancerką NBA – odpowiedziałam.

– No tak, ale wyglądają identycznie.

– Wszystkie kobiety w tym programie wyglądają tak samo.

Mogłam rozmawiać na ten temat w nieskończoność. Napisałam nawet na blogu kilka dobrze przyjętych postów o jednorodności kobiet w *Kawalerze do wzięcia*.

– Zrobimy tak – zaproponowała Wanda. – Nie mogę przemyścić DVD, ale

powiem pani, które dziewczyny dostały róże.

– Umowa stoi – zgodziłam się. Ogromnie mi ulżyło, że nie wszyscy w tym ośrodku byli potworami. Właśnie wtedy na horyzoncie pojawił się kolejny pracownik Meadowcrest. Wanda schowała czasopismo, a nowa kobieta przyglądała mi się. Była w średnim wieku, miała blond boba i zmęczone niebieskie oczy schowane za okularami w drucianych oprawkach.

– Dzień dobry – przywitałam się. – Czy może mi pani pomóc znaleźć mojego terapeuty?

– Kto nim jest?

– Cóż, mam nadzieję, że pani pomoże mi to ustalić. Nie znam jeszcze jego nazwiska. Właśnie skończyłam wprowadzenie. – O ile mi wiadomo, to była prawda.

– Zazwyczaj nie przydzielamy terapeutów wcześniej niż trzeciego lub czwartego dnia.

– Czy mogę skorzystać z telefonu?

– Jeśli dopiero trafiła pani do ośrodka, obowiązuje panią siedmiodniowy zakaz kontaktów. Musi pani uzyskać zgodę na wykonanie telefonu od swojego terapeuty.

– Ale właśnie mi pani powiedziała, że mi go nie przydzielono. – Rozmowa zaczynała przypominać wyświechtany dialog między Abbottem i Costellem.

– W takim razie – powiedziała kobieta pełnym samozadowolenia głosem – będzie się pani musiała uzbroić w cierpliwość.

– Pani chyba nie rozumie – wyjaśniłam. – Zaszła pomyłka. Nie muszę być na odwyku, nie jestem uzależniona. Zażywałam środki przeciwbólowe przepisane przez lekarza. Teraz czuję się dobrze i chcę wrócić do domu.

– Może się pani wypisać NWŻ, co oznacza „na własne żądanie”, ale pani terapeuta musi podpisać stosowne dokumenty.

– Ale ja nie mam opiekuna!

Wpatrywała się we mnie przez minutę, a ja odwzajemniałam jej spojrzenie, stojąc pewnie na ziemi.

– Proszę poczekać – burknęła w końcu. Pochyliła się nad telefonem i wymamrotała coś, czego nie zrozumiałam. Chwilę później ogromna kobieta z długimi włosami, bladą cerą i jasnymi wylupiastymi oczami kaczym chodem wyszła zza rogu. Jej spodnie khaki szeleściły z każdym krokiem, a plakietka na smyczy odbijała się od falujących wałków ciała.

– Allison? Jestem Michelle. Rozumiem, że zaistniał jakiś problem? – Miała wysoki, śpiewny głos. Brzmiała podobnie do panny Katie, która prowadziła zajęcia w przedszkolu w Stonefield.

Poszłam za nią do gabinetu wielkości szafy, w którym królowało biurko. Wentylator przypięty do framugi miał powietrze, włącznie z zapachem odgrzanej

w mikrofalówce pizzy. Na ścianie wisiało „Dwanaście kroków”. Michelle usadowiła się na krześle, które wydało z siebie pisk protestu.

– Proszę mi powiedzieć, co się dzieje?

Opowiedziałam jej o wszystkim: o dziewczynach uzależnionych od heroiny przy śniadaniu, o protekcyjnym człowieczku na wprowadzeniu, o tym, że rozumiałam, że mam problem z kontrolowaniem przyjmowania leków, „ale nie, wie pani, na poziomie wymagającym odwyku”.

Michelle odwróciła się do komputera, wstukała coś szybko na klawiaturze, a potem spojrzała na mnie swymi wylupiastymi oczami.

– Przyjmowała pani sześćset miligramów oxycontinu dziennie?

Wzruszyłam ramionami, starając się nie wzdrygnąć.

– Tylko w bardzo złe dni. Zazwyczaj nie brałam aż tyle – skłamałam.

Wzięła do ręki tani plastikowy długopis i zastukała nim w biurko.

– Podejrzewam, Allison, że tabletki były pani sposobem leczenia na własną rękę, odsunięcia się od bolesnych sytuacji bez faktycznego ruszania się gdziekolwiek.

To brzmiało rozsądnie, ale nie pozwoliłam sobie przytaknąć ani w inny sposób zasygnalizować, że kobieta może mieć rację.

– Myślę więc... – Uniosła dłoń, jakbym chciała jej przerwać. – Nie, proszę mnie wysłuchać. Myślę, że rzeczywiście musi pani tu zostać.

– Może potrzebuję pomocy – przyznałam. – Ale to nie jest miejsce dla mnie. Bez urazy, ale podejrzewam, że jestem tutaj, ponieważ mój mąż myślał, że zmienię zdanie, zanim wsiądę do samochodu. Założę się, że znalazł ten ośrodek w Internecie w pięć minut. Nie dałam mu czasu na dłuższe poszukiwania. Pewnie są bardziej odpowiednie dla mnie instytucje, gdzie – szukałam słowa, które brzmiałyby oficjalnie – społeczność bardziej przypomina ludzi mojego pokroju.

Po twarzy Michelle przemknął wyraz zaniepokojenia. Szybko zastąpił je spokój, którym emanowała od początku naszej rozmowy.

– Skąd takie poczucie?

– Cóż, po pierwsze, biorąc pod uwagę wiek, mogłabym być matką większości dziewczyn.

– To nieprawda – zaprzeczyła Michelle. – Jest tutaj całkiem sporo kobiet w pani wieku i starszych.

– „Kilka” tak, ale nie „sporo” – odparłam. – Chyba że je pani gdzieś ukrywa. Poza tym te dziewczyny ćpały na ulicy.

– A pani nie?

Potrząsnęłam głową.

– Nie, ja brałam leki na receptę. – Z wyjątkiem tych, które kupiłam w sieci, ale to nieważne.

– Uważa pani, że to odróżnia ją od reszty mieszkanek ośrodka?

Zawahałam się, wyczuwając pułapkę.

– Tak – przytaknęłam w końcu. – Uważam, że jestem inna.

– Myśli pani, że jest lepsza? – Nie odpowiedziałam. – Myślę, że przemawia przez panią choroba – kontynuowała Michelle. – Uzależnienie to jedyna choroba, która mówi pani, że nie jest pani chora.

– Nie jestem pewna, czy faktycznie uważam, że uzależnienie to choroba – przyznałam, ale Michelle była w swoim żywiole.

– Choroba mówi pani, że nie pasuje pani do tego miejsca. Mówi, że nie ma pani problemu, a nawet jeśli tak, to nie jest on tak poważny. Pani choroba mówi: „Poradzę sobie z tym. Zrobię to sama. Mogę ograniczyć tabletki. Nie potrzebuję «Dwunastu kroków», a już na pewno nie potrzebuję odwyku”. – Milczałam. Oczywiście właśnie tak myślałam.

– Ale to pani myślenie przywiodło panią tutaj. Proszę o tym przez chwilę pomyśleć. – Dokładnie to samo powiedział mi Darnton. Kolejny oklepany slogan, który z pewnością recytowali każdemu kłopotliwemu pacjentowi.

– Chciałabym porozmawiać z mężem i mamą. Muszę się dowiedzieć, jak się czuje moja córka.

– Pani terapeuta pomoże to załatwić.

– Ale ja nie mam terapeuty! – Zamknęłam usta. Znowu krzyczałam. – Pani nie rozumie – wyjaśniłam i splotłam palce, by ręce mi nie drżały. – Nie miałam czasu, by załatwić różne sprawy dla córki i mamy. Tata dopiero przeniósł się do ośrodka opiekuńczego, a mama wprowadziła się do nas.

– Cóż – powiedziała kokieteryjnie Michelle. – Mam wrażenie, że pani mąż będzie miał pomoc w pracach domowych.

W innych okolicznościach zaśmiałabym się.

– Gdyby moja matka była normalną osobą, to byłaby prawda – wyjaśniłam. – Ale mama to praktycznie kolejne dziecko. Nie prowadzi samochodu, a nawet gdyby tak było, nie zna rozkładu zajęć Ellie i córka nie będzie jej priorytetem. Mama będzie martwiła się o tatę. – Czułam się przytłoczona na samą myśl o bałaganie, który zostawiłam, o zadaniach, których nie skończyłam, o komentarzach, których nie zatwierdziłam, wizytach Ellie u dentysty, których nie umówiłam, własnej wizycie kontrolnej, którą przekładałam, dekarzach, których nie zdążyłam zamówić. – Nie mogę tu zostać – poinformowałam Michelle. – To niemożliwe. Zbyt wieloma sprawami muszę się zająć.

Skinęła głową.

– Tak wiele z nas, kobiet, czuje, że to my trzymamy na barkach cały świat. Jakby bez nas miał się zawalić.

– Nie mogę się wypowiadać w imieniu innych, ale w moim przypadku, to rzeczywiście prawda – oznajmiłam.

Michelle zdawała się nie słyszeć.

– Akceptacja jest trudna – powiedziała.

Zmarszczyłam brwi.

– Akceptacja czego?

– Powiedz mi, Allison, co tak trudno ci zaakceptować?

Starłam się nie przewrócić oczami.

– Na początek fakt, iż nie pozwalacie mi porozmawiać z córką i wyjaśnić, dlaczego nie ma mnie w domu. Nie uważam, by była to nierozsądna prośba. Proszę – powiedziałam. Może to była wina odstawiania, wycieńczenie z powodu tego, przez co moje ciało przeszło przez ostatnich kilka dni, ale czułam się zbyt zmęczona i zbyt smutna, by dalej się kłócić. – Chcę tylko porozmawiać z kimś w domu.

Michelle przesunęła myszką w przód i w tył, zerknęła na ekran komputera, a potem przez minutę pisała na klawiaturze.

– Kierownik działu terapeutycznego ma czas o dwunastej w południe. Ma na imię Nicholas.

– Dziękuję. Doceniam pani pomoc. – Proszę, potrafiłam być rozsądna. Potrafiłam być miła. I czułam się podniesiona na duchu.

– Na razie jednak, proszę, by dołączyła pani do swojej grupy.

– Dziękuję – powtórzyłam. Uznałam, że już zaczęłam wracać. Trzy godziny zajęło mi zorganizowanie obietnicy telefonu do rodziny. Byłam pewna, że przed końcem dnia będę mogła stąd wyjść i pojechać do domu.

Wyszłam z budynku i weszłam na chodnik. Przyjemnie było poczuć na twarzy świeże powietrze po wdychaniu stale krążącej w budynku stęchlizny. Byłam już w połowie trawnika, gdy usłyszałam krzyk.

– Hej! Nie możesz tamtędy iść! Hej!

Odwróciłam się i zobaczyłam młodego mężczyznę w spodniach khaki.

– To męska ścieżka.

Rozejrzałam się wkoło, by upewnić się, że mówi do mnie, a następnie spojrzałam w dół, na chodnik, który wydawał się całkiem neutralny płciowo.

– Słucham?

– Mężczyźni i kobiety muszą chodzić po oddzielnych ścieżkach. Twoja jest tutaj. – Wskazał dróżkę.

Wzruszyłam ramionami i ruszyłam przez trawnik.

– Nie! – wrzasnął. – Musisz wrócić i zacząć od początku! Nie można chodzić po trawniku!

Zatrzymałam się i spojrzałam na niego.

– Czy to coś w rodzaju zabawy „Simon mówi”?

– Droga na skróty nie przyniesie nam żadnego pożytku!

– Proszę?

– To z *Wielkiej księgi*. Nie można chodzić na skróty.

Nieważne. Wróciłam pod drzwi, weszłam na odpowiednią ścieżkę i zobaczyłam Aubrey i Mary stojące pośrodku ogrodzonego owalnego terenu. Wpatrywały się z niepokojem w wielkiego konia o brązowej sierści i piaskowej grzywie, który ignorował je i skubał kępkę trawy. Pomachałam do nich, potem przeszłam przez ogrodzenie i szłam przez błotnistą ziemię, kiedy kobieta w kowbojskim kapeluszu uniosła rękę.

– Chyba ominęła pani wejście.

Cholera. Westchnęłam, wróciłam przez płot, przeszłam długą drogę wokół padoku i otworzyłam bramkę.

– Co się dzieje?

Kobieta w kowbojskim kapeluszu nie odpowiedziała. Aubrey, której błyszczący cień do powiek i kozaki na obcasach wyglądały dziwnie w czerwcowym słońcu, powiedziała:

– Mamy założyć to na tamto. – „To” oznaczało płataninę skórzanych pasków i klamer, a „tamto” konia.

– Dlaczego?

– To jest hipoterapia – wyjaśniła Mary.

– Jak ma nam to pomóc?

– Cóż, nie jestem pewna, moja droga.

Aubrey podała mi paski i kłamry. Był to rodzaj uprzęży, a przynajmniej tak mi się wydawało. Moje doświadczenie z końmi ograniczało się do zabierania Ellie na przejażdżki na kucyku w zoo.

– Przepraszam – zapytałam kobietę w kowbojskim kapeluszu. – Czy może mi pani powiedzieć, jaki to ma cel?

Nie odpowiedziała.

– Chyba nie wolno im z nami rozmawiać – wyjaśniła Mary.

– To idiotyczne – wymamrotałam.

Aubrey przestępowała z nogi na nogę i pocierała ramiona dłońmi.

– Wiesz w ogóle, o co w tym chodzi?

Aubrey wzruszyła ramionami i potrząsnęła głową.

– Może chodzi o pracę w zespole? Albo budowanie pewności siebie, czy coś? Nie wiem. Połowa tego gówna na odwyku jest kompletnie od czapy, a drugą połową można się zanudzić na śmierć. Poczekaj tylko na wykład Eda McGreaveya *Znajdź swój cel*.

– Nie podobał ci się? – zapytała Mary. – Słyszałam, że jest bardzo inspirujący.

Aubrey zaczęła przeczesywać włosy palcami.

– Tak, za pierwszym razem też tak myślałam. Ale po wysłuchaniu go trzy albo cztery razy, kiedy widzisz, jak Ed płacze dokładnie w tym samym momencie...

– Kiedy opowiada, jak jego brat złamał nogę podczas jazdy na nartach po niebezpiecznych stokach, gdzie można się dostać tylko helikopterem?

– Dokładnie.

Spojrzałam na uprzęż, a potem na konia.

– Więc musimy tylko w jakiś sposób założyć koniowi uprzęż?

– I musimy się w trakcie tego zadania dotykać – dodała Aubrey.

– Hę?

– Zrobić wężyka – wyjaśniła Mary i położyła mi ręce na biodrach.

– Okej. – Mary trzymała za biodra mnie, a Aubrey ją i posuwając się powoli w poprzek padoku, podeszliśmy do konia. Uniósł głowę i posłał nam koński odpowiednik pogardliwego prychnięcia. Aubrey pisnęła, a Mary się cofnęła.

– On boi się nas bardziej niż my jego – powiedziałam. Znalazłam szerszą pętlę w skomplikowanej płataninie pasków i przełożyłam ją koniowi przez głowę, a potem zawiązałam pozostałe wiszące paski na kokardę. – Proszę, gotowe.

Mary zmarszczyła brwi.

– To chyba nie tak.

– Powiedzieli, że mamy to założyć, a nie, że musi wyglądać ładnie. – Pociągnęłam za paski. Koń się nie poruszył. Pociągnęłam mocniej – No chodź. –

Wreszcie, niechętnie, koń podniósł jedną nogę, a potem drugą.

– Rusza się! – cieszyła się Aubrey.

– Udało nam się! – krzyknęła Mary.

Kobieta o kamiennej twarzy, w kowbojskim kapeluszu obserwowała nasze działania, ale nic nie powiedziała. Prawie kończyłyśmy drugie okrążenie, kiedy do ogrodu podjechał wózek golfowy i dzieciak w spodniach khaki zawołał moje imię.

– Allison W.?

Przekazałam wodze Mary i wsiadłam do meleksa. Podwieziono mnie do parterowego budynku, który wyglądał na drewniany, ale okazało się, że był pokryty sidingiem. Kanapa w poczekalni sprawiała wrażenie skórzanej, ale była obita innym materiałem, a „Dwanaście kroków” oprawionych i powieszonych na ścianie zostało zapisane w wersji skróconej. Krok pierwszy brzmiał „Nie potrafię”, krok drugi – „Bóg potrafi”, „Pozwól Mu”, radził krok trzeci. Znowu Bóg, pomyślałam i opadłam na kanapę. Kwestia Boga będzie problematyczna. Wychowano mnie na żydówkę i miałam ogólny obraz Boga jako gniewnego starca z długą siwą brodą, który głównie sprawdzał i dręczył swoich wyznawców: wyrzucił z raju Adama i Ewę, ukarał biednego Hioba, utopił egipskich żołnierzy. Czy ten Bóg – w którego nie byłam nawet pewna, czy wierzę – rzeczywiście miał mnie powstrzymać przed braniem zbyt dużej ilości oxycontin? Zwłaszcza jeśli to On pozwalał, by dzieci ginęły zastrzelone w przedszkolu, młode matki umierały na raka, a miliony ludzi cierpiały i ginęły z powodu koloru skóry lub wyznania?

W poczekalni nie leżały żadne znane mi czasopisma, jedynie wysłużony egzemplarz magazynu „Zdrój”, który okazał się skrzyżowaniem *Prawdziwych wyznań* i magazynu „MAD”, tyle że dla pijaków. W holu na zewnątrz widziałam stale przepływający strumień ludzi, mężczyzn i kobiet, pojedynczych i w grupach, zgarbionych kolesi z rozbieganym wzrokiem i ładnych dziewczyn w dżinsach tak obcisłych, że zastanawiałam się, czy nie są to legginsy z nadrukowanymi kieszeniami. Wreszcie drzwi się otworzyły i smukły Afroamerykanin w lnianym garniturze uśmiechnął się do mnie.

– Allison W.?

Przytaknęłam i wstałam, oddychając głęboko, gdyż zalała mnie kolejna fala mdłości.

– Proszę wejść.

Jego gabinet był zdecydowanie najprzyjemniejszym pomieszczeniem w Meadowcrest. Na podłodze leżał elegancki orientalny dywan. Ściany pomalowano na ładny zielony kolor w odcieniu selera naciowego, rzeźbione, lakierowane drewniane biurko wyglądało na prawdziwy antyk, a stojące za nim krzesło było obite skórą. Na ścianie wisiał obowiązkowy egzemplarz „Dwunastu kroków” – czy kupowali je hurtem? – ale przynajmniej ten otaczała ładna rama ze

złotymi liśćmi.

Nicholas uściskał moją dłoń.

– Miło mi panią poznać – powiedział.

Może dlatego, że miałam wrażenie, że rzeczywiście mnie widział, gdy na mnie patrzył, a może dlatego, że zapiszczał mój gejdard, ale Nicholas przypominał mi doktora McCarthy'ego z Filadelfii. Tego, w którego gabinecie wypełniłam quiz i który tak życzliwie zapytał mnie, co robię, by zadbać o siebie. Jakże inaczej potoczyłyby się spawy, gdybym wówczas powiedziała mu, co się dzieje, albo gdybym przestała brać, zanim dowiedziałam się o możliwości zamawiania leków w sieci?

Usiadłam na krześle po przeciwnej stronie biurka i spojrzałam na zdjęcie w srebrnej ramce. Przedstawiało Nicholasa i starszego białego mężczyznę, obydwo w smokach. Trzymali dłonie na ramionach ładnej, ciemnowłosej dziewczyny wyglądającej, jak mi się wydawało, na przyjaciółkę, która sypała kwiaty podczas ich ślubu.

Nicholas zauważył moje spojrzenie.

– Nasz ślub – wyjaśnił.

– Czy to pańska córka? Jest śliczna.

– Moja córka chrzestna, Gia – odpowiedział. – Pani ma córeczkę, prawda? – Nic dziwnego, na jego biurku leżała otwarta teczka z moim nazwiskiem wydrukowanym na okładce.

– Eloizę – odpowiedziałam, czując, że serce zaczyna mi mocniej bić, a imię grzęźnie w gardle.

– Jak ta z książki?

– Jak ta z książki – potwierdziłam. Ellie, pomyślałam i przypomniałam sobie jej zabawne, władcze gesty, to, jak wykrzykiwała co piąte słowo, narzekała, że wszystko robię GODZINAMI, lub przyszła do domu z płaczem: „Wszystkim w przedszkolu UPADŁ już ząb, tylko nie mnie!”

Nicholas usiadł, otworzył teczkę i prześledził palcem pierwszą stronę od góry do dołu.

– A więc środki przeciwbólowe.

– Tak.

– Dlaczego?

– Słucham?

Założył nogę na nogę, skrzyżował ręce na piersi i spojrzał na mnie uważnie.

– Dlaczego brała pani tak duże dawki środków przeciwbólowych? Coś panią bolało?

– Tak się chyba zaczęło. Doznałam urazu kręgosłupa na siłowni.

– Brała je więc pani na ból kręgosłupa?

Potrząsnęłam głową.

– Po prostu na ból. Ogólnie na ból. Albo po to, by odprężyć się pod koniec dnia. Myślałam, że to jest jak wypicie wieczorem lampki wina. Tyle że ja nigdy nie przepadałam za winem, a lubiłam tabletki. Uwielbiałam stan, w który mnie wprawiały.

Uniósł jedną wygiętą w łuk brew.

– Dwadzieścia tabletek to więcej niż kieliszek wina.

Zarumieniłam się i dodałam:

– Oczywiście, sprawy wymknęły mi się trochę spod kontroli, ale nie, wie pan, do poziomu odwyku. Dlatego chciałam się z panem zobaczyć. Naprawdę uważam, że nie muszę tu być.

Nicholas przeczucił kolejną stronę w mojej teczce, a potem następną.

– Rozmawiałem z pani mężem, gdy miała pani zajęcia z hipoterapii – zaczął.

Poczułam się tak, jakbym połknęła kamień, ale starałam się mówić spokojnie.

– Ach tak?

– Opowiedział mi nieco więcej o wydarzeniach w pani życiu.

Płuca rozszerzyły mi się na tyle, bym mogła wziąć głęboki wdech.

– Więc wie pan, że mój ojciec choruje? – To dobra wiadomość, powiedziałam sobie. Skoro wie o tacie, a może również o Ellie, jeśli jest w stanie sobie wyobrazić charakter mojej pracy i uczucie, gdy jest się rozszarpywanym publicznie, może zrozumie, dlaczego tabletki tak mnie kusiły oraz fakt, że osoba wiodąca takie życie i obciążona wieloma obowiązkami zdecydowanie nie potrzebuje pobytu w tego typu placówce.

– Tak, opowiedział mi o pani ojcu, jak również o incydencie w szkole pani córki. – Zaintonował zdanie tak, że zabrzmiało jak pytanie.

Wzdrygnęłam się i poczułam, że twarz mi blednie na wspomnienie tego wydarzenia.

– To było okropne. Wypiłam z przyjaciółką lampkę wina po wzięciu leku. – Pogratulowałam sobie użycia słowa lek, chociaż wiedziałam, że tabletki, które zażyłam, kupiłam w sieci, a nie na receptę.

– Jestem pewien, że zdaje sobie pani sprawę, że David bardzo się martwi. O bezpieczeństwo pani, ale też córki.

– To był straszny dzień. To, co się stało, co zrobiłam, było okropne. Ale nigdy nie zrobiłabym czegoś podobnego ponownie. – Zatoki mnie paliły, a oczy piekły od powstrzymywanych łez. – Kocham swoją córkę. Nigdy bym jej nie skrzywdziła.

– Czasami w uzależnieniu robimy rzeczy, których nigdy, przenigdy nie zrobilibyśmy na trzeźwo. – Miał niski, łagodny głos, jak najlepszy na świecie nauczyciel jogi. – David wspomniał również o incydencie w pani pracy. O sprzeniewierzeniu pewnej sumy pieniędzy?

Wyprostowałam się. Skąd Dave o tym wiedział?

– T-to był błąd biurowy – jękałam się. – Byłam nierozważna. Zdarzenie miało miejsce pod koniec diabelnie ciężkiego tygodnia. Staralam się przekazać naszemu księgowemu dokumenty finansowe rodziców, by przyjęto tatę do ośrodka... – Zamknęłam usta. Incydent z Ellie był błędem. Sprawa z pieniędzmi – kolejnym. Wyrażenie „poza kontrolą” krążyło w mojej głowie z przerażającą uporczywością. Odepchnęłam je. Kontrolowałam sytuację. Świetnie dawałam sobie radę.

– Czy w wydarzenie były zaangażowane jakieś służby? – zapytał Nicholas. – Policja? Wydział do spraw dzieci i rodziny?

Potrząsnęłam głową.

– W podobnych sytuacjach nauczyciele mają obowiązek powiadomić o zajściu kogoś z tej instytucji. – Spojrzał na mnie poważnie. – Ma pani szczęście, że nikomu nie stała się krzywda i że nadal może pani sprawować opiekę nad córką.

Mdliło mnie i przytakiwałam tępo, przyjmując do wiadomości, jak bardzo spieprzyłam sprawę. Mogli mi odebrać Ellie i mogłam trafić do więzienia.

– Jest pani inteligentną kobietą – oznajmił Nicholas. – Sądzę, że skoro pani tu jest, skoro zgodziła się pani tu przyjechać, nawet jeśli zaistniały okoliczności łagodzące, prawdopodobnie po części uważa pani, że powinna tu być.

Otworzyłam usta, by powiedzieć: „Nie ma mowy”, a potem się zastanowiłam. Nicholas nazwał mnie inteligentną kobietą. Co inteligentna kobieta zrobiłaby w tych okolicznościach? Czy opierałaby się, walczyła, kłóciła i upierała, że nie ma problemu i to nie jest miejsce dla niej? Czy udałaby uległość? Czy zgadzałaby się i przytakiwała, maszerowała na mityngi i zajęcia razem z resztą zombie, jadła paskudne stołówkowe jedzenie i ślepo wierzyła w głoszone hasła? Jeśli zrobię to wszystko, jeśli się podporządkuję, będę recytować slogany i – zerknęłam na plakat na ścianie Nicholasa – zrobię gruntowny i odważny rachunek sumienia – prawdopodobnie wyjdę stąd za tydzień, góra dwa.

– Wie pan co? – zaczęłam. – Może ma pan rację. Może w głębi duszy czułam, że czas przestać. Martwiłam się, że biorę aż tak dużo. Niepokoił mnie fakt, że muszę brać coraz więcej, żeby czuć się tak samo. Potem martwiłam się, że muszę zażywać tabletki tylko po to, by czuć się normalnie, i cały czas bałam się, czy mam ich wystarczająco dużo, czy nie kończy mi się zapas i do którego lekarza mogę zadzwonić, żeby przepisał mi więcej. I nie chciałam... – Poczulałam gulę w gardle, przełknęłam głośno ślinę, tak by Nicholas usłyszał, że głos mi się łamie. – Nie chciałam sprawiać wrażenia naćpanej w obecności córki. Zasluguje na mamę, która będzie przy niej.

– Czy wcześniej próbowała pani przestać? – Głos Nicholasa był niezwykle łagodny i spokojny. Musiał przejść specjalne szkolenie, by nauczyć się tak mówić?

Potrząsnęłam głową i pomyślałam o owym popołudniu w Stonefield, gdy

pani Dale wyszarpnęła mi z dłoni kluczyki, oznajmiła, że nie jestem w stanie bezpiecznie odwieźć córki, a ja przyrzekałam sobie, że przestanę, a przynajmniej ograniczę branie. Myślałam o okropnym mitingu AA następnego ranka i o tym, że w południe tego dnia znów byłam w łazience, patrzyłam na swoją twarz w lustrze i wysypywałam na dłoń tabletki. Pomimo najlepszych zamiarów i bardzo realnego zagrożenia, że zostanę zdemaskowana, zawstydzona albo spotka mnie coś gorszego, nie potrafiłam przetrwać choćby połowy dnia bez jednej pigułki.

Nicholas popchnął w moją stronę pudełko chusteczek.

– Co pani teraz czuje?

– Nie wiem – odpowiedziałam i wytarłam twarz. – Nie czuję się dobrze.

– To całkowicie zrozumiałe, nadal przechodzi pani proces odstawienia.

– Czuję się taka głupia – wypaliłam. – Wie pan, że nigdy w życiu nie wpakowałam się w kłopoty? Odnosiłam sukcesy, znam się na swojej pracy, mam piękną córeczkę. Miałam wszystko, czego pragnęłam, a teraz... – Teraz jestem narkomanką. Słowa rosły w mojej głowie. Odepchnęłam je. Nie byłam nią, nie byłam! Miałam tylko mały problem. Doświadczalam trudności technicznych, jak to określali w telewizji. – Obawiam się pobytu tutaj – oznajmiłam. Uznałam, że to właśnie powiedziałby ktoś, przychodząc do ośrodka. Przy okazji była to prawda. – Mama mieszka z nami, ale tak naprawdę niewielka z niej pomoc. Mąż pracuje na pełny etat i tylko ja mogę pisać posty na bloga. Nie mogę zadzwonić po zastępstwo.

– Zdziwi się pani, jak ludzie potrafią stanąć na wysokości zadania – powiedział Nicholas.

Pokiwałam głową i otarłam łzy z policzków. Wzięłam głęboki, powolny oddech. Jak brzmiał ten głupi slogan, który widziałam na ścianie w kościele? „Dzień po dniu”. Przetrwam w tym miejscu dzień po dniu. Będę udawała skruchę, akceptację, zachowywała się tak, jakbym uwierzyła we wszystkie bzdury, a z resztą poradzę sobie, gdy wrócę do domu. Pociągnęłam nosem, ponownie wytarłam twarz i posłałam Nicholasowi dzielne spojrzenie.

– Podejrzewam, że nie macie tutaj masaży – powiedziałam, czując zmęczenie, mdłości z powodu odstawienia i zagnieżdżający się we mnie smutek barwiący wszystko na szaro.

– Masażysta przychodzi co drugi tydzień. – Nicholas pochylił się, przybierając pozycję zbliżoną do mojej, i ściszył głos. – Nie mogę pani obiecać, że nasze usługi przebiją te oferowane u Adolfa Bieckera. – Stłumiłam uśmiech. Jakimś trafem wybrał mój ulubiony salon w Filadelfii. Nigdy nie przyznałam się matce, że chodzę tam regularnie, gdyż żyła w przeświadczeniu, że każdy mężczyzna o imieniu Adolf był nazistą. – A w naszej świetlicy znajdzie pani mnóstwo gier planszowych. – Uśmiechnął się, a potem teatralnie rozejrzał wokół, by upewnić się, że jesteśmy sami. – Nie pozna pani prawdziwego życia, dopóki nie

zagra pani w jengę z kimś w stanie delirium. Wygrana gwarantowana.

Musiałam się uśmiechnąć. Potem przypomniałam sobie o swojej misji.

– Chcę zadzwonić – oznajmiłam. – Michelle poinformowała mnie, że potrzebuję pozwolenia od swojego terapeuty, ale nie przydzielono mi go jeszcze, a muszę powiedzieć córce... – Znow poczułam rosnącą w gardle gulę, przypomniawszy sobie, jak musiałam wyglądać w męczarniach odstawienia. – Chcę jej powiedzieć, że za nią tęsknię i że o niej myślę. Chcę, by wiedziała, że wszystko ze mną w porządku.

– To nie powinno stanowić problemu – powiedział Nicholas i nabazgrał coś na odwrocie wizytówki. – Może pani skorzystać z telefonów w głównej recepcji budynku mieszkalnego. I ma pani moje pozwolenie, by opuścić „Krag bębnów”, jeśli nadal słabo się pani czuje.

Krag bębnów?

– Tak, nadal słabo – potwierdziłam, wdzięczna, że nie wszyscy w ośrodku byli robotami traktującymi mnie jak ćpuna. – Jeszcze dwie kwestie. W przyszłym tygodniu mam wystąpienie w telewizji. – Starłam się, by zabrzmiało to od niechcenia, jakbym była kobietą pojawiającą się w telewizji tak regularnie, że wspomnianie o tym było zbliżone do poinformowania, że byłam mamą odpowiedzialną za przekąski podczas meczu piłki nożnej dla dzieciaków poniżej sześciu lat. Ludzie z *Wiadomości o dziewczętej*, jak można się było spodziewać, zaprosili mnie ponownie do programu, tym razem do dyskusji na temat edukacji seksualnej w szkołach, obecnie propagującej wyłącznie abstynencję. – Poza tym czternastego wypadają urodziny mojej córki i nie mogę ich przegapić.

Uznałam, że będzie to ostatni etap moich negocjacji. Wyjdę stąd tak, by zdążyć na przyjęcie urodzinowe Ellie. Spotkam się z nią w „Skocznym Czasie”, gdzie chciała zorganizować imprezę (w końcu uznała, że zjazd na ogromnej zjeżdżalni był największą frajdą, jakiej doświadczyła w życiu), a po skończonej zabawie zapakuję bagażnik priusa prezentami i resztkami pizzy i wrócimy do domu.

Nicholas ułożył palce w wieżyczkę i oparł na nich brodę.

– To może być problem – oznajmił.

– Mogę zrezygnować z występu w telewizji – przyznałam, chcąc pokazać, że jestem rozsądną kobietą, gotową na kompromis. – Ale nie mogę przegapić przyjęcia urodzinowego Ellie.

– Normalnie dwadzieścia osiem dni oznacza dwadzieścia osiem dni. To pani czas, by mogła skupić się na sobie. – Gdy dostrzegł wyraz mojej twarzy, głos mu złagodniał. – Pani córka będzie obchodziła kolejne urodziny. Prawdopodobnie nie będzie nawet pamiętała, że na tych pani nie było.

Uśmiechnęłam się do niego niewyraźnie.

– Nie zna pan mojej córki.

– Cóż, nie powiem pani, że nigdy nie zrobiliśmy wyjątku. – Odwrócił się do komputera i wystukał coś na klawiaturze. – Wygląda na to, że będzie pani w grupie Bernice. Proszę wspomnieć jej o tym i posłuchać, co ona ma na ten temat do powiedzenia.

– W porządku. Kiedy się z nią spotkam?

– W poniedziałek.

Poniedziałek? Zamrugałam z niedowierzaniem. Dzisiaj był czwartek i miałam zobaczyć się z terapeutką dopiero w poniedziałek? Odłożyłam ów nieznaczący fakt na bok, by wspomnieć o nim później w liście do dyrektora Meadowcrest, który już formułowałam w głowie.

– Proponuję, by podeszła pani do pobytu tutaj z otwartością – zasugerował Nicholas. – Wiem, że nie jest pani w najlepszym stanie fizycznym, by przetworzyć dużą ilość informacji, ale proszę wysłuchać najwięcej, jak się pani uda.

Wstałam, trzymając w ręce wizytówkę, i wtedy, zanim zdołałam się powstrzymać, wyrzuciłam z siebie pytanie, które od wielu miesięcy nie dawało mi spać.

– A jeśli to nie zadziała? Jeśli nie będę potrafiła przestać?

– Szczerść, chęć i otwarty umysł – powiedział Nicholas. – Już okazała pani szczerść, opowiadając mi, co panią przeraża. Czy chce pani spróbować? Czy chce pani podejść do wspólnoty „Dwunastu kroków” z otwartym umysłem?

Spojrzałam przez okno. Gromadziły się chmury, drzewa wyciągały ku niebu pączkujące gałęzie, na ziemi migotały cienie. Po ścieżce spacerowały dziewczyny, trzymając w dłoniach egzemplarze książki, którą teraz rozpoznawałam jako *Wielką księgę*. Nie wyglądały jak pijaczki ani ćpunka, tylko zwykli ludzie prowadzący zwyczajne życie.

Nicholas nadal patrzył na mnie z drugiej strony biurka i czekał na odpowiedź.

– Chyba nie wierzę w Boga – odpowiedziałam wreszcie.

Uśmiechnął się.

– Jak tandetnie by to zabrzmiało, gdybym powiedział, że Bóg wierzy w panią?

Chyba pierwszy raz od momentu, gdy wylądowałam w tej dziurze, się uśmiechnęłam.

– Bardzo tandetnie.

– Dla wielu początkujących siłą wyższą jest sama grupa, inni ludzie dążący do tego samego celu i wspierający ich trzeźwość.

Wskazałam mężczyznę, którego dostrzegłam w poczekalni. Miał przekłute uszy i wytatuowany kark, a na czoło naciągnął czapkę bejsbolową. Bluza wisiała mu do połowy uda, džinsy zwisały z bioder, a jego ogromne niezawiazane buty do koszykówki wyglądały jak kajaki.

– Czy on też jest moją siłą wyższą?

Nicholas podążył wzrokiem za moim palcem.

– Może nie konkretnie on. – Uścisnął mnie za ramię. – Pora lunchu – poinformował. – Proszę się trzymać. Wiem, że to trudny moment. Proszę postarać się zachować otwartość i słuchać.

Przytaknęłam, jakbym słuchała, jakbym wierzyła w każde słowo, które do mnie wypowiedział. Wróciłam przez kampus, uważając, by trzymać się damskiej ścieżki. W budynku mieszkalnym wszystkie kobiety znowu stały w kolejce przed okienkiem, w którym niska, pulchna ciemnoskóra kobieta z fryzurą na boba, w dużych okrągłych okularach wydawała leki.

– Rety, przegapiłaś całą frajdę – powiedziała Mary. – Musiałyśmy znaleźć sposób, by nakłonić konia do skoczenia przez kałużę.

– Pieprzone bzdury – wymamrotała Aubrey. – Jak prowadzenie na sznurku kobyły ma mnie powstrzymać od dawania w żyły?

– Nawet nie czujesz, jak rymujesz! – ucieszyła się Mary.

Aubrey prychnęła, a potem spojrzała nienawistnie na swoje ubłocone buty.

– Te pieprzone kozaki są do wyrzucenia. – Przed okienkiem jedna z kobiet połknęła tabletki, a potem otworzyła szeroko usta i pomachała językiem przed pielęgniarką.

– Jak bardzo trzeba być zdesperowanym, by przekonać kogoś, by zachował dla ciebie swoje oślinione pigułki? – zastanawiałam się.

– Poczekaj – powiedziała Aubrey. – Jeśli przez sześć dni z rzędu śpisz tylko po dwie godziny dziennie, oddasz wszystko za tabletkę. – Kopnęła obcasem w ścianę i obsypała wykładzinę warstwą zaschniętej ziemi.

– Aubrey F., to jest przewinienie – zawołał nastolatek za biurkiem.

Zastanawiałam się, co to znaczy, i zapisałam sobie w głowie, by później to sprawdzić. Aubrey przewróciła oczami i kiedy chłopak odwrócił się z powrotem do biurka, pokazała mu środkowy palec. Mary zachichotała. Drzwi stolówki otwarły się, buchnęła w nas woń środków czyszczących i smażonego tłuszczu, a my ustawiliśmy się w kolejce po lunch.

– Słuchaj – powiedziała Aubrey, gdy wzięliśmy już swoje paluszki z kurczaka, smażone w głębokim tłuszczu kulki ze startych ziemniaków i kukurydzą z puszki i usiadliśmy przy jednym z długich stołów. – Myślisz, że... – Zawinęła wokół palca kosmyk włosów.

– Nie – odpowiedziała natychmiast Mary. Kroiła swoje paluszki w kostkę, maczała każdą w sosie ranczerskim, a potem wkładała je do ust jedną po drugiej.

– Ale on też jest na odwyku! – Aubrey nabiła na widelec cały kawałek kurczaka, polala go keczupem i obgryzała, trzymając w górze. – Jeśli uważam, że nie wytrwa w trzeźwości, czy to nie oznacza, że mnie też się nie uda?

– Nie twierdzę, że nie możesz dać mu szansy – wyjaśniła Mary. – Pamiętasz, co mówili w czasie zimnej wojny? Ufaj, ale kontroluj.

Aubrey ponownie zanurzyła kurczaka w keczupie.

– Jakbym pamiętała zimną wojnę.

Mary odwróciła się do mnie. Światło odbijało się od jej okularów, a łańcuszek kołysał na piersi.

– Chłopak Aubrey też jest na odwyku. Próbuje zdecydować, czy zobaczyć się z nim, kiedy stąd wyjdzie. – Nad jej głową Mary bezgłośnie przeliterowała: „z-ł-y p-o-m-y-s-ł”.

Spojrzałam na posiniaczone ramiona Aubrey.

– On ci to zrobił?

Aubrey przytaknęła zawstydzona.

– Och, Aubrey. Jak możesz w ogóle myśleć o powrocie do kogoś, kto tak cię skrzywdził?

Dziewczyna wymamrotała coś, czego nie rozumiałam.

– Co?

Uniosła głowę.

– Mamy dziecko – oznajmiła prowokacyjnie. – Chłopczyka. – Otworzyła swój biały segregator, bym mogła zobaczyć zdjęcie w plastikowej koszulce przedstawiające roześmianego malucha z delikatnymi blond włosami, dwoma zębami u dołu i strużką śliny na zaróżowionej brodzie.

Poczułam ucisk w sercu. Ten dzieciak, który prawdopodobnie ma najwyżej osiemnaście lat, ma dziecko? Zaszła w ciążę z narkomanem, który ją bił?

Mary wyciągnęła dłoń, by dotknąć ręki dziewczyny.

– Jakie to życie dla Cody’ego? – zapytała. – Chcesz, żeby dorastał w przeświadczeniu, że mężczyźni pomiatają kobietami? Duszą je? Biją?

– To się zdarza tylko wtedy, gdy jest na haju – zaprotestowała Aubrey.

– Ale powiedziałaś, że cały czas jest na haju.

– Ale może jeśli pójdzie na odwyk i tym razem podejdzie do niego poważnie...

– Kto teraz opiekuje się dzieckiem? – zapytałam.

– Mama Justina. To z nią mieszkaliśmy, ja, Justin i Cody.

Trener odwykowy stuknął Aubrey w ramię. Dowiedziałam się, że tak nazywają się nastolatki odziani w stroje khaki, którzy najwyraźniej zarządzali Meadowcrest.

– Wzywają cię z Odtrucia – powiedział.

Aubrey wyczyściła tacę, a my patrzyliśmy, jak odchodzi.

– Będę się za nią modliła – oznajmiła Mary i dotknęła złotego krzyżyka na szyi, a potem wróciła do kurczaka. – Nie chcę osądzać – dodała. – Ale nie jestem pewna, czy Aubrey ma wystarczające narzędzia, by dokonywać lepszych wyborów.

Kolejny trener odwykowy, dziewczyna o elfich rysach twarzy i delikatnie szpiczastych uszach podkreślonych przez krótką fryzurę, stuknął mnie w ramię.

– Allison W.? Telefon jest wolny, jeśli chce pani zadzwonić.

Wybiegłam ze stołówki, ściskając w dłoni wizytówkę od Nicholasa. Wykręcałam numer i czułam w ustach ostry metaliczny posmak monet i lęku.

– Cześć, mam, tu Allison.

– Och, Allie – Brzmiała tak, jakby miała się rozpłakać, co mnie bardzo zaskoczyło. – Poczekaj – powiedziała, zanim zaczęła łkać. – Ellie chciała z tobą porozmawiać.

Czekałam, pocąc się, a serce waliło mi jak młot. Zmarszczyłam usta w uśmiechu, przekonana, że jeśli będę wyglądała na szczęśliwą, choćby na niby, mój głos też zabrzmie radośnie. Wreszcie usłyszałam w słuchawce ciężki oddech.

– Mamo? Tata mówi, że jesteś w SZPITALU!

Czułam, jakby moje wnętrze zapadło się na dźwięk głosu Ellie, wszystko pod skórą obróciło się w pył. Trzymaj się, powiedziałam do siebie. Przynajmniej „szpital” brzmi lepiej niż „odwyk”, nawet jeśli nie tak dobrze jak „delegacja”, na co miałam nadzieję.

– Cześć, kochanie. To coś w rodzaju szpitala, gdzie mamy jadać, by odpocząć i wyzdrowieć.

– Dlaczego musisz ODPOCZAĆ? Śpisz cały CZAS. Ciągłe robisz sobie DRZEMKI, a ja muszę być CICHO. – Zamilkła, a potem zapytała poważnie: – Jesteś chora?

– Nie tak jak wtedy gdy bolało cię ucho albo kiedy tata miał grypę. To inny rodzaj choroby. Zostanę tutaj, aż wydobrzeję i lekarze stwierdzą, że mogę wrócić do domu.

– Ile dni?

– Nie jestem pewna, El. Ale zrobię, co będę mogła, by przyjechać na twoje przyjęcie urodzinowe. Mogę też dzwonić i przysyłać ci listy.

– Możesz przysłać mi prezent? Albo cukierek lub lizaka?

Uśmiechnęłam się. Może to dobrze, że nie wydawała się zdruzgotana ani tak naprawdę speszona. Może to był jej typowy sposób na rekompensatę, który stosowała, by inne osoby, mój tata, Hank czy teraz ja, mogły poczuć się lepiej, myśląc o swoich wpadkach.

Uznałam, że moje zadanie polega na tym, by jej nie przestraszyć. Niech myśli, że mama cierpi na rodzaj bólu ucha lub grypy, na chorobę, która nie jest śmiertelna i którą lekarze potrafią wyleczyć.

– Jaką masz na sobie sukienkę? – zapytałam.

– Nowa Maksi. – Nowa Maksi była długą sukienką w różowo-białe wzory, nie mylić ze Starą Maksi, którą kupiłam jej w Gapie zeszłego lata. – Babcia NIE robi WALKI sukienek. Mówi, że wszystkie powinny się przyjaźnić. Ale ja się pytam, gdzie tu jest zabawa?

Uśmiechnęłam się i wydałam z siebie dźwięk, coś pomiędzy śmiechem i łkaniem, a potem kichnęłam trzy razy pod rząd.

– Rzeczywiście, to niezbyt zabawne.

– Ale powiedziała, że możemy zrobić sobie pedicure. I mogę mieć na palcach u stóp KLEJNOTY.

– Szczęściara z ciebie.

– Babcia jest SUPER – oznajmiła Ellie, co było dla mnie nowością. – I przez dwa wieczory pozwoliła mi jeść kluseczki! – Trenerka odwykowa stuknęła mnie w ramię i kiedy spojrzałam w górę, wskazała zegarek.

– Kocham cię i tęsknię za tobą – wyznałam. – Jesteś moją ulubienicą.

– WIEM, że jestem – wykrzyknęła. – WIEM, że jestem twoją ulubienicą!

– Jest tata? – zapytałam.

Głos Ellie był pełen oburzenia.

– Tata jest w PRACY. Jest ŚRODEK dnia.

– Będę dzwoniła, kiedy tylko będę mogła, i napiszę do ciebie list, jak tylko skończymy rozmawiać. Słuchaj babci i taty, jedz zdrowe jedzonko, ściel rano łóżko i czyść zęby nitką.

– Muszę iść. Leci *Sam i Cat*!

Usłyszałam uderzenie, stłumione głosy, a potem po drugiej stronie odezwała się mama:

– Jak... sobie radzisz?

– Jak mogę.

– Nie martw się o nic. Wszystko tutaj gra.

– Naprawdę? – Przygotowałam się na litanię skarg przerywanych „Kiedy wrócisz do domu?” i przeplatanych wieloma „Jak mogłaś”, ale matka brzmiała... radośnie. Czy to możliwe?

– Zajmij się sobą, wszystko jest pod kontrolą. Mamy dzisiaj... – Zaległa

krótka cisza. – Zobaczymy... Gimnastykę, prawda?

– AKROBATYKĘ! – krzyknęła w tle Ellie.

– Potem w sobotę przyjęcie urodzinowe Sadie, a w niedzielę Chloe...

– W szafie na dole schowałam dla nich prezenty.

– Tak, znaleźliśmy je i zrobiliśmy kartki z życzeniami. Zajmij się sobą... –

Usłyszałam, że głos grzęźnie jej w gardle, niemal niezauważalnie. – Zobaczymy się, kiedy będzie to możliwe.

– Dziękuję, mamó. Dziękuję za wszystko. – Zakończyłam rozmowę i siedziałam ze łzami w oczach, kichając, kiedy trenerka odwykowa dotknęła mojego ramienia, a po drugiej stronie biurka facet ze łzami wytatuowanymi na policzkach krzykiem domagał się seroquelu.

– Wie pani, że obowiązuje siedmiodniowy zakaz kontaktów – poinformowała panna Timex. – Do końca tego okresu nie będzie pani mogła z nikim więcej porozmawiać.

Nie odpowiedziałam. Uznałam, że już nie warto strzepić języka na brygadę khaki. Nicholas mi pomoże.

– Musi pani dołączyć do grupy – oznajmiła, gdy przeszłam obok biurka.

– Nicholas powiedział, że mogę się położyć, jeśli chcę.

Zmrużyła oczy.

– Źle się pani czuje?

– Czuję się okropnie – przyznałam i poszłam za nią. Wzdychając ciężko, dziewczyna poprowadziła mnie wzdłuż korytarza i otworzyła kluczem drzwi do pokoju, w którym obudziłam się tego ranka.

Powiesiłam na wieszakach w porysowanej wysłużonej szafie kilka ubrań. Potem wyciągnęłam kartkę papieru z notesu, który mi wydano, i napisałam liścik do Ellie. „Znasz takiego konika, co w trawie ciągle cyka? To konik polny! Kocham Cię i tęsknię za Tobą. Zobaczymy się niedługo”. Narysowałam serce, kilkanaście „X” i „O” symbolizujących buziaki i uściski, a na koniec napisałam „MAMA”.

Po opróżnieniu torby podróźnej przeszukałam torebkę. Planowałam zwinąć się na łóżku z powieścią, ale mój czytnik e-booków zniknął, podobnie jak portfel i telefon.

Pomaszerowałam z powrotem do biurka na korytarzu.

– Tylko lektury związane z wychodzeniem z nałogu – wyjaśniła Wanda, moja koleżanka, miłośniczka magazynu „People”. Spojrzała w prawo i w lewo, zanim bezgłośnie powiedziała: „Przykro mi”.

– Czy jest tutaj biblioteka?

– Może pani kupić zatwierdzone materiały do czytania w sklepie z upominkami, ale otwarty jest tylko w poniedziałki, wtorki, piątki rano i chyba niedziele po południu.

No jasne. Przypomniałam sobie artykuł w „New York Timesie” sprzed kilku

lat o ośrodkach odwykowych. Większość z nich była prywatnymi firmami, niektóre prowadziły rodziny i wszystkie działały dla zysków, a te były oszałamiające. Nie tylko doili pacjentów i firmy ubezpieczeniowe z sum zaczynających się od tysiąca dolarów za dzień, byśmy mogli jeść kiepskie jedzenie, spać w pokojach, przy których kryjówka Harry'ego Pottera pod schodami przypominała apartament w hotelu Four Seasons, i słuchać wykładów o naszym egoizmie wygłaszanych przez mężczyzn w poliestrze, lecz także musieliśmy tam płacić zdecydowanie wygórowane kwoty za literaturę związaną z wychodzeniem z nałogu.

– Może pani poczytać *Wielką księgę* – zaproponowała dziewczyna i wręczyła mi opasły egzemplarz książki w miękkiej granatowej okładce. Nie widniały na niej żadne napisy ani nawet tytuł, jedynie wytłoczone logo AA.

Zaniósłłam ją do pokoju, położyłam się na łóżku i zabrałam do czytania. Zaczęłam od początku, a potem wyrywkowo przeglądałam strony. *Wielka księga* została napisana w 1939 roku i bardzo szybko się zorientowałam, że rozpaczliwie potrzebuje aktualizacji. Styl był napuszony, zdania zawile, a slang beznadziejnie przestarzały (zaśmiałam się, czytając wzmiankę o „huraimprezach”, czymkolwiek były). Co gorsza, tekst najwyraźniej opierał się na założeniu, pomimo prostującego je przypisu, że wszyscy uzależnieni to mężczyźni. Z pewnością krył się w nim materiał na post na bloga, a nawet na całą serię. Skoro „Dwanaście kroków” jest obowiązującą podstawą i wciąż są one adresowane do białych mężczyzn w średnim wieku, z klasy średniej, jak można oczekiwać, że kobiety wyjdą z nałogu, nie wspominając o osobach kolorowych lub homoseksualnych?

Czytałam dalej. Z tego, co się zorientowałam, wynikało, że by wytrzeźwieć metodą proponowaną przez AA, trzeba doznać pewnego rodzaju duchowego przebudzenia lub, jak przedstawia to nadęty tekst *Opinia lekarza*: „Coś więcej niż siła ludzka jest potrzebne, by doprowadzić do koniecznej zmiany w psychice”. A więc trzeźwiejemy dzięki odnalezieniu Boga. A jeśli jest się osobą niewierzącą? Przeskoczyłam do rozdziału *My niewierzący* i dowiedziałam się, że według AA, jeśli nie wierzysz, okłamujesz samego siebie, ponieważ „w głębi każdego człowieka, mężczyzny, kobiety czy dziecka, tkwi fundamentalne pojęcie Boga. Może ono zostać przyćmione przez nieszczęście, przepych lub gloryfikowanie innych wartości, ale zawsze jest w nas, w takiej czy innej formie”.

Miałam więc do wyboru Boga albo nic. Sfrustrowana zamknęłam książkę. Kilka minut później Aubrey wetknęła głowę przez szparę w drzwiach.

– Musimy iść na „Podziel się”.

Zerknęłam do segregatora i poszłam do sali arteterapii. Trzy okrągłe stoły odsunięto pod ściany i około dwudziestu rozkładanych krzeseł ustawiono w półkolu. Większość z nich zajmowały kobiety. Usiadłam między Mary i Aubrey.

– Dzień dobry, Meadowcrest! – zawołała kobieta w średnim wieku siedząca za biurkiem, pośrodku półkola. Moderatorka, pomyślałam, tyle że nie miała na

sobie stroju khaki. Jej zalaminowana plakietka z imieniem wisiała na różowej smyczy, a nie na zwykłej, czarnej. Zgodnie z umieszczoną na niej informacją nazywała się Gabrielle.

– Dzień dobry! – odpowiedziała grupa.

– Czy ktoś z was jest na spotkaniu grupowym po raz pierwszy?

Mary spojrzała na mnie znacząco, więc podniosłam rękę.

– Cześć, nazywam się Allison. – Gdy ta informacja nie spowodowała odzewu, wymamrotałam: – Tabletki.

– Cześć, Allison – zawołała chórem grupa.

– Witaj – przywitała mnie Gabrielle, a potem zaczęła czytać z segregatora. – Tutaj, w Meadowcrest, tworzymy społeczność.

Zupełnie jak w Stonefield, pomyślałam. I pewnie równie drogo.

– Jakieś informacje zwrotne? – Cisza. – Odpowiedzi na wczorajsze pochwały i historie? – Wciąż cisza. – W porządku. Dzisiaj będzie mówiła Aubrey. Aubrey, jesteś gotowa, by podzielić się z nami swoją historią?

Aubrey skrzyżowała chude nogi, założyła kosmyki farbowanych włosów za małe uszy i oblizała wargi.

– Cześć, hmm... Mam na imię Aubrey i jestem uzależniona.

– Cześć, Aubrey!

Uniosła jedną dłoń i niepewnie pomachała.

– Cześć. No dobra. Urodziłam się w Filadelfii w 1994 roku.

O Boże. W 1994 roku chodziłam do college'u.

– Moi rodzice byli alkoholikami – kontynuowała Aubrey, nawijając kosmyk włosów na palec. – Rozstali się, gdy miałam dwa lata, i potem mieszkałam z mamą i ojczymem. – Wzięła głęboki oddech i przyciągnęła kolana do klatki piersiowej. – Zaczął mnie molestować, kiedy miałam chyba z pięć lat. Pamiętam, że przyszedł do mojego łóżka i najpierw tylko się do mnie przytulał. To mi się podobało. Mówił, że jestem jego ulubioną dziewczynką, że kocha mnie bardziej niż mamę, że jestem ładniejsza, tylko nie możemy jej o tym powiedzieć. To musiała być nasza tajemnica.

Zaczęłam płakać, kiedy Aubrey szczegółowo opowiedziała, co zdarzyło się pierwszy raz, gdy skończyła sześć lat, i powtarzało do momentu, gdy skończyła czternaście. Wtedy wyprowadziła się z domu i zamieszkała ze swoim chłopakiem, który miał dwadzieścia dwa lata i mieszkał w piwnicy rodziców. Mówiła o tym, że najpierw jej ból uśmierzały wódka i trawa, potem lepsze okazały się tabletki, a na końcu – heroina. Kiedy przeszła od wciągania prochów do wstrzykiwania ich sobie, płakałam tak mocno, jakby coś we mnie pękło. Łzy zalewały mi twarz, gdy chłopak zaczął ją maltretować, gdy wprowadziła się do ojca, z którym wcześniej nie utrzymywała kontaktu, a ten kradł jej pieniądze i narkotyki, gdy zaszła w ciążę i w wieku zaledwie siedemnastu lat urodziła uzależnione dziecko.

Mimo że historia Aubrey była okropna i przerażająca, w miarę upływających dni okazała się jednak niepokojąco typowa. Podczas każdej sesji „Podziel się”, odbywającej się dwa razy dziennie, kobiety opowiadały, jak zaczęło się ich uzależnienie. W ich historiach zazwyczaj pojawiała się molestowanie, zaniedbanie, nieplanowane ciąże, porzucanie szkoły i ucieczki z domu. Chłopcy bili, a rodzice udawali, że niczego nie widzą. Zamiast być wyjątkiem, gwałty i molestowanie okazały się regułą.

Nowy mąż mamy, chłopak siostry, opiekun, starszy chłopak, który mieszkał na końcu ulicy, w domu z basenem. Słuchałam i płakałam. Wiedziałam, jak bardzo skrzywdzone zostały te dziewczyny i jak żałośnie brzmiała przy tym moja historia. Co się stanie, gdy przyjdzie moja kolej, by podzielić się z grupą? Czy mogę powiedzieć, że w kierunku tabletek popchnęły mnie trudy macierzyństwa, pisania postów na bloga, radzenia sobie z rozpadającym się małżeństwem i starzejącymi się rodzicami, którzy może nie byli najwspanialsimi, ale nigdy mnie nie uderzyli, a już na pewno, nigdy nie molestowali? Będą się ze mnie śmiały. Ja będę się z siebie śmiała.

Trzeciego dnia mojego pobytu w Meadowcrest swoją historię opowiedziała kobieta o imieniu Shannon. Była inna niż reszta dziewcząt. Po pierwsze, była starsza, miała około trzydziestu, a nie nastu lat, i wykształcona. Opowiadała o nauce w college’u i wspomniała o studiach. Mieszkała na Brooklynie, chciała zostać pisarką, w college’u polubiła tabletki i odkryła, że heroina jest tańsza i wprowadza ją w jeszcze przyjemniejszy stan.

– W końcu narkotyki zmieniły mnie w kogoś, kogo nie poznawałam – powiedziała grupie swoim cichym, kulturalnym głosem. – Znacie ten fragment *Wielkiej księgi*, w którym mowa o prawdziwym alkoholiku? – Otworzyła swój granatowy egzemplarz i zaczęła czytać. – „Taki człowiek dziwi nas, zwłaszcza swoim brakiem kontroli. Gdy pije, robi absurdalne, niestworzone, tragiczne rzeczy”. Na mitingach – dowiedziałam się, że to potoczna nazwa spotkań AA – usłyszycie ludzi, którzy opowiadają, że zapłacili za swoje miejsce w walucie ŻAND, co oznacza „żałosne akty niezrozumiałej destrukcji”. – Shannon wciągnęła powietrze i potarła rękoma uda. – To byłam ja. Robiłam niezrozumiałe rzeczy. Okradałam rodziców i umierającą cioteczną babkę. Poszłam ją odwiedzić i ukradłam biżuterię z sypialni i leki z szafki nocnej.

Siedziałam na rozkładanym krześle i czułam, że rumienię się na wspomnienie leków, które ukradłam tacie. Shannon kontynuowała monotonnym głosem.

– Spałam z facetami, którzy mogli dać mi heroinę. Sprzedałam wszystko, co miałam: dzieła sztuki, które przyjaciele dla mnie zrobili, odziedziczoną biżuterię. – Jej usta wygięły się w gorzkim uśmiechu. – Słyszeliście to powiedzenie, że pijak ukradnie twój portfel, ale alkoholik ukradnie go, skłamię, że tego nie zrobił,

i następnego dnia pomoże ci go szukać? Nie zdołam wymienić wszystkich kłamstw, jakie opowiedziałam, przedmiotów, które ukradłam, ani rzeczy, które sobie zrobiłam, gdy brałam. A wiecie, co jest najstraszniejsze? – Zaczęła mówić głośniej. – Po tym wszystkim, co zrobiłam, przez co przeszłam, nie wiem, czy potrafię przestać. Nie wiem, czy tego chcę. Nie jestem nawet pewna, czy po wyjściu stąd nie stanę z powrotem na rogu ulicy. Ponieważ nigdy, przenigdy nie czułam się tak dobrze jak po heroinie. I nie jestem pewna, czy chcę przeżyć resztę życia bez tego uczucia.

Miałam wrażenie, że cała sala westchnęła. Spostrzegłam, że bezwiednie kiwam głową. Rozejrzałam się i czekałam, aż terapeuta powie: „Dzień po dniu”, zachęci, by „odtworzyć płytę” i przypominać sobie, jak nasze przyjemności odwróciły się przeciwko nam, albo przypomni Shannon, że nie chodzi o resztę życia, tylko o tu i teraz, o tę minutę, godzinę, dzień, że ma przyjaciół, ludzi, którzy ją kochają i chcą, by wyzdrowiała. Jednak w „Podziel się” nigdy nie brali udziału żadni terapeuci.

– Tylko my, dziewczuchy – powiedziała Mary, gdy ją o to zapytałam.

– Gdy ostatni raz pojechałam do domu, w mojej szafie została tylko jedna, granatowa sukienka i para butów. Rodzice pozbyli się reszty rzeczy, mojego biurka, książek, ubrań, plakatów, które wisiały na ścianach. Została tylko ta jedna sukienka. „To sukienka, w której cię pochowamy”, powiedziała mama – Shannon kontynuowała swoją historię.

Nikt się nie odezwał. Ponownie potarła dłońmi dzinsy i podniosła wzrok. Sięgające ramion włosy związała w kucyk i gdyby nie jej ospowata cera i głębokie cienie pod zaczerwienionymi od płaczu oczami nikt nie powiedziałby, że jest narkomanką. Wyglądała jak inne młode kobiety, ubrana swobodnie, jak nauczycielka, urzędnik bankowy albo projektantka stron internetowych. Taka jak ja. A teraz utknęła. To, co kiedyś było przyjemnością, miłym prezentem, teraz stało się koniecznością, rzeczą tak niezbędną jak powietrze i woda. „Nie wiem, czy potrafię przestać. Nie wiem, czy tego chcę”. Zupełnie jak ja. Szczerze mówiąc, nie byłam pewna, czy potrafię przestać. I wiedziałam, co to wszystko znaczy. Nie byłam jedynie kobietą, która wzięła o kilka tabletek za dużo i wpadła w mały, dokuczliwy nałóg. To znaczyło, że jestem uzależniona, tak samo jak Mary prowadząca pod wpływem, Aubrey po sześciu odwykach i Marissa, która straciła przedni ząb i prawo do opieki nad dzieckiem, po tym jak pobiła się z chłopakiem o ostatnią działkę.

Cześć, mam na imię Allison i jestem uzależniona.

Pokręciłam głową. To nieprawda. Nie jestem uzależniona. Ja tylko... to po prostu... Aubrey mi się przyglądała.

– Okej? – zapytała. Miała szeroko otwarte jasne oczy obwiedzione błyszczącą srebrną kredką i mocno wytuszone rzęsy. Siniaki na jej rękach

zaczęły blednąć. Nadal była o wiele za chuda, ale wyglądała lepiej.

– W porządku – wyszeptalam, mimo że dreszcz wstrząsał moimi ramionami, ręce pokrywała gęsia skórka, a żołądek wywracał się na drugą stronę. Nie pozwalałam sobie na myślenie o przyszłości ani o niczym innym poza przetrwaniem każdego kolejnego dnia. Nie wychylałam się, nie zwracałam na siebie uwagi, robiłam to, co trzeba, bym mogła wrócić do domu. Przez cały ten czas powtarzałam sobie, że nie jestem uzależniona, że nie muszę tu być, że jak tylko będę mogła, wrócę do domu i do moich tabletek, tyle że zacznę je brać ostrożniej.

Teraz każde zadane mi pytanie, każdy powtarzany slogan, każde zdanie dostrzeżone na plakacie albo usłyszane mimochodem celowało we mnie jak dziesiątki nasączonych trucizną rozdzierających niebo strzał. „Kim jest uzależniony?” – tak zaczynał się tekst pod tym samym tytułem w *Podstawowym tekście Anonimowych Narkomanów*. „Większość z nas nie musi się zastanawiać nad tym pytaniem dwa razy. Wiemy! Całe nasze życie i myślenie skupiało się na narkotykach, w tej czy innej formie, na zdobywaniu ich, zażywaniu i znajdowaniu sposobów i metod, by mieć ich więcej. Żyliśmy, by brać, i braliśmy, by żyć”.

To nie ja, pomyślałam, kiedy Shannon wyjęła z tylnej kieszeni pomietą kartkę, listę dobrych rzeczy w naszym życiu poza narkotykami, którą musiał spisać każdy z nas.

– Rodzice nadal mnie kochają – przeczytała drżącym głosem, który zabrzmiał jak głos dwunasto-, a nie trzydziestolatki. – Nadal mogę pisać. Chyba. Nie jestem nosicielką wirusa HIV, nie mam zapalenia wątroby typu C.

Wzdrygnęłam się. Nie ja, pomyślałam znowu, ale słowa z *Podstawowego tekstu* nadal brzmiały. „Najprościej rzecz ujmując, uzależniony to kobieta lub mężczyzna, których życie kontrolują narkotyki. Jesteśmy ludźmi ogarniętymi uporczywą chorobą, która zawsze kończy się tak samo: więzieniem, pobytem w ośrodkach odwykowych lub śmiercią”. Potrząsnęłam głową, tak mocno, że Aubrey i Mary na mnie spojrzały. Nie. Nie ja, nie ja.

Okazało się, że czas na odwyku przypominał psie lata. Każda godzina dłużyła się jak dzień. Dni robocze były okropne, ale soboty i niedziele niemal nieznośne. Garstka opiekunów jechała do domów, podobnie jak starsi i bardziej doświadczeni trenerzy odwykowi, zostawiając najmłodszych i najbardziej zielonych, by doglądali obejścia. Kuracjusze prowadzili przybytek, czasami niemal dosłownie. Jedna z trenerek odwykowych przyznała mimochodem, że zaledwie pół roku wcześniej sama była pacjentką Meadowcrest.

Soboty i niedziele były wypełnione bezproduktywnymi i bzdurnymi zajęciami, które miały niewiele wspólnego z odwykiem i służyły zainteresowaniu czymś bandy ćpunów. W niedzielę siedziałam na swoim dziesiątym – a może to było na dwunastym? – „Podziel się”, tak przyzwyczajona do monologów na temat wykorzystywania, zaniedbywania i szkód, że zaczęłam podkładać głosy mówiących moim ulubionym fikcyjnym bohaterom: „Cześć, mam na imię Daenerys Targaryen i jestem uzależniona. (Cześć, Dany!) Myślę, że wszystko zaczęło się, gdy miałam zaledwie trzynaście lat i mój brat wydał mnie za Khala Drogo, brutalnego przywódcę Dothraków. Zaczęłam pić po tym, jak mąż zabił mojego brata, wylewając na jego głowę roztopione złoto. Przez pewien czas piłam dla towarzystwa. Wypijałam drinka przed obiadem z moimi braćmi krwi albo dwa po szczególnie ciężkim dniu, ale gdy Mirri Maz Duur zamordowała mojego męża, stało się to całodziennym zajęciem”. Po „Podziel się” odbywała się „Medytacja”, podczas której na podłodze w stołówce rozkładaliśmy maty do jogi i przez czterdzieści minut drzemaliśmy przy dźwiękach Enyi puszcanych z iPoda jednego z trenerów, oraz „Zajęcia ruchowe”, które polegały głównie na dobrowolnej grze w koszykówkę – dla mężczyzn i chodzeniu wokół boiska po bieżni – dla kobiet, a następnie „Czas wolny”, kiedy mogliśmy grać w gry planszowe, czytać albo pisać listy do domu. Kupiłam w sklepie z upominkami kilka kartek i w niedzielę przez godzinę pisałam do Ellie i Janet. „Pozdrowienia z odwyku!”, zaczęłam z nadzieją, że Janet pozna się na moim żarcie i w nieokreślonej przyszłości będziemy w stanie się z tego śmiać.

Przez dwadzieścia minut gryzłam długopis i próbowałam zdecydować, co napisać do mamy i Dave’a. W końcu wymyśliłam kilka ogólnikowych zdań do obojga. „Dziękuję, że zajmujesz się Ellie. U mnie dużo lepiej. Tęsknię za Tobą. Do zobaczenia”.

Została mi reszta popołudnia i mnóstwo czasu do zabicia. Zjadłam sałatkę na lunch, a potem wyszłam na zewnątrz z Aubrey i Shannon. Była tam siatka do siatkówki, ale chłopcy zajęli boisko, a nam nie wolno było korzystać z parku linowego.

– Chodzi o ubezpieczenie – wyjaśniła Aubrey, kiedy obchodziłyśmy trasę, i wskazała zardzewiałą tyrolkę i szopę na narzędzia, gdzie dwa lata wcześniej jedna z dziewczyn z kobiecego programu wpadła w kłopoty za uprawianie seksu z jednym z mężczyzn.

– Nie mogę sobie nawet wyobrazić, jak mogłabym chcieć uprawiać tutaj seks – przyznałam.

Aubrey jęknęła, przewróciła oczami i zaczęła znany nam już monolog o tym, jak bardzo tęskni za Justinem, a zwłaszcza za rzeczami, które z nią robił.

– To tak, jakbym się z powrotem zamknęła – powiedziała, a ja wyjaśniłam jej, że to z pewnością medycznie niemożliwe. Potem kichnęłam raz, dwa, trzy razy pod rząd, tak mocno, że niemal poczułam ból.

Shannon uśmiechnęła się do mnie szeroko.

– Kichasz prochami!

– Co?

Aubrey ściszyła głos.

– Kiedy bierzesz dużo środków uspokajających, twoje układy spowalniają pracę. Na przykład miałaś zatwardzenia?

Próbowałam sobie przypomnieć, ale nie mogłam.

– I pewnie nigdy nie kichałaś, jak byłaś na prochach – kontynuowała Aubrey. – Więc teraz jesteś Apsikiem!

– Dobrze wiedzieć – powiedziałam. Już słyszałam, jak życie w otoczeniu tych młodych dziewczyn zmieniło moje słownictwo. Mówiły „zonk”, kiedy wynikał jakiś problem, albo „będzie jazda”, kiedy zaczynały się kłopoty. Aubrey wraz z kilkoma koleżankami zaczęła nazywać mnie „Blanciarą”. Czasami rozśmieszałam je i mówiłam moim najlepszym głosem i słownictwem białej kobiety w średnim wieku, a potem machałam palcami w powietrzu i rzucałam: – Jestem gangsta!

Czułam się tak, jakbym nagle dostała paczkę młodszych sióstr. Uzależnionych od narkotyków, kłamających, kradnących, czasami bezdomnych i wymieniających seks na pieniądze, ale jednak sióstr. Kiedy dorastałam, błagałam rodziców o siostrę i wyobrażałam sobie słodką lalkę bobasa, która żyje i oddycha, którą mogę ubierać, uczyć pływać i jeździć na rowerze. Nie zanosilo się na rodzeństwo. Na moje prośby mama odpowiadała zbolalym uśmiechem, a tata wyjątkowo surową reprimendą.

– Ranisz uczucia mamy – powiedział głosem, który przyprawił mnie o łzy. Miałam wtedy osiem lub dziewięć lat. Zastanawiałam się, czy chodziło o kwestię natury medycznej, powód, dla którego byłam jedynaczką wykraczający poza egoizm matki, albo fakt, iż wychowanie mnie nie było dla nich spełnieniem, ale raczej zakłóceniem.

Spacerowałam i zastanawiałam się, co Ellie robi w ten słoneczny, słodko

pachnący dzień. Czy ktoś smażył dla niej naleśniki i pozwalał jej posypać każdy wiórkami czekoladowymi? Czy mama przypominała jej, by umyła zęby, gdyż czasami po prostu polewała szczoteczkę wodą i kłamała? Czy koleżanki pytały ją, gdzie wyjechałam, i czy wiedziała, co im odpowiedzieć?

W poniedziałek wreszcie spotkałam się ze swoją terapeutką. Była czarnoskórą kobietą w średnim wieku, ubraną w połyskliwy kostium ze spodniami, nosiła buty na niewysokim obcasie, okulary i fryzurę na boba z pasemkami, która przypominała perukę. W grupie Bernice było nas sześć: ja, Aubrey, Shannon, Mary, Lena i kolejna uzależniona od oxy – Marissa, która miała córkę w wieku Eloizy. Lena była lesbijką i lubiła flirtować. Co wieczór w czasie spotkań AA i AN patrzyłam, jak różne Ashley i Brittany walczyły o miejsce na jej kolanach. Rozplatała im włosy i szeptała do ucha, składała delikatne pocałunki na ich policzkach, podczas gdy trenerzy udawali, że niczego nie widzą.

– Pani Leno – oznajmiła Bernice, przeglądając segregator. Wpisałyśmy się już na listę i określiłyśmy nastrój w skali od jednego do dziesięciu. Zakreśliłyśmy kółkiem rysunkowe buźki, które najlepiej ilustrowały nasz obecny stan emocjonalny, i w skali od jednego do dziesięciu określiłyśmy prawdopodobieństwo wzięcia narkotyków, gdyby tego dnia odesłano nas do domu. Odpowiedziałam szczerze, mój nastrój odpowiadał jedynce. Mój stan emocjonalny przypominał pochmurną minkę. Gdybym tego dnia wróciła do domu, na sto procent wzięłabym tabletki. W odpowiedzi na pytanie „Czy doświadczasz jakichś dolegliwości?” napisałam o bezsenności. Tak jak przewidziała Aubrey, odcieli mi trazodon i spałam zaledwie po dwie godziny na dobę. Wspomniałam o nocnych potach, po których miałam mokrą koszulkę, o braku apetytu i wypadaniu włosów garściami. Zaznaczyłam „tak” w rubryce lęki i depresja i „nie” przy pytaniu o „pochwały i uwagi” do innych mieszkańców. Potem przypominałam sobie, że osoba czytająca owe formularze zdecyduje, czy będę mogła pojawić się w telewizji i na przyjęciu urodzinowym Ellie. Nie odpowiedziałam jak rozsądna, trzeźwa kobieta radośnie podążająca ku życiu z dala od narkotyków. Pospiesznie zweryfikowałam odpowiedzi, poprawiłam nastrój na lepszy, a szanse na ponowne zażycie leków na mniejsze. Zmieniałam i wymazywałam, aż Beatrice zebrała formularze.

Lena pociągnęła za sznurki przy kapturze swojej bluzy.

– Cokolwiek powiedzieli, to całkowita przesada – oznajmiła niskim, zachrypłym głosem.

Bernice uniosła brew.

– Skąd wiesz, że ONI mówili coś o tobie? Czym, twoim zdaniem, zawiniłaś? Więcej wiercenia i pociągania za sznurki.

– Może nie zachowałam się z szacunkiem podczas spotkania AA wczoraj wieczorem.

Wywróciłam oczami. Lena siedziała w tylnym rzędzie z jakąś Ashley na

kolanach, kiedy mówca szczegółowo relacjonował swoje najgorsze stany, w których między innymi przeskoczył z balkonu swojego nowojorskiego mieszkania na dwunastym piętrze na sąsiedni balkon, ponieważ był przekonany, że sąsiadka zostawiła otwarte drzwi i chciał sprawdzić, czy trzymała w szafce jakieś frykasy.

– Nie dbałem nawet o to, że mogę spaść i zginąć – przyznał. – Po prostu bardzo potrzebowałem coś wziąć.

Bernice zwróciła się do mnie.

– Nowa dziewczyna. Allison. Dlaczego pani tu jest?

– Tabletki. – Powinna oszczędzić wszystkim czasu i napisać to na plakietce z imieniem. „Allison W. – tabletki”.

– Aha. Co myśli pani o zachowaniu Leny wczorajszego wieczoru?

Westchnęłam. Nie chciałam narazić się Lenie. Z tego co słyszałam, potrafiła się mścić. Podczas ćwiczenia na zaufanie, kiedy łapie się upadające osoby, pozwoliła, by dziewczyna upadła na podłogę w sali do arteterapii, ponieważ ta wyspała jedną z przyjaciółek Leny za przemykanie pojedynczych papierosów pod spinką do włosów.

– No dalej – zachęciła Bernice. – To moment całkowitej szczerości.

– Uważam, że Lena mogła wykazać nieco więcej szacunku.

Lena naciągnęła kaptur na głowę i coś wymamrotała.

– Co powiedziałaś? – zapytała Bernice. – Proszę, podziel się tym z grupą.

– Powiedziałam, że gdybyś przeszła przez odwyk pięć razy, też traktowałabyś go jak żart.

Pięć razy. Kiedy tu trafiłam, szokowały mnie podobne liczby. Teraz jedynie smuciły. Dowiedziałam się, że recydywiści stanowili większość, a nie wyjątek. Jeśli było się uzależnionym, szło się na odwyk, a jeśli ten nie zadziałał, szło się na kolejny. Niektóre programy odwykowe były inne. Jedna z dziewczyn, uzależniona od xanaxu, przeszła terapię awersyjną, podczas której była rażona prądem, gdy patrzyła na uzależniający ją lek. Większość jednak była taka sama. Opierały się na „Dwunastu krokach” i zaufaniu do „siły wyższej”, która otrzeźwi „nadal chorych i cierpiących”. Były to programy całkowitej abstynencji, co oznaczało, że nie można wypić łyka piwa ani kieliszka wina, nawet jeśli pacjent był uzależniony od tabletek albo kraku. Jeśli odwyk nie zadziałał, odsyłano cię z powrotem. Dowiadywałam się, że rzadko dawał rezultaty za pierwszym razem i większość kobiet przechodziła przez ten proces kilkakrotnie.

Bernice wpatrywała się we mnie zza grubych szkielec przemiernym wzrokiem. Wyglądała jak kobieta, którą można obsadzić w reklamie telewizyjnej w roli mamy przekonanej, że gotowy sos do spaghetti jest tak dobry jak ten przygotowywany przez babcię.

– Jak się pani czuła, patrząc na pannę Lenę zeszłego wieczoru? Nie. Cofam

to. Zaczynijmy od początku. Jak się pani czuje w związku z pobytam tutaj?

Wzruszyłam ramionami.

– Chyba w porządku.

Grupa jęknęła, a potem patrzyłam zdumiona, jak wszystkie kobiety wstały i wykonały dziesięć pajacyków.

– Nie możesz mówić „w porządku” ani „dobrze” – wyjaśniła Marissa. – Bernice uważa, że są bez znaczenia.

– Powiedz mi, jak naprawdę się czujesz – zachęciła Bernice.

– Okej. Hmm. Cóż... Wiedziałam, że potrzebuję pomocy.

Po prawie tygodniu zorientowałam się, że to podstawowy kurs odwykowy. Trzeba zacząć od przyznania, że ma się problem, inaczej będą wiercić ci dziurę w brzuchu, łamać i przyciskać, aż wyrzucisz z siebie najgorsze rzeczy, jakie zrobiłeś w najgorszych momentach tego, co z uporem nazywają czynnym uzależnieniem.

– Skąd to wiedziałas? – zapytała. Przechyliła głowę i przyglądała mi się uważnie. – Zatrzymano cię za jazdę pod wpływem? Oblaś test na obecność narkotyków?

– Nie, nie, nic z tych rzeczy. – Przełknęłam ciężko ślinę, wiedząc, co się szykuje, gdy Bernice spojrzała w notatki.

– Mam tu napisane, że wpakowałaś się w kłopoty w szkole córki.

– To prawda. – Nie ma sensu kłamać. – Pojechałam odebrać ze szkoły córkę i dzieci przyjaciółki. Wcześniej zażyłam tabletki. Wydawało mi się, że wszystko jest w porządku.

Aubrey szturchnęła mnie i szepnęła:

– Żadnych „w porządku”.

– Przepraszam. Uważałam, że jestem w stanie prowadzić – poprawiłam się. – Wiem, z czym mogę sobie poradzić, kiedy jestem w formie i kiedy nie jestem, ale piłyśmy z przyjaciółką alkohol i chociaż wypłam zaledwie jeden kieliszek...

– Po wzięciu środków przeciwbólowych – uściśliła Bernice.

Przytaknęłam.

– Zgadza się. Wino i środki przeciwbólowe. Nauczycielka dyżurująca na parkingu odebrała mi kluczyki.

– Więc sama zgłosiłaś się na odwyk?

– Uhm. – Z trudem przełknęłam ślinę. Kolejny raz zastanawiałam się, co ci ludzie wiedzieli i jak wiele powiedziałam im w momencie przyjęcia na odwyk. – Ja, to znaczy, mój mąż i ja... Miało miejsce coś, co chyba można nazwać rodzajem interwencji. Mąż dowiedział się, co robię, stwierdził, że potrzebuję pomocy, a ja się z nim zgodziłam.

Bernice ponownie zerknęła w moje papiery.

– Opowiedz nam, co dokładnie się stało, zanim tutaj trafiłaś.

Wzdrygnęłam się na wspomnienie objawów odstawienia, lekarza z kliniki w centrum handlowym, nieszczęsnego suboxone i momentu, gdy Ellie znalazła mnie w łóżku, chorą i umazaną wymiocinami. Przypomniałam sobie, jak córka zobaczyła mnie na czworakach, z tyłkiem w górze i twarzą przy dywanie, rozpaczliwie szukającą choćby okruszka oxy.

– Allison? – Bernice patrzyła na mnie. Miała życzliwy wyraz twarzy. – Zdradzę ci małą tajemnicę. Bez względu na to, co zrobiłaś, na jakie wspomnienia krzywisz się, jakbyś zjadła cytrynę, uwierz mi, ktoś z tu obecnych zrobił albo widział gorsze rzeczy.

Potrząsnęłam głową. Nie byłam w stanie mówić. Jaka matka pozwoliłaby sobie na taki brak kontroli, na taki upadek, by dziecko było świadkiem podobnych scen? Siedziałam i oddychałam, aż byłam w stanie ponownie się odezwać.

– Mój mąż dowiedział się, co robiłam. O tym, że kupowałam tabletki przez Internet – zaczęłam. Opowiedziałam im o bezsennej nocy, podczas której laptop grzał mnie w uda, a ja łykałam tabletki, jedną po drugiej, aż wszystkie wyszły. Dziewczyny przytakiwały, gdy opisałam, jak roztrzęsiona, przerażona i chora się czułam, gdy się zorientowałam, że skończyły mi się zapasy i nie miałam pojęcia, skąd wziąć więcej. Opowiedziałam, jak pojechałam taksówką do lekarza w centrum handlowym, gdzie jak ujęła to Bernice, „znalazłam konowala, który przepisał mi suboxone”.

Jej pociągnięte kredką brwi się uniosły:

– Ponieważ zastąpienie jednego leku drugim to świetny pomysł i nic złego nie może się stać. Mam rację?

Nie odpowiedziałam. Zdążyłam się już zorientować, że w Meadowcrest krzywo patrzono na suboxone. W niektórych ośrodkach odwykowych stosowano opiaty, by pomóc uzależnionym przejść przez proces odstawienia, ale ja nie trafiłam do jednego z nich.

– No i jesteś tutaj.

– Jestem tutaj – powtórzyłam i kolejny raz zastanowiłam się, co dzieje się w domu. Jak Ellie zasypia co noc, gdy nie mogę jej poczytać trzech książek, zaśpiewać trzech piosenek i jak zwykle psiknąć sprayem na potwory? Jak się ubiera, kiedy nie mogę odegrać walki sukienek? Czy Sarah zamieściła na Kobięcym Salonie jakiś tekst wyjaśniający moją nieobecność, czy znalazła felietonistkę od spraw macierzyństwa i małżeństwa na moje zastępstwo? Jak Dave radzi sobie z mamą? Czy mama jeździ do Eastwood, by odwiedzać tatę? Czy jemu się pogorszyło? Wyobraziłam sobie, jak Dave je niespieszny lunch ze swoją służbową żoną przy przytulnym stoliku dla dwojga w pubie niedaleko redakcji, jak mój mąż otwiera swe serce przed L. McIntyre, a ona słucha ze współczuciem, kiwa głową i wydaje z siebie potakujące dźwięki, jednocześnie dekorując w wyobraźni mój nadal pusty dom, który będzie jej czystym płótnem, gdy ja zniknę, a ona się

wprowadzi.

– Co się dzieje z twoim mężem? – zapytała Bernice.

Poczułam, jak oczy otwierają mi się szeroko. Czy potrafią czytać nam w myślach?

– Podejrzewam, że ma dziewczynę. Kiedy odchodziłam, miał służbową żonę. Prawdopodobnie dostała awans. Ale, słuchajcie... – powiedziałam. Nagle za wszelką cenę chciałam odwrócić uwagę od siebie na kogoś innego. – To nic. Dave jest dobrym tatą i mama mu pomaga. Na pewno wszystko jest...

– Żadnych „w porządku”! – krzyknęła chórem grupa. Zamknęłam usta. Złote bransoletki Bernice migotały, gdy pisała w notatniku.

– Rozstaliście się? Żyjecie w separacji?

– Nie wiem, jak to określić – przyznałam. – Nie mogę nakłonić go, by ze mną porozmawiał. Dave nie chce iść na terapię.

– Wiedział o lekach? – zapytała Bernice.

Automatycznie potrząsnęłam głową, zanim przypomniałam sobie kopertę, którą przechwycił, paragony, którymi wymachiwał, beznamiętną wyliczankę przed dziewczyną w boksie w dniu przyjęcia na odwyk, kiedy przerażająco dokładnie szacował, jak duże dawki brałam i jak długo.

– Wiedział. – Wytarłam oczy. Na odwyku przepłakałam więcej przez niecały tydzień niż w ciągu ostatnich dziesięciu lat życia, a nie miałam przecież szczególnie potwornej historii do opłakiwania. – Nie wiem. Kiedyś byliśmy zakochani, potem urodziła się Ellie i zmieniliśmy się w dwoje ludzi prowadzących przedszkole. To on chciał, byśmy przeprowadzili się na przedmieścia. Pojechał tam i kupił dom, nie pokazawszy mi go nawet wcześniej. Miał zamiar napisać książkę, na poczet której otrzymał pokaźną zaliczkę. Potem umowa z wydawnictwem została zerwana, a ja zaczęłam zarabiać więcej, więc to ja łątałam dziurę finansową, ale nigdy nie planowaliśmy takiego obrotu spraw. Miałam zostać w domu z dzieckiem, a on miał być żywicielem rodziny. Tyle że żywienie kiepsko mu wychodziło, a do tego okazało się, że z córką czasem trudno sobie poradzić, i czuję się teraz bardzo nieszczęśliwa... – Zatopiłam twarz w dłoniach. – Nie rozumiem tego. Mam wszystko, czego chcę, wszystko, czego powinnam pragnąć, więc dlaczego tak mi smutno?

– Więc zaczęłaś brać. – Głos terapeutki brzmiał łagodnie.

Przytaknęłam.

– Czy to pomogło?

Znowu się z nią zgodziłam z twarzą nadal schowaną w dłoniach.

– Przez chwilę czułam się świetnie. Leki wygładzały wszystkie kandy. Dzięki nim miałam poczucie, że jestem w stanie przetrwać kolejne dni. Później jednak zaczęłam brać duże dawki, wydawać na nie dużo pieniędzy i stale martwiłam się, skąd wezmę więcej. I mogłam skrzywdzić córkę. – Uniosłam głowę. Ciekło mi

z nosa, oczy były czerwone i piekły. Spojrzałam na Bernice, na jej spokojną twarz i łagodne oczy.

– Allison – powiedziała. – Uda ci się. Wyjdiesz z tego.

– Naprawdę? – siąknęłam.

– Naprawdę, naprawdę. Jeśli tego chcesz. Jeśli wykonasz pracę. Będzie to prawdopodobnie najcięższa rzecz, jaką zrobisz w życiu, ale ludzie z tego wychodzą. Nie byłoby mnie tutaj, gdybym tego nie widziała. Nie wykonywałabym tego zawodu, jeśli nie widziałabym codziennie cudów.

Posmakowałam słowo „cud”. Znowu o Bogu. Ale co tam. Wstawanie rano i myśl o tym, że moje życie będzie w porządku bez tabletek, że dam sobie radę z pracą, rodzicami, Ellie... To mi wystarczy.

– Allison W.? – Człowieczek khaki stanął w progu. – Michelle chce się z tobą widzieć.

– Idź – zgodziła się Bernice.

– Zobaczymy się jutro? – zapytałam z nadzieją w głosie.

Potrząsnęła głową.

– Miałam z tym poczekać do końca spotkania, ale dzisiaj jest mój ostatni dzień pracy tutaj.

W grupie przeszedł pomruk niezadowolenia. Opadłam z powrotem na krzesło, zdumiona i zła. Wreszcie miałam terapeutkę, którą polubiłam, a ona odchodziła po pierwszej sesji?

– Dokąd pani idzie? – zapytała Shannon.

– Będę pracowała w przychodni w Cherry Hill. – Uśmiechnęła się. – Może zobaczę się z niektórymi z was po drugiej stronie.

– Chwileczkę – zaprotestowałam. – Nie może pani odejść! Dopiero tu przyszedłam!

Bernice uśmiechnęła się do mnie ponownie, chociaż ten uśmiech wydał mi się bardziej zawodowy niż życzliwy. Oczywiście nie mogła przywiązywać się do kobiet, które będzie знаła jedynie przez cztery tygodnie, a w moim przypadku zaledwie czterdzieści pięć minut.

– Jestem pewna, że znajdą na moje zastępstwo kogoś wspaniałego.

Nie było czasu, by o tym porozmawiać. Poszłam więc za trenerem odwykowym, szurając i ziewając niemiłosiernie. Poprzedniego wieczoru zasnęłam o dziesiątej i obudziłam się tuż po północy, całkowicie rozbudzona i zlana potem. Wzięłam prysznic, założyłam świeżą piżamę i położyłam się z powrotem do łóżka, by jeszcze się przespać, ale nie udało mi się zasnąć. Myśli krążyły po mojej głowie, aż poczułam się tak roztrzęsiona i smutna, że zaczęłam łkać w poduszkę, myśląc o rozwodzie, o tym, jak wpłynie na Ellie i jak poradzę sobie jako samotna matka.

– Nie możecie dać mi zolpidemu? – zapytałam trutnia przy biurku po czterech godzinach męczarni. – Mam na niego receptę.

– Zolpidem? Tutaj? – Dyżurna trenerka odwykowa nazywana przez wszystkich Ninja Noreen z powodu jej zwyczaju zakradania się do pokoi i świecenia latarką prosto w oczy podczas codziennych kontroli parsknęła, słysząc moją propozycję.

– W porządku, może coś stosowanego w ośrodku.

– Większość alkoholików i uzależnionych od opiatów źle sypia. Nie wierzymy w środki nasenne. Będzie pani musiała to przetrwać. W końcu pani zegar biologiczny się zresetuje.

Dali mi melatoninę, naturalny środek nasenny, który wcale nie pomógł, i płytę z odgłosami oceanu, której słuchanie okazało się równie nieskuteczne. Czulałam, że zacznę wariować, a nikogo to nie obchodziło. „Kochana Ellie”, napisałam kolejnej bezsennej nocy. Na kolanach trzymałam notes, a obok położyłam ręcznik do wycierania potu i nieuniknionych łez. „Bardzo za Tobą tęsknię. Nie mogę się doczekać, kiedy Cię zobaczę. Przygotowujesz z babcią dużo smakołyków? Często grasz w monopol i przepraszam?” Pisałam do niej o pieczeniu i grach planszowych, ciągle zapewniałam, że za nią tęsknię i ją kocham, cały czas zastanawiając się, jak do tego doszło. Staralam się znaleźć odpowiedź na jedno istotne pytanie: jak to się stało, że mieszkająca na przedmieściach kobieta w średnim wieku kończy na odwyku? Jakim cudem mnie to spotkało?

– Rozumiem, że ma pani występ w telewizji zaplanowany na czwartek – zaczęła Michelle.

– Zgadza się. – Umówiłam się z Michelle, by omówić wizytę w *Wiadomościach o dziewiątej*, chociaż w głębi serca miałam nadzieję, że zabroni mi udziału w programie. Czułam się tak wyczerpana i zirytowana, że nie byłam pewna, czy będę w stanie powiedzieć na antenie coś sensownego. Na dodatek wyglądałam nędznie. Moja twarz była blada i ściągnięta, skóra na ustach, a nawet na powiekach popękana i łuszcząca się. Pod oczami miałam ogromne sińce, a na czubku głowy, u nasady ufarbowanych i poprzecinanych pasemkami włosów, dobre dwa i pół centymetra ciemnych odrostów. Jeśli żywiłam nadzieję, że wyjdę z odwyku opalona, wypoczęta i gotowa podbić świat, owe oczekiwania zostały szybko rozwiane. Nie wrócę do formy w ciągu dwudziestu ośmiu dni, sześciu miesięcy czy nawet roku. Ostatniego dnia „Wprowadzenia” pokazano nam film pod tytułem *Uzależnienie – choroba mózgu*, z którego dowiedziałam się, że mogę się spodziewać od roku do półtora roku bezsenności, wahań nastrojów, depresji i ogólnie mówiąc – złego samopoczucia. Jak dam radę przez to przejść? Film z pewnością nie miał mnie zniechęcić, ale byłam przekonana, że nie tylko ja wyszłam z projekcji z myślą: półtora roku? Nie ma mowy. Trzeźwość nie jest dla mnie.

– Allison, zespół przedyskutował pani prośbę i możemy zaproponować następujące rozwiązanie. – Michelle chwyciła długopis w dwa pulchne palce. – Przebywanie poza ośrodkiem na tym etapie leczenia byłoby dla pani najpewniej zbyt stresujące. – Czułam, jak robię wydech. – Możemy jednak zapewnić trenera trzeźwości, który będzie pani towarzyszył.

Uniosłam dłoń.

– Przepraszam. Trener trzeźwości? – Myślałam, że to żarty wymyślane przez brukowce i komików.

Michelle przytaknęła.

– To ktoś, kto pilnuje, by nie nadarzyła się pani okazja do potknięcia.

– Kto by nim był i jakie miałby kwalifikacje?

Policzki Michelle się zaczerwieniły.

– Oczywiście, Allison, wysłemy panią z kimś, kto ma na swoim koncie długi staż w trzeźwości.

– Ale nie z terapeutą – domyśliłam się. – Proszę posłuchać, niektórzy z trenerów są wspaniali, ale inni mogliby równie dobrze ustawiać towar na półkach w supermarkecie, bo kompletnie im nie zależy. I żaden z nich nie ma dyplomu. Z niczego.

Michelle brnęła dalej.

– Możemy zorganizować przejazd do redakcji. Trener trzeźwości będzie pani towarzyszył w podróży tam i z powrotem.

– Czy wiąże się to z dodatkowymi kosztami? – Z rozmów innych dziewczyn dowiedziałam się, że pobyt w Meadowcrest kosztował tysiąc dolarów za dzień i za wszystkie dodatkowe udogodnienia, od trzydziestominutowego masażu do sesji rodzinnej, trzeba dodatkowo płacić.

– Koszt wyniesie... – Spojrzała na kartkę. – Trzy tysiące dolarów.

Gapiłam się na nią, zbyt zszokowana, by się zaśmiać.

– Pani sobie, kurwa, żartuje?

– Wulgarność nie jest konieczna – odpowiedziała sztywno.

– Trzy tysiące pieprzonych dolarów? Właśnie, kurwa, że jest!

Michelle posłała mi uśmiech tak sztuczny jak piersi gwiazdy porno.

– Proszę to przemyśleć, Allison.

Westchnęłam.

– Będę musiała zadzwonić do mojego wydawcy, by odwołać występ.

– Ma pani prawo do telefonów?

Nie miałam pojęcia, czy tak było.

– Oczywiście.

Michelle wypisała pozwolenie.

– Gwoli informacji – oznajmiłam. – W sobotę odbędzie się przyjęcie urodzinowe mojej córki i zamierzam się na nim pojawić.

Jeszcze zanim skończyłam wypowiadać słowa „przyjęcie urodzinowe”, Michelle zaczęła kręcić przecząco głową.

– Przykro mi, Allison, ale według zasad powinna pani odbyć przynajmniej sześć sesji ze swoim terapeutą, zanim będzie pani mogła otrzymać jednodniową przepustkę. Do soboty odbędzie ich pani zaledwie trzy.

– Ale to nie moja wina! Przydzieliliście mi terapeutę dopiero po tygodniu!

Michelle wyduła wargi w kokietyjnym uśmiešku.

– Jak pani wie, Allison, mamy problemy kadrowe.

– Czy w takim razie nie powinniście dostosować reguł do zaistniałej sytuacji? Nie możecie wymagać od kogoś, żeby odbył konkretną liczbę sesji, a potem zatrudniać tak niewielu terapeutów, że osiągnięcie tego wyniku staje się niemożliwe. Spełniłam wszystkie pozostałe wymogi! – Ręce mi się trzęsły i niezdarnie wyjęłam potwierdzenie mojej aktywności. – Proszę, oto historia mojego uzależnienia. – Wyciągnęłam ją z segregatora i pomachałam Michelle przed nosem.

Spojrzała na nią sceptycznie.

– To wszystko? Tylko jedna strona?

– Zaczęłam brać dopiero około trzydziestki. Przykro mi. Późno odkryty

talent. Ale proszę spojrzeć. – Wskazałam kartkę. – Od momentu przyjęcia do ośrodka uczestniczyłam we wszystkich sesjach „Podziel się” i spotkaniach AA. W niedzielę poszłam na gościnny wykład, a w środy na ochotnika pomagam w dziale kuchennym przygotowującym zupy. – A to dopiero frajda. – Proszę posłuchać – powiedziałam. Zdałam sobie sprawę, że moje przemówienia nie skutkują. – To moja córka. Kończy sześć lat. Nie zrozumie, dlaczego nie mogę przyjść na jej przyjęcie.

– Dzieci są bardziej elastyczne, niż nam się wydaje. Założę się, że córka panią zaskoczy. – Michelle wyglądała na zadowoloną, gdy storpedowała mój pomysł występu telewizyjnego, a teraz wydawała się całkowicie wniebowzięta, jakby z trudem ukrywała radość. Już widziałam swoje ręce owinięte wokół jej obwisłego karku, palce zaciskające się i zatapiające w fałdach skóry. Pohamowałam się, odetchnęłam i ponownie skoncentrowałam.

– Michelle, proszę panią jak matkę. Jak człowieka. Proszę nie karać mojej córki za to, że jestem uzależniona. Proszę pozwolić mi pójść na przyjęcie.

– Zasady są, jakie są, Allison, i nie zrobiła pani tego, co powinna, by dostać przepustkę.

– Ale nie daliście mi na to szansy! Czy mnie pani nie słyszy? Z powodu waszych problemów kadrowych nie miałam żadnych możliwości, by spełnić wymogi.

– Rozumiem, że przemawia przez panią choroba. Słyszę, że mówi: „Chcę tego, czego chcę, i to teraz”. Tak właśnie żyją uzależnieni. Wszystko musi być teraz, natychmiast. – Potrząsałam głową, próbując protestować, ale Michelle mówiła dalej: – Uważamy, że zawsze będzie ktoś, kto posprząta nasz bałagan, będzie nas krył, zadzwoni do szefa albo profesora, znajdzie wymówki.

– Nigdy nie prosiłam nikogo, by mnie krył. Sama sprzątałam własny bałagan. Nigdy... – Och, to było nie do zniesienia! Czy ona nie rozumiała, że nie byłam jednym z tych ćpunów, którzy przesypiali całe dnie i balowali w nocy? Czy nie rozumiała, że tabletki, zamiast wytrącać mi życie spod kontroli, były jedyną rzeczą, która dawała mi choćby szansę na ogarnięcie go?

Michele nadal mówiła.

– Na trzeźwo nie znajdujemy wymówek i nie prosimy innych, by nas kryli. Żyjemy na zasadach, które wyznaczają życie. Bierzymy odpowiedzialność za własne działania i porażki. To była pani porażka i musi się pani do niej przyznać.

Łzy lały mi się po policzkach. Całe życie słyszałam powiedzenie, że kogoś zalała krew, ale nie wiedziałam, że to rzeczywiście możliwe. Siedziałam i nagle moje ciało spowił czerwony cień. Serce biło mi w uszach tak głośno, jak jeden z bębnów wielkości człowieka, których używają na paradach. Musiałam z całej siły się hamować, by nie rzucić się przez biurko i nie uderzyć Michelle.

– Jadę na przyjęcie urodzinowe córki. Powiedziałam jej, że będę, i pojedę.

– Allison...

– Nie. Koniec pogawędki. Temat zamknięty.

Nadal trzęsąc się z wściekłości, wstałam, zamknęłam za sobą drzwi, wróciłam do pokoju i położyłam się na łóżku. Dobra, powiedziałam do siebie. Myśl. Może wymknę się nocą przed przyjęciem, wyjdę przez okno w pokoju i zacznę iść. Tylko dokąd? Nie byłam pewna, gdzie jestem, jak daleko jest od Filadelfii, czy dojeżdżają tutaj autobusy albo pociągi. Nawet gdybym poczekała do świtu, nie wiedziałabym, w którym kierunku pójść i jak długo zajęłoby mi podróż.

Przewracałam się z boku na bok i zastanawiałam, co porabia Ellie. Kiedy kupiliśmy dom w Haverford, dokonaliśmy tylko jednego ulepszenia: w pokoju Ellie zamiast standardowych dwuczęściowych okien robotnicy zainstalowali głębokie, wyłożone poduszkami siedzenie pod oknem z wbudowanymi półkami na książki po obu stronach. Efekt okazał się lepszy, niż się spodziewałam. Poduszki można było odczepić, a pod pokrywą siedziska był składzik. Ponieważ Ellie nie potrafiła jeszcze czytać, zmieniliśmy przeznaczenie tego miejsca i zaczęliśmy używać go jako sceny. Zawiesiliśmy zasłony ze złotymi frędzlami, które Ellie mogła zamaszyście rozsuwać, a z pudełka po butach, kolorowego papieru i brokatu zrobiliśmy kasę biletową. Wieczorami kolekcja pluszaków przedstawiała brodwayowską rewię, śpiewając wszystko od ocenzonej wersji piosenek z *Księgi Mormona* i *Urinetown* po *Bye Bye Birdie* i *Dźwięki muzyki*.

Usiadłam na łóżku, przypomniawszy sobie spektakl *Dźwięki muzyki*. Czyż nie odbywał się w nim pokaz talentów – przedstawienie w przedstawieniu? Czy von Trappowie nie użyli go jako przykrywki podczas ucieczki?

W ośrodkach odwykowych organizowano pokazy talentów. Dowiedziałam się o tym z filmu *28 dni* o trzeźwiejącej Sandrze Bullock, który nam pokazano. Czyżbym znalazła rozwiązanie? Zaproponować przedstawienie, wymyślić własny występ, przekonać Dave'a, że dostałam jednodniową przepustkę... Szczegóły opracuję później, ale na razie widzę przynajmniej iskierkę nadziei.

Następnego dnia, przy śniadaniu poruszyłam temat tak niedbale, jak potrafiłam.

– Dziewczyny, znacie *Dźwięki muzyki*, prawda?

Odpowiedziały mi zaskoczone spojrzenia ze wszystkich stron stołu.

– Czy to program w stylu *Idola*? – zaryzykowała jedna z Ashley.

– Nie. A właściwie, wiecie co? Odbywa się tam konkurs talentów.

W przedstawieniu pokazana jest duża rodzina. Ponieważ matka umiera, ojciec wynajmuje guwernantkę.

Jedna z Ashley się skrzywiła.

– Nie można wynająć gubernatora. Oni są wybierani.

– Nie, nie gubernatora, tylko guwernantkę. To eleganckie określenie opiekunki do dziecka. Tak czy inaczej dziewczyna zajmuje się dziećmi, a ojciec zaczyna się w niej zakochiwać.

Aubrey natychmiast wrzuciła pornograficzną ścieżkę dźwiękową i zaczęła poruszać biodrami w przód i w tył, śpiewając:

– Bow chicka bow wow...

– Przestań! – skarciłam ją surowo. – To klasyka!

Pamiętałam, jak Christopher Plummer i Julie Andrews tańczyli na werandzie, on obejmował jej wąską talię, a ona wpatrywała się w niego, jakby był Bogiem, którego nie znalazła w zakonie.

– A więc zakochują się w sobie, a dzieci, którym ojciec nie poświęcał nigdy więcej niż dziesięć minut swojego czasu, zaczynają lepiej się zachowywać. Jest ich sześcioro, a wśród nich szesnastolatka, która zakochuje się w posłańcu.

– W posłańcu! – parsknęła Lena. – Dziewczyna potrzebuje faceta z prawdziwą pracą. – Potrząsnęła głową. – Pewnie jeździ na bilecie miesięcznym. O kant dupy potłuc.

– Dobra. Naziści organizują wielki konkurs talentów i Śpiewająca Rodzina von Trappów bierze w nim udział.

– Zaraz, zaraz. Tak się nazywają? To okropna nazwa.

– Cóż, akcja toczy się dawno temu. Dajcie im spokój. Dobra, kto w to wchodzi?

Rozejrzałam się wokół. Ashley zdzierała kawałki różowego lakieru z paznokci, Aubrey bazgrała w notatniku, prawdopodobnie listę wszystkiego, co zrobi, kiedy ją wypuszczą. Wszystkie miałyśmy swoje wersje tej listy. Kobiety w moim wieku pisały o luksusach, których im brakowało, potrawach, które chciałybyśmy zjeść, ubraniach, których nie spakowały, wykąpaniu się pod prysznicem, z którego woda nie płynie chłodną strużką, czytaniu książek, które nie

zawierały zawsze identycznego łuku pomiędzy rozpaczą a odwykiem, albo o oglądaniu filmów telewizyjnych, w których aktor klasy C nie jest owładnięty delirium i nie doznaje boskiego objawienia. Młode dziewczyny, o ile mi wiadomo, pragnęły prochów i seksu, zwykle w tej kolejności, często od tej samej osoby.

Wyprostowałam się i odetchnęłam przeponą, przypominając sobie czasy chóru szkolnego.

– Krople deszczu na różach i kocie wąsiki. Ciepłe wełniane rękawiczki i jasne miedziane czajniki. Stos paczek w brązowym papierze, sznurkiem przewiązanych.

– To kilka z moich rzeczy ulubionych! – zaśpiewała Shannon. Wyglądała lepiej niż podczas „Podziel się”. Jej cera nie była już tak matowa, a włosy lśniły. – Oglądałam ten musical kiedyś z rodzicami. Jest uroczy!

– Jest słaby – uznała Lena.

– Ale możemy go zmienić! – zaproponowałam. – Na przykład... – Zastanowiłam się przez chwilę. – Dilerzy na rogach, gliniarze na karku. Radiowozy i speluny...

– I obciążanie w parku – dodała Mary. Natychmiast zakryła usta dłońmi i zachichotała.

– Kolejna działka, co ból uleczy. To kilka z moich ulubionych rzeczy! – zaśpiewałam. – Gdy gryzie mnie pies! Gdy gliny wpadają! Gdy smutno mi jest. Myślę o ulubionych prochach i już nie czuję się źle.

Wszystkie dziewczyny zaczęły bić brawo. Mary zmarszczyła brwi.

– Czy to nie gloryfikuje zażywania narkotyków?

– Może powinniśmy zaśpiewać o negatywnych aspektach – zaproponowała Shannon. – Znacie musical *Avenue Q*? Jest tam piosenka *Mix Tape*. – Wyprostowała plecy i zaczęła śpiewać niskim, przyjemnym altem: – On mnie lubi. Myślę, że mnie lubi. Ale czy tak samo, jak ja lubię jego? Czy będziemy przyjaciółmi albo kimś więcej? Myślę, że się mną interesuje, ale nie jestem pewna tego. – Zamyśliła się na minutę, a potem kontynuowała: – Test z moczu. Oblałam test z moczu. Nie wiedziałam, że mi go zrobią... ale zrobili! A ja paliłam krak. I popiłam piwem. A teraz siedzę tutaj... i trzęsę portkami!

Lena zmarszczyła nos.

– No nie wiem. Wszystko musi być musicalowe? A może coś w stylu klipu Beyoncé?

– Jasne – przytaknęłam, chociaż moja znajomość klipów Beyoncé ograniczała się do jednego, w którym ubrana w trykot podskakuje i wymachuje ręką, by pokazać pierścionek.

– A co z dziewczynami, które nie potrafią śpiewać? – zapytała Mary.

– Możemy zrobić skecze, na przykład parodię *Czy jesteś mądrzejszy od piątoklasisty?*.

Aubrey była pod wrażeniem.

– Znasz ten teleturniej?

– Dziewczyno! Jestem stara, ale nie martwa. – Wystawiłam dwa palce w stylu gangsta. Laska, to ja, Blanciara!

– To ja jestem wapniaczką – oznajmiła Mary. Nie wydawała się zasmucona i zaczęła śpiewać: – Wskoczę na stare dobre łóżko szpitalne... Moje serce wreszcie się wyciszy... Pojadę na tym łóżku na detoks... Mam nadzieję, że nie ma tam pcheł ani myszy...

– O mój Boże! Musimy napisać piosenkę o Edzie McGreaveyu! – wykrzyknęłam, przyłączywszy się do aplauzu pozostałych dziewczyn. – Znacie *Nędzników*?

– To musical o francuskich rewolucjonistach – wyjaśniła Shannon. – Jest tam wątek trójkąta miłosnego.

– A jednym z bohaterów jest okropny oberżysta, który dodaje do gulaszu kocie mięso, żąda za wszystko wygórowanych cen i kradnie klientom pieniądze.

– Czy nosi sztuczne włosy? – zapytała jedna z Ashley.

– Pewnie tak. To odrażający człowiek, który wykorzystuje ubogich – dodała Shannon.

– To właśnie on – oznajmiła Lena, która spędziła z Edem więcej czasu niż reszta z nas razem wziętych.

– Szybko przechwyci twój wzrok! Nikt nie minie go o krok! Służący dla biednych! Dla wyższych sfer lokaj! Hipokryta, lizus, moczymorda i opój! – Odłożyłam długopis i chwilę się zastanowiłam. – Rety. Właściwie nie musimy nawet zmieniać tekstu.

– Kto to jest „opój”?

– Pijak.

– Czy Ed nie brał metamfetaminy? – zapytała Aubrey.

Wzruszyłam ramionami, ale Lena kiwała głową.

– Tak. Wrócił tutaj, ważąc trzydzieści sześć kilogramów, bez wszystkich zębów. Podczas wykładu pokazuje swoje zdjęcie.

– Ale nie na tym o znajdowaniu celu? – Słyszałam go już i byłam pewna, że gdyby pokazano mi fotografię bezzębnego Eda wychudzonego do trzydziestu sześciu kilogramów, zapamiętałabym ją.

– Nie, nie, prowadzi jeszcze jeden wykład pod tytułem *Znajdź swoją czarną dupę* – wyjaśniła jedna z Ashley.

Wybuchłam śmiechem. Mary też się śmiała.

– Co? – zapytała Lena.

– Znajdź swoją czarną dupę? – dziwiła się Aubrey. – Moja babcia zawsze mówiła: jest tak głupi, że nie znalazłby swojej dupy, mając dwie ręce i latarkę.

– Jak Ed znalazł swoją czarną dupę? – zapytała Shannon. – Gdzie ją znalazł?

– W San Francisco, robiąc laski za pieniądze na dragi – wyjaśniła Lena.

– Normalka – mruknęłam pod nosem i ponownie pomyślałam, jak bardzo różniłam się od pijaków i ćpunów zasiedlających ów ośrodek. Każda anegdota, osobiste zwierzenie, każda sesja „Podziel się” stawały się argumentami potwierdzającymi, że nie powinno mnie tu być. Nie poddawaj się, powiedziałam sobie.

– Hej, widziałyście *Pitch Perfect*? Albo *Mamma Mia*? Może stamtąd coś weźmiemy? Zaraz! Mam piosenkę dla Michelle: „Jeśli zmienisz zdanie, czekam na ciebie, kochanie. To ja pojawię się w mig. Nikt nie umknie mi!”.

– Ustalę nowe zasady do łamania, nie unikniesz pojemniczka do siusiania – zaśpiewała uzależniona od xanaxu Samantha, która podeszła do naszego stolika, przyciągnięta śpiewaniem. – Zaświecę ci latarką w oczy, obudzę znieścaka w samym środku nocy.

– Uważam, że powinniśmy zrobić skecz o zasadach przyjmowania do pracy tutejszego personelu – powiedziała dziewczyna o imieniu Rebecca, tak cicha, że słyszałam jedynie, jak przedstawia się podczas „Podziel się”. – Coś w stylu: „Czy masz puls?”.

– „Byłaś w college’u?” – zaproponowała Mary. – „Nie? A wiesz, co to jest college?”

– To się nie uda – oznajmiła Lena.

– Dlaczego nie? – zapytałam.

– Dlatego! – Wywróciła oczami. – Naprawdę myślicie, że pracownicy będą spokojnie siedzieli i patrzyli, jak sobie z nich żartujemy? Są głupi, ale nie kompletnie debilni.

– Więc im o tym nie powiemy! – oznajmiłam. – Po cichu roześlemy wieści. Powiemy wszystkim, że w sobotę po lunchu, podczas „Medytacji” organizujemy w stołówce pokaz talentów. – A kiedy pracownicy zorientują się, co się dzieje, i pośpieszą, by zakończyć przedstawienie, wyjdę na parking, spokojna niczym kapitan von Trapp stawiający czoła nazistom, i pozwolę Dave’owi zawieźć się na przyjęcie urodzinowe Ellie.

– Dobrze się czujesz? – zapytała moja nowa terapeutka, Kirsten. Skinęłam głową, chociaż ledwie mogłam oddychać i na śniadanie nie byłam w stanie zjeść nawet kęsa ananasa ani jednej truskawki.

Trzy dni temu Kirsten zapytała mnie, kogo ma zaprosić na moją sesję rodzinną, nasiadówkę, którą wszyscy osadzeni muszą przetrwać, zanim Meadowcrest wypuści ich ze swego uścisku. Wpisałam na listę Dave'a i mamę. „Czy chcesz, żebym się z nimi skontaktowała?”, zapytała wówczas Kirsten, a ja przytaknęłam, świadoma, że nie zniosłabym tego, gdyby Dave mi odmówił. A to właśnie zrobił. – Nie powiedział dlaczego – przekazała mi Kirsten. Różniła się od Bernice niemal pod każdym względem. Była wysoka, szczupła, młoda i biała, na palcach miała cienkie srebrne pierścionki, ubierała się w ołówkowe spódnice i nosiła niewysokie obcasy, które miały nadawać jej dorosłego wyglądu, a zamiast tego sprawiały, że przypominała nastolatkę, która zbyt się stara. „Nie dopatruj się zbyt wiele w jego reakcji. To nie znaczy, że nie chce brać udziału w twoim leczeniu”. „Albo w moim życiu”, wyszeptałam i przez kolejne dwie noce nie zmrużyłam oka. Zamartwiałam się, że jak tylko wyjdę z Meadowcrest, będą na mnie czekały papiery rozwodowe. „To znaczy tylko tyle, że nie weźmie udziału w dzisiejszej sesji”.

Ale dlaczego nie uznał jej za priorytet i nie odwołał zaplanowanych wywiadów lub konferencji? Co mogło być ważniejszego od pomocy mnie?

Mama zgodziła się przyjechać. O wyznaczonej godzinie wstałam, ubrałam się, a Aubrey pomogła mi z fryzurą i makijażem. Shannon pożyczyła mi kaszmirowy rozpinany sweter i pasek do dżinsów. Pomimo bogatego w skrobie jedzenia schudłam, głównie dlatego, że byłam zbyt zrozpaczona, by jeść. Mary wyciągnęła różaniec i oznajmiła, że będzie modliła się za mnie w kaplicy, i nawet Lena wymamrotała szorstkie: „Powodzenia”.

Usiadłam na krześle w gabinecie Kirsten, założyłam nogę na nogę i starałam się nie trząść widocznie, gdy otworzyły się drzwi i weszła moja matka. Wyglądała nieskazitelnie w dzianinowym kostiumie od St. Johna, który jak sobie przypominałam, założyła na bat micwę wnuczki swego brata, Maddie. Ufarbowała i ułożyła włosy, pozbawiając je wszelkich śladów siwizny. Spływały burzą pukli ułożonych lokówką, a wszystkie były takie same. Nadal nosiła długie włosy, nawet po czterdziestce, pięćdziesiątce i sześćdziesiątce. „Mężczyźni lubią, jak kobieta rozpuszcza włosy”, powtarzała, nawet kiedy jej własne stawały się coraz cieńsze i bardziej łamliwe, a ich kolor i blask zawdzięczały substancji z buteleczki. Makijaż jak zwykle przypominał maskę i był zrobiony przy użyciu tych samych kosmetyków, których prawdopodobnie używała od lat siedemdziesiątych: kreska

wykonana czarnym eye-linerem, podkreślona na końcu powieki, by nadać im kociego wyglądu, podkład nałożony na całej powierzchni twarzy aż po szyję i ulubiony błyszczak Lipglass, dzięki któremu uzyskiwała lakierowane wykończenie, jak w nowym samochodzie.

Jednak pod fryzurą i makijażem dostrzegłam coś innego, czujność w jej wyrazie twarzy, pewność siebie widoczną w sposobie poruszania, gdy weszła do gabinetu. Jakby wiedziała, że dotrze na drugą stronę bez pomocy, nie wpadając na nic i nie uderzając piszczelą o stolik kawowy. Całe życie mama miała tendencję do ulegania wypadkom. Pamiętam, jak tysiące razy tata powtarzał „oj”, ujmował ją dłonią za łokieć, prowadził z dala od ostrego przedmiotu i utrzymywał w pionie.

– Podać pani coś do picia? Kawę, wodę? – zapytała Kirsten.

– Nie, dziękuję – odparła. Po jej rozszerzonych nozdrzach, sposobie, w jaki przyciskała rękę do ciała i trzymała kurczowo torebkę, poznałam, że zauważyła zapach detergentów przemysłowych i taniego przetworzonego jedzenia, trenerów odwykowych z ich problematyczną cerą i heroinistki z kolczykami i tatuażami. Może mignęła jej nawet gdzieś Michelle, której rozmiary uznałaby za osobisty afront. Miejsce pełne popaprańców, pomyślałaby, a pomiędzy nimi moja córka.

– Cześć, mamó. – Nie byłam pewna, czy powinnam ją uściskać, a ona nie wykonała żadnego gestu w moją stronę. – Jak się miewa Ellie?

– Och, Ellie jest cudowna. Dzisiaj rano bawią się u Hanka. – Po jej błyszczących ustach przemknął grymas. – Ten chłopiec stale się lepi.

– Hank cierpi na alergię.

– Nie jestem pewna, czy to jedyne wytłumaczenie. Ellie tęskni za tobą... – Głos mamy ucichł, a moje oczy wypełniły się łzami.

– Może pani usiądzie? – zaproponowała Kirsten i posłała mi znaczące spojrzenie. – Allison, pamiętaj. Oczywiście martwi się pani o córkę, ale jesteśmy tutaj, by skupić się na pani.

Wtedy mama uniosła głowę.

– Jak się masz? – zapytała.

Wzruszyłam ramionami.

– Cóż, biorąc pod uwagę fakt, że jestem na odwyku, to nieźle.

Mama wzdrygnęła się na dźwięk słowa „odwyk”.

– Nie zauważyła pani żadnych zmian u córki? – zapytała Kirsten. – Allison wydawała się pani taka sama?

Moja matka wcale mnie nie zauważa, pomyślałam, kiedy usiadła i zaczęła bawić się zatraskiem torebki. Nie było to zbyt wyrozumiałe ani całkowicie prawdziwe – matka mnie zauważała, ale ojca dostrzegała bardziej – nie byłam jednak w szczególnie wspaniałomyślnym ani szczerym nastroju. To była najbardziej żenująca sytuacja, jaką mogłam sobie wyobrazić, gorsza niż moment, kiedy matka została wezwana do szkoły, gdy zwymiotowałam wszystkie pączki po

naszym nieudanym śniadaniu urodzinowym, albo kiedy zadzwoniono do niej, gdy byłam w piątej klasie i wraz z koleżanką Sandy Strauss wpadłyśmy w tarapaty, ponieważ powiedziałyśmy nowej uczennicy o okropnym imieniu Scarlett, której południowy akcent brzmiał dla nas dziwnie, że zadzwoniłyśmy do stacji radiowej Z-100 i wygrałyśmy bilety na koncert Gofios, na który może pójść z nami. Gdzie teraz była Scarlett? Nie mogłam sobie przypomnieć jej nazwiska, ale pamiętałam jej wąską, króliczą twarz i jasne niebieskie oczy, które zawsze wyglądały tak, jakby przed chwilą płakała.

– Allison? – Zamrugałam i zobaczyłam, że Kirsten i mama mi się przyglądają. – Zapytałam pani matkę, czy w ciągu ostatniego roku zauważyła jakieś zmiany w pani zachowaniu.

– Musi pani pamiętać, że mniej więcej w tym czasie mój ojciec zachorował. Myślę, że mama, cóż, właściwie my wszyscy skupiliśmy się na nim.

– To nie znaczy, że nie poświęcałam uwagi tobie – powiedziała nieco ostro mama. Zwróciła się do Kirsten: – Zauważyłam. Zwłaszcza od kiedy zamieszkałam z Allison i Dave’em. Jej nastroje były... nieco dziwne. Czasami wydawała się senna albo radosna, ale jakby na krawędzi. Miałam wrażenie, że mogłaby w jednej chwili przejść od euforii do płaczu.

– Nigdy nie płakałam – zaprotestowałam.

– Allison – powiedziała Kirsten swoim profesjonalnym, kojącym głosem. – Niech pani postara się po prostu słuchać, dobrze?

Przytaknęłam, ale nie mogłam uwierzyć, że matka miała na tyle tupetu, by przyjechać i starać się przedstawić mnie jako potrzebującą pomocy.

Kirsten odwróciła się ode mnie w stronę matki.

– Pani córka przyznała, że była narażona na ogromny stres. – Terapeutka pochyliła się i przeczytała fragment z otwartej na kolanach teczki. – Dużo pracowała, zajmowała się córką i pomagała pani przy mężu. Cierpi na alzheimera, zgadza się?

Matka przytaknęła milcząco. Po jej policzkach popłynęły łzy. Teraz, pomyślałam, trafiłyśmy na temat, który zajmie resztę sesji, a jeśli to możliwe, resztę dnia. Mój ojciec, jego cierpienie, a w konsekwencji agonია matki.

– Czy jest pani zaskoczona, że córka znalazła się w takim ośrodku? – zapytała Kirsten.

Zaległa taka cisza, że słyszałam tykanie zegara. Wtedy matka potrząsnęła głową, w co ledwie mogłam uwierzyć.

– Nie – zaprzeczyła zachrypniętym szeptem. – Nie, nie mogę powiedzieć, bym była zaskoczona.

Zszokowana otworzyłam usta. Chciałam jej przypomnieć, jaką byłam grzeczną dziewczynką, że nigdy nie opuszczałam lekcji, zawsze oddawałam pracę domowa, dostałam pracę w trzy tygodnie po skończeniu college’u Franklina

i Marshalla, że nigdy jej nie zawstydziałam i nie byłam dla niej ciężarem. Ale najwyraźniej to był dopiero początek szokujących informacji.

– To rodzinna przypadłość, prawda? – zapytała matka.

Kirsten przytaknęła.

– Badania dowodzą, że dziecko, którego rodzic jest uzależniony, jest osiem razy bardziej podatne na wpadnięcie w nałóg.

Zebrałam się w sobie. Wysłuchałam opowieści innych kobiet i wiedziałam, co się szykuje. Za chwilę usłyszę, że ojciec matki po kryjomu popijał albo że babcia Sadie bez końca zażywała meksykańskie tabletki odchudzające. Matka opuściła głowę i zaczęła głośniej płakać.

– Nigdy nie chciałam jej skrzywdzić – łkała. – Gdybym sama mogła tu być... gdybym mogła uśmierzyć ten ból...

Kirsten podała jej pudełko chusteczek, co było stanowczo zakazane podczas zwykłych sesji terapeutycznych, gdyż mogłoby zakłócić wgląd pacjenta. „Jej wpadki, jej smarkatki”, śpiewała grupa. Mama wzięła garść chusteczek i wytarła oczy.

– Co ma pani na myśli, mówiąc, że nigdy nie chciała pani skrzywdzić Allison? – Kiedy nie odpowiedziała, sama zapytałam:

– Właśnie, chciałabym wiedzieć, o czym mówisz.

– Nie pamiętasz – jej głos brzmiał monotonicznie – cóż, możliwe. Miałaś wtedy tylko cztery lata.

– Co miałabym pamiętać? Co się zdarzyło, gdy miałam cztery lata? – Z brzękiem otworzyła zatrzask torebki, a potem go zamknęła i wtedy sobie przypomniałam. Oczywiście wiedziałam, co się stało. Wypadek.

– Ale to nie miało ze mną nic wspólnego – powiedziałam.

Matka, wpatrzona w Kirsten, zaczęła mówić jednocześnie ze mną.

– Miałam wypadek samochodowy – oznajmiła. – Byłam pijana, a Allison jechała ze mną.

Otwarłam usta, a matka mówiła dalej.

– Miałaś zapięty pas, ale w tamtych czasach nie było fotelików. Kiedy ja... kiedy samochód... – Zachłusnęła się. – Wjechałam w słup telegraficzny. Złamałaś rękę.

Zmroziło mnie.

– Niczego nie pamiętam – powiedziałam, ale gdzieś w głębi coś mi zaświtało. Jęk i brzęczenie w uszach, czyjeś dłonie na moich ramionach, zapach spalenizny w powietrzu, głos mężczyzny: „Nie ruszaj się. Jak skończymy, dostaniesz lizaka”.

Odezwałam się, ale język miałam sztywny jak kołek.

– Aresztowano cię?

Potrząsnęła głową.

– W tamtych czasach... wtedy było inaczej. Ale twój ojciec... – Ukryła twarz w dłoniach. – Tak się zezłościł, że zabrał cię na tydzień.

Tego też nie pamiętałam.

– Dokąd pojechaliśmy?

– Na wybrzeże. Było lato. Musiał wynająć jakąś kwaterę, wiesz, ten mały domek w Avalon, gdzie jeździliśmy. Należał do jednego ze wspólników z jego firmy. Nigdy go o to nie pytałam, nigdy nie dowiedziałam się na pewno, ale myślę, że tam pojechał. A kiedy wrócił, powiedział mi... po-powiedział mi, że jeśli jeszcze kiedykolwiek cię skrzywdzę, jeśli kiedykolwiek narażę cię na niebezpieczeństwo, zostawi mnie i nigdy nie wróci. Zabierze cię i nigdy was nie zobaczę.

W mojej głowie elementy układanki wskoczyły na swojej miejsce. Kluczyki wpasowały się w dziurki w zamkach. Drzwi otworzyły się i ukazały po drugiej stronie inny świat.

– Więc przestałaś prowadzić?

Skinęła głową.

– Ale nie przestałaś pić.

Oczy znów zaszły jej łzami.

– Nie potrafiłam – wyszeptała. – Próbowałam, tak wiele razy. Chciałam przestać. Dla ciebie, dla twojego ojca. Chciałam być dobrą matką i żoną, ale ja... – Potrząsnęła głową.

Zamknęłam oczy i przypomniałam sobie sceny z dzieciństwa. Miałam siedem lub osiem lat, koleżanka została u mnie na noc, a kiedy rano wstawaliśmy, kazałam jej mówić szeptem.

– Mama długo śpi – wyjaśniałam.

Ale nie była niesprawna fizycznie. Zazwyczaj około dziesiątej rano była już na korcie, a jeśli całe popołudnie sączyła białe wino i wodę sodową, nigdy nie widziałam, by zachowywała się niezdarnie, była podchmielona, bełkotała lub zataczała się.

– Więc zrobiłaś wszystko, by tata znowu się na ciebie nie zezłościł. – Zachowując się jak mała dziewczynka, postrzelona nastolatka, pomyślałam, ale nie powiedziałam. Mama ponownie przytaknęła.

– I trzymałaś się ode mnie z daleka.

Uniosła głowę i spojrzała na mnie oskarżycielsko.

– Nie potrzebowałaś mnie!

– Co? – Spojrzałam na Kirsten z nadzieją, że się przyłączy. – Która dziewczynka nie potrzebuje matki?

– Byłaś taka bystra – powiedziała matka. Jej głos brzmiał niemal błagalnie. – Potrafiłaś wszystko zrobić sama. Nigdy nie potrzebowałaś mojej pomocy w ubieraniu, wybieraniu ubrań ani odrabianiu lekcji. Nie chciałaś, bym

odprowadzała cię do szkoły. – Zniżyła głos do szeptu. – Czułam, że się mnie wstydzisz. Jakbyś wiedziała, co zrobiłam, jak głupio i nierozważnie się zachowałam. Nie chciałaś mieć ze mną nic wspólnego.

Zamknęłam oczy i próbowałam wyobrazić sobie matkę, moją piękną, chłodną matkę jako alkoholiczkę, która utrzymywała przede mną tajemnicę przez ponad trzydzieści pięć lat. Jakże ograniczone musiało być jej życie. Żadnego samochodu. Żadnych przyjaciół, a przynajmniej prawdziwych, ponieważ komu mogła zaufać? Jak mogła z kimkolwiek szczerze porozmawiać? Żadnego związku ze mną i desperackie, oparte na przywiązaniu i obawie przed opuszczeniem małżeństwo, w którym inni ludzie – tata i ja – robili wszystko, ponieważ matka nie ufała sobie w niczym. Ten obraz tak wiele wyjaśnił.

– Czy kiedykolwiek zamierzałaś mi powiedzieć?

Nie zawahała się, zanim potrząsnęła głową.

– Jak mogłam ci powiedzieć, że niemal cię zabiłam? Jak mogłabyś mi kiedykolwiek wybaczyć? Ale teraz... – Uniosła głowę i rozejrzała się wokół. – Gdybym wiedziała, że grozi ci nałóg, powiedziałabym coś. Ostrzegłabym cię, ale nie sądziłam... – Ponownie potrząsnęła głową i złożyła ręce. Widziałam, że drży, a jej skronie i skórę nad górną wargą pokrywa mgiełka potu. Na pewno bardzo chciała się napić. Zastanawiałam się, ile ją to kosztowało, by wstać z łóżka, ubrać się i pojechać aż do New Jersey, samotna i trzeźwa. Zastanawiałam się, czy trzyma w samochodzie piersiówkę, czy wsunęła do torebki jedną z tych małych samolotowych małpek, czy odlicza minuty, sekundy do momentu, gdy będzie mogła wymknąć się do łazienki albo na tylne siedzenie samochodu, odkręcić nakrętkę śliskimi drżącymi rękami i podnieść butelkę do ust, by poczuć ulgę. – Nie byłaś taka jak ja. Byłaś silna. Miałaś wszystko poukładane.

– Nic nie mam poukładane – zaprzeczyłam. – I nie jestem silna.

– Zastanawiam się – zaczęła Kirsten. – Może to panie łączy. Umiejętność utrzymywania pozorów, by na zewnątrz wszystko wyglądało dobrze.

Nie odpowiedziałam. Prawdopodobnie nawet teraz mama na zewnątrz rzeczywiście wyglądała dobrze. Zawsze nosiła perfekcyjny makijaż i nieskazitelne ubrania, a jej sportowe umiejętności potwierdzała kolekcja trofeów zajmująca całą półkę nad kominkiem. Wewnątrz jednak była wrakiem, chodzącą ruiną. Tak jak ja. Matka podniosła głowę.

– Allison – powiedziała. – Musisz wiedzieć, że w obecności twojej córki nigdy nie byłam nietrzeźwa.

– Przestałaś pić? – zapytałam.

Pochyliła głowę.

– Kiedy tata zachorował, ograniczyłam się do dwóch kieliszków wina wieczorem – przyznała. – Chcę ci pomóc, Allison.

– Czy było ci trudno? – zapytałam. Czy rzeczywiście udało ci się przejść od

regularnego picia do zaledwie dwóch kieliszków wieczorem? Czy mama mówiła prawdę? Nie miałam jak tego sprawdzić.

– Zrobię wszystko co w mojej mocy, by ci pomóc – obiecała. – Tylko proszę. – Znowu płakała, ale panowała nad głosem. – Musisz przestać brać tabletki. Musisz spróbować. Dla dobra Ellie. Nie możesz jej skrzywdzić i nie możesz zmarnować sobie życia, ukrywając się jak ja, udając, że wszystko jest w porządku, upijając się, biorąc tabletki lub coś innego, nie będąc prawdziwą matką i nie żyjąc naprawdę. – Wstała, kucnęła przede mną i ujęła moje dłonie w swoje lodowate ręce. Z bliska zobaczyłam to, czego nie widziałam wcześniej, czego nie chciałam zobaczyć przez całe życie. Ujrzałam to w siateczce zmarszczek wokół jej oczu, w nierównej linii pociągniętej kredką wokół ust, a przede wszystkim w delikatnym słodko-kwaśnym owocowym zapachu wydobywającym się z porów jej skóry. Nigdy go nie nazwałam, podobnie jak nie nazwałam zapachu Dave’a czy Ellie. Ludzie mieli własne zapachy i tyle. Teraz jednak czułam, jakbym została nim porażona, jakbym skoczyła na główkę w kadź taniego białego wina, w którym moja matka marynowała się przez dziesiątki lat.

Nigdy niczego nie zauważyłam. Nawet się nie domyśliłam, mimo że istniało wiele wskazówek, nigdy nie zestawiałam ich ze sobą, by dojść do niezaprzeczalnego wniosku. Co było ze mną nie tak? – zastanawiałam się, gdy matka trzymała moje ręce w mocnym uścisku. Czy byłam po prostu tak samolubna jak ona, że nie zauważyłam, że była chora i cierpiąca?

– Obiecuj mi, Allison.

– Nigdy więcej nie chcę trafić w takie miejsce jak to – odpowiedziałam. Tyle mogłam jej powiedzieć i nie skłamać.

– To już początek – oznajmiła Kirsten.

Chwiejnym krokiem opuściłam gabinet, minutę po wyjściu mamy. Nie pamiętałam Wypadku, kiedy byłam małą dziewczynką, ale teraz czułam się tak, jakbym doświadczyła czegoś podobnego w tym pokoiku, jakby przejechał mnie autobus i zostawił rozpląszczoną na chodniku.

– Proszę pić dużo wody – poleciła Kirsten. – I oddychać. Ma pani do przyjęcia bardzo wiele wrażeń i informacji.

Szłam niepewnie kobiecą ścieżką, z opuszczoną głową, by przypadkiem nie napotkać wzroku żadnego mężczyzny i nie zerknąć w kierunku parkingu dla gości. Czekalby tam samochód matki z kierowcą. Mogła pojechać w świat, gdziekolwiek chciała. Wkrótce ja również doświadczę tej wolności. Dokąd pojedę? Co zrobię?

Był parny czerwcowy dzień, w wilgotnym powietrzu unosiło się buczenie trzmieli i kosiarek do trawy. Osiadało to wszystko na moich ramionach jak mokry koc. Słońce błyszczało na zamglonym niebieskoszarym niebie, a powietrze zdawało się gęste od pyłków tłumiących wszystkie kolory, które stawały się rozmyte i niewyraźne. Gdzieś tam dzieci pluskały się w basenach, tatusiowie siedzieli pod parasolami i oglądali mecze, mamy smarowały pociechy kremem z filtrem przeciwsłonecznym, rozdawały im kanapki i mówiły „Och, dobrze mi to robi”, gdy proponowano im schłodzone piwo, białe wino lub drinki z wódką i sokiem żurawinowym, kwaskowate i orzeźwiające, idealne na gorący letni dzień.

Za budynkiem administracyjnym znalazłam mały ogródek zarośnięty chwastami, z nierównymi krawędziami rabatek, wiewiórkami popiskującymi na krzewach dereniowych i stojącą pośrodku drewnianą ławką pełną wystających drzazg. Usiadłam na niej i zapatrzyłam się tępo przed siebie. Miałam wrażenie, że patrzę na jeden z obrazków powodujących złudzenie optyczne. Gdy spojrzę się na niego z jednej strony, widać piękną kobietę, łagodne linie jej brody i policzków oraz gęste loki. Wystarczy mrugnąć lub przechylić głowę, by zdać sobie sprawę, że patrzy się na pomarszczoną staruchę z nosem przypominającym guzowaty garb, a kapelusz młodej dziewczyny jest w rzeczywistości pełnym szczerów kołtunem wiedzmy. Świat, który kiedyś znałam, nie istniał, nigdy nie istniał. Zamiast *Opowieści o infantylnej mamusi, chłodnym ojcu i miłości między nimi* miałam do opowiedzenia *Historię o pijanej matce, ojcu, który nigdy nie mógł jej zaufać, i córce, która była dla obojga źródłem wiecznych zmartwień*.

Czy wiedziałam? Na jakimś poziomie musiałam się przynajmniej domyślać. Wszystkie te popołudniowe drzemki matki, które uciniała sobie w sypialni, za zasłoniętymi żaluzjami. Pomimo tego każdego ranka wychodziła z pokoju w białym stroju do tenisa lub golfa, wypijała szklaneczkę soku pomarańczowego (w latach dziewięćdziesiątych soku z trawy pszenicznej) i szła na trening. Zawsze

obecna szklanka do drinków pełna wina i wody sodowej. Nigdy jednak nie widziałam, by piła coś mocniejszego. Paliła, ale w owych czasach robiło to wiele mam. Nie prowadziła samochodu, ale nie wydawało się to gorsze niż dziwactwa innych rodziców: matka Dorothy Felds ważyła sto trzydzieści sześć kilogramów, dopóki nie zmniejszyli jej żołądka, a ojciec Kurta Dessange'a nosił tupecik, który wyglądał, jakby zrobiono go z pomalowanych sprayem igieł sosnowych.

– Te wszystkie lata – powiedziałam na głos. Lata kłamstw, lata ukrywania. Lata świadomości matki, że nie żyje tak, jak powinna, że nie jest matką ani żoną, jaką mogłaby być. Lata samotności, ponieważ takich sekretów się nie opowiada ani własnej matce, ani siostrze, ani najlepszej przyjaciółce. „Nie Kocham męża”. „Mam romans”. „Czasami nie znoszę własnych dzieci”. Mogę sobie wyobrazić wyznanie podobnych prawd, ale przyznanie: „Jestem ukrytą alkoholiczką”, „Wiozłam córkę samochodem po pijaku”, „Chcę przestać i nie potrafię”? Kto powiedziałby innemu człowiekowi coś takiego? Kto zareagowałby na to inaczej niż przerażeniem?

„Jesteś tylko tak chory jak twoje tajemnice”. Kolejny slogan, którego się nauczyłam. Nie wspominając o całym gruntownym i odważnym rachunku sumienia, podczas którego spisuje się wszystkie swoje przewinienia, a potem opowiada o nich drugiej osobie.

– To brzmi potwornie – powiedziałam Wandzie za biurkiem, gdy skończyła streszczać mi szeptem odcinek *Kawalera do więzienia* z poprzedniego wieczoru.

– Nie, nie – zaprzeczyła z szalonym błyskiem w oku. – To najbardziej wyzwalająca rzecz, jaką można sobie wyobrazić. To cię czyni wolną!

– Wolna – zarechotałam. Moja matka nigdy nie była wolna. Przeżyła całe życie w jarzmie swoich tajemnic, z mężczyzną, który prawdopodobnie desperacko pragnął, by wyzdrowiała, ale nie wiedział, jak ją naprawić albo jak jej pomóc. Jakie, w takim razie, ja miałam szanse? Na jakiej pozycji mnie to stawiało? Czy to możliwe, że tak naprawdę nie jestem uzależniona i mogę brać tabletki, tylko ostrożniej? Czy było tak, jak powtarzali wszyscy w ośrodku, że tabletki poprowadzą mnie jedynie do więzienia, na odwyk albo do śmierci? „Droga na skróty nie przyniesie nam żadnego pożytku”, mówiła *Wielka księga*. „Znajdujemy się w punkcie zwrotnym”. Cóż, właśnie tu jestem. W którą stronę pójdę?

Pewnego popołudnia podczas naszego miesiąca miodowego w Meksyku poszliśmy z Dave'em na ryby. To był jeden z idealnych dni, niezbyt upalny, słońce błyszczało na powierzchni fal, a ryby przepychały się nawzajem, by dostąpić zaszczytu połknięcia naszych haczyków. Złowiliśmy sześć skalników prądkowanych podczas zaledwie czterech godzin na wodzie. Gdy wyruszyliśmy w drogę powrotną (z piwem i lokalnym pieczywem torta, które kupiłam w małej piekarni na ulicy), Mat przygotował na rufie stół i dwa siedemdziesięciopięciolitrowe wiadra z wodą. Sprawnie wypatroszył każdą rybę, przeciągając ostrze noża przez środek ich brzuchów i zwinnie wyjmując

wnętrznosci. Teraz czułam się podobnie – jakby ktoś rozciął mnie i wypatroszył, a potem zszył i postawił na nogi.

– Jak poszło? – zapytała Lena podczas lunchu, na który podano *manicotti*, sflaczały makaron z gumowatym serem, w sosie mięsny. Na jego widok robiło się szkoda krów, które oddały życie, by stać się częścią łańcucha pokarmowego. Sam zapach potrawy przyprawiał mnie o mdłości. Zrobiłam sobie filiżankę herbaty i drżąc, usiadłam na swoim miejscu pomiędzy Aubrey i Mary.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Shannon.

– Najwyraźniej nie – skomentowała Mary. – Spójrzcie na biedną dziewczynę! – Ścisnęła mnie za ramiona. – Kochanie, co się dzieje?

– Co powiedzieli? – zapytała Aubrey. – Byłaś molestowana przez wujka czy coś w tym stylu?

– Och, na litość boską! – zbulwersowała się Mary.

– Cóż, zdarza się – usłyszałam odpowiedź Aubrey.

– To nie to – odpowiedziałam głosem, który ledwie rozpoznałam jako własny. – Okazuje się, że moja matka jest alkoholiczką. – Wzięłam oddech. – To wiele wyjaśnia.

– Nie wiedziałaś o tym? – zapytał Lena.

– Strasznie głupio się czuję – przyznałam.

– Hej – pocieszyła mnie Lena. – Nałogowcy kłamią.

Przytaknęłam, zastanawiając się, co to mówi o mojej matce i o mnie. Kłamała, a ja tego nie zauważyłam i nigdy nie próbowałam dociekać. Pomyślałam o owym dniu, kiedy jako mała dziewczynka zgubiłam się w Avalon. Ulice, sklep, chodniki i piasek, wszystko wyglądało inaczej, zupełnie inaczej, jakby należało do świata, którego nie jestem w stanie nawet sobie wyobrazić, ale ściany oddzielające go były bardzo cienkie. Jedno potknięcie, jeden fałszywy krok, jeden wyjawiony sekret i przelecisz przez linię graniczną, i znajdziesz się w tym drugim, niewyobrażalnym świecie, gdzie wszystko jest inne i nie takie, jak powinno. Zmusiłam się, by wypić herbatę i szklankę wody, a potem poszłam za grupą na trawnik przed ośrodkiem, gdzie usiedliśmy w kręgu i słuchaliśmy, jak mężczyzna z falującą siwą brodą i kobieta tak młoda, że mogłaby być jego córką, a prawdopodobnie była jego dziewczyną, grają na bębnach afrykańskich i opowiadają, że muzyka ma moc uzdrawiania. W końcu ponownie otworzyłam notes i przejrzałam strony zapisane żartami i piosenkami, które miały doprowadzić mnie do córki. Skup się na nagrodzie, powiedziałam do siebie, pochyliłam głowę i zaczęłam pisać.

Trzy dni po tym, jak przy śniadaniu wspomniałam o pomysśle zorganizowania pokazu talentów, miałyśmy więcej skeczy i piosenek, niż mogłyśmy wykorzystać. Cały żeński kampus wpadł w gorączkę organizacyjną. Dziewczyny, które interesowały się jedynie tym, jak skontaktować się z chłopakami lub dilerami, były zajęte pisaniem tekstów piosenek, wspólnym szyciem kostiumów albo znajdowaniem rekwizytów do *Dźwięków odwyku*.

W drodze na „Podziel się” dwie dziewczyny, Amanda i Samantha, wykonywały wersję rapowego utworu zespołu Run D.M.C. zatytułowanego *Mój nałóg* zamiast *Mój Adidas*. „Mój nałóg wszedł drzwiami liceum i tańczył po parkietach Koloseum. Wydałam całą kasę na jaranie zioła. Jesteśmy niezłym teamem, mój nałóg i ja”. Uczyłam się całego mnóstwa nowych słów i wyrażeń. Dowiedziałam się, że „jaranie zioła” oznacza palenie marihuany, a „tyrać” to pracować.

– Więc jeśli siedzę przy biurku i piszę posty na bloga, to tyram? – zapytałam i obie dziewczyny zaczęły się śmiać.

– Nie, to coś trochę innego – powiedziały, ale nie chciały mi więcej wyjaśnić.

Doszłyśmy już prawie do sali terapii zajęciowej, kiedy Michelle wystawiła głowę ze swojego gabinetu.

– Allison W., czy mogę panią poprosić na chwilę?

Przewróciłam oczami, odeszłam od grupy i usiadłam po przeciwnej stronie stołu.

– Allison – zaczęła Michelle. – Rozumiem, że przygotowujecie pokaz talentów.

W milczeniu wzruszyłam ramionami.

– Wie pani, że wszelkie działania muszą być zatwierdzone przez pracowników? – kontynuowała.

– Jasne – odparłam, a potem z powrotem zamilkłam.

Michelle wpatrywała się we mnie przez chwilę. Sięgnęła do teczki i wyjęła z niej scenariusz, który sądząc po plamach z kawy, został wydobyty z kosza na śmieci.

– Jak rozwiązać problem z trenerami odwykowymi? – czytała głosem pozbawionym melodii i radości. – Co zrobić, by spojrzeli na świat naszymi oczami? Jak sprawić, by zostali i nas wysłuchali. Gdy jesteśmy dla nich ludzkimi...

– Wie pani – przerwałam jej. – Ten tekst naprawdę brzmi o wiele lepiej, gdy się go śpiewa. – Wyprostowałam się i zademonstrowałam. – „Tak wiele rzeczy chcesz im powiedzieć. Tak wiele chcesz, by zrozumieli. Niska samoocena i niskie

IQ. Empatii też nie mają w bród. Mogą się tylko modlić, by ich nie przymknęli”. – Schyliłam głowę, by ukryć uśmiech. – Widzi pani?

– Allison, podziwiam pani ducha współpracy, ale nie wolno wykonywać skeczy ani piosenek, które ośmieszają pracowników ośrodka.

– Dlaczego? – zapytałam. – Oczywiście zakładając, że będzie w ogóle jakiś pokaz talentów. – Nadałam twarzy wyraz bliski zakłopotaniu. – I dlaczego sądzi pani, że to ja go organizuję?

– Allison, nie chcę o tym z panią dyskutować. Chcę, by zrozumiała pani...

Przerwałam jej, zanim zdążyła dokończyć.

– Chcę, by zrozumiała pani, że błędnie zacytuje Alexandra Haiga, że nie ja tu dowodzę. Nie mam z tym nic wspólnego. Jestem tylko biedną lekomanką, która nie jest w stanie policzyć, ile sesji z terapeutą musi odbyć, by dostać całodniową przepustkę.

Michelle zmrużyła oczy, tak że niemal zniknęły w jej pulchnej twarzy.

– Zapytam panią o coś, Allison. Czy chce pani mieć lepsze życie?

– Lepsze niż co? – wymamrotałam. Niż twoje?, pomyślałam. Jestem pewna, że ten konkretny cel już osiągnęłam.

– Proszę o tym pomyśleć – zaproponowała cukierkowym tonem i odesłała mnie na „Podziel się”, gdzie wysłuchałam, jak dziewczyna o imieniu Dice, trzydziestoosmioletnia matka dwójki dzieci, opowiada o swoim upadku: od szkolnej cheerleaderki do kokainistki. Trafiła do Meadowcrest po tym, jak jej rodzice oznajmili, że nie mogą dłużej opiekować się jej synami (lat dziewięć i dwanaście) i oddadzą ich do rodziny zastępczej, jeśli matka się nie pozbiera.

Nigdy bym tego nie zrobiła, pomyślałam, gdy Dice opowiadała, jak zostawiała chłopców samych w domu albo, co gorsza, z nieznajomymi, a sama szwendała się po ulicach, by skołować towar. Trzęsącymi się dłońmi z paznokciami obgryzionymi do krwi wyjmowała z koszulki w segregatorze zdjęcia synów.

– To Dominic Junior, mój mały Nicky, a to Christopher. Je tyle, że aż trudno w to uwierzyć. Całe miski płatków śniadaniowych zalewa litrami mleka. Powtarzam mu, że powinniśmy sprawić sobie krowę, by mógł pić mleko prosto od niej, zamiast wydawać na nie pieniądze.

Czy była kiedyś jak ja i Janet, miała dom i męża, samochód w garażu i pieniądze w banku? Czy kiedykolwiek miała szansę na takie życie?

– Allison?

Podniosłam wzrok. Gabrielle, właścicielka różowej smyczy i wyglądu bankowej służbistki, patrzyła na mnie. Podobnie jak pozostałe osiemnaście dziewczyn i kobiet w kręgu.

– Allison, czy jesteś gotowa, by podzielić się swoją historią?

– Hmm. – Zamknęłam notes i zastukałam palcami w okładkę.

Wiedziałam, że ten dzień nadejdzie, ale oczywiście nigdy nie informują cię, kiedy dokładnie przyjdzie twoja kolej. Usiadłam prosto i przypomniałam sobie, jak rozpoczyna się każda historia.

– Okej, niech pomyślę. Urodziłam się w New Jersey w 1974 roku. Chyba pierwszy raz spróbowałam alkoholu na czyjejs bat micwie, kiedy miałam dwanaście albo trzynaście lat. Podkradaliśmy kieliszki ze stołu dla dorosłych. Spróbowałam łyk, ale smak wydał mi się okropny i dałam sobie spokój do momentu, gdy skończyłam szesnaście lat. Hmm. – Odchyliłam się na krzesło, spojrzałam na sufit i zauważyłam, że jest poplamiony, co mnie nie zaskoczyło. Wszystko tutaj było zużyte i brudne, postrzępione i połatane, jakbyśmy nie zasługiwali na nic lepszego. – Kiedy miałam szesnaście lat, upiłam się na imprezie wódką z brzoskwińowym sznappsem, co wtedy było modnym drinkiem. Fatalnie się po tym czułam i nie piłam ponownie do czasów college’u, a nawet wtedy tylko piwo. No, może zaciągnęłam się parę razy jointem.

– Żartujesz – powiedziała nowa dziewczyna, której imienia nie znałam. Mogłabym przybrać postawę obronną, ale zamiast tego tylko wzruszyłam ramionami.

– Tak, wiem, że to brzmi idiotycznie, ale to prawda. Nie lubiłam alkoholu ani trawy i nie próbowałam niczego innego, ponieważ niewiele było wówczas innych używek. Zaraz, zjadłam raz grzyby, ale wymiotowałam po nich, więc możecie o tym zapomnieć. – Wzdrygnęłam się. – Nienawidzę wymiotować.

– W takim razie nie bierz heroiny – podpowiedziała Lena i wszystkie pozostałe dziewczyny się zaśmiały.

– Szybki przeskok do dnia dzisiejszego: mam trzydzieści cztery lata, męża i dziecko. Nadwyrężyłam sobie kręgosłup na siłowni i lekarz przepisał mi vicodin. – Na to wspomnienie wzięłam głęboki oddech. – Przypominało to scenę z *Czarnoksiężnika z Oz*, kiedy z czarno-białego wszystko staje się kolorowe. Pomyślałam, że tak właśnie powinno być. – Czułam, że moje ciało reaguje na to wspomnienie, krew podchodzi pod powierzchnię skóry, tętno przyspiesza. – Byłam spokojna, szczęśliwa, przekonana, że mogę dokonać więcej. Zaczęłam pisać posty na bloga i stał się on naprawdę poczytny. Dzięki tabletkom miałam odwagę dyskutować z czytelnikami. Miałam cierpliwość do córki, która jest cudowna i mądra, ale potrafi być niesforna. Dzięki tabletkom stałam się taka, jaka powinnam być. Wiem, że nie wolno mówić tego tutaj – przyznałam, zanim ktoś zbeształ mnie, że idealizuję nałóg, zamiast „odtworzać płytę”. – Wiem też jednak, że powinnyśmy mówić szczerze. A taka jest najszczęsza prawda. Uwielbiałam stan, w jaki wprawiały mnie tabletki.

– I co się stało? – zagadnęła Gabrielle.

Westchnęłam.

– Po prostu zaczęłam ich brać za dużo. Więcej tabletek, różne rodzaje, coraz

mocniejsze leki. W końcu nie brałam ich już po to, by czuć się dobrze, ale by poczuć się choćby normalnie. Cały czas przysypiałam i traciłam cierpliwość do córki. Nie byłam sobą. Wzięłam pieniądze z konta podręcznego w pracy i przelałam na własne. To niezupełnie była defraudacja, ale też nie do końca odpowiednie działanie. I... – To był trudny moment. – Próbowałam prowadzić pod wpływem alkoholu. Jedna z nauczycielek to zobaczyła i odebrała mi kluczyki. Potem mój mąż dowiedział się, co się dzieje, i... – Wzruszyłam ramionami. Wyraz skruchy na twarzy miałam już tak przećwiczony, że wydawał mi się niemal naturalny. – I jestem tutaj. Jako kolejna osoba, która chce wyzdrowieć.

Przez minutę panowała cisza, a kobiety kontemplowały moją nudną, pozbawioną szczegółów i dramatów historię. Każda miała coś lepszego: przedawkowanie, aresztowanie, interwencję pełną łez i oskarżeń. Tydzień wcześniej jedna z kobiet, nauczycielka piątej klasy, która również kupowała tabletki w sieci, opowiadała o byciu szantażowaną. Mężczyzna, od którego kupiła leki, spędził popołudnie w Internecie, dowiedział się, gdzie dziewczyna pracuje i kto jest jej mężem, a potem napisał do niej, że jeśli nie zapłaci najpierw pięciuset, potem tysiąca, a następnie trzech tysięcy dolarów, poinformuje jej męża i szefa, a może nawet lokalną gazetę, co ona robi. Ciągnęło się to miesiącami. Linda wyczyściła swoje konto oszczędnościowe, potem naruszyła fundusze odłożone na studia córki, aż w końcu próbowała się zabić. Na szczęście jej się nie udało i trafiła tutaj. Co do faceta, który ją torturował, Linda ze smutnym uśmiechem wyznała, że psycholog pomógł jej wypełnić formularz na stronie agencji rządowej do walki z narkotykami.

– Nie mam pojęcia, czy go złapali – przyznała. – Prawdopodobnie nadal grasuje i szantażuje inne gospodynie domowe.

Pamiętam, że niemal zakręciło mi się w głowie z ulgi, że nic podobnego nie przytrafiło się mnie. Teraz, gdy wpatrywało się we mnie kilkadziesiąt zdumionych, oskarżycielskich twarzy, żałowałam, że nie trafiłam do Meadowcrest z powodu bardziej katastrofalnego wydarzenia.

– I już? – wymamrotała jedna z Ashley lub Brittany.

Zastanawiałam się, czy powinnam była wspomnieć, że dowiedziałam się o alkoholizmie matki, ale gdzie miałam to wetknąć?

– Hej, przepraszam, że nie mam do opowiedzenia przejmującej, dramatycznej historii o tym, że niemal umarłam, prawie kogoś zabiłam albo miałam wypadek samochodowy.

– Nie o to chodzi. – Spodziewałam się, że to Gabrielle będzie zachęcała mnie, bym podzieliła się większą liczbą szczegółów, emocji, po prostu dała z siebie więcej, ale to Aubrey o błyszczących włosach i cichym głosiku, skulona na krześle po mojej lewej, domagała się więcej. – Opowiadasz swoją historię, a brzmi to tak, jakby przydarzyła się komuś innemu. – Zawstydziała się, gdy na nią spojrzałam, ale

nie wycofała się. – Czy było ci smutno, gdy to wszystko się stało?

– Oczywiście, że było mi smutno! – naskoczyłam na nią. – Boże. Myślisz, że byłabym tutaj, gdyby nie było mi smutno?

– Ale w twoim głosie nie słychać smutku. – Teraz jedna z Brittany przejęła atak. Wydawała się nie tyle rozzłoszczona, co zdumiona. – Słyszę tylko: „Okej, zdarzyło się to, potem tamto, później zaczęłam brać percocet, potem oxy...”.

Chciałam powiedzieć, że postęp był centralną częścią opowieści każdej dziewczyny: najpierw alkohol, potem tabletki, następnie proszek, a w końcu igły. Dlaczego więc jestem krytykowana za przedstawienie wersji tej samej historii, którą wszystkie opowiadały?

– A momenty, kiedy twoja córka chciała się z tobą bawić, a ty mówiłaś jej, by sobie poszła? – Mary w końcu postanowiła przyłączyć się do rozmowy. – Co czujesz, gdy o nich myślisz?

– Okropnie się wstydzę. Nienawidzę siebie za to, że nie było mnie przy niej. – Zdobyłam się na największą szczerłość, na jaką było mnie stać – zbolały wygląd, drżący głos, pokonana postawa, która mówiła, że przyznaję się do popełnienia największego kobiecego przestępstwa: grzechu złego macierzyństwa. – Czuję się potwornie z tym, co zrobiłam. Dlatego tu jestem. Żeby już nigdy więcej nie musiała tego robić.

To obwieszczenie spotkało się z nieoczekiwanym milczeniem. Aubrey wierciła się na krześle, jakaś Amber zawiązywała sznurowadła. Gabrielle otworzyła notes na pustej stronie. Wreszcie się odezwała:

– Być może historia Allison brzmi dla nas dziwnie, ponieważ nie nadużywała tabletek bardzo długo. – Spojrzała na mnie. – Ile to było? Sześć miesięcy?

– Około. – Przez sześć miesięcy kupowałam tabletki przez Internet. Mój faktyczny nałóg, a jeśli nie nałóg, to okres, kiedy zażywanie tabletek stało się problematyczne, trwał blisko dwa lata.

– Większość z nas doświadcza spektakularnego, przebudzającego doświadczenia – kontynuowała Mary. – Mnie zatrzymano za jazdę po pijanemu, Aubrey aresztowano. Ludzie stracili związki, odebrano im dzieci. Ale tylko dlatego, że Allison ma wysokie dno...

– Dziękuję – wymamrotałam. Wysokie dno. Czyż to nie urocze wyrażenie?

– ...nie oznacza to, że nie sięgnęła dna. Albo że nie ma kłopotów i nie potrzebuje naszej pomocy.

– Dziękuję – powtórzyłam.

Kiedy zaczęła się kolejna opowieść, tym razem dwudziestoosmioletniej heroinistki z Nowego Meksyku, która przyjechała do New Jersey w ramach jakiegoś programu wymiany odwykowej, skupiałam się na nowych słowach do piosenki *Jeszcze dzień*. „Jeszcze dzień i trafię na odwyk. Zaleję się dziś w drobny

mak. Kupię i wezmę wszystkie piguły. Do tego szampan, amfa i hasz”. Czy Melanie poradzi sobie z rolą Lies, zadurzonej szesnasto-, prawie siedemnastolatki, która jak ustaliłyśmy, będzie zakochana w metamfetaminie zamiast w Rolfem, nazistowskim posłańcu? Rozejrzałam się po kręgu i uświadomiłam sobie, że nigdy się tego nie dowiem. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, w momencie rozpoczęcia pierwszej piosenki będę z Dave’em w samochodzie. Poczułam zadziwiająco silny żal, patrząc na Mary, Aubrey i Shannon, i zdałam sobie sprawę, że nigdy nie usłyszę, jak potoczyły się ich losy. Ellie, powiedziałam sobie stanowczo. To ona jest ważna.

Tego wieczoru włączono telefony, aby kobiety, którym skończył się siedmiodniowy zakaz kontaktów, mogły odbyć swoją regularną dziesięciominutową rozmowę.

– Skąd mam cię odebrać? – zapytał Dave, który bez jednego pytania łyknął moją historię o jednodniowej przepustce.

– Możesz po prostu poczekać na parkingu. Chyba jeszcze pamiętam, jak wygląda nasz samochód.

Czekałam na śmiech, który nie zabrzmiał.

– Kiedy musisz wrócić? – rozmawiał takim tonem, jakby umawiał wizytę u dentysty, a nie spotkanie z żoną.

– O ósmej. – W zasadzie planowałam wcale nie wracać. Pójdę na przyjęcie Ellie, potem poproszę Dave’a, by zabrał mnie na wcześniejszą kolację, podczas której przekonam go, że wyciągnęłam z mojego odwykowego doświadczenia wszystko, co mogłam, i jestem gotowa, by wrócić do domu. – Czy Ellie się cieszy?

– Tak. Razem z mamą pieką babeczki i robią papierowe łańcuchy.

– Papierowe łańcuchy? – Nie słyszałam o czymś takim od czasów, gdy sama byłam w wieku Ellie, a na pewno nie pojawiły się na żadnej z imprez, na których z nią byłam.

– Tak. Postanowiliśmy urządzić przyjęcie w domu, a nie w sali zabaw. Zawsze jest tam za głośno i Ellie czuje się przytłoczona. Poza tym po przyjęciu Jaydena... – Zamilkł, uprzejmie nie przypominając mi o porażce, jaką okazały się owe rodziny.

– W porządku – powiedziałam powoli. Byłam zaskoczona, że nikt mnie nie zapytał przed dokonaniem tej zmiany, czy choćby o niej poinformował, ale zależało mi przede wszystkim, by przyjęcie się udało i Ellie była zadowolona. – Wynajęliście magika? A może małe zoo jak na urodzinach Chloe? A upominki? – Ostatnio modne było wypalanie przez dzieci płyt ze swoimi imprezowymi składankami i wkładanie ich do rozdawanych koszyków ze słodyczami.

– Myślę, że będą tylko gry.

– Gry? – Zastanawiałam się, czy ma na myśli paintball laserowy.

– Gry towarzyskie. Kalambury, przypnij osiołkowi ogon. W tym stylu.

Twoja mama organizuje przyjęcie i wygląda na to, że wszystko jest pod kontrolą.

Kalambury? Łańcuchy papierowe i domowe babeczki? Nie byłam pewna, czy cokolwiek jest pod kontrolą, ale starałam się utrzymać radosny ton.

– Do zobaczenia w sobotę – powiedziałam.

Uda się, powiedziałam sobie tego wieczoru, gdy kładłam się spać. Jak zwykle myślałam o Ellie. Co robiła tego dnia? Jaką miała na sobie sukienkę? Czy zjadła obiad, czy wyrzuciła go do toalety, na czym przyłapałam ją tydzień przed moim wyjazdem? Czy na półkolonii w Stonefield były dzieci, które znała? Czy lubiła opiekunów? Jak mama radziła sobie z życiem bez taty? A co z Dave'em?

Nie mogłam zebrać się w sobie, by zadać mu najważniejsze pytania: „Czy nadal mnie kochasz?”, „Jak myślisz, dlaczego tu jestem?”, „Czy będziemy małżeństwem, gdy stąd wyjdę?”. Nie pozwoliłam sobie o tym myśleć. Zamiast tego umyłam zęby, założyłam pierwszą z przynajmniej dwóch piżam (nadal budziłam się o północy albo o pierwszej w kompletnie przemoczonym ubraniu) i uklękłam. Czułam się niezdarnie i dziwnie.

– Boże, jesteś tam? – zaczęłam. – To ja, Allison. Dziękuję za piękne słońce dzisiejszego dnia. Dziękuję za inspirację do przygotowania pokazu talentów. Dziękuję... – W tym miejscu łzy stłumiły mój głos. – Dziękuję, że ochroniłeś Ellie, że nie pozwoliłeś mi jej skrzywdzić. Dziękuję Ci za kolejny dzień bez tabletek. – Ostatnie zdanie wydało mi się kompletnie nedorzeczne. Jak mogłabym w takim miejscu wziąć cokolwiek, nawet gdybym chciała? Tak czy inaczej wypowiedziałam je. Potem wstałam, przeciągnęłam się i położyłam do łóżka.

O dziesiątej zgasty światła. Przez chwilę leżałam w ciemności. Potem Audrey zawołała ze swojego pokoju.

– Dobranoc, Allison.

– Dobranoc, Aubrey – odpowiedziałam.

– Dobranoc, Mary – powiedziała Shannon.

– Dobranoc, Shannon – odpowiedziała Mary.

– Dobranoc, Ashley.

– Która?

Śmiech, a potem odpowiedź:

– Ashley C.

– Dobranoc, Marisso.

Pamiętam, jak Nicholas powiedział mi, że czasem początkujący zastępują Boga grupą.

– Dobranoc, Ashley D.

– Dobranoc, Leno.

Czy można to nazwać miłością albo siłą wyższą? To, że wszystkie dążymy do tego samego celu i pomagamy sobie, jak potrafimy najlepiej? „Coś, co jest większe niż ty, coś, co jest życzliwe i wybacza”, powiedział jeden z prowadzących

miting. „To wszystkie cechy, które musi mieć twoja siła wyższa”. Czy w takim razie to może być ona?

Nie byłam pewna. Zamknęłam oczy, obróciłam się na bok i zapadłam w mój standardowy, dwugodzinny sen, po którym następowało pięć godzin bezsennego leżenia, pocenia się i płaczu w wąskim łóżku. Czekałam na snop światła latarki wpadający przez szczelinę w oknie i zastanawiałam się, jak się tutaj znalazłam i jak będzie wyglądało moje życie, kiedy wyjdę.

Można było pomyśleć, że w sobotni poranek kobiety z Meadowcrest przygotowywały się do ślubu albo faktycznego debiutu na Broadwayu. Lena kłęczała na podłodze w swoim pokoju i próbowała uprasować spodnie lokówką. Audrey mruzczała gamy w łazience, Mary ćwiczyła na korytarzu *Sentymentalne łóżko szpitalne*, a dziewczyny, które nazwałam chórem greckim, śpiewały: „Prochy tak mocne, że serce staje w szoku. Dilerzy na rogach i igły w rynsztoku. Papierowe torby na herę, co ból leczy. To kilka z moich ulubionych rzeczy”. Ponieważ wybierałam się do domu, poprosiłam Aubrey, by pomogła mi ubrać się i umalować. Wyregulowała mi brwi, rozsmarowała na twarzy korektor i zamalowała siwe włosy tuszem do rzęs.

– Dzięki za tę imprezę – powiedziała, odwijając wałki z włosów. – Ten odwyk był najfajniejszy ze wszystkich. – Tak się wzruszyłam, że przez jedną szaloną chwilę myślałam o tym, by zostać, móc reżyserować pokaz i zobaczyć, jak się udał. Potem pomyślałam o Ellie, uściskałam Aubrey i powiedziałam.

– Cieszę się, że cię poznałam.

O dziesiątej, podczas gdy jakaś biedna kobieta, która przyjechała z Pine Barrens, usiłowała podzielić się swoimi doświadczeniami, siłą i nadzieją, podawałyśmy sobie nawzajem scenariusz i teksty, wprowadzałyśmy poprawki, dodawałyśmy nowe żarty. Kiedy z głośników dobiegł komunikat: „Panie, proszę udać się do stołówki na popołudniową «Medytację»”, trzęsłam się ze zdenerwowania. Oczywiście zamiast typowego znudzonego trenera odwykowego w stołówce pojawili się Michelle i Kirsten oraz Jean i Phil, dwoje terapeutów, których nie znałam. Kilku trenerów stało w rzędzie przy drzwiach, a na jego początku nie kto inny, jak mój kumpel Ed McGreavey, znany narciarz ekstremalny i poszukiwacz czarnej dupy.

– Dzień dobry! – powiedział uprzejmie, gdy weszliśmy do sali. – Drogie panie – zaczął.

Dziewczyny spojrzały na niego, a potem na mnie.

– Rozumiem, że przygotowujecie przedstawienie. Chciałbym wam osobiście powiedzieć, że bardzo się cieszę, widząc taką motywację do działania! – A więc taką przyjął strategię, pomyślałam. Jeśli nie możesz ich pokonać, przyłącz się do nich i... udawaj, że to od początku był twój pomysł. – Z niecierpliwością czekamy, by posłuchać, co przygotowałyście.

Uśmiechnęłam się na widok stojących za mną Amandy i Samantha, które zajęły już swoje pozycje.

– Panie i panowie! – zaczęłam, kiwając głową w stronę Eda i przyszczatego trenera, który wydarł się na mnie za chodzenie po złej ścieżce. – Witamy na

inauguracyjnym, jednorazowym, debiutanckim pokazie *Dźwięków odwyku!*

Za mną Amanda, Samantha i reszta kobiet ustawiły się w kręgu. Aubrey wyszła do przodu. Kręciła się i wierciła, zanim otworzyła usta i bardzo wiarygodnym głosem w stylu Julie Andrews zaśpiewała:

– Wzgórza żyją... dźwiękiem odwyku... Piosenkami, które pijacy... śpiewali od setek lat!

Przemknęłam się do drzwi.

– Zaraz wracam – szepnęłam do Mary. Przykro mi, że przegapię przedstawienie, myślałam, pędząc do pokoju. Chwyciłam torebkę, przeszłam obok pustego biurka w holu, otworzyłam podwójne drzwi i znalazłam Dave'a na parkingu, za kierownicą priusa, dokładnie tam, gdzie miał czekać.

Spojrzał na mnie podejrzliwie, gdy niemal wskoczyłam na siedzenie pasażera.

– Jedź, jedź! – krzyknęłam, waląc w deskę rozdzielczą.

– Dobrze się czujesz?

– Wspaniale! Po prostu cieszę się, że się stąd wyrwałam! – Ledwie mogłam oddychać i prawie nic nie słyszałam z powodu pulsującej krwi w uszach, gdy przejeżdżaliśmy obok stanowiska ochroniarza, ale nikt nie powiedział ani słowa. Podniesiono szlaban i wyjechaliśmy na ulicę prowadzącą do Filadelfii. Wolni. – Opowiedz mi o wszystkim! – poprosiłam. Poprawiłam siedzenie, nastawiłam muzykę i zaczęłam się rozglądać za kawą, słodyczami albo czymkolwiek ze świata zewnętrznego.

Dave mówił oschle i ostrożnie dobierał słowa.

– Ellie ma się dobrze. Podoba się jej na półkolonii i dużo lepiej pływa. Twoja mama naprawdę stanęła na wysokości zadania. Wozi rano Ellie samochodem na zajęcia...

– Chwileczkę. Wozi samochodem? Moja mama? – Poczułam, że gardło znowu mi się zaciska. Przypominałam sobie, jak obiecała mi, że nigdy nie będzie nietrzeźwa w obecności mojej córki.

– Odnowiła sobie prawo jazdy. Zdała egzamin za pierwszym podejściem.

– Rety! – powiedziałam. Zastanawiałam się, dlaczego mnie o tym nie powiedziała. Dave wiozł nas nieznaną dwupasmówką, obok straganu, na którym sprzedawano kukurydzę i pomidory, oraz obok małego kościoła. – Ile zajmie nam podróż do domu?

– Może pół godziny.

– Tylko tyle?

– Nie pamiętasz? – W jego tonie pobrzmiwała ciekawość. Wyglądał dobrze, jak zwykle szczupły, z szerokimi ramionami, ubrany w znoszone dżinsy i granatową koszulę. Pachniał przyjemnie, świeżo, roztaczając wokół orzeźwiający zapach mydła Dial.

– Byłam wtedy w kiepskiej formie. – Wpatrywałam się w niego z nadzieją, że choć na sekundę odwróci wzrok i zerknie na mnie. Gdy tego nie zrobił, zaczęłam mówić. – Dave, wiem, że nie mieliśmy okazji porozmawiać i raczej nie będziemy mieli dzisiaj, ale chcę, żebyś wiedział, jak bardzo mi przykro z powodu wszystkiego, co zaszło.

Przez długą chwilę nie odpowiadał.

– Skupmy się na Ellie – powiedział w końcu swoim irytującym, niemal mechanicznym tonem.

– Nic mi nie możesz powiedzieć? Daj mi chociaż wskazówkę. Jeśli mam zostać sama, to do Meadowcrest przychodzi raz w tygodniu trener. Muszę zacząć pracować nad formą, jeśli mam wrócić na rynek.

Zobaczyłam zmarszczki w kącikach jego oczu. Nie był to co prawda uśmiech, ale przynajmniej znak, że nadal potrafiłam go rozśmieszyć.

– Ja też popełniłem błędy – przyznał. – Wiedziałem, że od jakiegoś czasu coś się dzieje, ale nie próbowałem dowiedzieć się co. Łatwiej mi było pozwolić, by wydarzenia toczyły się same.

– Nie, nie, to nie twoja wina, tylko moja. Myślałam, że potrafię poradzić sobie ze wszystkim, że tabletki mi w tym pomagały. – Sięgnęłam nad drążkiem zmiany biegów po jego wolną rękę, a on pozwolił mi ją chwycić i trzymać do momentu, aż zjechaliśmy z autostrady. Siedzieliśmy w ciszy, dopóki Dave nie zaparkował przed naszym garażem.

– Mamusiu, mamusiu, MAMUSIU! – wrzasnęła Ellie, gdy weszliśmy do środka. Wpadła mi w ramiona z takim impetem, że niemal mnie zatkało. Miała na sobie elegancką sukienkę z fioletową szarfą i krynoliną, włosy splecione w staranny warkocz francuski, a na nogach skarpetki z koronką i pantofelki zapinane na pasek.

– Cześć, córeczko! – O Boże, jak ona wyrosła. Wzięłam ją na ręce, zanurzyłam twarz w zagłębieniu pomiędzy jej ramieniem a karkiem i wdychałam zapach jej skóry. – Tak bardzo za tobą tęskniłam.

– Dlaczego musiałaś WYJECHAĆ? – Wywinęła się z moich objęć, oparła rękę na biodrach i spojrzała na mnie wilkiem.

– Ponieważ potrzebowałam pomocy. Czasami mamusie muszą pobyć same.

– Hmm. – Ellie sprawiała wrażenie, jakby już wcześniej słyszała te słowa. – Ale już wyzdrowiałaś, prawda?

– Mama zdrowieje – wyjaśnił Dave. – Może spędzić z tobą ten dzień, ale potem muszę odwieźć ją z powrotem.

Oczy Ellie zaszły łzami.

– Dlaczego musisz WRACAĆ? Nawet nie jesteś CHORA. Wyglądasz DOBRZE.

– Ellie, pamiętasz, o czym rozmawialiśmy?

Tu pojawiła się moja matka.

Zamrugałam na widok Ronnie w wersji domowej, bez błyszczyka, podkładu czy tuszu do rzęs, z włosami – ledwie mogłam w to uwierzyć – związanymi w kucyk, ubranej w džinsy (dżinsy!), z zawiązanym w pasie fartuchem (kolejny element, którego nigdy u niej nie widziałam i nawet sobie nie wyobrażałam, że takowy posiada). Zamiast butów na obcasie lub ozdobionych kamyczkami sandałów miała na nogach tenisówki, a niepokryte lakierem paznokcie były krótko przycięte i opiłowane. – Lekarze dobrze zajmują się mamą i wróci do domu, jak tylko będzie gotowa.

– Ale nic jej NIE JEST!

– Ellie – odezwał się Dave. – Może policzysz jabłka i sprawdzisz, czy wystarczy po jednym dla każdego z gości?

Ellie posłała nam złowrogie, podejrzliwe spojrzenie, a potem wymaszerowała do salonu.

– Będziemy łowić jabłka – zawołała przez ramię.

– Czy to nie jest raczej zabawa na Halloween? – Rozejrzałam się wokół i poczułam w brzuchu wzbierający lęk. Na ścianie jadalni wisiał staromodny wizerunek osiołka, a obok niego stało wiaderko z wodą i miska pełna jabłek.

– Pomyślałam, że zagramy w gry towarzyskie.

– Gry towarzyskie – powtórzyłam. Nie brzmiało to jak całkiem chybiony pomysł i w zasadzie może taki nie był, chyba że miało się świadomość, że w dzisiejszych czasach, w naszym sąsiedztwie typowe przyjęcie urodzinowe sześciolatka może składać się z wyjścia do miejscowej kręgielni, gdzie tory wyposażono w ochraniacze, a przynajmniej część przekąsek jest pozbawiona glutenu, albo gry terenowej polegającej na poszukiwaniu różnych przedmiotów w Instytucie Franklina w Filadelfii, a następnie poczęstunku w barze, gdzie z podanych składników można skomponować własny deser lodowy.

Poszłam za Ellie do jadalni i znalazłam ją siedzącą w kącie z jabłkiem w dłoni.

– Hej, El – powiedziałam i zaśpiewałam. – „Dopiero dziś zaczęłam żyć. A los zamierza nas rozdzielić”⁶.

– „Daleko będziesz skoro świt” – zaśpiewała z szeroko otwartymi oczami i jedną dłonią na sercu. Nastoletnia zakochana Kozeta. – „A jednak świt to dar nadziei”.

– „Jeszcze jeden pusty dzień” – zaintonowałam. – „Jeszcze jeden dzień bez niego”. – Staralam się nie patrzeć na Dave’a, który stał w kuchni, plecami do nas, gdy Ellie zaśpiewała:

– „Ja bez ciebie nie chcę żyć!” – Wyciągnęła ramiona, a ja podniosłam ją, przytuliłam i zaśpiewałam:

– „Zawsze sama, wciąż sama”. – Połaskotałam Ellie w żebra, a ona objęła

mnie za szyję. Z zaróżowionymi policzkami wyglądała jak uosobienie szczęścia. – „Ale on nie widzi mnie”. – Zerknęłam nad jej głowę. Dave przyglądał się nam. Miałam nadzieję, że może przyłączy się we fragmencie Valjean/Javert, ale zanim zdążył zacząć, na podjeździe zatrzymał się samochód i z tylnego siedzenia wyłonił się Hank.

– MOI GOŚCIE PRZYJECHALI! – krzyknęła Ellie. Zeskoczyła z moich rąk i pognąła sprintem. Ostatni raz poczułam w przelocie jej zapach, ostatni moment słodkiej bliskości jej skóry i już jej nie było.

– Wszystkiego najlepszego, Ellie – powiedział nieśmiało Hank, wycierając nos i podając mojej córce ogromne pudło, starannie opakowane w papier w różowo-białe paski ze srebrno-różowymi wstążkami.

– O rety! – powiedziałam, kiedy pani Hank uśmiechnęła się pobłaźliwie do syna. Miała na sobie obcisłe džinsy, jedwabną bluzkę bez rękawów i ciemne okulary. – Chyba ktoś przepuścił całe kieszonkowe.

– Zakochał się – potwierdziła pani Hank i pochyliła się, podsuwając swój gładki policzek do zwyczajowego cmoknięcia na odległość. – Tymczasem Ty! Wyglądasz zdumiewająco! – Obejrzała mnie od stóp do głów. Próbowałam nie wzdrygnąć się pod jej wnikliwym spojrzeniem i zastanawiałam się, co dokładnie widzi. Na moją korzyść działały wyniki pracy Aubrey, ale garderoba nie zachwycała. Miałam na sobie najlepszy strój, jaki udało mi się skompletować z ograniczonego wyboru ubrań spakowanych przez Dave’a. Oznaczało to za luźne džinsy i koszulkę, która była zbyt sportowa, by wyglądać dobrze pod rozpinanym swetrem Shannon. Na pocieszenie mogę dodać, że uczęszczałam na wszystkie zajęcia z jogi w Meadowcrest, a do tego chodziłam po bieżni z Shannon i Aubrey. To wszystko w połączeniu z przebywaniem na słońcu, piciem dużej ilości wody i brakiem leków w organizmie spowodowało, że moja skóra była opalona, jasna, a o oczy świetliste. – Zdumiewająco – powtórzyła pani Hank. Żałowałam, że nie pamiętam jej imienia. Carol albo Kara, coś w tym stylu. Piłyśmy razem kawę, gawędziłyśmy na spotkaniach komitetu rodzicielskiego, a większość naszych rozmów dotyczyła alergii Hanka i wrażliwości Ellie. – Robisz sobie kurację oczyszczającą?

– Coś w tym rodzaju – odpowiedziałam.

– Allison?

Mama zawołała mnie do kuchni. Trzymała w dłoniach tacę z babeczkami. Domowej roboty. O rety. Ellie prawdopodobnie poprosiła ją o babeczki, ale zapomniała wspomnieć, żeby babcia kupiła je w cukierni Słodka Sue. Ich babeczki były niezwykle, gęste i bogate, udekorowane zawijasami z lukru w smakach, których nie dało się zrobić w domu, kajmakowym, solonego karmelu i panna cotta. Moja matka z pewnością upiekła ciastka z pudełka i ozdobiła je lukrem z puszki. Zastanawiałam się, jak przebiegała rozmowa, kiedy Ellie powiedziała mamie

o cukierni, a ta jakimś sposobem zdołała ją przekonać, że upieczenie babeczek samemu będzie lepsze i bardziej zabawne.

– Możesz pomóc mi z ponczem?

Poncz. Nie powiedziałam ani słowa, kiedy polewałam topiący się blok sorbetu napojem imbirowym w misie na poncz z rżniętego kryształu, którą dostaliśmy z Dave’em na ślub i której jeśli dobrze pamiętam, nigdy nie użyliśmy. Przemiana matki była zadziwiająca. Rزتaczała wokół siebie rodzaj spokojnej pewności siebie, której nie pamiętałam z własnego dzieciństwa, kiedy była energiczna albo krucha, wyrzucała mnie z pokoju albo rozbawiona i beztroska jak mała dziewczynka czekała na powrót taty z pracy.

– Niezłe przyjęcie – przyznałam, kiedy mama układała babeczki obok misy z ponczem.

– Zaplanowałyśmy wszystko razem z Ellie. Pomogła mi upiec babeczki, a potem znalazłyśmy w Internecie różne gry. Ściągnęłyśmy z Internetu obrazek z osiołkiem! – Mama wydawała się niezmiernie zadowolona ze swego osiągnięcia.

– To wspaniale! – Przez chwilę chciałam opowiedzieć jej o pokazie talentów i poczułam ukłucie żalu, kiedy zdałam sobie sprawę, że pewnie już się skończył.

– Jak się czujesz? – Czekając na odpowiedź, mama wpatrywała się w babeczki.

– Fizycznie dobrze. Psychiczenie... – Westchnęłam. Nie miałam pojęcia, jak wytłumaczyć, co czuję. Przez większość dni ledwie sama się poznawałam.

Pani Hank weszła do kuchni pewnym krokiem razem z kilkoma innymi mamami, których imiona, na szczęście, pamiętałam. Holly Harper była mamą Amelii, a Susan van der Meer przyszła z Sadie.

– W czym możemy pomóc?

Mama wzięła w ręce duże słoje z piankami i cukierkami i zniosła je do jadalni. Pani Hank zwróciła się do mnie z konspiracyjnym wyrazem twarzy:

– Posłuchaj – zaczęła. – Obiecujemy, że nikomu nic nie powiemy. – Czułam, jak spinają mi się mięśnie tułowia. Ktoś wiedział. Ktoś wiedział, ktoś się dowiedział, ktoś powiedział i teraz wszystkie mamy wiedziały dokładnie, co jest ze mną nie tak, i chciały poznać szczegóły. – Chodzi o to, że zbliża się moje spotkanie klasowe – kontynuowała pani Hank. – Holly ma...

– Rocznicę – dokończyła Holly. – To był specjalny pomysł Jeffa, by ponownie pojechać na Hawaje. Ma moje zdjęcie w bikini sprzed dwudziestu lat i znalazł cholerstwo na eBayu. Powinam się domyślić, kiedy zapytał, jaki noszę rozmiar. Oczywiście skłamałam, bo przecież nie powiem mu prawdy.

Wszystkie się zaśmiały. Ja też się zaśmiałam i jednocześnie zastanawiałam, jak szybko chwyciłyby swoje pociechy i wybiegły z mojego domu, gdybym powiedziała, co ja ukrywałam przed mężem.

– Powiedz nam – szepnęła Carol/Kara. – Czy to trener, czy jedna z tych diet

z dostawą do domu?

– Och, dziewczyny, przestańcie. To żadna wielka tajemnica. Po prostu ostatnio nie jestem głodna.

Nagle zapadła niesamowita cisza, a wszystkie trzy wpatrywały się we mnie. Holly Harper pierwsza wybuchła śmiechem, a potem dołączyły do niej dwie pozostałe dziewczyny.

– Och! Dobrze! – przyznała Kara/Carol. Udała, że wyciera łzy z gładkiej skóry pod oczami. – Dobra, teraz poważnie. Czy to dieta sokowa?

Otworzyłam usta, by zaserwować im kolejne żartobliwe zaprzeczenie i przez jedną zatrważającą chwilę byłam pewna, że z moich ust padnie prawda, opowieść o tym, co naprawdę się wydarzyło, być może w formie rymowanego tekstu jednej z piosenek z pokazu talentów: „Oxycontin, bierze garściami! A vicodin słóiczkami! Łykając tabletki od rana do nocy, Allison na pewno szybko się stoczy!”.

– Allison? – Nogi trzęsły mi się z ulgi, gdy do pokoju weszła Janet z zapakowanym pudełkiem w ręce. Zanim przeszła przez kuchnię, zdążyła ocenić sytuację. Odłożyła prezent i uściskała mnie.

– Jak się masz?

– Jest chuda – oznajmiła Susan van der Meer tonem niemal oskarżycielskim. Ciągle obejmując mnie jedną ręką, Janet odwróciła się w stronę moich rozmówczyń.

– Tata Allison choruje – poinformowała je. – Kilka tygodni temu razem z mamą musiały umieścić go w ośrodku opiekuńczym.

Zobaczyłam zdziwienie na ich twarzach i usłyszałam współczujące szepty.

– Och, tak mi przykro – powiedziała Susan.

– Czyż to nie okropne? – dodała Holly. – Musieliśmy przez to przejść w zeszłym roku, kiedy mamie Jeffa pękł tętniak.

– Przepraszam na chwilę – powiedziałam. Odetchnęłam kilka razy, aż przestało kręcić mi się w głowie. Potem zaprowadziłam Janet na górę, do mojej sypialni. Zamknęła za nami drzwi, a potem obejrzała mnie z góry na dół.

– No dobra, wyglądasz...

– Chudo! – powiedziałam i wydałam z siebie piskliwe dźwięki przypominające śmiech. – Jestem chuda, możesz w to uwierzyć? Jaki jest mój sekret? Myślisz, że powinnam im powiedzieć czy padłyby trupem z przerażenia? – Opadłam na łóżko i zatopiłam twarz w dłoniach. – Zbuntowałam się.

– Zaczekaj. Co? – Janet wpadła do łazienki. Słyszałam, jak otwiera i zamyka szuflady i szafki. Minutę później wyszła, trzymając w rękach korektor, pędzelki, prostownicę i grzebień.

– Tak naprawdę nie dostałam jednodniowej przepustki. Zabronili mi jechać. To był jeden wielki biurokratyczny koszmar. Powinnam była odbyć konkretną liczbę sesji z terapeutą, ale przydzielili mi go dopiero po prawie tygodniu, a potem

ta psycholog odeszła i nie chcieli mnie puścić...

– Okej, oddychaj głęboko. Udało ci się. Jesteś tutaj. Chcesz wody?

Słyszałam, jak na dole otwierają się drzwi, matka zmienia się w uprzejmą panią domu i wita drugą babcię Ellie, Doreen. Gdybym została w Meadowcrest, gdybym poszła na pokaz talentów, potem na „Krag” i „Podziel się”, całe przyjęcie odbyłoby się bez żadnego problemu. Nie byłam niezbędna. Nie miałam nawet pewności, czy Ellie by za mną tęskniła.

– Powinnyśmy pójść na dół.

– Poczekaj. – Janet delikatnie musnęła moje policzki i brodę gąbeczką zanurzoną w podkładzie. Nabrała puder na pędzelek, a potem pociągnęła mi usta szminką, maskując lub przerabiając efekty pracy Aubrey. – Kiedy wychodzisz?

Kiedy zaczęłam wyjaśniać szczegóły logistyczne, usłyszałam pukanie do drzwi.

– Allison? – zawołał Dave. – Będziemy zaczynać.

Przez całe popołudnie, przez wszystkie gry, babeczki, lody, nieodzowne wersje bezglutenowe przysłane przez matki dzieci z alergiami i uczuleniami, czułam się jak oszustka. Miałam wrażenie, że biorę udział w przedstawieniu, które wyreżyserował ktoś inny, a mnie przydzielił rolę żony i matki. Jednocześnie coraz głośniejsze, jak w opowiadaniu Edgara Allana Poe'go, słyszałam głos szepczący: „Tabletki”. Kiedy negocjowałam z Dave'em przebieg dalszej części wieczoru, zapewniałam go, że mam czas do ósmej, i błagałam, by przed odesłaniem mnie z powrotem zabrał mnie na kolację do Han Dynasty, żebym mogła zjeść coś, co ma jakikolwiek smak, myślałam: „Tabletki”. Rozdawałam gościom torby z upominkami, w których znajdowały się naszyjniki z cukierków zrobione przez Ellie i mamę oraz ręcznie napisane karteczki „Dziękuję, że przyszedłeś/przyszłaś na moje przyjęcie”, i myślałam: „Tabletki, tabletki, gdzie znajdę tabletki?”.

Plan, na który Dave niechętnie przystał, zakładał, że zawieziemy Ellie do domu Hanka na kolację z jego rodziną. Mama będzie miała czas odpocząć, a Dave zabierze mnie na chińskie jedzenie. Odbędziemy rozmowę, a potem, zależnie od jej przebiegu, odwiezie mnie z powrotem do Meadowcrest albo przekonam go, że mogę wrócić do domu.

Kiedy Dave, Ellie i ja dotarliśmy do domu Hanka, czułam już niemal znajomą, rozkoszną gorycz na języku. Wsiadłam z samochodu, jak tylko się zatrzymał, zaprowadziłam Ellie do środka i zapytałam panią Hank – wreszcie sobie przypomniałam, że nie miała na imię ani Kara, ani Carol, tylko Danielle – czy mogę pożyczyć tampon. Machnęła ręką w stronę schodów.

– Główna łazienka. Wszystko jest w szafce pod umywalką.

Gdy byłam już na górze, zamknęłam na klucz drzwi łazienki, włożyłam tampon do kieszeni i otworzyłam szafkę z lekami nad umywalką. Obok zużytych do połowy butelek z antybiotykami, advilem i tylenolem PM stały pojemniczki

z percocetem w dawkach pięć i dziesięć miligramów, obie z receptami na kolejne porcje i nieotwarta buteleczka z oxycontinem w dawce po trzydzieści miligramów, przepisana ojcu Hanka.

– Mamusiu! – usłyszałam krzyk Ellie z dołu.

– Poczekaj! – zawołałam i zaczęłam otwierać buteleczki. Wysypałam kilka pigułek na dłoń, a kolejne włożyłam do kieszeni dzinsów.

– Mamusiu? – Głos Ellie brzmiał tak, jakby stała tuż za drzwiami łazienki. Pierwszy raz nie krzyczała.

– Po prostu... – Poczekaj, chciałam powiedzieć, kiedy dostrzegłam swoje odbicie w lustrze. Miałam ogromne oczy i szalone spojrzenie. Moja twarz była blada, z wyjątkiem dwóch czerwonych plam na górze policzków. Wyglądałam jak złodziej, jak ćpun, jak Brittany B., która trafiła do Meadowcrest z więzienia, po tym jak razem z chłopakiem obrabowała miejscową aptekę. Myślałam jedynie o tym, by Eloiza zniknęła, by poszła do pokoju Hanka albo do bawialni, do piwnicy albo na podwórko za domem, gdziekolwiek, bym mogła mieć dla siebie pięć minut i zaznać chwili spokoju. Tylko tego w tym momencie pragnęłam.

„Co się stanie, jeśli cię złapią?”, szepnął głos w mojej głowie. To brzmiało nedorzecznie. W łazience stało kilkanaście buteleczek, wszystkie (sprawdziłam) z receptami na kolejną porcję. Nie ma mowy, by pani Hank zorientowała się, że brakuje jej kilku tabletek, jeśli odliczę rozsądną ilość. Będę miała ich wystarczająco, by przetrwać odwyk, gdybym postanowiła wrócić, albo pierwszych kilka dni w domu.

„I co potem?”, nalegał umysł. Wtedy musiałabym wrócić do dawnych nawyków, do dawnych źródeł, do dni spędzanych na liczeniu tabletek, martwieniu się, czy mam ich wystarczająco dużo, a jeśli nie, jak mam je zdobyć.

– Mamusiu? – Głos Ellie brzmiał tak, jakby płakała. – Przepraszam, że sprawiam kłopoty.

– Co? – Opadłam na podłogę, z uchem przy drzwiach i fiolką percocetu w dłoni.

– Jeśli dlatego wyjechałaś. Że sprawiam kłopoty.

Poczułam, jakby ktoś wbił mi nóż w serce.

– Och, El. Skarbie, nie. Nie sprawiasz mi kłopotu. Kocham cię! Ja... daj mi chwilkę, za minutę wyjdę i porozmawiamy, wszystko ci wyjaśnię.

Włożyłam pierwszą tabletkę pod język i poczułam uderzenie goryczy. I wtedy do mnie dotarło. To było to. Moment, o którym pisali na tych głupich kartkach rozdawanych na spotkaniach AA i o którym wspominali w nieszczerych sloganach wygłaszanych z gorliwością, sugerującą, że zostały ukute na poczekaniu. „Droga na skróty nie przyniesie nam żadnego pożytku. Znajdujemy się w punkcie zwrotnym. Jedna to za wiele, a tysiąc nigdy nie wystarcza”. To nic, że mój punkt zwrotny nie oznaczał numerku na tylnym siedzeniu samochodu, zrabowania

funduszu emerytalnego rodziców ani wbicia sobie igły w żyłę. To był ten moment. Moja dłoń w szafce z lekarstwami obcej osoby, moja córka po drugiej stronie zamkniętych na klucz drzwi, potrzebująca matki, która marzy tylko o tym, by dziewczynka sobie poszła. Gratulacje, Allison Rose Weiss. Wreszcie spadłaś na samo dno.

Wyplułam tabletkę, a potem spuściłam ją w toalecie. Włożyłam pigułki z powrotem do buteleczek, a buteleczki z powrotem do szafki. Wypikałam połowę pojemnika z odświeżaczem powietrza na wpadek, gdyby pani Hank była podejrzliwa.

Po drugiej stronie drzwi stała Ellie, z rękami w kieszeniach, bladą twarzą, w wyjściowej sukience, którą wybrałyśmy w Internecie miesiąc wcześniej. Ja przeglądałam strony, a ona siedziała mi na kolanach i wskazywała palcem sukienki. Nadal zmagала się z literką „ę” i mówiła: „Chceł teł i teł, i teł”, na co ja odpowiedziałam: „Nie, kochanie, wybierz tę, która podoba ci się najbardziej”, a ona spojrzała na mnie oczami pełnymi łez i oznajmiła: „ALE ONE WSZYSTKIE PODOBAJĄ MI SIĘ NAJBARDZIEJ”.

Pochyliłam się i wzięłam ją w ramiona.

– Musisz się teraz przespać? – zapytała. – Będę cicho.

Gdyby ktoś mnie kiedyś zapytał, jakie to uczucie, gdy pęka serce, opowiedziałabym mu, jak czułam się w tamtym momencie.

– Nie, żadnej drzemki. Dobrze się czuję. – I tak było. Przynajmniej fizycznie.

Oczywiście tak bardzo chciałam wziąć tabletkę, że aż mną trzęsło. Nadal czułam w gardle tę rozkoszną gorycz, zaczynał już mnie wypełniać ów tajemniczy spokój i relaks, gdy ramiona się rozluźniały, a serce zwalniało, ale jeśli musiałam, mogłam przez to przejść, minuta po minucie, sekunda po sekundzie. Chociaż podejrzewałam, że zapamiętam tę rozkosz i będę za nią tęskniła do końca życia.

Zaprowadziłam Ellie na dół, by pobawiła się z Hankiem. Dave siedział w kuchni i rozmawiał z panem Hankiem o niepewnych losach drużyny Eagles.

– Kochanie, czy mogę z tobą chwilę porozmawiać?

Wzięłam go za przedramię, wyprowadziłam na podjazd i powiedziałam mu prawdę. Patrzyłam, jak moje słowa odbijają się na jego twarzy, jak marszczy mu się czoło, a usta powoli otwierają.

– Co zrobiłaś? – Zanim zaczęłam ponownie wyjaśniać swoją strategię wyjścia opartą na pokazie talentów, powiedział: – Nie. Wiesz co? Nieważne.

Wziął do ręki telefon. Odwróciłam się z oczami pełnymi łez. Chciałam go zapytać, czy liczy się przynajmniej moja szczerłość, czy to, że powiedziałam prawdę, chociaż nieco późno, cokolwiek dla niego znaczy, ale zanim zdążyłam zapytać, połączył się z Meadowcrest.

– Tak... nie. Nie wiem, z kim powinienem rozmawiać. Myślałem, że żona

ma całodzienną przepustkę, ale teraz powiedziała mi, że jej nie dostała. Allison W. Tak, poczekam.

Kiedy czekał, ja weszłam z powrotem do domu Hanka. Ellie była pochłonięta grą w kręgle na konsoli Wii.

– Niedługo wrócę do domu – szepnęłam. Ledwie mnie uścisnęła. Pani Hank, Danielle, była w kuchni. – Dziękuję, że się nią zaopiekowałaś – powiedziałam. – Czy mogłabyś być dla niej szczególnie miła przez najbliższy czas?

– Znowu wyjeżdżasz? – zapytała Danielle. Nie była moją przyjaciółką, ale w tamtym momencie żałowałam, że nie jest.

– Tak, w zasadzie... – Wracam na odwyk, prawie powiedziałam. Miałam to na końcu języka, słowa stały w rzedzie, ale nie byłam pewna, czy to nie zbyt poufałość albo prośenie o współczucie, na które wcale nie zasługiwałam. – Sprawa służbowa – stwierdziłam wreszcie.

– Cóż, nie martw się. Twoja mama jest cudowna, a Ellie zawsze jest u nas mile widziana.

Podziękowałam jej. Kiedy ponownie wyszłam z domu, Dave siedział już za kierownicą.

– Czy pozwolą mi wrócić? – zapytałam szeptem.

Wycofał samochód z podjazdu.

– Najpierw kobieta o imieniu Michelle chciała, bym zadzwonił do ośrodka w Missisipi, w którym leczą pacjentów z podwójną diagnozą, czyli uzależnionych z chorobą umysłową.

Wydałam z siebie wymuszony chichot.

– Czy Michelle wie, że jestem Żydówką? Może jestem szalona, ale za żadne skarby nie pojedę do Missisipi.

– Ostatecznie zdecydowali, że możesz wrócić. Nie dają gwarancji, że będziesz mogła zostać. Będzie na ciebie czekał człowiek o imieniu Nicholas.

Nicholas. Zamknęłam oczy. Potem zmusiłam się, by ponownie je otworzyć.

– Chcesz porozmawiać? O czymkolwiek?

Widziałam kostki jego rąk zaciśniętych na kierownicy i ruch szczęki, gdy zacisnął zęby.

– Szczerze? Nie. Nie teraz.

Jechaliśmy przez minutę, ja ściszałam mocno paski torebki, Dave siedział z napiętą twarzą, aż wreszcie wypalił:

– Kiedy przestaniesz kłamać?

– Teraz – odpowiedziałam natychmiast. – Skończyłam z tym. Z tym wszystkim. Nie chcę być taką osobą. Taką matką ani taką żoną.

Dave nic nie powiedział. Nie oczekiwałam odpowiedzi. Byłam szczerą, ale co innego powiedziałby kłamca, jak nie: „Skończyłem z kłamaniem, nałogiem i nie chcę już być taki”? Był to klasyczny tekst przyłapanego na gorącym uczynku,

a częścią przyjmowania życia na jego zasadach, do czego nas przekonywali na odwyku, było życie ze świadomością, że być może on już nigdy nie będzie w stanie mi zaufać.

Siedziałam w milczeniu, podobnie jak podczas mojej pierwszej podróży do Meadowcrest. Dave zatrzymał się przed głównym budynkiem i został za kółkiem, w zaparkowanym samochodzie z wciąż chodzącym silnikiem. Miałam pół godziny, by zastanowić się, co powiedzieć, ale wydusiłam z siebie jedynie:

– Dzięki za podwiezienie.

Wysiadłam z samochodu, przeszłam obok recepcjonistki przy ładnym kontuarze, minęłam napis „Wejście tylko dla mieszkańców”, weszłam do obskurnego holu pachnącego stołwkowym jedzeniem i środkami odkażającymi. Zostawiłam torebkę w swoim pustym pokoju, zawiesiłam na szyi plakietkę z imieniem i damską ścieżką ruszyłam w kierunku gabinetu Nicholasa, gdzie czekał na mnie, jak obiecał.

– Allison W. – powiedział, a jego głos brzmiał niezwykle łagodnie.

Usiadłam przy biurku i zwiesiłam głowę. Potem wypowiedziałam słowa, które już wypowiadałam podczas spotkań grupowych, sesji „Podziel się” i mitingów AA, na których siedziałam z boku i pisałam w notatniku teksty piosenek.

– Chyba naprawdę mam kłopoty – szepnęłam. – Myślę, że jestem uzależniona. Potrzebuję pomocy.

– W porządku – powiedział. Łagodnie położył mi dłoń na ramieniu. – Dobra wiadomość brzmi tak, że trafiła pani we właściwe miejsce.

Część czwarta
Obietnice

– To co z tymi klementynkami? – Sprzedawca w sklepie Whole Foods na South Street, facet może około dwudziestki z łagodnymi niebieskimi oczami, szerokimi, niezdradzającymi trosk brwiami i dredami do pasa obdarzył mnie przyjaznym uśmiechem w stylu Namaste. Mówił miękko i powoli, z ogromną rozważą. Doprowadzało mnie to do szału. Ten facet nie przetrwałby dnia na przedmieściach, ale w centrum, gdzie sklep Whole Foods znajdował się obok studia jogi, potwornie irytująca powolność była regułą. – Zostawiamy w pudełku czy wyjmujemy z niego i wkładamy do torby?

– Proszę włożyć owoce do torebki. – Kupowałam tylko kilka rzeczy: pierś z indyka do grillowania na obiad, miniaturowe pomarańcze, które Ellie uwielbiała zabierać do szkoły na drugie śniadanie, świeczkę o zapachu klonu za dwadzieścia dolarów, która była o wiele za droga, ale której nie byłam w stanie się oprzeć, lecz już widziałam, że chwilę mu to zajmie. „Wykorzystaj to jako okazję do ćwiczenia cierpliwości”, odezwał się w mojej głowie głos Bernice. Kiedy opuściłam Meadowcrest, dołączyłam do grupy pacjentów przyjmowanych przez Bernice w przychodni i jej głos zamieszkał w mojej głowie. Próbowałam nie wzdychać i nawet zdobyłam się na uśmiech, kiedy sprzedawca najpierw zaczął grzebać w szufladzie, potem poklepał się po kieszeniach, a wreszcie zawołał managera, który wezwał drugiego, by ten znalazł parę nożyczek do przecięcia siatki.

– Och, nie. Kilka z nich wygląda na spleśniałe – powiedział sprzedawca, kiedy miniaturowe pomarańcze wysypały się z drewnianej skrzynki do torebki.

– Mamusiu, ja nie chcę SPLEŚNIAŁYCH KLEMENTYNEK – oznajmiła Ellie.

– Chce pani inne opakowanie? – zapytał sprzedawca.

Stojąca za mną kobieta z wózkiem, w czarnej, wełnianej dwurzędowej kurtce marynarskiej, wydała z siebie cichy, acz słyszalny jęk. „Wyślij jej spokój”. To nie był głos Bernice, ale mojej nowej instruktorki jogi, Loyal. Spokój, pomyślałam. Dawna Allison zadrwiłaby z głupkowatych powiedzonek oraz z pomysłu, że kolejka do kasy w supermarkecie może dawać możliwość ćwiczenia czegokolwiek (nie mówiąc już o słowie „lojalna”). Nowa Allison korzystała z wszelkich rad, jakie mogła dostać na mitingach, w czasopismach, w programie Oprah *Superduchowe niedziele* i na torebkach herbaty Celestial Seasonings.

– Te są w porządku – odpowiedziałam. – Proszę tylko wyjąć te spleśniałe. Wyrzuci je pan, a resztę weźmiemy do domu.

Spojrzał na mnie, a troska zmarszczyła mu brwi.

– Jest pani pewna? Mogę przynieść kolejną skrzynkę, to żaden kłopot.

– Nie, tak jest dobrze.

– Aha, no to w porządku. – Najwyraźniej mnie to nie sprawiało problemu, ale jego głęboko zmartwiło. – A co z indykiem? Czy mam go włożyć do oddzielnej torby?

– Tutaj, poproszę. – Podałam mu torebki, które przyniosłam. Sprzedawca zamrugał, jakby nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego ani nawet sobie tego nie wyobrażał.

– Mam... włożyć do tej?

– O mój Boże – szepnęła kobieta w kurtce marynarskiej. W międzyczasie Ellie przykucnęła, by lepiej przyjrzeć się balsamom do ust z woskiem pszczelim.

– Mamusiu, czy to do MAKIJAŻU?

– Coś w tym stylu. Nie do końca.

– A możesz mi KUPIĆ?

– Nie, kochanie, podobne są w domu. Możesz użyć tych, które mamy. Poszukamy w szafie.

– Ale one będą całe OBŚLINIONE przez ciebie!

Przykucnęłam i poczułam, że moje ciało protestuje. Biodra mi zaskrzypiały, a plecy przeszył ostry ból. Tego ranka odbyłam godzinną sesję jogi, a na jutro zaplanowałam bieganie. „Jak to robisz?”, pytali na spotkaniach AA i AN, gdy wychodziło się na środek, by odebrać swój żeton – za pierwsze dwadzieścia cztery godziny trzeźwości, potem za trzydzieści dni, sześćdziesiąt, dziewięćdziesiąt, za sześć miesięcy, dziewięć miesięcy, rok i tak dalej. „Dzień po dniu”, brzmiała wyuczona odpowiedź, kwestia, którą trzeba było wypowiedzieć. Jednak za każdym razem, gdy odbierałam swój żeton, koniecznie wspominałam o tym, że częścią mojego procesu zdrowienia są ćwiczenia. To był sposób na całkowite wyjście z własnej głowy, czterdzieści minut, podczas których mogłam tylko zrobić kolejny krok, przyjmując kolejną pozycję, wytrzymać kolejny wdech. Bez względu na to, jak paskudnie się czułam i jak było mi smutno, jak bardzo byłam zamknięta we własnej głowie i skupiona na negatywnych myślach, zmuszałam się, by wstać z łóżka, założyć ubranie przygotowane poprzedniego wieczoru i przejść kolejne kroki, jakbym połykała dawkę obrzydliwego leku, który koniecznie musiałam zażyć.

Czasami Ellie towarzyszyła mi podczas porannych spacerów Pine Street aż do rzeki Delaware albo ćwiczyłyśmy w piwnicy szeregowca, w którym wynajęłam mieszkanie po powrocie do Filadelfii. Dave znalazł mieszkanie dla siebie zaledwie kilka przecznic dalej. Zatrzymał drogą bieżnię, a ja kupiłam inną z ogłoszenia, wraz z hantlami i stopniem do ćwiczeń. Razem z Ellie ściągnęłyśmy darmowe filmy z sesjami fitnessu i znalazłyśmy w czasopiśmie różne zestawy ćwiczeń, dziesięcio-, piętnasto- i dwudziestominutowe. Razem robiłyśmy przysiady z wyskokiem i wypady z podparciem. Przemierzałyśmy piwnice w tę i z powrotem, wykonywałyśmy pozycję deski, pompki, scyzoryki i unoszenie nóg w tył

w podporze, jednocześnie grając w gry słowne. Wybierałam literę alfabetu, a Ellie podawała mi imię kolegi lub koleżanki z nowej szkoły publicznej, którego lub której imię się na nią zaczynało, a potem, zazwyczaj, krótkie uzasadnienie, dlaczego nie lubiła tego właśnie dziecka. (D jak Dylan, który czasami jest miły, ale nie pozwolił mi usiąść przy oknie podczas wycieczki do muzeum sztuki).

Teraz w sklepie spożywczym spójrzałam Ellie prosto w oczy.

– Ellie, pamiętasz, jak rozmawialiśmy o używaniu grzecznego głosu wewnętrznego?

Wydęła wargi.

– Tak, tyle że ja chciałam CIASTKO, a ty powiedziałaś ŻADNYCH CIASTEK.

– Powiedziałam ŻADNYCH CIASTEK do obiadu.

– A teraz chcę szminkę, a ty mi mówisz NIE. ZAWSZE MÓWISZ TYLKO NIE.

– Och, skarbie. – Rozłożyłam ramiona. Po minucie Ellie pozwoliła mi się uściskać. – Wiem, że czasem spotykają nas trudne zdarzenia, ale są też te dobre.

– Proszę pani?

Wyprostowałam się. Sprzedawca trzymał moją świecę zapachową i słoiczek kremu nawilżającego z promocji.

– Czy zapakować pani produkty niespożywcze do innej torby?

– Jasne – przytaknęłam i posłałam mu uśmiech.

– Jest pani święta – przyznała kobieta w kurtce marynarskiej.

Uśmiechnęłam się do niej.

– Proszę mi wierzyć, nie jestem.

Kobieta była może pięć lat młodsza ode mnie, włosy miała związane na karku w niedbały kucyk, a na jej lewej dłoni połyskiwał diament. Zastanawiałam się, jak zwykle, gdy ostatnio spotykałam nieznanymi, czy była jedną z nich, czy jedną z nas, Ziemią, która może wziąć lub odstawić kieliszek wina, skręta, tabletkę vicodinu lub oxy, czy Marsjanką, dla której, jak mówił *Tekst podstawowy*, „jedna to za wiele, a tysiąc nigdy nie wystarcza”. „Tego nigdy nie widać”, powiedziała Bernice i od osób z mojej grupy dowiedziałam się, że to prawda. Mijając jednego z nich na ulicy, nigdy nie powiedziałbyś, że to pijak lub ćpun. Cóż, może domyślilibyście się historii Briana, który na palcach prawej dłoni wytatuował sobie słowo „zbir”, a na lewej „życie”. Nic nie zdradzało jednak Jeannie, prawniczki przychodzącej na spotkania w eleganckich kostiumach i skórzanych butach, której odebrano prawo jazdy, gdy w Nowy Rok straciła przytomność i wjechała samochodem w pomnik Jerzego Waszyngtona. Gregory wyglądał na typowego geja. Nosił wspaniałe, szyte na miarę koszule i ręcznie robione buty. Można by pomyśleć, że lubi zabawić się w weekendy, ale nikt by się nie domyślił, że spędził trzy lata w więzieniu za handel narkotykami.

Zastanawiałam się, jak ja wyglądałam, w oczach sprzedawcy, kasującego właśnie w zwolnionym tempie mój jogurt, albo stojącej za mną młodej matki, która nerwowo popychała wózek w przód i w tył. Prawdopodobnie, z włosami upiętymi w kok, w sportowych spodniach i bluzie na suwak nie różniłam się od innych Ziemian. Nadal nosiłam swoją obrączkę, a Dave swoją. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, co oznaczało, że nie wiedziałam, czy noszę platynową biżuterię z powodu nadziei, sentymentu czy tylko po to, by odrażający koleś w alejce z nabiałem nie prosił mnie o pomoc w wyborze kremówki.

– Proszę pani? – po kolejnej chwili gawędzenia – karta debetowa czy kredytowa? Wypłata gotówki? W dziesiątkach czy dwudziestkach?

Wręczyłam Ellie małą torebkę ze świeczką i kremem, przewiesiłam większą przez ramię i wyszłyśmy na South Street. Zostawię córkę u Dave’a, pójdę na piątą trzydzieści na spotkanie grupy AA, która stała się moją stałą grupą. On przygotuje indyka z grilla, ja po powrocie ugotuję ryż i szparagi i zjemy we troje obiad, zanim zabiorę Ellie do domu.

„Przez pierwszy rok nie wprowadzajcie żadnych dużych zmian”, mówiono nam w Meadowcrest, ale musieliśmy z Dave’em zmniejszyć wydatki. Przeprowadziliśmy się do skromnych mieszkań w mieście i wystawiliśmy duży dom na sprzedaż, kiedy stało się jasne, że moim zadaniem, przynajmniej przez pierwszy okres, będzie wytrwanie w trzeźwości, a blogowanie odejdzie na odległy drugi plan. Bardzo ciężko to znosiłam i narzekałam Bernice, że na zeznaniu podatkowym nie widnieje rubryczka „powstrzymywanie się od zażywania tabletek”.

– Wkurza mnie, że to jest moje zajęcie – powiedziałam jej i pozostałym siedmiu członkom mojej grupy ambulatoryjnej, do której uczęszczałam rano, cztery razy w tygodniu, na dwie godziny. Rozpaczliwie pragnęłam, by moje życie wróciło do stanu sprzed odwyku, sprzed pigułek. – Chcę odzyskać swoje życie. Ktoś z was czuje się podobnie? – Wspaniały Gregory skinął głową. Brian burknął, a Jeannie wzruszyła ramionami i przyznała, że jej życie sprzed trzeźwości nie było wcale takie piękne.

– Powiedz nam, co masz na myśli – zachęciła Bernice.

– Chodzi o to, że wstaję, zawożę Ellie do szkoły, ćwiczę, przychodzę tutaj na dwie godziny, idę na kolejne dwie godziny na spotkanie AA i nie biorę tabletek, nie biorę tabletek, nie biorę tabletek. – Uniosłam ręce wnętrzami dłoni do sufitu. – I tyle. Boże, wyobrażasz sobie, co by było, gdybym przyszła na spotkanie klasowe? „Czym się ostatnio zajmujesz, Allison?” „Cóż, nie biorę tabletek”. „I... to wszystko?” „Tak, to w zasadzie zajęcie na pełny etat”.

– Dlaczego tak się martwisz tym, co inni pomyślą? – Bernice potrafiła z łatwością przechodzić na dialekt z czarnej dzielnicy albo kolorową gwara swego młodości, jak sama ją nazywała, a potem z nich wychodzić. Kiedy rozmawiała ze

mną, przeskakiwała pomiędzy swoim najbardziej wyzywającym żargonem a nadmiernie wyrafinowanym, podniosłym stylem. – Naprawdę martwisz się o to, co pomyśli facet od podatków albo jakaś wymyślona osoba na spotkaniu klasowym, którego nawet nie ma w planach?

– Nie wiem – mruknęłam. – Po prostu czuję się bezużyteczna.

– Bezużyteczna – powtórzyła Bernice. – To lepsze niż biorąca narkotyki. A jeśli bierzesz...

– Umierasz – zaintonowała grupa.

Zwiesiłam głowę. Nadal nie byłam całkiem przekonana, że to prawda, ale nasłuchiwałam się na ten temat wystarczająco dużo i widziałam wystarczająco wiele potwierdzających to dowodów, by przynajmniej pozostać otwarta na taką możliwość. Już nigdy więcej nie wezmę żadnej tabletki ani nie wypiję kieliszka alkoholu. To prowadziło do szaleństwa albo... więzienia, odwyku i śmierci, jak mawiał *Tekst podstawowy*.

Tego wieczoru, gdy po przyjęciu Ellie wróciłam do Meadowcrest, czułam pokorę. Co więcej, bałam się. W tamtym momencie, w łazience, zobaczyłam, jak potoczyłaby się moja wersja życia. Udawałabym i z nieszczerą wylewnością przetrwała resztę z dwudziestu ośmiu dni, a potem wróciła do domu i podjęła swój nałóg dokładnie tam, gdzie go zostawiłam. Oczywiście wkrótce tabletki stałyby się zbyt kosztowne i prawdopodobnie zarabiałabym mniej, zakładając, że w ogóle byłabym w stanie pracować. Może trwałoby to kilka lat, a może kilka miesięcy, ale w końcu zrobiłabym to, co wszystkie poznane kobiety, i zamieniła drogi vicodin, percocet i oxy na heroinę, która dawała dwa razy większą ekstazę za jedną czwartą ceny. Wyobraziłam sobie, jak odwożę Ellie rano do Stonefield, a potem jadę priusem w podejrzone rejony, gdzie nawet biała kobieta, taka jak ja, może dostać wszystko, czego chce. Magazyn „Filadelfia” przedstawił raport na temat dziesięciu najgorszych punktów narkotykowych w mieście, a poza tym miałam rekomendacje z pierwszej ręki od różnych Ashley i Brittany. Może przez chwilę udałoby mi się z tym kryć, a może uległabym wypadkowi samochodowemu, ze stanikiem wypchanym herą o wartości tysiąca dolarów, jak jedna z dziewczyn w Meadowcrest. A może by mnie aresztowano i zamknięto w więzieniu, gdzie zostawiona na betonowej podłodze jedynie z tylenolem 3 mogłabym kopać do woli, o czym opowiedziała nam Amber.

Dave rozwiódłby się ze mną – to oczywiście nie podlegało dyskusji. Co gorsza, straciłabym Ellie. Po kilku latach... cóż. Słyszeliście o tym, że nie widuje się piskląt gołębi? Pamiętam, jak Lena zapytała kiedyś w czasie sesji grupowej:

– Wiecie, czego jeszcze się nie widuje? Starych heroinistek.

– Albo heroinistek z dziećmi – dodała Shannon.

W moim pokoju na biurku nadal leżała otwarta *Wielka księga*.

– O mój Boże! Gdzie byłaś? – zapytała Aubrey, wpadłszy do sypialni. Za nią

pojawiła się Lena, nadal z namalowanymi tuszem do rzęs wężami, których potrzebowała do występu.

– Tak się martwiłyśmy – dodała Mary, skręcając łańcuszek od okularów. – Trenerzy nie chcieli nam nic powiedzieć, ale rozmawiali przez krótkofalówki i kazali nam wszystkim siedzieć w salonie i kolejny raz oglądać *28 dni*. Myśleli, że uciekłaś!

– Tak było – przyznałam się. Siedziałam po turecku na łóżku w otoczeniu kobiet, które stały się moimi przyjaciółkami, a teraz patrzyły na mnie wyczekująco. Nigdy tak bardzo się nie bałam. Przyznanie, że ma się problem, było pierwszym krokiem, wszyscy to wiedzieli, ale w ten sposób dopuszczało się również możliwość, że nie jest się w stanie go naprawić. – Dave po mnie przyjechał i pojechałam na przyjęcie urodzinowe Ellie. Zawieźliśmy ją potem do domu kolegi, poszłam tam do łazienki, zajrzałam do szafki z lekami i myślałam jedynie: „Obym tylko coś tu znalazła”, a potem... – Shannon wzięła mnie za rękę. – Co jest ze mną nie tak? – płakałam. – Jestem na przyjęciu urodzinowym córki, świetnie się bawię i myślę tylko o tym, skąd wziąć tabletki.

Lena skrzywiła się, Mary poklepała mnie w ramię, ale dopiero mała Aubrey się odezwała.

– Dolega ci to samo, co nam wszystkim – powiedziała. – Jesteśmy chorymi...

– ...którzy zdrowieją – dokończył chórem pokój.

Nicholas chciał, bym została w Meadowcrest przez dziewięćdziesiąt dni. Przerazona myślą o tak długiej rozłące z Ellie, wynegocjowałam sześćdziesiąt dni. Świadoma, że w Meadowcrest jestem bezpieczna, rzuciłam się w wir pracy, chodziłam na spotkania i wykłady, wykonywałam zadania z odgrywaniem ról, rysowałam plakaty, pisałam raporty z lektury księgi. Tutaj nie mogłam zdobyć tabletek, nawet gdybym chciała. W świecie zewnętrznym będzie zupełnie inaczej.

Tydzień przed wypisem Dave przyjechał na sesję rodzinną. Tak się denerwowałam, że poprzedniego dnia nie byłam w stanie nic zjeść.

– Co najgorszego mogłoby się stać? – zapytała Kirsten, ale nie mogłam się przełamać, by jej powiedzieć. W najgorszym wypadku Dave pojawiłby się z pozwem rozwodowym albo nazwiskiem prawnika, powiedziałby, że nie jest pewien, czy kiedykolwiek jeszcze będzie mi w stanie zaufać, i nie chce być nadal moim mężem. Szłam na spotkanie przygotowana na taką ewentualność, więc w zasadzie poczułam ulgę, kiedy Dave usiadł i z kamienną twarzą odczytał listę moich kłamstw, niepowodzeń, błędów i zrad. Mówił o pieniądzach przepuszczonych na leki, o tym, że narażałam na szwank swoją pracę, zdrowie i bezpieczeństwo i, co było najgorsze, narażałam na niebezpieczeństwo Ellie.

– Kłamstwa – powiedział miękkim, bezbarwnym głosem. – Tego nie mogę przeboleć. Prowadziła w tajemnicy przede mną drugie życie. Nie wiem już, kim

naprawdę jest.

Nie próbowałam nawet się bronić, nie wspomniałam o sytuacjach, w których mnie zawiódł i utrudniał przyznanie się do tego, co naprawdę czuję. Ostrzegano mnie przed zachowaniem, które na mitingach określano jako „odbijanie piłeczki”. Nie mogłam się kłócić, wspominać o L. McIntyre ani o tym, że używał treningów do maratonu jako pretekstu, by dosłownie uciekać przed żoną i córką. Mogłam jedynie siedzieć, wpatrywać się w swoje dłonie i starać się nie płakać, kiedy Kirsten zapytała, czy jego zdaniem nasze małżeństwo rozpadło się nieodwracalnie, a potem słuchać, jak wzdycha i wolno odpowiada:

– Nie wiem.

Po sześćdziesięciu dniach większość kobiet, które były w ośrodku, kiedy do niego trafiłam, wyjechała. Mary opuściła go wcześniej, gdy jej mąż dostał infekcji pęcherza, a dzieci nie mogły poradzić sobie same z jego dolegliwością. I z nim. Ubezpieczenie Aubrey wygasło po dwudziestu ośmiu dniach. Kiedy zarówno rodzice, jak i jej chłopak odmówili przyjazdu po nią, Meadowcrest kupiło jej bilet autobusowy do centrum. Lena, Marissa i Shannon też opuściły ośrodek i zastąpiła je nowa ekipa typowych Ashley, Brittany, Amber i Caitlyn. Najwyraźniej uzależnieni byli źródłem odnawialnym. Każdego dnia świat produkował nas więcej.

O dziewiątej rano w dniu wypisu stałam przy recepcji z moimi starannie spakowanymi torbami. W południe byłam już na spotkaniu w kościele na Pine Street. „Cześć, mam na imię Allison i jestem uzależniona”. „Cześć, Allison, witaj”, odpowiedziała chórem sala. O trzeciej byłam w gabinecie Bernice na Cherry Hill. Było to wstępne spotkanie, podczas którego miała ocenić, czy będę odpowiednią kandydatką do jej intensywnej grupy pacjentów ambulatoryjnych świeżo po odwyku, których terapeuci zdecydowali, że są gotowi, by wrócić do świata.

– Jedną sprawę załatwimy natychmiast – oznajmiła i zakręciła swoim wielkim telefonem z przyciskami tak, by stał w moją stronę. Pod jej nadzorem zadzwoniłam do każdego z lekarzy, którzy przepisali mi jakikolwiek środek silniejszy niż aspiryna, i opowiedziałam im, co się stało i dokąd trafiłam.

Niektórzy z nich zareagowali obcesowo i formalnie. Dr Andi niemal się rozpłakała.

– O mój Boże, Allison! Czy to moja wina? Czy powinnam była to zobaczyć?

– Proszę się nie obwiniać – powiedziałam, a Bernice słuchała wszystkiego przez głośnik. – Manipulowałam panią i byłam w tym niezła. Gdybym kiedykolwiek zadzwoniła do pani i powiedziała, że umieram z bólu...

– Nic pani nie przepiszę! – odpowiedziała ze śmiechem doktor Andi. – Nawet butelki z gorącą wodą!

– Teraz zrób kolejną dobrą rzecz – poleciła mi Bernice.

Opuściłam jej gabinet zszokowana i osłupiała. Koniec z tabletkami. Chyba

że znowu zacznę szperać w Internecie albo znajdę nowych lekarzy, przekonam ich, że mam kłopoty ze zdrowiem, a oni przepiszą mi to, czego chcę. Potrzaskałam głową, uniosłam ramiona i przyspieszyłam kroku. Nigdy więcej. Ta część mojego życia dobiegła końca. Mam córkę, która mnie potrzebuje, mam życie przed sobą i zamierzam przeżyć je na trzeźwo.

Moja determinacja trwała dokładnie dwadzieścia trzy dni. Z perspektywy widzę, że próbowałam zrobić zbyt wiele i zbyt szybko chciałam wrócić do normalności. Pewnego dnia, o dziesiątej wieczorem, po terapii w przychodni, mitingach i partii monopolu z Ellie przyłapałam się na myśli: czy kieliszek wina rzeczywiście by mi zaszkodził? Tylko jeden kieliszek czerwonego wina. Miliony kobiet prawdopodobnie sączą je właśnie teraz. Kropelka czegoś na rozluźnienie, uspokojenie, na sen?

W jednej dłoni trzymałam kieliszek, a w drugiej butelkę – resztkę wina manischewitz z któregoś sederu. Chociaż nigdy dużo nie piłam, czułam, jak słodkie niczym syrop koszerne wino rozgrzewa mnie i uspokaja.

Nie wiem, skąd wzięłam siłę – jeśli to była siła – by odstawić butelkę i wykonać telefon, który ludzie na mitingach nazywali telefonem za tysiąc funtów. Zadzwoiłam do Sheili, postawnej, wysokiej opiekunki domowej z mojej intensywnej grupy ambulatoryjnej, która była uzależniona od kraku i zwracała się do mnie „dziecinko”, podobnie jak do wszystkich pozostałych kobiet w grupie poniżej pięćdziesiątki.

– Sheilachcę się napić – wypaliłam, zanim powiedziałam cześć czy się przedstawiłam.

– Kto to? – zapytała ze śmiechem. – Która biała dzwoni do mnie, że ma ochotę na trinka? – Tak właśnie mówiła, „trink” i ta idiotyczna wymowa mnie rozbawiła.

– Tu Allison. Żydówka.

– Och, Allison, ta ze śliczną córeczką dzwoni do mnie, że chce się napić. Ty przecież nawet nie pijesz nałogowo?

– Nie – przyznałam. – Biorę tabletki, ale nie można ich kupić za rogiem.

– Pewnie nie w twojej okolicy – powiedziała i zachichotała. – Więc czego chcesz? – zapytała nagle poważnym tonem. – Ten kieliszek wina czy swoje dziecko? Wiesz, że nigdy nie kończy się na jednym kieliszku. Przynajmniej u nas. I wiesz, do czego to prowadzi?

– Wiem – przytaknęłam. Kurczowo ścisiskałam telefon, a po policzkach płynęły mi łzy. Mówiono nam o tym na odwyku i na spotkaniach grupy. Straciliśmy prawo do picia i przyjmowania leków jak normalni ludzie. Koniec toastów szampanem na weselach, zero vicodinu po wyrwaniu zęba. A co dostaliśmy w zamian za to poświęcenie? Dostaliśmy z powrotem nasze życie. Nie tylko zwrócone, ale też ulepszone. Bernice zamykała każdą sesję „Obietnicami”:

– Jeśli skupimy się na tej fazie naszego rozwoju, rezultaty nas zadziwią, zanim przejdziemy jej połowę. Poznamy nowy wymiar wolności i szczęścia. Nie będziemy żałować przeszłości i nie będziemy chcieli zamknąć za nią drzwi. Zrozumiemy znaczenie słowa „spokój” i zaznamy go. Bez względu na to, jak nisko upadliśmy, zobaczymy, w jaki sposób nasze doświadczenie może przynieść pożytek innym. Zniknie poczucie bezużyteczności i rozczulania się nad sobą. Stracimy zainteresowanie samolubnymi sprawami i zwrócimy się w stronę naszych towarzyszy. Egoizm odejdzie. Zmieni się cała nasza postawa i spojrzenie na świat. Opuści nas lęk przed ludźmi i niepewnością materialną. Intuicyjnie będziemy wiedzieli, jak poradzić sobie w sytuacjach, które wcześniej wprawiały nas w zakłopotanie. Nagle zdamy sobie sprawę, że Bóg robi dla nas to, czego nie byliśmy w stanie zrobić sami dla siebie.

Dla mnie brzmiało to jak stek bzdur, może dlatego, że nadal mocno trzymałam się przekonania, że moje wcześniejsze życie było w porządku i że wyrwałam się z chaosu, zanim doszło do tragedii. Nie chciałam lepszego życia, chciałam jedynie tego, co miałam, kiedy mieszkaliśmy we troje w szeregowcu w centrum, zanim wszystko się skomplikowało, zanim przeprowadziliśmy się do Haverford. Na ten temat spierałyśmy się z Bernice.

– Nie poddawaj się, zanim nie zdarzą się cuda – mawiała. – Chcę, żebyś doświadczyła wszystkiego, co daje ten program. Czeka na ciebie nowe życie i jest ono lepsze, niż kiedykolwiek zdołasz sobie wyobrazić. Chcę, byś miała takie życie.

– W porządku – przytakiwałam, a ona kazała mi robić kolejną dobrą rzecz, potem następną i jeszcze następną. Mówiła też: „Bóg istnieje, ale ty Nim nie jesteś” i „Ten program działa, kiedy ty działasz”. Wszystkie te głupie powiedzonka, te idiotyczne frazesy, z których drwiłam i na dźwięk których przewracałam oczami. Teraz zapisywałam je, zapamiętywałam, drukowałam napisane ładną czcionką i przyklejałam do monitora komputera, do lustra w łazience, na drzwiach lodówki i powtarzałam w głowie, gdy stałam w kolejce do kasy w supermarkecie.

Rano, zanim założyłam strój do ćwiczeń, zsuwałam się z łóżka, klękałam i modliłam się, chociaż czułam się głupio, jak oszustka, jak ktoś, kto odgrywa tę czynność, zamiast rzeczywiście ją wykonywać. Dobry Boże, myślałam. Po wielu miesiącach słuchania o „Bogu, jakim Go pojmujemy” i „Sile wyższej, którą niektórzy wolą nazywać boginią lub naturą”, nadal nie potrafiłam postrzegać Boga inaczej niż typowo, jako starca z długą siwą brodą i surowym wyrazem twarzy. Dziękuję, że pozwoliłeś mi przeżyć kolejny dzień w trzeźwości. Dziękuję, że nie pozwoliłeś mi skrzywdzić siebie, Ellie ani nikogo innego, kiedy byłam w nałogu. Wymieniałam kolejne pozycje swojej listy i dziękowałam Bogu za klimatyzację w upalne dni i centralne ogrzewanie w zimne, za swój ulubiony sweter, wygodne buty i kilka spokojnych minut z córką.

Dziękowałam Bogu za mamę, która przeprowadziła się do luksusowego

ośrodka dla osób po pięćdziesiątym piątym roku życia niedaleko Eastwood, w pobliżu taty. Zaczęła grać w brydża, znalazła sobie nowych partnerów do golfa i tenisa i przyjeżdżała do miasta dwa, a czasami trzy razy w tygodniu, by spędzać popołudnia z Ellie, dzięki czemu ja miałam czas na swoje spotkania i mitingi. Dziękowałam Bogu za tatę, który nadal czasami mnie poznawał, gdy co drugi tydzień odwiedzałam go z Ellie.

– Jestem z ciebie dumny – mówił, a ja nie byłam pewna, co było powodem tej dumy. Czy wiedział, że byłam na odwyku i dlaczego tam trafiłam? Czy pamiętał, dlaczego przez przypadek zostałam pisarką? Czy wiedział, że mam męża i dziecko? Czy w jego głowie nadal byłam osiemnastolatką trzymającą w dłoni list z college’u Franklina i Marshalla z informacją o przyjęciu na studia, opowiadającą mu o swoich wielkich planach na przyszłość?

Dziękowałam Bogu za Janet, która raz w tygodniu przyjeżdżała do centrum, by zjeść ze mną lunch. Raczyłam ją zabawnymi historiami ze spotkań AA i AN. Szczególnie lubiła słuchać o Leonardzie, który zaczynał swoją listę od podziękowania Bogu za to, że „kolejny dzień trzymał go z dala od barów z cycuszkami”.

– Co się stanie, jeśli znowu tam pójdzie? – zapytała Janet i opowiedziałam jej, jak zawstydzony był Leonard, kiedy wstał i oznajmił: „Cóż, znowu mnie złapali!”.

Jadłyśmy deser na spółkę i rozmawiałyśmy o dzieciach, rodzicach i o tym, czy uzależnienie od seksu jest rzeczywiście niebezpieczne.

– Kocham cię – mówiła z poważną miną i ścisnęła mnie na zakończenie każdego spotkania. Pewnego razu rozplakała się i powiedziała, że uważa, że powinna coś zauważyć, zorientować się, że mam kłopoty, i jakoś zareagować. Wyjaśniłam jej, że to mój problem i sama muszę go rozwiązać.

– Po prostu bądź moją przyjaciółką – poprosiłam. – Tego najbardziej potrzebuję. Dziękowałam Bogu, że L. McIntyre była, jak zapewniał mnie Dave, jedynie koleżanką.

– Może mogłaby stać się kimś więcej – powiedział mi przy kolacji po trzech tygodniach mojego pobytu w domu. – Ale jaki idiota zdradza żonę, która jest na odwyku?

Dzięki Bogu za Dave’a, pomyślałam, a na koniec podziękowałam Bogu, choć brzmiało to jak bluźnierstwo, za najlepszy element mojego nowego, trzeźwego życia, za małego czarno-białego psa Bingo.

Adoptowałyśmy go we wrześniu, po moim pierwszym miesiącu w domu. Pojechałyśmy z Ellie z Filadelfii do Baltimore pewnego cudownego jesiennego popołudnia. Niebo miało przepiękny niebieski kolor, powietrze pachniało liśćmi, dymem drzewnym i delikatnie nadchodzącym chłodem. Po drodze zatrzymałyśmy się w sklepie Target i kupiłyśmy wszystko, czego potrzebowałyśmy: smycz i szelki

z różowego nylonu, ubranko będące kompromisem pomiędzy sztucznym futerkiem z kryształem górskim, w którym Ellie się zakochała, i gładkim czerwonym materiałem, który ja wolałam. Kupiliśmy plastikowe pojemniki na jedzenie i wodę, klatkę do przewożenia, pięciokilogramową torbę karmy dla psów i puszyste okrągłe posłanko w brązowo-różowe kropki, gryzak, piszczącą zabawkę i płytę z filmem Cesara Millana poleconą przez Janet, która sama przygarnęła trzy bezpieczne psy.

– Czy szczeniaczek może spać w moim pokoju? – zapytała Ellie.

– Nie ma sprawy – odparłam.

Ellie prosiła o psa, od kiedy przeczytała książkę *Elegancka Nancy i wytworny piesek*. Oczywiście błagała o miniaturowego pudelka, ale była zaskakująco otwarta, gdy wyjaśniłam jej, że wiele psów potrzebuje domu i lepiej adoptować któregoś z nich. Każdego dnia spędzałyśmy razem pół godziny w sieci, czytałyśmy o różnych rasach, oglądałyśmy filmy ze szczeniakami i nagrywałyśmy kolejne odcinki programu *Słodziaki* na Animal Planet. Ellie ograniczała ataki hysterii do minimum i bez narzekania wykonywała swoje obowiązki domowe, słała łóżko, odnosiła talerze, pomagała mi przygotować drugie śniadania i wkładać naczynia do zmywarki.

– Sto jedenście, sto trzynaście... To tutaj!

Dom wyglądał jak żółty przylądek z podwórkiem upstrzonym psimi kupkami. Wjechałyśmy na podjazd, drzwi frontowe otworzyły się i z domu wyszła nastolatka z małym białym pieskiem w czarne plamki, trzymanym na smyczy. Zwierzak miał kształtną mordkę, pyszczek z wąsikami i długi, zawinięty na końcu ogon. Jedno ucho sterczało w górę, a drugie opadało jak róg książki zagięty, by zaznaczyć miejsce, gdzie przestało się czytać.

– BINGO! – wrzasnęła Ellie i wysiadła z samochodu, niemal zanim zdążyłam go zatrzymać. Popędziła przez trawnik, padła na kolana jakieś pół metra od pieska, a potem, jak ją nauczyłam, wyciągnęła dłoń, by zwierzak mógł ją powąchać. Pies, najwyraźniej przestraszony szarżą Ellie, powąchał jej rękę, pomachał ogonem, usiadł spokojnie i dał się jej pogłaskać.

– Jest taka SŁODKA! – powiedziała do dziewczynki, którą rozbawiły jej harce.

Podeszłam, uścisnęłam nastolatce dłoń i podpisałam dokumenty, podczas gdy Ellie śpiewała psiakowi. Z profilu w Internecie dowiedziałyśmy się, że Bingo była młodą suczką w wieku między trzy a pięć lat. Pojawiła się w schronisku w ciąży. Znalaziono dla niej rodzinę zastępczą, gdzie urodziła pięć szczeniaków, które zostały szybko adoptowane. „Teraz musimy znaleźć jedynie dom dla mamy” – informowała strona internetowa. Po przeczytaniu tego apelu natychmiast chciałam pojechać do Baltimore i przywieźć do domu małego pieska ze smutnymi oczami. Suczka była podobno mieszańcem terriera, ważyła dobre siedem

kilogramów, była wysterylizowana, przyjazna, lubiła dzieci i otrzymała wszystkie niezbędne szczepienia.

– Żałuję, że nie możemy powiedzieć wam o niej więcej – zagadnęła nastolatka z brązowym kucykiem i metalicznym uśmiechem – Była dobrą mamą, gdy miała przy sobie szczeniaki.

– Na pewno czegoś się dowiemy – uspokoiliam ją. W jednej z rubryk zgłoszenia pytano o to, co wydało mi się trochę za bardzo wścibskie, czy kiedykolwiek zostałam aresztowana lub odbyłam karę więzienia. Nie wspomiano o odwyku ani uzależnieniu, ale zastanawiałam się, czy odpowiedziałabym szczerze, a jeśli tak, to czy zostałabym odrzucona. To szaleństwo. Kto bardziej potrzebował zwierzaka niż chory, który próbuje wyzdrowieć? Kto lepiej zaopiekowałby się psem, niż ktoś próbujący pokazać światu, że rzeczywiście zasługuje na jego zaufanie?

Wzięłyśmy z Ellie Bingo na spacer po okolicy. Piesek truchtał dziarsko, a Ellie ścisnęła kurczowo smycz.

– Pożegnaj się – poinstruowała psiaka.

Suczka pozwoliła mi się podnieść i włożyć do klatki, chociaż Ellie błagała mnie, bym pozwoliła jej trzymać Bingo na kolanach. Przez całą drogę do domu suczka ani pisnęła. Gdy dojechałyśmy do Filadelfii, oprowadziłyśmy ją po okolicy i pozwoliłyśmy obwąchać drzewa i hydranty. Ignorowała inne psy i drząc, chowała się przed nimi za moimi nogami, kiedy zbliżały się, by ją powąchać.

– Jest NIEŚMIAŁA – orzekła Ellie, której to najwyraźniej nie przeszkadzało, o ile Bingo pozwoliła jej założyć sobie błyszczącą obrózkę i prowadzić się na smyczy.

– Myślisz, że powinniśmy wymyślić dla niej lepsze imię? – zapytałam.

Ellie zastanowiła się, gdy podeszłyśmy do drzwi frontowych i w końcu potrząsnęła głową.

– Myślę, że pasuje do niej Bingo – zdecydowała, a ja przyznałam, że ma rację.

W domu psina obwąchała miskę pełną suchej karmy, wypila parę łyków wody, potem skuliła się pod moim łóżkiem, pomimo nagabywania i gróźb Ellie, bym ją stamtąd wyciągnęła.

– Zostawmy ją tam.

Ellie przebrała się w piżamę, poczytałyśmy *Ośmiornice będą ośmiornicami* i *Duży chłopak zabrał moją piłkę*, a potem pocałowałam ją na dobranoc i położyłam do łóżka. Pomimo że pozwalanie Ellie na spanie każdej nocy w moim łóżku było bardzo kuszące, nasłuchiwałam się wystarczająco o granicach, by wiedzieć, że muszę z powrotem je wyznaczyć (poza tym chociaż od miesiący nie zdarzył jej się nocny wypadek, nie chciałam ryzykować zniszczenia nowego materaca). Była moją córką, a nie przyjaciółką, pocieszycielką czy powierniczką,

dlatego chociaż bardzo chciałam poczuć w łóżku dotyk ciepłego ciała albo zobaczyć słodki uśmiech Ellie tuż po przebudzeniu (trwający zaledwie kilka sekund, zanim przypomniała sobie, że świat ją drażni, podobnie jak większość zamieszkujących go ludzi), pilnowałam, by przynajmniej zaczynała każdą noc we własnym łóżku.

Tak więc byłam sama w pokoju, kiedy Bingo wychyłała powoli spod łóżka i spojrzała na mnie. Miała opuszczony ogon i wyglądała na przygnębioną. Zastanawiałam się, czy tęskni za swoimi szczeniakami, czy pamięta w ogóle, że je urodziła. Tak mało wiedziałam o psach!

– O co chodzi? – zapytałam i odłożyłam na bok *Kobięcy przewodnik po dwunastu krokach*.

Cisza.

– Chcesz wyjść na spacer? – zgadywałam.

Znowu nic. Zabrałam ją na dół, przypięłam jej smycz, sprowadziłam po schodach i stałam na krawędzi chodnika, gdy załatwiała swoje potrzeby. W domu, zamiast z powrotem wejść pod łóżko, stanęła na jego krawędzi i spojrzała na mnie.

– No, dobrze – zgodziłam się i poklepałam materac. Zanim skończyłam wymawiać drugie słowo, Bingo zwinnie wskoczyła na łóżko i usadowiła się w zgięciu moich kolan, gdy leżałam na boku.

– Będziesz tu spała?

Brak odpowiedzi. Naciągnęłam kołdrę na nas obie i zamknęłam oczy. Dziękuję ci, Boże, za Bingo. Dziękuję za Ellie. Dziękuję za piękną pogodę. Dziękuję, że pomogłeś mi nie wziąć dzisiaj tabletek. Kiepska to była modlitwa, ale najlepsza, na jaką było mnie stać.

Co roku, od kiedy przeprowadziliśmy się do Haverford, urządziłam przyjęcie na święto Chanuka. Dziesiątki dzieci, rodziców, kolegów z pracy, krewnych i przyjaciół wypełniały nasz dom, niektórzy przynosili prezenty dla Ellie, pudełka czekoladek albo butelki wina. Podawałam pieczonego kurczaka, gigantyczną miskę zielonej sałatki i zastawiałam stół mnóstwem przysmaków deserowych przyniesionych przez gości. W salonie dzieci kręciły bączkami, a goście brali udział w konkursie na najlepsze placki ziemniaczane. Były latke ze zwykłych i słodkich zieminków, z cukinią i szatkowaną marchewką, z dodatkiem mąki, skrobi ziemniaczanej, a raz nawet z tapioką. Barry przynosił sufganiyot, pączki ze słodkim nadzieniem, kolejną tradycyjną potrawę chanukową. Przez wiele tygodni kuchnia pachniała jak frytownica i miałam wrażenie, że moje włosy i skórę pokrywa delikatna warstewka tłuszczu.

Na tych przyjęciach piliśmy piwo i wino i w miarę jak przybywało gości, a przygotowania stawały się coraz bardziej wymagające, brałam coraz więcej tabletek, by przetrwać całe wydarzenie, poradzić sobie z napięciem spowodowanym niepewnością, czy Dave mi pomoże, czy będzie choćby ze mną

rozmawiał, i dać sobie radę z mamą, która pojawiała się z trzyipółkilogramową sztuką mięsa i żądała nagrzania piekarnika.

Tego roku przyjęcie na Chanukę ograniczyło się do czterech osób: mnie, Ellie, Dave'a i mojej mamy. Oczywiście była też Bingo. Siedziała na podłodze z błyszczącymi oczami, machała ogonem i z zaangażowaniem obserwowała przebieg wydarzeń z nadzieją, że ktoś coś upuści. Zauważyłam, że Dave dyskretnie podrzucał jej resztki jedzenia, w wyniku czego Bingo chodziła za nim jak przywiązany do kostki balon.

– Grzeczna dziewczynka – mówił i przemycał jej kawałek skórki kurczaka, potem odchyłał krzesło i wzdychał. Radykalnie skróciłam listę gości, ale menu pozostawiłam bez zmian: pieczony kurczak nadziewany ziołami, cytryną i czosnkiem, sałatka z sosem winegret z nasionami granatu, placki ziemniaczane i kupny deser w postaci pączków z kremem z Whole Foods z sosem czekoladowym, który zrobiłyśmy razem z Ellie.

– Ma ŻWAWY KROK – oznajmiła Ellie, imitując energiczny chód Bingo. – A w nocy śpi ZWINIĘTA W OBWARZANEK w łóżku mamy.

– Załóż się, że mama to lubi – powiedział Dave. Nie spojrział mi w oczy. Wolałabym ciebie, pomyślałam.

– Hej, El, pokażmy tacie, jak sprzątam ze stołu.

– Tata wie, że potrafię to robić. – Wydeła wargi, ale wstała i ostrożnie, dwiema rękami zaniósła każdy talerz i półmisek do zlewu.

Po obiedzie graliśmy w przepraszam! – o ironio! Próbowałam przetrwać dyskomfort i niepokój, oddychając głęboko, starałam się pobyć ze swoimi uczuciami, jak radziła mi Bernice, i ignorować pytania krążące po głowie: Czy zostanie? A przynajmniej podejdzie i mnie pocałuje? Czy choć trochę mnie kocha? Czy cokolwiek jeszcze zostało?

Dave został, kiedy wkładałam Ellie do wanny, a potem z niej wyjmowałam, czesałam jej włosy i zaplatałam w warkocze, ubierałam w piżamę i czytałam *To nie mój kapelusz!*. Gdy zamknęłam drzwi jej pokoju, Bingo pognała korytarzem, by zająć swoją pozycję, skulona na mojej poduszce. Patrzyła na nas jasnymi brązowymi oczami, uderzając ogonem o kołdrę.

– B-I-N-G-O – zaśpiewał Dave.

Staliśmy w wąskim korytarzu, niemal się dotykając.

– Widzę, że dobrze się masz. – Wyciągnął rękę, chwycił między palce kosmyk moich włosów i delikatnie założył mi za ucho. Już po chwili czułam jego ciało przy swoim, ciepłą i mocną klatkę piersiową, silne ramiona w moich dłoniach. – Wiem, że powiedzieli „żadnych zmian przez pierwszy rok”, ale oboje już kilka razy to robiliśmy...

Śmiałam się, idąc tyłem, gdy prowadził mnie na łóżko, a później płakałam z głową na jego piersi i gołymi nogami zaplątanymi w jego, gdy ze ściśniętym

gardłem powiedział:

– Allison, nigdy nie było nikogo innego. Zawsze byłaś tylko ty.

– Obiecuję... – zaczęłam. Chciałam mu obiecać, że nigdy więcej go nie skrzywdzę, nigdy nie zejść na złą drogę, nigdy więcej nie dam mu powodu do zmartwień, ale to były obietnice, których nie mogłam dotrzymać. Minuta po minucie, godzina po godzinie, dzień po dniu. – Nigdy nie przestałam cię kochać – powiedziałam, i była to całkowita prawda.

Nie zamieszkaliśmy z powrotem razem. Część mnie desperacko tego pragnęła, a druga część martwiła się, że zburzylibyśmy stabilne środowisko Ellie. W niektóre poranki Dave budził się w łóżku ze mną, czasami w swoim mieszkaniu, a od czasu do czasu Ellie spędzała noc u niego, ale miałam wrażenie, że dobrze się rozwija i wyrasta z okropnych krzyków i krnąbrności.

Co się tyczy Dave'a i mnie, często myślałam, że przechodzimy rok odnowy, jak mawiają trenerzy i dziennikarze sportowi. Nie byliśmy do końca małżeństwem, ale też go nie zakończyliśmy. Miałam wrażenie, że od nowa o siebie zabiegamy, powoli odkrywamy się przed sobą nawzajem. Moja mama albo opiekunka Katrina przychodziły wieczorem, a my szliśmy na koncert, na kolację albo zabieraliśmy Bingo do parku dla psów, gdzie w ciepłe wiosenne wieczory na prześcieradle rozciągniętym pomiędzy dwiema sosnami wyświetlano stare filmy.

– Ellie jest coraz większa – zauważył Dave któregoś z owych wieczorów.

Patrzyłam na przysmaki przyniesione na piknik przez innych ludzi: smażony kurczak, herbatniki, brzoskwinie w puszcze, kanapki z pełnoziarnistego grubo krojonego chleba z sałatką ziemniaczaną, sałatka owocowa z kawałkami ananasa i truskawkami. I wino lub piwo. Zroszone termosy z koktajlami, drinkami lemon drop i Pimm's cup.

– Rzeczywiście – przytaknęłam. Codziennie wyglądała na nieco wyższą, włosy jej urosły i co chwila zaskakiwała nas jakimś nowym słowem, wyrażeniem albo trafną obserwacją na temat świata. Czasami w nocy płakała, że bołą ją nogi.

– To bóle wzrostowe – wyjaśnił doktor McCarthy.

Czasami miałam wrażenie, że ja też je odczuwam. To przypomniało mi o stwierdzeniu, które usłyszałam na mityngu, że anonimowi alkoholicy mogą pomóc innym poradzić sobie z uczuciami. „To prawda” – oznajmił mówca. Pod sumiastymi wąsami uśmiechał się wesoło. „Intensywniej odczuwam gniew, smutek i rozczarowanie”.

Życie na jego warunkach. To trudne jak cholera. Nie było już mowy o wyłączeniu się na chwilę, czy prześlizgnięciu po tematach, koniec z używaniem opiatów jako szpachlówki, by wypełnić pęknięcia i przykleić odłamane fragmenty. Wszystko było na wierzchu, surowe i brzydkie: delikatne westchnięcia i jęki, które Dave wydawał, najwyraźniej nieświadomie, gdy jadł płatki śniadaniowe albo ścielił łóżko, fakt, że Ellie trzeba było przypominać, czasami dwa razy, by spuściła po

sobie wodę w toalecie, plamy śluzu błyszczące wzdłuż miejskich chodników. Czasami w nocy tęskniłam za tatą i smutno mi było z powodu nieudolnego, zazwyczaj roztargnionego rodzicielstwa matki, ale nie było na to tabletki. Czasami nie mogłam w nocy spać, więc leżałam w łóżku, sama albo z Dave'em, patrzyłam w ciemność i starałam się nie besztać siebie samej. „Nie będziemy żałować przeszłości i nie będziemy chcieli zamknąć za nią drzwi”, mówiła *Wielka księga*, więc starałam się być wdzięczna, że przestałam brać w dobrym momencie, zamiast krytykować się za to, że sprawy zaszły tak daleko. Nauczyłam się tego, co było mi potrzebne, i wiedziałam teraz, że jestem, jakkolwiek pełna wad i niedoskonała, niezaprzeczalnie jednak dorosła.

Pewnego dnia zadzwonił mój telefon i usłyszałam po drugiej stronie znajomy głos.

– Tu duchy przeszłości! – oznajmił, a potem utonął w płaczu.

– Aubrey! – Nie miałam od niej żadnych wieści, od kiedy opuściła Meadowcrest. Mejlowałam z Mary, a z Shannon spotykałam się raz w miesiącu na kawę. Lena i Marissa zniknęły. Nie wiedziałam, czy wróciły do nałogu, czy zaczęły nowe, trzeźwe życie. Czasem o nich myślałam, ale to o Aubrey martwiłam się najbardziej. Od czasu do czasu pisałam do niej wiadomości albo dzwoniłam, ale ona nigdy nie odpowiadała. Kilka razy zaczynałam wpisywać jej imię do wyszukiwarki i równie często się hamowałam. Uznałam, że jeśli zechce mnie poinformować, jak się miewa, skontaktuje się ze mną, w innym przypadku to będzie wtykanie nosa w cudze sprawy. I teraz się pojawiła. Mówiła drżącym głosem, ja kurczowo ścisnęłam telefon i dopiero w tym momencie zdałam sobie sprawę, że w głębi duszy podejrzewałam, że nie żyje.

– Jak się masz?

– Ja. – Usłyszałam znajomy śmiech. – W zasadzie niezbyt dobrze.

Do tej pory nauczyłam się, jakie pytania zadawać, a co ważniejsze, jak milczeć i słuchać.

– Co się dzieje?

– Biorę od... Boże, kilku miesięcy. Najpierw nieźle mi szło. Potem Justin zaczął przychodzić do domu swojej mamy, gdzie mieszkałam z Codym...

Odwróciłam się, by Ellie, pochłonięta odcinkiem serialu *Sam i Cat*, nie widziała mojej twarzy. Justin. Pieprzony, zły chłopak.

– Wiesz, mówił, że tym razem wszystko będzie inaczej, że będziemy wszystko kontrolować. Myślałam, że potrafię, ponieważ przez jakiś czas byłam czysta. – Zaczęła płakać. Reszta historii dotarła do mnie w chaotycznych fragmentach: wyrzucono ją z domu rodziców Justina, potem jej matka zabrała Cody'ego i zabroniła Aubrey widywać się z nim, dopóki nie przestanie brać. Opowiedziała mi o couchsurfingu, dwóch tygodniach w schronisku i wreszcie zadała pytanie, które wiedziałam, że padnie: – Czy mogę pomieszkać u ciebie

przez chwilę? – Mówiła cichym głosem, niemal szeptem. – Mogłabym ci pomóc... Zaopiekować się twoją córką... Radzę sobie z dziećmi... Nie pytałabym cię, ale nie mam gdzie pójść...

Och, Aubrey, pomyślałam. Aubrey, która nadal sama była właściwie dzieckiem. Granice, upomniałam sama siebie, chociaż pragnęłam jedynie powiedzieć jej, żeby przyszła, że na łóżku wysuwanym położyłam czystą pościel, że Ellie z przyjemnością ją pozna, że pomogę jej wyzdrowieć. Ale nie mogłam. Znałam swoje ograniczenia, wiedziałam, jak niewiele mi trzeba, bym sama wróciła do nałogu.

– Nie mogę tego zrobić – odpowiedziałam. – Ale mogę zabrać cię na spotkanie. Mogę umówić cię z Bernice. Mogę ci pomóc znaleźć mieszkanie.

– Słyszę, że ty masz się dobrze – powiedziała. Czy była na haju? Nie potrafiłam tego stwierdzić. – Cieszę się. Wiedziałam, że poradzisz sobie po wyjściu.

– Aubrey, posłuchaj. Dzisiaj o piątej trzydzieści na skrzyżowaniu Czwartej i Pine jest spotkanie. To moja stała grupa, są bardzo mili. Z chęcią cię poznają. Przyjdź, będę tam na ciebie czekała. Zadzwońię do Bernice i znajdziemy ci jakieś lokum.

– Ooo-kej – wypowiedziane zdecydowanie przez łzy.

– Piąta trzydzieści. Skrzyżowanie Czwartej i Pine. – Kazałam jej powtórzyć wszystko dwa razy. Potem się rozłączyłam, na wszelki wypadek przesłałam jej adres esemesem i zaczęłam chodzić w tę i z powrotem, zerkając na drzwi i czekając, aż mama przyjdzie ze swoją cotygodniową wtorkową wizytą. Zwykle pojawiała się najpóźniej o piątej i miałam czas na kawę przed spotkaniem, ale tego wieczoru oczywiście się spóźniała.

– Mamusiu, przestań CHODZIC – powiedziała Ellie, a potem, zupełnie niespodziewanie, bez prośzenia czy sugestii wyłączyła telewizor i spojrzała na mnie. – Czym się tak MARTWISZ?

– Nie martwię się – odpowiedziałam automatycznie.

– To dlaczego ciągle CHODZISZ i CHODZISZ?

Usiadłam przy oknie, a Bingo wskoczyła mi na kolana, zaczęła się wiercić, a w końcu odłoniła brzuch, by ją po nim podrapać. Kiedy Ronnie pojawiła się wreszcie w polu widzenia, chwyciłam torebkę i niemal przebiegłam obok Ellie.

– Chodzi o dziewczynę z odwyku. – Spojrzałam na zegar na dekodерze. – Wyjaśnię ci to, jak wrócę, ale teraz muszę iść.

Popędziłam za róg, z kluczami w dłoni, torebką na ramieniu, dolarem w kieszeni do wrzucenia do koszyka z datkami i telefonem wsuniętym do stanika, nastawionym na wibracje, by poczuć, gdy Aubrey mi odpisze. Było przepiękne późne popołudnie. Jasne, słoneczne niebo i cudowne liście obiecywały nowy początek. Młoda kobieta niosąca papierowy parasol od słońca prowadziła na

czerwonej smyczy boston terriera. Minęła mnie starsza para na rowerach. Patrzyłam, jak odjeżdżają, i myślałam o wszystkich normalnych ludziach na świecie, którzy chodzą sobie, załatwiają swoje sprawy, prowadzą swoje życie, kłócą się i zakochują, nie myśląc nawet o tym, by alkoholem albo narkotykami poprawić sobie i tak wspaniałe momenty, a te gorsze uczynić mniej okropnymi.

„Nie bądź taka jak ja”, powiedziała mi mama, kiedy wyszłam. „Nie trać życia na ukrywanie się”. Nadal jednak pomimo odkrywania tak wielu nagród za trzeźwość trudno mi było nie tęsknić za zapomnieniem i ośpieniem, za tabletką, która trzymała moje uczucia na bezpieczną odległość. Czasami myślałam o tym, jak zaczęłam brać tabletki. Innym razem zastanawiałam się, dlaczego wszyscy na świecie ich nie biorą i skąd wzięłam siłę, by jakimś cudem im się oprzeć, choćby przez jeden dzień.

Za rogiem od miejsca spotkań AA znajdowała się kawiarnia. Wetknęłam do niej głowę w poszukiwaniu Aubrey i rozpoznałam ludzi przy kilku stolikach: mężczyznę koło pięćdziesiątki w koszuli w szkocką kratę i okularach, który opowiadał o zmaganiu się z nałogiem i chorobą psychiczną, kobietę ostrzyżoną na jeża, w czarnych wojskowych butach, która opowiedziała, jak straciła przytomność na stacji kolejowej i leżała na betonie, patrząc, jak szczury biegają po torach, aż gliniarze zapakowali ją do radiowozu, mężczyznę, który ubierał się jak kowboj, związywał długie siwe włosy rzemykiem i mówił bez końca o swojej dziewczynie, która odnowiła mieszkanie, gdy on był na odwyku, o robotniku, który odkręcił żyrandol z jadalni i ukradł go oraz o tym, jak zamierza go odzyskać. Czasami chętnie chodziłam na spotkania, świadoma, że mi pomagają, a czasami jedyną rzeczą, jaka powstrzymywała mnie przed pozostaniem w domu na kanapie, była obietnica dalszego ciągu opowieści o żyrandolu albo najnowszy odcinek ciągnącej się od dawna sagi pod tytułem *Leonard kontra bary z cycuszkami*.

– Co pani podać? – zapytał barista, mężczyzna o gęstych czarnych brwiach i przyjemnym uśmiechu, który nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat.

Zamówiłam mrożoną mokrą i ponownie sprawdziłam telefon. Kiedy usłyszałam swoje imię, owinęłam plastikowy kubek brązową papierową serwetką. Była piąta dwadzieścia. Skręciłam za róg i weszłam do kościoła. W piwnicy z odrapanymi białymi ścianami i drewnianą podłogą ustawiono pięćdziesiąt krzeseł. W pierwszych rzędach sadowili się już ludzie. Kiedyś, na początku, popełniłam błąd i chciałam usiąść z tyłu, a inne osoby z grupy Bernice niemal padły ze śmiechu.

– Miejsca wyparcia! Rząd odnowy! – krzyczeli, kiedy Sheila prowadziła mnie na miejsce na środku pierwszego rzędu.

Aubrey jeszcze nie było, ale widziałam Johnette i Martina, i obu Brianów z mojej grupy. Gregory wyglądał zagniecenia na dżinsach, a obok niego siedziała Alice z torbą robótek ręcznych na kolanach.

– Zajęliśmy ci miejsce – powiedziała Sheila i zastukała w puste metalowe krzesło stojące pośrodku pierwszego rzędu. Trzymając kubek i czując na dłoni jego chłód, zajęłam miejsce między nimi.

KONIEC

Podziękowania

Jestem wdzięczna za wsparcie mojej Agentki i Wydawcy, absolutnie najlepszych w branży. Joanna Pulcini i Greer Hendricks trzymały mnie za rękę, pomagały mi wstać, oferowały pochwałę i konstruktywną krytykę, i zawsze były gotowe wysłuchać i przeczytać kolejną wersję powieści. Jestem najszczęśliwszą pisarką na świecie, mogąc przyjaźnić się i pracować z tymi dwiema kobietami.

Judith Curr, wydawca Atria Books, i Carolyn Reidy, dyrektor wykonawcza i prezes wydawnictwa Simon & Schuster, to kopalnie wiedzy i wzory do naśladowania. Cieszę się, że mogę z nimi pracować, podobnie jak z zespołem Atria, z szczególnie z: Lisą Sciambra, Benem Lee, Lisą Keim, Hillary Tisman, Elisą Shokoff, LeeAnną Woodcock i Kitt Reckord.

Anna Dorfman i Jeanne Lee dbają o wygląd moich książek. Nadzwyczajna redaktor Nancy Inglis ratuje mnie przed samą sobą przynajmniej raz na stronę i wybacza wszystkie moje błędy, w tym mylenie „jak” i „taki jak”, oraz fakt, że nadal nie wiem, kiedy napisać liczbę słownie, a kiedy za pomocą cyfr.

Wdzięczna jestem za wsparcie Suzanne Baboneau, Iana Chapmana i Jo Dickinson w brytyjskim oddziale wydawnictwa Simon & Schuster.

Nikt w branży PR nie wykonuje swojej pracy lepiej niż Marcy Engelman i jestem niezmiernie wdzięczna, że mogę mieć ją w swoim narożniku, podobnie jak Emily Gambir i Bernice Marzan. Dzięki Jessice Bartolo i jej zespołowi z Greater Talent Network wystąpienia publiczne są dla mnie przyjemnością.

Szczególne podziękowania należą się asystentce Greer, Sarze Cantin, i asystentce Joanny, Josephine Hill, za ich cierpliwość, entuzjazm i dbałość o szczegóły.

Podziękowania i uściski przesyłam mojej domowej ekipie, fantastycznej asystentce Meghan Burnett, której niezachwiany spokój i niezawodnie dobry humor uprzyjemniają mi życie zawodowe. Terri Gottlieb zajmuje się moimi córkami, prowadzi kuchnię, pielęgnuje ogród i pozwala mi skupić się na pracy z poczuciem pewności, że kiedy wrócę, moje dzieci będą szczęśliwe, a dom będzie stał na swoim miejscu. Miłość i wsparcie Adama Bonina przekraczają wszelkie granice, jest cudownym ojcem i wspaniałym przyjacielem. Nie mogłabym wyobrazić sobie lepszej przyjaciółki niż Susan Abrams. Lucy i Phoebe – jesteście radością mojego serca i każdego dnia czuję dumę, że jestem waszą matką.

Billu – jesteś moim szczęśliwym zakończeniem.

Wreszcie gorąco dziękuję wszystkim, którzy odwiedzają mój profil na Facebooku, przychodzą na odczyty, czytają moje wpisy na Twitterze o *Kawalerze do wzięcia* i cierpliwie czekają na następną książkę. Bez was nic nie byłoby możliwe.

¹ Odwołanie do książki Kay Thompson i Hilary Knight *Eloise*, opowiadającej o dziewczynce, która mieszka w nowojorskim hotelu Plaza i ma żółwia o imieniu Skipperdee (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

² Nawiązanie do słów piosenki *This Nearly Was Mine* z musicalu *Południowy Pacyfik*.

³ Odwołanie do sloganu wyborczego prezydenta USA Herberta Hoovera: „Kurczak w każdym garnku, samochód w każdym garażu”.

⁴ Ang. dosłownie: nowe dzieciaki w dzielnicy. Nazwa zespołu muzycznego z lat 80.

⁵ Odwołanie do dziecięcej piosenki.

⁶ Fragment piosenki *Jeszcze dzień* w tłumaczeniu Daniela Wyszogrodzkiego z musicalu *Nędznicy*.

